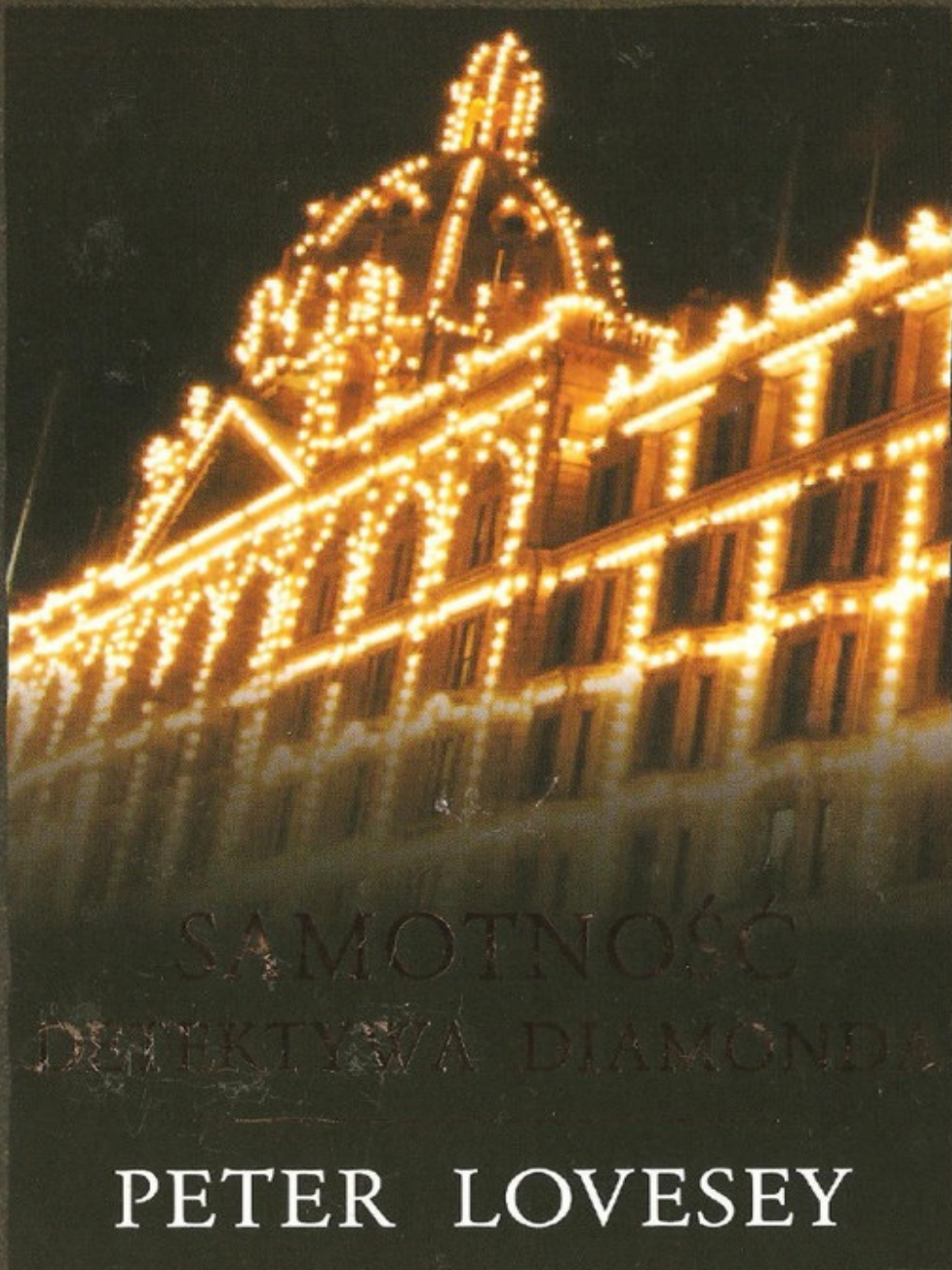


KRYMINAŁ Z KLASĄ


AMBER



SAMOTNOŚĆ
DEKTYWA DIAMOND

PETER LOVESEY

KRYMINAŁ Z KLASĄ


AMBER



SAMOTNOŚĆ
DETEKTYWA DIAMONDA

PETER LOVESEY

**Peter Lovesey tworzy kryminały doskonale:
pełne niekonwencjonalnych postaci i wyrafinowanego humoru**

**Wysmakowany kryminał wybitnego angielskiego autora
uhonorowanego 17 najbardziej prestiżowymi
nagrodami gatunku**

Peter Diamond, ostatni prawdziwy detektyw, został zwolniony z policji za pobicie podejrzanego. Gliniarz z niezłomnymi zasadami, który nie ufa komputerom i zdobyczom techniki, źle się czuje jako bezrobotny.

Nie lepiej jako ochroniarz w Harrodsie. Tu na nic się zda jego sztuka dedukcji. Zwłaszcza gdy w nocy rozlega się alarm, stawiając na nogi londyńską policję. Czyżby strażnik Diamond wpuścił terrorystę lub włamywacza?

Nie – po prostu nie zauważył małej dziewczynki. Dziewczynki, której nikt nie szuka, która nie mówi, tylko rysuje dziwne symbole. Intuicja podpowiada Diamondowi, że za tajemniczym porzuceniem dziecka kryje się coś więcej. Zwłaszcza kiedy dziewczynka znika.

Diamond rozpoczyna własne nieoficjalne śledztwo, które zawiedzie go na dwa kontynenty i w świat wielkich afer.

Peter Lovesey jest laureatem najważniejszych nagród w kategorii kryminału, w tym najwyższego wyróżnienia:

Diamond Dagger za całokształt dorobku literackiego.

Powieści Loveseya – przełożone na 25 języków i wielokrotnie ekranizowane – zostały uznane za doskonałe. Nie bez przyczyny jedno z najważniejszych brytyjskich wydawnictw zainaugurowało serię Kryminał Doskonały pierwszą powieścią z detektywem Diamondem – *Detektyw Diamond i śmierć w jeziorze*.



AMBER

Cena det. zł 34,80

www.wydawnictwoam



SAMOTNOŚĆ

DETEKTYWA DIAMONDA

PETER LOYESEY

Przekład

BARBARA PRZYBYŁOWSKA

SŁAWOMIR KĘDZIERSKI

AMBER

Rozdział 1

Ciszę w Harrodsie przerwał przenikliwy, ciągły sygnał alarmowy. Lionel Kenton, strażnik pełniący służbę w pokoju kontroli ochrony, wyprostował się w fotelu. Uniósł dłonie do szyi i mocniej zacisnął węzeł krawata. Przed nim na pulpicie sterowania migąła jedna czerwona dioda. Jeżeli system działał prawidłowo, ktoś - albo coś - uruchomił czujnik na szóstym piętrze. Kenton nacisnął

guzik włączający kamery obserwacyjne na tej kondygnacji. Na monitorach nic się nie poruszało.

Tej nocy Kenton był starszym funkcjonariuszem ochrony. Do tego stopnia starszym, że miał do wyłącznej dyspozycji własną półeczkę nad kaloryferem. Stały na niej oprawione w ramki fotografie żony, dwóch córek, papieża i Cathcrine Deneuve, słoń z hebanu oraz stojak na kasety z nagraniami oper. Każdemu ignorantowi, który podawał w wątpliwość sens słuchania opery w pokoju kontrolnym ochrony, wyjaśniał, że Puccini pomaga mu zachować czujność przez całą noc.

Nessun dorma. Niech nikt nie śpi. Słuchanie muzyki świadczyło o bardziej odpowiedzialnym traktowaniu obowiązków niż czytanie gazety lub książki. Przez cały czas wzrok czujnie obserwował pulpit, a słuch odbierał wszystkie dźwięki zakłócające muzykę.

Wyciszył Pavarottiego i dotknął przycisku łączącego go bezpośrednio z komisariatem Knightsbridge. Musieli już tam odebrać elektroniczne powiadomienie o alarmie. Przedstawił się i powiedział:

-

Sygnał alarmowy. Otrzymuję sygnał z szóstego piętra. Meble. Dział dziewiąty. Nie mam nic na ekranie.

-

Powiadomienie otrzymane o dwudziestej drugiej czterdzieści siedem.

-

Ktoś tu jedzie?

-

Taka jest procedura.

Oczywiście. Chyba jest trochę zdenerwowany. Spróbował jeszcze raz obejrzeć szóste piętro. Nie było widać nic niezwykłego, ale niezbyt dowierzał obserwacji telewizyjnej. Każdy terrorysta potrafi ominąć pole widzenia kamery.

A musiał zakładać, że to terrorysta.

W różnych częściach domu towarowego czuwało na stanowiskach dwudziestu dwóch funkcjonariuszy nocnej ochrony. Włączył ogólny alarm i polecił jeszcze raz sprawdzić, czy wszystkie windy są wyłączone. Drzwi antywłamaniowe między działami były zamknięte od chwili wyjścia sprzątaczy. W antyterrorystycznym biznesie niczego nic można przyjmować za pewnik, ale prawdę mówiąc, włamanie do Harrodsa było niemożliwe. Intruz, jeśli rzeczywiście tam był, musiał

się ukryć podczas zamykania sklepu i pozostawać niewidoczny aż do tej pory. Jeżeli tak było, ktoś powinien wylecieć z roboty. Ktoś, kto miał za zadanie sprawdzić dział dziewiąty. W tej pracy nie ma się prawa popełnić najmniejszego błędu.

Do pomieszczenia wpadł George Bullen, tej nocy jego zastępca. W chwili gdy rozległ się alarm, był na obchodzie.

-

Gdzie?

-

Na szóstym

-

Jasna cholera.

Dział mebli był miejscem wysokiego ryzyka. Szafy, komody, kredensy, meble wszelkiego rodzaju.

Codzienne sprawdzanie, czy nie ukryto tu bomby, było męczącym zajęciem. Niewykluczone - ale też i niewybaczalne - że pełniący służbę ochroniarz znużył się otwieraniem szaf i zaglądaniem do szuflad i przeoczył kogoś kryjącego się za tymi przeklętymi sprzętami.

Na pulpicie rozbłysło kolejne światełko i na jednym z monitorów pojawiły się reflektory samochodu wjeżdżającego na dziedziniec dostawczy. Reakcja policji była bez zarzutu. Kenton polecił Bullenowi, by go zastąpił, i szedł na dół do funkcjonariuszy.

Przyjechały już trzy radiowozy patrolowe i dwie furgonetki. Snajperzy i przewodnicy psów wychodzili z pojazdów. Nadjeżdżały kolejne samochody i błyskające migacze wypełniały dziedziniec niesamowitą niebieską poświatą. Kenton poczuł skurcz w żołądku. Jeżeli okaże się, że alarm wywołał jakiś psikus systemu, policja nie zagłosuje za uznaniem go za ochroniarza roku.

Z samochodu wyskoczył policjant w cywilu i podbiegł do niego.

-

Pan...?

-

Kenton.

-

Szef ochrony?

Kiwnął głową.

-

To pan przekazał wezwanie?

Przytaknął, czując jak żołądek wywraca mu się na drugą stronę.

-

Szóste piętro?

-

Dział mebli.

-

Drogi dojścia?

-

Dwie klatki schodowe.

-

Tylko dwie?

-

Dostęp z innych działów zamykają drzwi antywłamaniowe.

-

Windy?

-

Wyłączone.

-

Czy jacyś pańscy chłopcy są na schodach?

-

Tak. Zgodnie z procedurą. Pilnują schodów powyżej i poniżej siódmej kondygnacji.

-

Niech pan prowadzi.

Ruszył biegiem przez parter do pierwszej klatki schodowej, a za nim trzydziestu, a może więcej funkcjonariuszy w mundurach, przewodników psów i policjantów w cywilu. Kilku miało broń długą. Grupa mniej więcej dwunastu mężczyzn odłączyła się i popędziła schodami do góry, Kenton poprowadził pozostałych do następnej klatki schodowej.

Bieg na szóste piętro był dla niego sprawdzianem sprawności fizycznej. Z ulgą przyjął polecenie zatrzymania się na podeście między piątym a szóstym piętrem, a jeszcze większą poczuł, widząc, że zgodnie z jego zapewnieniami czterech ochroniarzy znajduje się na swoich stanowiskach. Teraz, kiedy nawiązywano kontakt radiowy z grupą na drugiej klatce schodowej, mógł zacząć normalnie oddychać.

-

Jaki jest rozkład pomieszczenia?

Policijni snajperzy zawsze chcą wiedzieć, na jaką osłonę mogą liczyć. Jeden z ludzi Kentona, krzepki były funkcjonariusz Wydziału Kryminalnego nazwiskiem Diamond, szybko opisał

ekspozycję mebli znajdującą się najbliżej schodów. Tej nocy to właśnie Peter Diamond odpowiadał za ten dział. Biedny sukinsynu, pomyślał Kenton. Wyglądasz gorzej, niż ja się czuję.

Zespół trzech strzelców wyborowych ruszył z podestu na szóste piętro. Pozostali zajęli stanowiska na schodach. Cała reszta zeszła piętro niżej.

Teraz nastąpiło najgorsze - trzeba było czekać na nieznane, któremu inni poszli stawić czoło.

Ktoś zaproponował Kentonowi gumę do żucia, a on z wdzięcznością przyjął poczęstunek.

Minęło jakieś sześć szarpiących nerwy minut, kiedy wreszcie radio dowódcy policjantów zatrzeszczało i czyjś głos zameldował:

-

Jak dotąd nic.

Wysłano na pomoc dwa psy z przewodnikami.

Znowu przedłużająca się cisza.

Funkcjonariusz ochrony Diamond stał z lewej strony Kentona. Palce zaciśniętych dłoni miał splecione jak do modlitwy, ale zaciskał je tak mocno, aż pobielaly mu paznokcie.

Kenton tracił właśnie resztki pewności siebie, kiedy ktoś oznajmił przez trzeszczące radio:

-

Mamy waszego intruza.

-

Obezwładniliście go? - zapytał dowodzący akcją.

-

Chodźcie i zobaczcie.

-

Na pewno jest tylko jeden?

-

Tak jest.

Ton głosu uspokajał. Brzmiał dziwnie, jakby całe napięcie zniknęło. Policjanci i ochroniarze ruszyli biegiem po schodach.

Na szóstym piętrze paliły się wszystkie światła. Snajperzy zebrali się w części, gdzie znajdowała się ekspozycja foteli, kanap i sof. Ale nie zajmowali pozycji strzeleckich. Zachowywali się jak na przyjęciu. Dwóch siedziało na poręczach foteli. Nie było też widać żadnej aresztowanej osoby.

Kenton, czując, jak oblewa go zimny pot, podszedł do funkcjonariuszy.

-

Powiedzieliście przecież, że kogoś znaleźliście?

Jeden z nich spojrzał w dół, na sofę.

Był to wielki, pokryty czarnym sztruksem mebel, jaki na pewno kierownictwo agencji reklamowej postawiłoby w recepcji. W jednym końcu leżała sterta jaskrawych, kolorowych poduszek.

Wyglądała spod nich buzia małej dziewczynki, czarne włosy z grzywką i oczy o azjatyckim wykroju. Poza tym nic nie było widać.

Kenton wpatrywał się w nią oszołomionym wzrokiem. - No tak - oznajmił dowódca policjantów.

Rozdział 2

Wylewasz mnie - powiedział bez cienia urazy w głosie Peter Diamond, ochroniarz, który w noc znalezienia dziewczynki odpowiadał za sekcję dziewiątą. - Rozumiem.

A sytuacja była dla niego bardzo niekorzystna. Nie był młody. Według danych personalnych czterdzieści osiem lat. Żonaty. Zamieszkały w West Ken. Bezdzienny. Był policjant. Dosłużył się stopnia nadkomisarza, ale po scysji z zastępcą naczelnika zrezygnował z pracy w policji Avon i Somerset. Było to zdaniem kogoś, kto znał kogoś, zwykłe nieporozumienie. Diamond okazał się zbyt dumny, by poprosić o ponowne przyjęcie do pracy. Po odejściu z policji kilkakrotnie podejmował różne dorywcze prace, w końcu przeprowadził się do Londynu i zatrudnił w ochronie Harrodsa.

-

Nie ujmowałbym tego w taki sposób, Peter - odparł dyrektor do spraw ochrony. - Ale masz cholernego pecha. Poza tą jedną sprawą miałeś wzorowy przebieg służby. Mogłeś spodziewać się awansu.

-

Przepisy są przepisami.

-

Niestety, tak. Postaramy się zrobić wszystko co możliwe, jeśli chodzi o twoje referencje, ale, hm...

-

...pracę w ochronie mogę skreślić, prawda? - zapytał Diamond. Miał nieprzeniknioną minę.

Tędy mężczyźni - a niewątpliwie był tęgi - często robią wrażenie, jakby za chwilę mieli się wściec lub roześmiać. Cała sztuka polegała na tym, by zgadnąć, która ewentualność wchodzi w grę.

Dyrektor nie starał się ukryć zakłopotania. Pokręcił głową i rozłożył ręce gestem świadczącym o bezradności.

-
Naprawdę, Peter, po prostu niedobrze mi na myśl o tym wszystkim.

-
Daruj sobie.

-
Naprawdę. Nie jestem pewien, czy sam zauważyłbym tego dzieciaka. Była praktycznie niewidoczna pod tymi poduszkami.

-
Podnosiłem poduszki - wyjaśnił Diamond.

-
O?

-
Kiedy robiłem obchód, nie było jej na tej sofie. Sprawdziłem na pewno. Zawsze tak robię.

W takim miejscu każdy może coś podłożyć. Musiała być gdzie indziej i weszła pod nie później.

-
Ale dlaczego nie zwróciłeś na nią uwagi?

-
Pewnie uznałem ją za dziecko którejś ze sprzątaczek. Niektóre z nich to Wietnamki.

-
Ona chyba jest Japonką.

Diamond się ożywił.

-
Chyba? Nikt się po nią nie zgłosił?

-
Jak dotąd, nie.

-
Nie wie, jak się nazywa?

-
Od chwili, kiedy ją znaleziono, nie odezwała się ani słowem. Cały dzisiejszy dzień w komisariacie zajmowało się nią kilku tłumaczy, próbując ją namówić, żeby coś powiedziała. Ani słowa.

-
Nie jest niedorozwinięta, prawda?

-
Raczej nie, ale nic nie mówi. Właściwie w ogóle nie można uzyskać od niej żadnej reakcji.

-
Jest głucha?

-
Nie. Reaguje na dźwięki. Tajemnicza sprawa.

-
Powinni pójść z nią do telewizji. Ktoś może ją rozpoznać. Dziecko znalezione w nocy w Harrodsie - na taką historię media się rzucą.

-
Niewątpliwie.

-
Nie wyglądasz na przekonanego.

-
Jestem przekonany, Peter, aż za bardzo. Ale są inne względy, z których dość ważna jest sprawa naszej reputacji. Nic chciałbym oznajmić całemu światu, że mała dziewczynka poradziła sobie z naszym systemem ochrony. Jeżeli prasa dotrze do ciebie, byłbym wdzięczny, gdybyś nie składał żadnych oświadczeń.

-
O ochronie? Nie będę.

-
Dziękuję.

-
Ale nie możesz zamknąć ust policji. Nic są zainteresowani tym, aby utrzymywać historię w tajemnicy. Pewnie dojdzie do przecieku, i to wkrótce.

Dyrektor westchnął, a potem zapanowała niezręczna cisza.

-
To kiedy mam opróżnić moją szafkę? - zapytał Diamond. - Teraz?

Rozdział 3

Ksiądz spojrział w ufne oczy wdowy i bez zastanowienia stwierdził:

-
To nie jest koniec świata.

Słowa pociechy zabrzmiały w piękny letni wieczór w salonie wiejskiej willi w Lombardii, między Mediolanem a Cremoną. Ojciec Faustini nazywał to opieką duszpasterską. Niesienie pociechy strapionym jest świętym obowiązkiem kapłana. Fakt, że tym razem pocieszanie trwało dłużej niż zwykle, prawdę mówiąc, już drugi rok. Ale Claudia Coppi, którą okrutny los uczynił wdową w wieku dwudziestu ośmiu lat, była wyjątkowym przypadkiem.

Jej mąż Giovanni zginął w niezwykle sposób, rażony piorunem na boisku piłkarskim.

-
Dlaczego to musiał być mój mąż, skoro było tam dwudziestu jeden innych graczy, sędziego i dwóch liniowych? - pytała Claudia księdza przy każdych odwiedzinach. - Czy taka jest wola boża?

Dlaczego zabrał właśnie Giovanniego?

Ojciec Faustini niezmiennie przypominał Claudii, że niezbadane są drogi Pana. Zawsze patrzyła na niego ufnie wielkimi, ciemnymi pełnymi wyrazu oczami (pracowała jako modelka), on zaś powtarzał, że błędem jest rozpamiętywać przeszłość.

Ksiądz i młoda wdowa siedzieli na wyściełanym siedzisku, biegnącym wzdłuż krawędzi obniżonej w tym miejscu podłogi. Jak zwykle gościnnie Claudia otworzyła butelkę Barolo, wina o lekko śliwkowej nucie pochodzącego z Mascarello, i podała serowe biskwity do pogryzania. Słońce dopiero zniknęło za horyzontem, ale zapalenie światła w taki wieczór byłoby barbarzyństwem.

Przez otwarte drzwi ogrodowe dolatywał do nich spotęgowany chłodem wieczoru zapach maciejki.

Willi otoczona była pięknym ogrodem, nawadnianym systemem spryskiwaczy. Kiedy ją budowano, Giovanni, któremu nie brakowało pieniędzy - zarabiał ich mnóstwo jako fotograf mody

- zatrudnił architekta krajobrazu. Dla ojca Faustyniego ustronne położenie willi oznaczało pięciokilometrową podróż na motorowerze, ale nigdy się na to nie uskarżał. Był czterdziestoletnim mężczyzną o surowej, męskiej urodzie, miał czarne, kędzierzawe włosy oraz bujne wąsy i cieszył się dobrym zdrowiem.

-

Wygląda już pani o wiele lepiej - powiedział do pani Coppi.

-

To tylko pozory, ojcie. W środku wciąż jestem spięta.

-

Doprawdy?

Zmarszczył brwi, ale zatroskanie ojca Faustyniego tylko częściowo związane było z jej stanem.

Dobrze, że pokój był już pogrążony w półmroku i jego niepokój nie stał się dla niej zbyt widoczny.

-

To stały problem - wyjaśniła. - Stres. Powoduje skurcze mięśni. Czuję to w ramionach, na samej górze.

-

Jak poprzednio?

-

Jak poprzednio.

Zapadła cisza. Ojciec Faustini również odczuwał pewne napięcie.

-

W zeszłym tygodniu - oświadczyła Claudia - naprawdę udało się ojcuje usunąć.

-

Doprawdy? - spytał znowu z roztargnieniem.

-

To było cudowne.

Chrząknął, niezbyt zadowolony, że użyła właśnie tego słowa.

-

No dobrze, powiedzmy, że wspaniałe. Cóż to za ulga. Nie potrafię powiedzieć, o ile lepiej się poczułam.

-

Na długo?

-

Na wiele dni, ojciec. - Kiedy zastanawiał się nad jej słowami, dodała płaczącym tonem: -

Nie mam nikogo, kogo mogłabym o to poprosić.

W jej ustach zabrzmiało to jak błaganie o jałmużnę. Ojciec Faustini czasem załatwiał zakupy leciwym parafianom. Odbierał lekarstwa dla chorych. Wiedział, jak narąbać drewno i ugotować zupę biedakom w potrzebie. Czym się to różniło od rozmasowania obolałych ramion Claudii Coppi? Tylko tym, że było źródłem wewnętrznego konfliktu. Czy miał prawo odmówić jej chrześcijańskiej pomocy tylko dlatego, że jest duchowo i moralnie niedoskonała?

W dwa ostatnie piątkowe wieczory wykonywał te zabiegi. Wolałby raczej porąbać drewno na opał, ale piec centralnego ogrzewania w willi działał na olej opałowy. Z radością zrobiłby dla niej zakupy, ale dwa razy w tygodniu najlepszy supermarket w Cremonie dostarczał jej wszystko, czego potrzebowała. Miała ogrodnika, kucharza i sprzątaczkę. W rezultacie ojciec Faustini mógł przyjść Claudii Coppi z pomocą, tylko robiąc to, o co poprosiła. Przecież ta nieszczęsna młoda kobieta nie może sama rozmasować sobie ramion. A w każdym razie nie tak, by usunąć napięcie mięśni.

Był jeszcze jeden powód jego wahania. Raz w tygodniu wysłuchiwał w kościele spowiedzi Claudii Coppi i ostatnimi czasy - nie był pewien, ile razy miało to miejsce, i nic zamierzał dokonywać obliczeń - wyznała, że miewa nieczyste myśli, żądze albo coś podobnego. Nie lubił po wyznaniu grzechów pytać o szczegóły, ale nie miał pewności, czy nie wiąże się to z jego wizytami w willi.

-

Znalazłam coś, co ojciec mógłby mi wetrzeć - powiedziała.

Kaszlnął nerwowo i założył nogę na nogę. To było coś nowego.

-
Maść? - zapytał, starając się myśleć tylko o masażu. Przypominał sobie nieznośny odór preparatu używanego przez piłkarzy. Łzawiły od niego oczy.

-
Właściwie to preparat nawilżający. Lepiej działa na moją skórę. Jest naprawdę delikatny.

Proszę spróbować. - Wyciągnęła rękę i posmarowała mu grzbiet dłoni.

Wytarł ją natychmiast.

-
Jest perfumowany.

-
Ma delikatną piżmową nutę - przyznała. - Gdyby ojciec zechciał potrzymać słoiczek, zsunę z ramion bluzkę.

-
To nie będzie potrzebne - zaprotestował.

-
Ojczy, jest jedwabna. Nie chcę, żeby się zaplamiła.

-
Nie, nie, signora, proszę się ubrać.

-
Przecież nawet nie rozpięłam guzików. - Roześmiała się. - Czy naprawdę jest aż tak ciemno?

-
Nie patrzyłem.

-
Proszę się nie obawiać. Przecież odwrócę się plecami.

Kiedy to mówiła, usłyszał, jak bluzka zsuwa się z jej ramion. Teraz stanął w obliczu prawdziwego dylematu. Ton jej głosu był rzeczowy, wręcz obojętny. Jeżeli będzie protestował, sprawi wrażenie,

że pozwala, aby wpływały na niego wyznania, które usłyszał od niej w konfesjonale.

-

Nie za dużo naraz - ostrzegła. - Ma długotrwałe działanie.

Przemógł wątpliwości, zanurzył palec w słoiku i roztarł nieco specyfiku na dłoni.

Claudia, tak jak powiedziała, stała odwrócona do niego plecami. Wyciągnął dłoń i wtarł nieco środka nawilżającego w nasadę jej karku.

-

Ojej! - zawołała. - Ramiączka będą przeszkadzały.

-

Wcale nie - zaprotestował ojciec Faustini, ale mimo to ramiączka stanika zsunęły się na boki.

W czasie poprzednich wizyt dał się przekonać, aby masować Claudię bez użycia maści, przez podkoszulkę. Teraz doznania były całkiem

nowe. Kontakt z jej ciałem poruszył go bardziej, niż chciałby się do tego przyznać. Przesuwał

dłońmi po pochyłości jej ramion, czując ciepło pod czubkami palców. Gładkość jej skóry była czymś niezwykłym. Kiedy dotarł do krągłych stawów barkowych, musiał przerwać.

-

Rozkoszne - westchnęła.

Po chwili poczuł się wystarczająco opanowany, by podjąć masaż. Nałożył obficie środek nawilżający na łopatki i plecy, aż do karku. Pochyliła głowę tak, że długie, ciemnobrązowe włosy zakryły jej twarz. Poświęcił nieco uwagi mięśniom naramiennym, łagodnie rozdzielił je, sprawdzając ich kształt. Wbrew temu, co mówiła o napięciu, wydawało mu się, że wszystkie są dość elastyczne, ale musiał przyznać, że nie jest fizjoterapeutą.

-

Proszę powiedzieć, czy nie sprawiam bólu - poprosił.

-

Wręcz przeciwnie - wymruczała. - Ojciec ma niezwykle dłonie.

Nadal delikatnie uciskał podstawę jej karku, kiedy nieoczekiwanie uniosła głowę i odrzuciła włosy do tyłu.

-
Wystarczy? - zapytał i miał taką nadzieję. Muśnięcie włosów po grzbietach jego dłoni wywołało doznania, których nie zalecano osobom duchownym.

Ale Claudia Coppi była innego zdania. Oświadczyła, że nadal czuje napięcie nad obojczykami.

-
Tutaj?

-
Tak. O tak, właśnie tutaj. Czy mogę się oprzeć o ojca? Tak będzie wygodniej.

Nie czekała na odpowiedź.

Oparła głowę na jego piersi, włosy otarły się o policzek. Tym samym ruchem schwyciła jego dłonie i ścisnęła je mocno. A potem przesunęła w dół.

Aż do tej chwili nic wiedział, że całkiem odsłoniła piersi. Teraz przesunęła na niego jego rękę.

Cudownie piękne i całkowicie zakazane piersi zaproponowały mu nowe emocje. Przez kilka niezapomnianych sekund grzechu ojciec Faustini przyjął tę propozycję. Trzymał zakazane owoce Claudii Coppi, przesuwał po nich dłońmi, pod nimi i wokół nich, zafascynowany ich bujnością i niewątpliwym stanem podniecenia.

Zdeprawowany potwór.

Starając się z najwyższym wysiłkiem odpędzić cielesne myśli, wykrztusił:

-
Nie wódz nas na pokuszenie - i cofnął dłonie, jak oparzony.

Dręczony wstydem, wstał natychmiast, zdecydowanym krokiem wyszedł przed drzwi do ogrodu i nie oglądając się za siebie, skręcił za dom. Nie odpowiedział na wołanie Claudii Coppi:

-
Czy zobaczę ojca w następną sobotę?

Wiedział, że musi natychmiast opuścić to miejsce.

Wydawało mu się, że słyszy, jak idzie za nim, zapewne nadal z obnażonymi piersiami. Najszybciej jak można wyprowadził skuter na drogę, zapuścił silnik i ruszył pełnym gazem.

-

Cudzołożny dureń! - wrzeszczał na siebie, przekrzykując perkotanie silniczka. - Bez charakteru, zdeprawowany, rozpustny, nikczemny, nędzny, opętany żądzą łajdak. Nędzny grzesznik.

Małe kółka kręciły się, niosąc go przed siebie, reflektor oświetlał drogę, ale prawie nie uświadamiał sobie, że jedzie. Wciąż myślał o swoim niemoralnym zachowaniu. Duchowny, kapłan, a zachował się jak zwierzę. Gorzej niż zwierzę, ponieważ został obdarzony umysłem, który powinien być zdolny pokonać podłe instynkty.

Jak odpowie za to w Dniu Sądu? - pytał sam siebie.

-

Boże, zmiłuj się nade mną grzesznym.

Nie wiadomo dokładnie, w którym momencie jazdy uświadomił sobie, co dzieje się przed nim. Na pewno musiał już przebyć pewną drogę, zanim zdołał zająć się czymś innym niż cierpieniami udręczonego sumienia. Musiało to być coś niezwykłego i rzeczywiście było. Ojciec Faustini spojrzał przed siebie i zobaczył słup ognia.

Nocne niebo nad Równiną Lombardzką było rozświetlone, migoczące setkami jaskrawych, płonących punktów. Ich źródłem była znajdująca się jakieś trzy tysiące metrów przed nim, górująca nad całą okolicą płomienista kolumna. Z całą pewnością nie był to naturalny ogień, ponieważ miał

bardziej zieloną niż pomarańczową barwę, lśnił szmaragdową zielenią i przeszywały go wyskakujące w górę fioletowe, niebieskie i żółte rozbłyski. Ojciec Faustini uznał, że nastąpił dzień Sądu Ostatecznego. W przeciwnym razie mógłby podejrzewać, że dodano mu coś do wypitego barolo, ponieważ niezwykle połączenie kolorów w widocznym przed nim zjawisku miało całkiem psychodeliczny charakter. Widział już wcześniej duże pożary i gigantyczne fajerwerki, ale nic nawet w przybliżeniu nie przypominało tego, co jawiło się przed jego oczami.

Cóż mógł uczynić nędzny grzesznik w takiej chwili? Tylko zahamować, zsiąść z motoroweru, klęknąć i modlić się, błagając o wybaczenie.

Dręczyły go wyrzuty sumienia i czuł wszechogarniającą panikę, że musiało się to stać właśnie tej nocy, kiedy zgrzeszył po całym życiu poświęconym nieskazitelnej (albo niemal nieskazitelnej) służbie Kościołowi. Klęczał na trawie pobocza, z dłońmi zaciśniętymi przed skrzywioną cierpieniem twarzą i wołał: „Wybacz mi, Ojcze, bo zgrzeszyłem”.

Nie mógł całkowicie odrzucić możliwości, że właśnie chwila słabości z Claudią Coppi była bezpośrednią przyczyną tego, co się stało. Zapewne przypuszczenie, że kilka sekund pieszczona ładnych piersi spowodowało koniec świata, może się wydawać megalomańskie, ale ojca Faustiniego dręczyło złowieszcze przecucie przyczyny i skutku.

Zerknął między złożonymi dłońmi. Niebo nadal wyglądało równie przerażająco. Smugi ognia wyskakiwały w górę jak rakiety, pozostawiając za sobą ogony iskier.

Nie było widać aniołów pomsty ani innych apokaliptycznych zjawisk, nie słyszał trąb, ale w tej

chwili nic nie było w stanie go zadziwić.

Zamiast tego ujrzał dwa jaskrawe światła, tak ostre, że rozboleły go oczy. I natychmiast rozległ się niski, nasilający się z każdą chwilą pomruk. Jego źródło wcale nie było nadprzyrodzone. Od strony słupa ognia w jego stronę z dużą prędkością mknął szosą samochód z włączonymi długimi światłami. Ojciec Faustini mógł zrozumieć ludzi uciekających przed nadciągającym gniewem bożym, ale wiedział, że oszukują samych siebie. Żadna ucieczka nie mogła się udać.

Tak też się stało.

Wycie silnika nasilało się, światła były coraz jaskrawsze. W normalnych okolicznościach ojciec Faustini pomachałby, dając kierowcy znak, że go oślepia. Ale przecież nie siedział na swoim skuterze. Klęczał na poboczu. Zeskoczył z siodełka, kiedy zobaczył słup ognia. Porzucił skuter tam, gdzie się zatrzymał, pośrodku wąskiej drogi.

Samochód pędził wprost na niego.

Ojciec Faustini chwycił się rękami za głowę.

Nie było czasu, aby odciągnąć motor na bok. Mógł mieć tylko nadzieję, że kierowca zauważy przeszkodę i zdąży ją ominąć. W końcowym momencie historii świata było akademickim problemem to, czy wypadek - nawet śmiertelny - miałby dla kogokolwiek znaczenie, ale ojciec Faustini zawsze był wyczulony na sprawy bezpieczeństwa i nie mógł znieść myśli, że ponosi odpowiedzialność za czyjąś śmierć.

Prawdę mówiąc, kierowca też ponosiłby winę, ponieważ jechał ze zdecydowanie zbyt dużą prędkością.

To, co stało się potem, było błyskawiczne i niszczycielskie, ale ojciec Faustini zobaczył wszystko pod postacią przedziwnej stop-klatki, za pomocą której mózg radził sobie z zagrożeniem przy dużej prędkości. Samochód zbliżał się do skutera, ani trochę nie zmniejszając prędkości, aż do ostatniego ułamka sekundy, gdy kierowca musiał wreszcie zobaczyć, co znajduje się przed nim. Wtedy wcisnął pedał hamulca, pisk opon na nawierzchni szosy zabrzmiał jak wycie syreny. Kierowca skręcił w lewo, by ominąć skuter, i udało mu się to. Ale samochód zaczepił kołami o pobocze, utracił zdolność kierowania i przeleciał na przeciwległą stronę jezdnii. Ojciec Faustini zauważył, że był to wielki, potężny sedan. Białe światło reflektorów zniknęło z pola widzenia księdza, zastąpiła je intensywna czerwień świateł hamulcowych obracającego się samochodu. Maszyna przeleciała przez pobocze i wpadła na otaczający pole pochyły pas trawy. Pasek tylnych świateł uniósł się i zatoczył łuk. Maszyna leciała, wirując wzdłuż osi. Dachowała nie raz, ale trzy razy, tony metalu odbijały się jak zabawka, rozwalily płot i w końcu samochód zaczął się ślizgać na dachu po zaoranym polu.

Jedno z tylnych świateł paliło się jeszcze, ale po chwili zgasło w fontannie iskier. Z wraku wydobywał się dym.

Nogi ojca Faustyniego były miękkie jak świeżo ugotowana pasta, ale mimo to pokuśtykał przez pole, żeby sprawdzić, czy zdoła wydobyć kogoś, zanim samochód stanie w ogniu.

Masa podwozia zmiażdżyła kabinę pasażerską. Ksiądz ukląkł przed wąską szczeliną, która niedawno była oknem od strony kierowcy. Zobaczył w środku mężczyznę z głową przechyloną pod nieprawdopodobnym kątem. Za późno na ostatnie namaszczenie.

Z drugiej strony pasażer, również mężczyzna, leżał w połowie na trawie. Dosłownie. Druga połowa, od pasa w dół nadal była uwięziona wewnątrz. Obie połowy rozdzieliły się dokładnie w pasie.

Ksiądz się przeżegnał. Poczł wzbierającą falę mdłości, ale wiedział, że musi zachować spokój, ponieważ w powietrzu unosił się smród benzyny i wrak sprawiał wrażenie, iż za chwilę przeistoczy się w kulę ognia. Obawiał się, że ktoś żywy może być uwięziony wewnątrz, położył się więc na brzuchu, próbując zobaczyć to, co było tylnym siedzeniem. Szkoda fatygi. Pomiedzy wgniecionym dachem a poszarpaną tapicerką nie było nawet centymetra wolnej przestrzeni.

Kiedy zabrał się do wstawania, z prawej strony dał się słyszeć dźwięk, przypominający podmuch potężnego wichru. Zapaliła się benzyna.

Zerwał się i ruszył biegiem. Za jego plecami rozległa się seria trzasków, a potem potężny huk eksplodującego zbiornika z paliwem. Oddalony o dwadzieścia metrów ksiądz rzucił się na ziemię.

Przez jakiś czas leżał bez ruchu. Jego nerwy nie mogły już znieść niczego więcej. Prawdę mówiąc, płakał. Minęło trochę czasu, zanim pomyślał o zmówieniu modlitwy. W znękanym umyśle księdza katastrofa samochodu przyćmiła dzień Sądu Ostatecznego.

W końcu usiadł. Wrak płonął, ale najgorsze już minęło. Gęsty, czarny dym zasnuwał wszystko, smród płonącej gumy drapał w gardle i wiercił w nosie. Ojciec Faustini wpatrywał się w płomienie.

Osmalony, zgnieciony metal niewiele przypominał pojazd.

Każdy jego mięsień dygotał. Z trudem wstał i przeszedł obok płonącego wraku w stronę nietkniętego skutera, nadal stojącego pośrodku drogi i świadczącego o jego głupocie i odpowiedzialności za tę tragedię.

W oddali nocne niebo wciąż przeszywał słup ognia, który odwrócił jego uwagę. Kolory wciąż były nieziemsko jaskrawe i różnorodne. Mimo to ojciec Faustini musiał zastanowić się, czy to faktycznie może być dzień Sądu Ostatecznego. Szok spowodowany wypadkiem sprawił, że zmienił

zdanie. Nie potrafił wyjaśnić tego zjawiska. Choć musiało istnieć jakieś wytłumaczenie, nie pozostało mu dosyć energii, aby go szukać.

Wsiadł na skuter, zapuścił silnik i pojechał zameldować o tym, co się stało...

Rozdział 4

Sobotnie wieczorne przedstawienie w Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Domingo i Freni śpiewają pełnym głosem przed urzeczoną publicznością wypełniającą salę po brzegi. Scena egzekucji dobiegała punktu kulminacyjnego. Połączeni w rzewnej arii Verdiego O terra, addio, tragiczni kochankowie, Radames i Aida, tulą się do siebie w krypcie, a potężne kamienne płyty, które

mają pogrzebać ich żywcem, opuszczają się centymetr po centymetrze. Poza sceną chór kapłanów i kapłanek śpiewa swoją nieustającą pieśń, a nieszczęsna Amneris modli się za nieśmiertelną duszę Radamcsa. Są w operze chwile, kiedy nikomu nie przeszkadza, jeżeli ludzie kręcą się i poprawiają w fotelach, żeby lepiej dojrzeć scenę albo ulżyć obolałym pośladkom. Ale gdy następuje wzruszający finał Aidy, gdy niewolnica umiera w ramionach Radamesa, a światła powoli gasną, symbolizując w ten sposób zamykanie grobowca, cisza na widowni jest wręcz namacalna - od kanału orkiestry po ostatnie rzędy.

Albo raczej powinna być.

Tego wieczoru na Centralnym Parterze, sektorze najdroższych miejsc w Met, ktoś zakłócił

skupienie. Przez śpiew przebiła się seria elektronicznych bipnięć, sygnał wywołania znacznie głośniejszy niż piśnięcia zegarków, które zawsze słychać w kinach i teatrach. Jakiś barbarzyńca przyniósł do opery pager.

Najbardziej zasłuchani widzowie zignorowali dźwięk, nie chcąc, aby cokolwiek popsło im wieczór. Ale nie wszyscy byli równie wyrozumiali.

-

Jezu Chryste, to nic do wiary! — odezwał się mężczyzna, siedzący w następnym rzędzie, nie bacząc na to, że zwiększa zamieszanie. Inni dołączyli się do protestu, sycząc: - Proszę to wyłączyć! - lub udzielając bardziej dosadnych rad.

Siwowłosa mężczyzna w dwuogniskowych okularach w czarnej oprawie, siedzący w trzecim rzędzie i będący źródłem bipnięć, odsunął na bok połę smokingu, odczepił pager od paska i wcisnął

guzik uciszający urządzenie. Cały incydent trwał nie dłużej niż sześć sekund, ale nie mógł się zdarzyć w bardziej nieodpowiednim momencie.

Kiedy kurtyna opadła i śpiewacy kłaniali się, przyjmując owacje, na Centralnym Parterze niemal tyle samo osób patrzyło na mężczyznę w trzecim rzędzie, co na Placida Dominga. Winowajcę przeszywały pełne nagany spojrzenia. Chociaż starał się je zignorować, klaszcząc energicznie i nie spuszczać wzroku ze sceny, nie mógł oczekiwać wybaczenia ze strony otaczających go oburzonych widzów. Nowojorczyki nie są znani z powściągliwości w wyrażaniu własnego zdania.

-

Wiem, kogo sam bym pochował żywcem.

-

Jakim cudem wpuszczają tu takich palantów?

-

Kupiłem bilet na pieprzoną operę, a nie konferencję biznesową.

Palant, o którym mowa, nadal entuzjastycznie klaskał podczas sześciu czy siedmiu podniesień kurtyny, aż do chwili, gdy na widowni zapaliły się światła. Wtedy odwrócił się do swojej towarzyszki, ciemnowłosej kobiety o oszałamiającym wyglądzie i przynajmniej o dwadzieścia lat młodszej od niego, i spróbował rozpocząć z nią tak ożywioną rozmowę, aby cała reszta Nowego Jorku musiała się zamknąć.

Ale nie wywarło to na niej wrażenia. Dla sąsiadów, którzy wstali i zaczęli wychodzić spomiędzy rzędów, było pewną pociechą, że pani nie zamierza puścić gafy płazem. Jej głos szybko zagłuszył głos mężczyzny, a strzępy awantury zdawały się kołysać kandelabrami:

-

...nigdy nikt mnie tak nie upokorzył i jeżeli myślisz, że po tym wszystkim pójdę z tobą na obiad i będę się pieprzyć, to możesz o tym zapomnieć.

Ktoś zawołał:

-

Brawo, dziewczyno! Skreśl go!

Tak też w końcu zrobiła i przemknęła między rzędami foteli, pozostawiając swojego towarzysza, który patrzył, kręcąc głową. Nie próbował iść za nią. Pozostał na swoim miejscu, rozsądnie pozwalając najpierw wyjść ludziom, których zdenerwował. A kiedy wszyscy opuścili już tę część widowni, ponownie wyjął pager i wpisał szereg cyfr.

Coś pojawiło się na ekranie. Mężczyzna sięgnął do kieszeni na piersi i, nie zwracając na nikogo uwagi, wysunął antenkę na całą długość.

-

Sammy, jeżeli próbowałeś się do mnie dodzwonić, powinieneś wybrać lepszy moment, przyjacielu. - Słuchał odpowiedzi, zagłębiając się w fotelu, ze stopami opartymi o fotel w poprzednim rzędzie. - Do licha. Ze względu na ciebie mam nadzieję, że ta wiadomość w skali Richtera plasuje się w okolicy dziewięć koma dziewięć.

To, co usłyszał Manfred Flexner, wystarczyło, by go wyraźnie zaniepokoić. Zdjął nogi z podpórki.

Pochylił się do przodu, jakby dzięki temu był w stanie lepiej słyszeć. Swobodną ręką przeczesywał włosy.

Sześć minut później, kręcąc głową i starając się zachować spokój, wyszedł z opery na placyk w Lincoln Center. Zacerpnął parę haustów świeżego powietrza. O tej porze nocy pasaż pełen był

futer z soboli i norek. Bywalcy baletu i filharmonii współzawodniczyli z wychodzącymi z opery w wyścigu do taksówek. Na Flexnera czekał po drugiej stronie ulicy szofer w limuzynie, nie miał więc powodu, by się spieszyć, ale nie wybierał się jeszcze do domu.

Przez chwilę patrzył na podświetloną fontannę. Wpół godziny zakłócił przedstawienie w operze, stracił dziewczynę do towarzystwa, a jego akcje na międzynarodowych rynkach spadły o czterdzieści punktów. Musiał się napić.

Następnego dnia rano świat wcale nie był radośniejszy. Patrzył, jak pastylki alkaseltzer pienią się, rozpuszczane w szklance na biurku, i rozmyślał nad tym, co jeszcze go czeka. Manny Flexner zajmował się farmaceutykami.

Farmaceutykami.

A teraz sięgnął po produkt konkurencyjnej firmy. Przez całe życie pracował w nadziei, że pewnego dnia znajdzie rynkowy przebój taki, jak alkaseltzer, który w przewidywalnej przyszłości będzie się dobrze sprzedawał. Jego biografia była tradycyjną historią chłopaka z Lower East Side, który miał głowę do interesów, zarobił nieco zielonych, prowadząc taksówki, przez jakiś czas żył oszczędnie i inwestował zarobki. Kiedy jak większość przedsiębiorców wcześniej zorientował się, że niczego nie osiągnie, polegając na samym sobie i oszczędnościach, wziął pożyczkę z banku, aby kupić udziały w niewielkim przedsiębiorstwie sprzedającym nalepki aptekom. A gdy pojawiły się samoprzylepne naklejki, w porę opanował rynek i zarobił wystarczająco dużo, by pożyczyć jeszcze więcej gotówki i zająć się zaopatrzeniem firm farmaceutycznych. Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte były dobrym czasem dla tej gałęzi przemysłu. Manny Flexner przejął wiele firm w Stanach i, dokonując trafnych zakupów w Europie i Ameryce Południowej, wszedł na rynek międzynarodowy. Jeden z produktów firmy Manflex, lek na anginę o nazwie kaprofix, dobrze się sprzedawał w Ameryce i Europie, stając się źródłem wysokich dochodów.

Ale sprawy przybrały zły obrót. Przemysł farmaceutyczny jest poważnie zaangażowany w opracowanie nowych leków. Przedsiębiorstwa nie są w stanie przetrwać bez rozbudowanych programów badawczych. Na początku lat osiemdziesiątych naukowcy pracujący dla Manflexu opracowali preparat antyhistaminowy potencjalnie nadający się do leczenia wrzodów trawiennych.

Został opatentowany i nadano mu zastrzeżoną nazwę „Fidoxin”. Potencjalny rynek na leki przeciwwrzdowe jest ogromny. W tym czasie dominował w tej dziedzinie tagamet Smitha Kline'a, osiągając sprzedaż o wartości przekraczającej miliard dolarów. Firma Glaxo opracowywała konkurencyjny produkt o nazwie zantac, który w końcowym rozrachunku mógł osiągnąć sprzedaż wyższą niż jakikolwiek lek na świecie. Ale Manny Flexner był na miejscu i przyłączył się do rozgrywki.

Wczesne badania fidoxinu były zachęcające. Manflex poważnie inwestował w próby laboratoryjne i kliniczne, które miały zadowolić federalną komisję, doradzającą Federalnej Agencji do spraw Żywności i Leków, ponieważ żadnego lekarstwa nie można było wprowadzić na rynek bez jej zatwierdzenia. W 1981 roku Manflex zamierzał pokonać konkurentów w walce o rynek dający

miliardowe dochody. I nagle u pacjentów przyjmujących fidoxin wykryto dalekosiężne skutki uboczne. Niemal każde lekarstwo ma jakieś niepożądane oddziaływanie, ale ryzyko uszkodzenia nerek jest nie do przyjęcia. Manny Flexner niechętnie, z oporami, musiał zamknąć projekt, aby ograniczyć straty.

Zbyt wiele postawiono na ten lek. W latach osiemdziesiątych Manny nie chciał już topić zbyt wielu pieniędzy w jakiegokolwiek projekty badawcze. Recesja w 1991 roku uderzyła Manflex silniej niż jego konkurentów. Przede wszystkim dzięki swojemu staremu, sztanदारowemu produktowi, kaprofikowski, firma nadal zaliczała się do dziesięciu najważniejszych w Ameryce, ale spadła z czwartego na siódme miejsce. A może nawet niżej. Manny nie miał ochoty tego sprawdzać.

Dzień dzisiejszy był dotychczas najgorszy. Miał przed sobą „Wall Street Journal”. Przez noc jego akcje znowu spadły na łeb na szyję w Tokio i Londynie. Dlaczego?

-

Nazywają to największym pokazem fajerwerków w historii -powiedział swojemu wiceprezesowi, Michaelowi Leapmanowi, rzucając mu gazetę. - Pożar za dwadzieścia miliardów lirów Płomienie widać było z odległości trzydziestu kilometrów na południe od Mediolanu. Ile to na nasze, Michael?

-

Jakieś dwadzieścia mil.

-

Mówię o lirach, na litość boską.

-

Nie jest tak źle, jak się wydaje. Około siedemnastu milionów zielonych.

-

Nie jest tak źle - powtórzył z ironią Manny. - Cały zakład, jedna czwarta naszego włoskiego holdingu, idzie z dymem i nie jest tak źle.

-

Mamy ubezpieczenie - mruknął Michael Leapman.

-

Ubezpieczenie pokryje koszty budynków i materiałów. Ale były tam przecież laboratoria badawcze. Prowadzili próby z lekiem na depresję. Depresja. Mam nadzieję, że trochę im zostało, bo bardzo tego potrzebuję. Wyniki badań są nie do odtworzenia i rynek o tym wie. Mamy jakieś wiadomości z Włoch? Czy zakłady są całkowicie skasowane?

Leapman skinął głową.

-

Godzinę temu rozmawiałem z Rikiem Villą. Teraz to sterta białego popiołu. - Przeszedł przez pokój do barku i wyjął butelkę whisky. - Mogę ci nalać?

Manny pokręcił głową i wskazał ręką szklankę alkaseltzer.

-

Ale nic masz nic przeciwko temu, że obsłużę siebie? - Michael Leapman, trzydziestosiedmioletni wysoki blondyn miał mniej porywczy charakter niż jego szef. Był na wpół

Szwedem i być może ta szwedzka połowa powstrzymywała go przed napadami złości.

Zaczął pracować w Manfleksie przed pięcioma laty, ale nie dzięki własnym działaniom, lecz dlatego, że Flexner kupił zarządzaną przez niego niewielką firmę w Detroit. Okazało się, że w tym przejęciu był jedynym wartościowym nabytkiem, myślącym twórczo człowiekiem o doskonałych umiejętnościach organizacyjnych. Stosunki między nim a niskim, bezwzględnym szefem dobrze się ułożyły. Nie minął rok, a został zaproszony do zarządu.

-

Czy ktoś zginął? - Manny zadał pytanie tonem człowieka, który tego dnia spodziewa się tylko złych wiadomości.

-

Chyba nie. Siedem osób hospitalizowano, w tym dwóch strażaków. Nawdychali się dymu.

Tak to wygląda.

-

Zagrożenie dla środowiska?

Leapman uniósł brwi. Jego szef nie słynął z sympatii do zielonych.

-

Naraziłoby to nas na prawdziwe kłopoty - wyjaśnił Manny. -Pamiętasz Seveso? Opary dioksyny? Czy to nie było we Włoszech? Ile milionów odszkodowań musieli wydać właściciele?

Leapman nalał sobie solidną porcję szkockiej.

-

Jak dotąd nie meldowano o trujących oparach.

Twarz Manny'ego przybrała łagodniejszy wyraz. Zdjął okulary i przetarł je chusteczką higieniczną, wyjętą z pojemnika z logo Manflex.

-
Damy sobie z tym radę - oświadczył pewnym głosem Leapman. Podnoszenie na duchu było jednym z jego najbardziej pożytecznych talentów. - Oczywiście, będzie bolało. Przez jakiś tydzień albo dwa cena naszych akcji na rynku będzie spadać, ale jesteśmy wystarczająco duzi, aby to przetrzymać. Zakłady w Mediolanie nie przynosiły ogromnych zysków. Rico wciąż przypominał nam, że wymagają modernizacji.

-
Wiem, wiem. Mieliśmy w tym roku wpompować w nich trochę kapitału.

-
Teraz możemy dać pierwszeństwo dwóm zakładom pod Rzymem.

Manny założył okulary i popatrzył uważnie na Leapmana.

-
Nie sądzisz, że powinniśmy odbudować mediolańskie?

-
Przy obecnym klimacie gospodarczym? – Ton jego głosu mówił wszystko. Odbudowa nie wchodzi w grę.

-
Masz rację. Powinniśmy się skupić na tym, co tam mamy. Możemy sprzedać działkę w Mediolanie. - Po rozpatrzeniu tej możliwości Manny wydawał się zadowolony - Teraz chciałbym, żeby ktoś pojechał do Włoch i posprzątał tam. Uporządkował sprawy pracownicze, uratował co się da z tego bałaganu. - Zawahał się, jakby rozważając kandydatury. - Jak myślisz, kto się nada? Czy twoim zdaniem David da sobie radę?

-
David? - Kandydatura wyraźnie zaskoczyła Leapmana. Był święcie przekonany, że zadanie przypadnie jemu.

Mój syn.

-

Oczywiście. - Wiedział, że bez względu na to, co myśli, nie powinien perswadować szefowi zlecenia tej sprawy synowi. Młody David Flexner - młody, ale na pewno już nie chłopczyk -

wyraźnie nie podzielał ojcowskiego entuzjazmu dla świata biznesu, mimo to Manny żywił złudną nadzieję, że w końcu i on wniesie swój wkład. Po czterech latach w szkole biznesu i trzech w zarządzie Manfleksu David powinien być gotów do podjęcia obowiązków. W rzeczywistości całą energię poświęcał na kręcenie filmów amatorskich.

Przed południem na ekranach w dużym biurze, przylegającym do gabinetu Manny'ego, można było dostrzec pewną poprawę w notowaniach grupy. Opierając się na informacjach z giełdy w Tokio i Londynie, Wall Street zareagowała zbyt nerwowo na wiadomość o pożarze. Teraz rynek działał

bardziej rozważnie. Akcje grupy Manflex miały silną tendencję spadkową, ale nie było to jakieś poważne zagrożenie.

Manny zademonstrował pozytywne myślenie, zapraszając syna na lunch w Czterech Porach Roku.

Po dwóch rozwodach mieszkał sam. Formalnie rzecz biorąc. W rzeczywistości miał całe stadko przyjaciółek, które po kolei towarzyszyły mu w czasie obiadów w najlepszych nowojorskich restauracjach, a później spędzały noc w jego domu przy Upper East Side. Wiedział więc, gdzie można dobrze zjeść. Jedzenie musiało być najlepsze z możliwych, aby utrzymać go w należytej kondycji. Miał sześćdziesiąt trzy lata.

Ale lunche były wyłącznie biznesowe.

-

Polecam ci łososia ze słodko-ostrą musztardą. Albo sałatkę z kaczki z wiśniami. Nie, spróbuj łososia. Naprawdę warto. Słyszałeś o pożarze w Mediolanie?

Syn najwyraźniej nie dotarł do biznesowej części gazety, którą dzisiaj czytał. David wyszedł już z okresu młodzięczego buntu. Teraz był dorosłym buntownikiem o sięgających ramion, farbowanych blond włosach. Zdaniem Manny'ego blond włosy nie pasowały do żydowskiego chłopaka. Ciemnozielona sztruksowa marynarka Davida stanowiła ustępstwo na rzecz restauracyjnych zasad. Na zebrania zarządu często przychodził w podkoszulku.

Manny przekazał mu bolesne szczegóły i oznajmił, że zamierza wysłać go do Włoch, aby rozwiązał tam miejscowe problemy.

-

Chcesz, żebym tam pojechał? To może być trudne, tato - zaprotestował natychmiast David.

-
Kiedy?

-
Może dziś wieczór?

David się uśmiechnął. Ujmujący uśmiech to zarazem jego aktywa, jak i pasywa.

-
Chyba nie mówisz poważnie.

-
Absolutnie poważnie. Mam tam dwieście osób bez pracy, związki zawodowe do ugłaskania...

-
No tak, ale..

-
Wnioski o wypłatę ubezpieczenia do wypełnienia i, o ile wiem, czekające nas sprawy sądowe. Takie problemy same się nie rozwiązują, Davidzie.

-
A Rico Villa? Jest na miejscu i mówi w ich języku.

Manny skrzywił się i wzruszył ramionami.

-
Rico nie umiałby zakończyć meczu softballu ligi młodzieżowej.

-
Chcesz, żebym poleciał do Mediolanu i wziął sprawy w swoje ręce?

-
Po prostu masz przekazać tym ludziom fakty, to wszystko. Ich miejsce pracy jest obecnie kupą popiołu. Odbudowa nie ma sensu. Jeżeli ktoś zechce się przenieść do Rzymu, załatw to.

Porozmawiaj z księgowymi o warunkach odpraw dla pracowników. Damy im najlepsze, jakie możemy. Nie jesteśmy potworami.

David westchnął.

-

Tato, nie mogę tutaj wszystkiego rzucić.

Chociaż Manny spodziewał się takiej odpowiedzi, udał zdziwienie.

-

Co chcesz przez to powiedzieć, synu?

-

Mam zobowiązania. Coś ludziom obiecałem. Liczą na mnie.

Manny spojrzał na niego ostro.

-

Czy te zobowiązania są choćby luźno związane z Manfleksem?

David się zaczerwienił.

-

Nie, to projekt filmowy. Mamy harmonogram.

-

Aha.

-

Powiniennem być na planie w zoo w Bronksie.

-

Żeby filmować zwierzęta? Wydawało mi się, że mówiłeś o obietnicach złożonych ludziom.

-

Mówiłem o ekipie.

Kelner podszedł ułamek sekundy wcześniej, zanim Manny zdążył eksplodować. Na czas podejmowania gastronomicznych decyzji ojciec i syn zawarli rozejm. David dyplomatycznie wybrał polecanego przez ojca łososia. Nie powinno to być wielkim poświęceniem. Kiedy znowu zostali sami, Manny zaczął z innej beczki.

-
Najlepsze filmy, jakie widziałem, nakręcono we Włoszech.

-
Oczywiście. Włoskie kino należy do najlepszych. Zawsze takie było. Złodzieje rowerów, Śmierć w Wenecji, Ogród Finzi-Continich.

-
Za garść dolarów.

David zgrabnie przybrał minę sfinksa.

-
Aaa, masz na myśli ten spaghetti western.

Manny skinął głową i oświadczył wspaniałomyślnie:

-
Mógłbyś pokręcić się wśród tych ludzi. Zostań tam kilka tygodni. Posprzątaj w Mediolanie, chłopcze, i będziesz miał wolną rękę. Jedź do Wenecji. Czy to nierozsądna propozycja?

Tego rodzaju altruizm przejawiany przez pracoholika wart był chwili milczącego uznania. I tak też się stało.

W końcu David wyznał.

-
Wiem, że chcesz, abym któregoś dnia zasiadł na twoim miejscu, tato, ale uważam, że powinienem ci powiedzieć jasno, iż ten apteczny biznes śmiertelnie mnie nudzi.

-
Nie mówisz mi nic nowego.

-
Ale ty nie przyjmujesz tego do wiadomości.

-
Ponieważ nie dałeś biznesowi szansy. Posłuchaj, Dave. Przemysł ten stanowi największe wyzwanie. Musisz być liderem w tej grze albo zginiesz. Wszystko sprowadza się do nowych leków i zdobycia

dużego segmentu rynku.

-

To akurat rozumiem - odparł sucho David.

-

Jeden przełom, jeden nowy lek może zmienić całe życie. To mnie kręci.

-

Chciałeś powiedzieć, że może zmienić życie chorego.

-

Oczywiście - stwierdził Manny bez wahania. - Ale to, co jest dobre dla chorych, jest również dobre dla mojego bilansu.

Mrugnął i David musiał się uśmiechnąć. Tak przedstawiona etyka mogła wydawać się mętna, ale szczerości nie sposób było się oprzeć.

-

Zespoły badawcze są jak konie. Chcesz posiadać ich tyle, na ile cię stać. Co jakiś czas któryś przychodzi jako pierwszy. Ale nigdy nie możesz być zadowolony. Kiedy już masz lekarstwo, potrzebujesz zgody rządu, aby je wprowadzić na rynek. - Gdy Manny opowiadał o pracy, oczy mu błyszczały. Ostatnio nie uśmiechał się wiele, ale od czasu do czasu na jego zmęczonej twarzy pojawiał się wyraz człowieka, który kiedyś obstawiał zwycięskie konie, ale teraz chyba utracił tę umiejętność. - Prawa patentowe szybko wygasają i musisz znaleźć coś nowego.

Mam zespoły pracujące na całym świecie. W każdej chwili mogą znaleźć lek na jakąś groźną chorobę.

David pokiwał głową.

-

W zakładach w Mediolanie był dobry dział badawczo-rozwojowy.

-

Wiesz więcej, niż dajesz po sobie poznać - oświadczył z aprobatą Manny.

-

Chyba naprawdę wierzysz, że dam sobie radę.

-
Dlatego cię o to proszę, synu. - Gestem ręki przywołał kelnera od win. Wybrał dobre bordeaux. - Ta historia we Włoszech - ciągnął - dała mi się we znaki. Zawsze wierzyłem, że ktoś tam na górze jest po mojej stronie. Wiesz, o co mi chodzi? Może powinienem pomyśleć o ustąpieniu ze stanowiska.

-
Tato, pleciesz bzdury i sam o tym wiesz. Któż inny mógłby poprowadzić interes? - David wytrzymał przenikliwe spojrzenie ojca. - O nie. To nie moja dziedzina. Nie jestem pewien, czy w to wierzę. Gdyby to była kwestia produkowania lekarstw, żeby pomóc chorym ludziom, nie ma sprawy. Ale obaj wiemy, że nie o to chodzi. To sprawa public relations, bycia w dobrych układach z politykami i bankierami. Myślenia o końcowym wyniku.

-
A w jakim biznesie jest inaczej? Taki jest świat, w którym żyjemy, Davidzie.

-
Tak, ale to nic leki, które pomagają ludziom, przynoszą dochody. Weźmy na przykład artretyzm. Gdybyśmy znaleźli coś, co go uleczy, utracilibyśmy pierwszorzędny rynek. I dlatego opracowujemy specyfiki, które tylko łagodzą bóle. Niewiele różnią się od aspiryny, ale są pięćdziesiąt razy droższe. Ile milionów wydaje się obecnie na „ja też” w leczeniu artretyzmu?

Manny nie odpowiedział, ale z aprobatą skinął głową, słysząc, jak syn posługuje się branżowym żargonem. Lek „ja też” stanowił zapożyczenie, formułę przerobioną tak, by móc obejść prawo patentowe. W leczeniu artretyzmu stosowano ponad trzydzieści zapożyczeń „ja też”.

David zaczynał się złościć.

-
A ile zainwestowano w badania związane z niedokrwistością sierpowatą? Ponieważ występuje głównie w krajach Trzeciego Świata, jej leczenie nie przynosi wielu zysków.

-
W twoim wieku też byłem idealistą - westchnął Manny.

-
A teraz mi powiesz, że żyjesz w realnym świecie, prawda, tato? Dopóki coś takiego jak AIDS nie zmusi cię, żebyś zwrócił na to uwagę, dopóty nie chcesz wiedzieć nic o rzeczywistym świecie. Nie mam zresztą na myśli konkretnie ciebie. Mówię o całym przemyśle.

Daj spokój. Przemysł farmaceutyczny szybko zareagował na AIDS. Wellcome opatentował retrovir w rekordowym czasie.

-

Tak, i zwiększył wartość swoich akcji o dwieście pięćdziesiąt procent.

Manny wzruszył ramionami.

-

To prawa rynku. Wellcome pierwszy wyprodukował cudowny lek.

David rozłożył ręce, dając do zrozumienia, że jego teza została udowodniona.

Podszedł kelner i nalał Manny'emu nieco wina do kieliszka. Manny skinął głową i z chytrym uśmiechem odezwał się do syna:

-

Wiesz więcej, niż dajesz po sobie poznać. Kiedy zostaniesz prezesem, staniesz się bogiem.

Możesz nawet, jeżeli zechcesz, spróbować zaszczepić w przemyśle farmaceutycznym nieco etyki.

David też się uśmiechnął. Po tych wszystkich latach jego ojciec wciąż odznaczał się humorem taksjarza.

-

No, to zamawiamy ci miejsce w wieczornym samolocie do Mediolanu - oznajmił Manny, wyjmując komórkę.

Rozdział 5

Biblioteka Kensington została zbudowana w 1960 roku, ale czytelnia na pierwszym piętrze sprawiała wrażenie urządzonej w czasach królowej Wiktorii: dywan w przygnębiającym oliwkowo-zielonym kolorze, krzesła z tapicerką z ciemnej skóry. Rozmieszczone wszędzie tabliczki ostrzegały, żeby strzec się kieszonkowców, i żądały, aby natychmiast informować personel, jeżeli zauważy się, że ktoś niszczy lub wynosi gazety. Rzeczywiście, zapotrzebowanie na niektóre czasopisma było bardzo duże. „Evening Standard”, który dostarczano wczesnym popołudniem, można było dostać tylko na żądanie - i to nie dlatego, że zawierał jakieś pieprzne treści, ale dlatego że po położeniu na ogólnodostępnych półkach więcej by go nie widziano. Bibliotekarze przy biurku poznawali już facetów o wygłodniałym wzroku, którzy kręcili się tu od drugiej po południu w nadziei, że pierwsi wytropią fantastyczną okazję kupienia używanego samochodu, pewniaka na psie wyścigi czy też pracę.

Peter Diamond - były pracownik ochrony Harrodsa - stał się jednym z poszukujących pracy.

Doczekał się „Standardu” i przesunął kciukiem po kolumnach. Gdyby zainteresowała go któraś z oferowanych posad, popędziłby do najbliższego telefonu. Większość ofert była zredagowana w konwencji przyjacielskiej - „Zadzwoń do Mandy” albo „Połącz się z Trish”. Pozwalały wyobrazić sobie uroczą pracownicę kadr czekającą przy telefonie, aby namówić cię na pracę z pensją podstawową trzydzieści pentyków plus premie i składka emerytalna. Ale jak zwykle dzisiaj w Londynie żadna Mandy ani Trish najwyraźniej nie miała propozycji dla czterdziestoosmioletniego byłego detektywa, któremu nie można było powierzyć patrolowania piętra u Harrodsa.

Zrezygnował. „Standard” donosił o kolejnych problemach ze znalezieniem pracy, zamieszczając na pierwszej stronie nagłówek „Londyńscy bezrobotni zrozpaczeni”. Jeśli nie liczyć opuszczonych ramion Diarnonda, na kensingtońskiej High Street raczej nie dostrzegało się rozpaczy. Młode kobiety z torbami pełnymi zakupów w domu towarowym stały przy krawężniku i usiłowały zatrzymać taksówkę. Ubrani w markowe dresy mężczyźni w średnim wieku biegli w kierunku Holland Park. W Al Galio D'Oro, włoskiej restauracji po drugiej stronie ulicy, pełno było gości, którzy przyszli tam na lunch.

Przez minionych siedem miesięcy Diamond i jego żona Stephanie egzystowali w suterenie przy Addison Road, małej jednokierunkowej uliczce. Pomimo podwójnych szyb i zatyczek do uszu hałas przejeżdżających pojazdów był niemal nie do zniesienia. Suterena znajdowała się w dwupiętrowym, ozdobionym sztukateriami budynku ze spróchniałymi framugami okiennymi i wiecznie brzęczącymi szybami. Naprzeciwko znajdował się kościół świętego Barnaby, wielki, poplamiony smogiem gmach z wieżyczkami na każdym rogu. Nawet bardzo wysilając wyobraźnię, trudno by go było uznać za perłę architektury sakralnej, ale oczyszczenie fasady niewątpliwie poprawiłoby jego wygląd. Ktoś próbował odwrócić uwagę od brudu, malując drzwi agresywnym błękitem oksfordzkim, ale tego z nory Diamondów nie było widać. Spoglądając przez okno, poza wieżami świętego Barnaby mogli dostrzec jedynie najwyższe kondygnacje wielopiętrowych bloków mieszkalnych. W niczym nie przypominało to widoku na georgiańskie Batli, jakim cieszyli się jeszcze rok temu.

Nie chcąc pozostawać w bezczynności, Diamond pomalował ściany i sufit mieszkania farbą emulsyjną, której kolor w tabeli barw nosił nazwę „pierzysnek”. Wyremontował szafki i szuflady, naoliwił wszystkie zawiasy, przeczyścił komin, wymienił uszczelki we wszystkich kranach i zamontował we wszystkich drzwiach nakładki eliminujące przeciągi. Negatywną konsekwencją tego godnego podziwu zapału było to, że raczej nie zasługiwał na miano złotej rączki, w związku z czym oliwa i farba przylepiały się do podeszew butów i były roznoszone po całym mieszkaniu.

Krany kapały gorzej niż przedtem, drzwi otwierały się tylko do połowy, kiedy wiał wiatr, sadza wpadała do saloniku, a kot, szukając bezpiecznego schronienia, przeniósł się do szafki - suszarki do bielizny.

Stephanie Diamond, gdyby tylko mogła, chętnie przyłączyłaby się do kota. Przez dwa poranki w tygodniu pracowała w sklepie „Ocalić Dzieci”, a ostatnio zwiększyła to do czterech poranków - po prostu po to, by znaleźć się poza domem. Aby zniechęcić Petera do majsterkowania, zaczęła przynosić do domu ofiarowane przez ludzi puzzle i zatrudniła męża do ich układania i sprawdzania, czy nie brakuje jakiejś części. Dopiero potem sprzedawano je w sklepie. Nie był to jednak tak dobry

pomysł, jak początkowo uważała. Pewnej nocy obudziła się o czwartej, czując, jak coś wbija się jej w plecy.

-

Co u licha..? - Włączyła nocną lampkę.

Diamond się odwrócił.

-

Wiesz co? To ten kawałek puzzla, którego mi brakowało.

-

Rany boskie, Peter!

-

Masz ochotę na filiżankę herbaty?

Przypomniała sobie, jak smakuje herbata od czasu, kiedy spalił imbryk.

-

Nie, idź spać.

-

Bóg raczy wiedzieć, skąd się tutaj wzięła.

-

Nie zwracaj sobie tym głowy.

-

Nie śpisz, Steph? - zapytał po chwili.

-

Westchnęła.

-

Już nie.

-

Myślałem o tym dziecku.

-

Jakim dziecku?

-

Tej japońskiej dziewczynce, przez którą wyleciałem. Dlaczego ktoś miałby w taki sposób porzucić dziecko? Była ładnie ubrana. Czysta. Na pewno jej nie zaniedbywano.

-

Może uciekła z domu.

-

I pojawiła się na szóstym piętrze u Harrodsa? Nie mogę w to uwierzyć.

-

Łamanie sobie nad tym głowy nic nie pomoże - oznajmiła Stephanie. - Nie jesteś za nią odpowie

-

To prawda.

Milczał przez jakiś czas.

Prawie zasnęła, kiedy odezwał się znowu.

-

Musi być jakiś sposób, żeby trzymać wszystkie kawałki w jednym miejscu.

-

Hm?

-

Układanki. Myślałem, że gdybym miał pomagać w sklepie...

Usiadła na łóżku.

-

Ani się waż!

-
Chciałem powiedzieć, że mógłbym tam układać puzzle i gdyby jakiejś części brakowało, wiedzielibyśmy przynajmniej, że jest w sklepie.

-
Jeżeli postawisz nogę w tym sklepie, opuścisz go na noszach, kiedy z tobą skończę, Peterze Diamond.
- Było to odważne stwierdzenie, jeśli wziąć pod uwagę, że ważyła około czterdziestu pięciu kilogramów, on zaś sto piętnaście, ale wiedziała, jakiego spustoszenia może narobić nieumyślnie w panującym tam bałaganie. Kiedy wychodziła za niego za mąż, już знаła jego skłonność do wypadków. Miał kiepską koordynację ruchów. Niektórzy tędzy ludzie potrafią poruszać się z wdziękiem, ale jej mąż do nich nie należał. Przewracał przedmioty. Na ulicy nie zauważał krawężników. Pułapki, takie jak psie kupy, zdawały się same go szukać.

-
Starzenie się wcale mi się nie podoba - oznajmił rano podczas śniadania.

-
Podpuszczasz mnie? - zapytała Stephanie.

Wzruszył ramionami.

-
No dobra, powiem ci. Nie jesteś wcale taki stary.

-
Najwyraźniej za stary do pracy.

-
Przestań, Pete.

-
Powinnaś ich zobaczyć, jak stoją w kolejce po zasiłek dla bezrobotnych. To mężczyźni młodszy ode mnie, a niektórzy o wiele młodszy. Dzieciaki prosto ze szkoły.

Nałożyła mu na talerz stertę smażonego boczku.

-
Mogło być gorzej.

-
Chcesz powiedzieć, że jeden z tych bezrobotnych dzieciaków mógłby być nasz...

Odwróciła głowę, on zaś skarcił się w duchu za gruboskórność. W pierwszym małżeństwie, z kierownikiem sklepu, Steph trzykrotnie poroniła. Kolejne dziecko straciła po wyjściu za Diamonda.

Tym razem pojawiły się komplikacje, które ostatecznie rozwiązano, usuwając macicę. Na początku lat siedemdziesiątych zabieg chirurgiczny był lekiem na wszystko. Straciła macicę, ale nie pragnienie macierzyństwa.

Zanim ją poznał, przewodziła dziewczęcemu zastępowi zuchów. Zajmowała się tym przez wiele lat i robiła o wiele więcej niż wymagał Baden-Powell. Zawsze chciała być zastępczą mamą małych dziewczynek zaniebawianych przez rodziców. Teraz wszystkie były już dorosłe, a mimo to korespondowała z niektórymi.

Położył rękę na jej dłoni.

-
Przepraszam za zeszłą noc, kochanie.

Uniosła ze zdziwieniem brwi.

-
Zeszłą noc?

-
W łóżku.

Nadal patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

-
No, ten fragment puzzla...

-
A to! - roześmiała się. - Zapomniałam o tym. Myślałam, że mówisz o czymś zupełnie innym. To bez sensu.

Po ponad tygodniu zachmurzonego nieba i deszczu następny dzień był piękny, zamiast więc znowu stanąć w kolejce do biblioteki, poszedł do kiosku, zafundował sobie własny egzemplarz „Evening Standard” i powędrował do Holland Park, żeby przeczytać gazetę. Kiedy przekonał się, że na stronie z ofertami pracy nic go nie interesuje, odłożył pismo na bok i przez jakiś czas wygrzewał

się w słońcu na jednej z drewnianych ławek koło Oranżerii, przyglądając się przechodniom spacerującym z psami i kobietom pchającym wózki wzdłuż sklepionego łukowato krużganku.

Wszyscy poza nim mieli coś ze sobą, jakieś widoczne uzasadnienie przebywania w parku. Model samolotu, raketę tenisową, aparat fotograficzny, kijek z kolcem do zbierania śmieci.

Wstał energicznie. Do diabła, nie będzie siedział beczynnym. Przypomniawszy sobie, że ma pilne zadanie do wykonania. W nocy na świeżo wymalowanym suficie w kuchni pojawiło się kilka pęcherzy. Stephanie nic nie powiedziała, ale Diamond był pewien, że je zauważyła. Postanowił

sprawdzić, czy może zlikwidować je papierem ściernym.

W domu postanowił zadbać o porządek. Pod tą częścią sufitu, którą miał zamiar oczyścić, rozłożył płachtę „Evening Standard”. Dopiero potem stanął na kuchennym krześle i zbadał podejrzane miejsce. Były tam dwa pęcherze o rozmiarach landrynki. Nie ma wątpliwości - trzeba je usunąć.

Nacisnął jeden z nich paznokciem. Farba była sucha i podrapał ją mocniej na próbę. Była elastyczna jak plastik. Podważył ją mocniej paznokciem i nagle solidny fragment warstwy farby oderwał się od sufitu i jak welon panny młodej opadł mu na głowę i ramiona.

Zaklął, zszedł z krzesła, zdjął z siebie farbę i zbadał szkody. Tu już nie wystarczyło przetarcie papierem ściernym. Trzeba oskrobać cały sufit i pomalować go jeszcze raz. Co gorsza, przed położeniem farby będzie musiał go umyć. Nawet dla laika było oczywiste, że przed położeniem pierwszej warstwy należało usunąć tłuszcz i brud nagromadzony przez wiele lat gotowania.

Emulsja nie przylgnęła do podłoża. Chcąc szybko wykonać pracę, zmarnował całą puszkę farby. Za kilka godzin Stephanie wróci ze sklepu i znowu zobaczy, że nie może wejść do kuchni.

Z rezygnacją pogodził się z koniecznością przeprowadzenia dużego remontu i zerwał pozostałą warstwę emulsji. Wielkie kawały farby spadały na meble, naczynia, stół i krzesła. Kiedy skończył skrobanie, postawił czajnik na gazie. Przed myciem sufitu zasłużył na przerwę.

Ale nie umył sufitu ani go nie pomalował. Pojawiło się coś ważniejszego.

Kiedy Stephanie wróciła do domu, kuchnia wyglądała jak miejsce katastrofy. Płachty wyschniętej emulsji zwieszały się z wszystkiego, sufit wyglądał równie koszmarnie, jak w dniu, w którym się wprowadzili, gazety i papier ścierny poniewierały się na podłodze, a na stole stał opróżniony do połowy kubek z zimną herbatą. Diamonda nie było. Wrócił do domu około siódmej, przepaszając gorąco.

-

Miałem ciekawe popołudnie, Steph.

-

Na to wygląda.

Opowiedział jej przygodę z farbą.

-

A kiedy już zdjąłem ją z sufitu, zrobiłem sobie herbatę. Po tym co się stało, czułem się paskudnie. Kiedy piłem, przypadkiem wziąłem stronę „Standardu”, który rozłożyłem na podłodze, żeby się nie ubrudziła. Widzisz?

-

Nigdy bym nie zgadła.

-

Chciałem zająć się przez chwilę czymś innym, coś przeczytać i...

-

Znalazłeś pracę? Pete! - Odwróciła się do niego, rozkładając szeroko ramiona.

-

Pracę? Nie.

Opuściła ręce.

-

No to co?

-

Przecież ci mówiłem. Wziąłem gazetę i zobaczyłem to.

Podał jej fragment strony.

Przeczytała:

„Po tajemniczą dziewczynkę wciąż nikt się nie zgłosił

Mała dziewczynka, znaleziona przed pięcioma tygodniami w Harrodsie, gdzie wywołała alarm antyterrorystyczny, wciąż nie została rozpoznana i nikt się po nią nic zgłosił. Dziecko, prawdopodobnie Japonka w wieku około siedmiu lat, nie może albo nie chce mówić. Kampania medialna, która miała doprowadzić do odnalezienia rodziców dziewczynki, dotąd nie przyniosła rezultatów pomimo prowadzonych na szeroką skalę wywiadów wśród społeczności japońskiej.

Obecnie dziecko znajduje się pod opieką wydziału opieki społecznej dzielnicy Kensington i Chelsea. Rzecznik prasowy wydziału oświadczył: »Zupełnie nie możemy zrozumieć, dlaczego do tej pory nikt się po nią nie zgłosił«.

-

Biedna mała - powiedziała Stephanie, gotowa zawsze machnąć ręką na własne kłopoty, by uzalić się nad dzieckiem. - Musi być przerażona. Najpierw policja, a teraz opieka społeczna. Nie dziwię się, że milczy.

-

W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym spróbował jej pomóc? - spytał

Diamond.

Spojrzała na niego nieufnie.

-

A jeżeli będę, czy to coś zmieni?

-

Dowiedziałem się, gdzie ją trzymają.

Stephanie zmarszczyła brwi, popatrzyła na niego i w końcu wyraz jej twarzy złagodniał.

-

A więc dlatego rzuciłeś wszystko i wyszedłeś? Żeby zobaczyć tę dziewczynkę. Peter, w głębi duszy jesteś po prostu mięczakiem.

-

Mięczakiem? Nazywasz byłego glinę mięczakiem?

-

Zawsze miałeś czas dla dzieci - upierała się. - Kto w ubiegłym roku wystąpił jako Święty Mikołaj?

-

To była praca. A porzucone dziecko jest wyzwaniem, Steph. Szansą, aby robić to, do czego zostałem przeszkolony, zamiast stać na krześle i myć sufit - ale zrobię i to, słowo daję. Pamiętaj, mam doświadczenie. Byłem cholernie dobrym detektywem.

-

O złotym sercu.

Zaprotestował, wznosząc wzrok ku górze - i zobaczył tłuste plamy na suficie.

-

Próbowałem dowiedzieć się czegoś w ratuszu, ale nie chcieli mi udzielić informacji. Nie mam o to pretensji. Mógłbym się okazać zbrodźcą czy kimś w tym rodzaju. Mieli prawo pokazać mi drzwi.

Poszedłem na policję, powiedziałem im, że pracowałem kiedyś w wydziale kryminalnym, i dostałem adres jakiegoś ośrodka opiekuńczego. Kiedy tam dotarłem, dowiedziałem się oczywiście, że dziecko przeniesiono. Musiałem się zmienić w cholernego Sherlocka Holmesa, żeby ją wytropić. Skierowali mnie do psychiatry dziecięcego, który nic mi nie pomógł, ale jego sekretarka zlitowała się i dała mi adres szkoły specjalnej w Earls Court.

-

Szkoły specjalnej? - zapytała z powątpiewaniem w głosie Stephanie. - Takiej dla dzieci opóźnionych umysłowo?

Kiwnął głową.

-

Jest opóźniona w rozwoju?

-

Nikt tego nie stwierdził, ale tam ją wysłali.

-

W takim razie uznali, że jest. Co to za miejsce?

-

Szkoła z internatem. Nie dotarłem tam dziś po południu, ale mam zamiar spróbować jutro.

Najwidoczniej jeszcze się nie poddali. Do szkoły przychodzi japońska nauczycielka i próbuje skłonić ją do mówienia. Jak dotąd nie odniosła sukcesu.

Zmarszczyła brwi.

-

Jeżeli nikomu się nie udało, to jak ty możesz coś zrobić? Nie mówisz po japońsku.

-

Nie zamierzam próbować. Być może wszyscy są zbyt zaabsorbowani sprawą mówienia. Ja mam zamiar wypróbować inną linię postępowania.

-

Na przykład jaką?

Nie chciał jej tego powiedzieć.

-

Najpierw będę musiał zdobyć jej zaufanie. Mam na to czas, Steph. Po raz pierwszy w życiu nikt mnie nie popędza.

-

Cóż... - Stephanie spojrzała w górę.

-

Nic nie mów. Wyszoruję ten cholerny sufit dziś w nocy.

Rozdział 6

Diamond nauczył się w policji jednej pożytecznej rzeczy. Każdy człowiek, zachowując się władczo i stanowczo, zostanie wpuszczony wszędzie, być może z wyjątkiem Downing Street 10. Dom dziecka mieścił się w położonym na uboczu wiktoriańskim budynku, za pawilonem ekspozycyjnym Earls Court. Stolarka okienna wymagała wymiany, a w miejscach, gdzie pod wpływem wiatru i deszczu odpadł tynk, widać było gołe cegły. Miejscowe władze miały pilniejsze wydatki.

Przycisnął dzwonek, drzwi otworzyła kobieta w fartuchu. Uchylił melonika z lat czterdziestych, który nadal nosił, składając w ten sposób prywatny hołd wielkim detektywom przeszłości, i powiedział:

-

Dzień dobry. Zapewne mam przyjemność z panią...

-

Straw.

-

Pani Straw, pani Straw... - rzekł z namysłem, jakby zastanawiając się, czy rozmówczyni kwalifikuje się, by przyznać jej dożywotnie wakacje na Karaibach.

Czekała, zaintrygowana.

-
Czy pani jest kierowniczką szkoły?

-
Nie - odparła, dotykając fartucha. - Jestem opiekunką generalną.

-
Generalną! Generał Opieka! - Zrobił gest, jakby chciał zaszalutować.

Nie uśmiechnęła się.

-
Zapewne chce pan rozmawiać z panną Musgrave.

-
Z panną Musgrave. Oczywiście! - Ruszył do przodu, zmuszając kobietę, by odsunęła się na bok. - Generale Opieko, Peter Diamond melduje się na rozmowę z panną Musgrave.

Udało się jej wykrztusić:

-
Jest pan umówiony... - Jeżeli chciała, by zabrzmiało to jak pytanie, jej starania udaremnił

szeroki, rozbrajający uśmiech Diamonda. W rezultacie pani Straw zakończyła wypowiedź, zmieniając zdanie pytające w oznajmujące. Dodała: - Panna Musgrave jest bardzo zajęta.

-
Jakbym o tym nie wiedział! - oświadczył Diamond.

-
Zna pan pannę Musgrave? - odparła z ulgą.

Wzruszył ramionami jak Francuz i ten gest mógł oznaczać wszystko i nic.

-
Sądzę, że mnie przyjmie. - Był już w holu i pani Straw zamykała za nim drzwi. Z głębi domu dobiegały okrzyki dzieci. - Nie jest w klasie, prawda?

Jeżeli zechce pan poczekać, powiem jej, że pan przyszedł.

W tej samej chwili w drzwiach w połowie korytarza pojawiła się czyjaś twarz. Diamond zawołał:

-

Tu pani jest, panno Musgrave!

Nie był to strzał w ciemno. Kobieta stojąca w drzwiach oceniała go z miną osoby sprawującej tu władzę.

-

Peter Diamond - przedstawił się, podchodząc z wyciągniętą dłonią. Człowieka o jego gabarytach niełatwo jest zatrzymać. - Pani Straw uprzedziła mnie, że jest pani bardzo zajęta, ale może zdołałaby mi pani poświęcić minutę. Niczego nie sprzedaję.

Panna Musgrave musiała mieć nieco ponad trzydzieści lat, była wysoka, z jasnymi włosami uczesnymi w niewielki koński ogon i przewiązany czarną wstążką. Nie od razu uścisnęła wyciągniętą ku niej dłoń.

-

O co chodzi? - zapytała.

Uśmiechnął się promiennie.

-

O jedno z dzieci, tę japońską dziewczynkę. Może będę w stanie coś pomóc.

-

Proszę wejść.

Jej gabinet najwyraźniej pełnił jednocześnie rolę klasy. Stały w nim trzy komplety dziecięcych krzeseł i stołów. Na biurku leżał rząd malowanych masek, wykonanych z pojemników na jajka.

Podłoga była pochłapana farbami. Na szafie na dokumenty siedziała cała menażeria pluszowych zwierzątek. Do ścian przyklejono taśmą rysunki - dobre, takie sobie i kiepskie. Pokój sprawił na Diamondzie sympatyczne wrażenie. Ponieważ nie było tu krzeseł dla dorosłych osób, przycupnął na płaskim wieku drewnianej skrzyni, która, jak ocenił, wytrzyma jego ciężar.

Panna Musgrave zapytała, czy napiłby się kawy. Na jej biurku stała pełna filiżanka.

-

Nie, dziękuję. Naprawdę nie mam zamiaru pani przeszkadzać.

-

Uznał, że w tym momencie rozsądnym posunięciem będzie zdać się na jej łaskę. - Swego czasu pracowałem w policji jako nadkomisarz. Pracowałem. Muszę wyraźnie stwierdzić, że jestem tu jako osoba prywatna. - Wyjaśnił jej, jak stracił pracę u Harrodsa. - Widziałem wtedy dziewczynkę i jestem zbulwersowany że po - ile to? - sześciu tygodniach nie odnaleziono jej bliskich.

-

Jestem pewna, że policja robi wszystko, co w jej mocy - stwierdziła panna Musgrave.

-

Nie mam wątpliwości.

-

Tymczasem staramy się troszczyć o nią jak najlepiej. Dziecko wymaga specjalistycznej opieki. To moja dziedzina, panie Diamond.

-

Brzmiało to tak, jakby się broniła, ale mimo wszystko panowała nad sytuacją. Pełne rezerwy spojrzenia, jakie wciąż kierowała w stronę Diamonda, świadczyły, że nie bardzo podoba jej się taktyka walca, jaką zastosował, by dostać się do środka.

-

Jak sądzę, nie ułatwia sprawy fakt, że dziecko nie mówi - starał się skierować rozmowę w odpowiednim kierunku.

-

Mamy tu do czynienia z różnymi problemami.

-

I ograniczonymi środkami.

-

Jeżeli sugeruje pan, panie Diamond, że nie poświęcamy Naomi takiej uwagi, na jaką zasługuje jej trudna sytuacja, to jest pan w błędzie. Poddano ją niezwykle drobiazgowym testom i przeprowadzono rozległy wywiad środowiskowy.

-
Naomi. Poznała pani jej imię?

Panna Musgrave pokręciła głową.

-
Jakoś musieliśmy ją nazwać. Zasugerował je pracownik ambasady japońskiej, ponieważ jest to imię wspólne dla nas i dla nich.

-
Naomi. To japońskie imię? Myślałem, że pochodzi ze Starego Testamentu.

Hosanna! Opłaciło się śpiewać w dzieciństwie w chórze kościelnym. Wyraz twarzy panny Musgrave złagodniał nieco. Człowiek, który zna Biblię, nie mógł być do końca zły.

-
Po co konkretnie pan tu przyszedł, panie Diamond?

-
Aby pomóc dziewczynce znaleźć jej bliskich.

-
Ooo... A jak ma pan zamiar dokonać tego, co nie udało się nikomu innemu?

-
Występując tu w roli Sherlocka Holmesa - z tą tylko różnicą, że za darmo.

-
To bardzo piękne, ale nie wiem, co powie na to policja.

-
Policja płynie ściekiem pod prąd bez wiosła, jak mawiał Sherlock Holmes do doktora Watsona.

Dotknęła palcami ust, być może, jak podejrzewał Diamond, by ukryć uśmiech.

Wskazał filiżankę na jej biurku.

-

Kawa pani stygnie.

Opuściła dłoń i zobaczył, że rzeczywiście się uśmiecha.

-

To bovril*. Czy to próba umiejętności detektywistycznych?

* Gęsty ekstrakt bulionu wołowego używany do sporządzenia błyskawicznego rosółu wołowego, doprawiania zup i sosów, smarowania chleba (przyp. tłum.).

Ułożył palce w kształt pistoletu i przyłożył je do skroni.

-

Naomi nie może odpowiadać na pytania, nie sądzę więc, by mógł pan coś zdziałać - stwierdziła już poważnie panna Musgrave.

-

Mogę obserwować.

-

I wyciągać wnioski? - spojrzała na niego drwiąco.

-

Musi pani przyznać, że dziecko potrzebuje pomocy.

Był to istotny argument dla panny Musgrave. Wypiła duży łyk bovrilu.

-

Jeżeli mówi pan poważnie, proszę wrócić dziś o drugiej po południu. Będę prowadziła zajęcia z dziećmi autystycznymi. W tym pokoju. Może pan przyjść i zobaczyć, jak to wygląda. Być może zrozumie pan wtedy, na czym polega trudność.

Tuż przy drzwiach ustawiono dla Diamonda normalne krzesło. Niemożliwe, aby w tak małym pomieszczeniu człowiek o jego gabarytach nie rzucił się w oczy, ale pannie Musgrave to nie przeszkadzało, a dzieci ledwie na niego spoglądały. Przyprowadziły je pani Straw i jakaś inna kobieta sprawiająca wrażenie, że z ogromną ulgą przekazuje je w czyjeś ręce.

Jedno z nich, chłopiec, krzyczało, ale raczej z wściekłości niż z bólu. Po wejściu do pokoju mały uciekł od pani Straw, podbiegł do biblioteczki, zrzucił z dolnej półki książki, wcisnął się w opróżnioną, niewielką przestrzeń i nadal wrzeszczał.

-
To Clive - wyjaśniła panna Musgrave, przekrzykując hałas. Nie próbowała włożyć książek na miejsce ani uspokoić Clive'a. - A to Rajinder.

Rajinder poruszał się nierównymi, sprężystymi krokami. Obie ręce miał ugięte w łokciach, wiotkie nadgarstki i opuszczone luźno dłonie. Podeszedł do jednego z krzesełek i usiadł na nim, kołysząc się jakby w rytm wrzasków Clive'a.

-
No, wchodźcie. - Druga nauczycielka ponagliła resztę dzieci, które nie bez powodu wydawały się nie mieć na to ochoty. - Tabitha, Naomi, nie możemy czekać na was cały dzień. -

Położyła dłoń na karku jednej z dziewczynek i lekko popchnęła ją do środka. To zapewne Tabitha, blada blondyneczka sprawiająca wrażenie przestraszonej siedmiolatki. Miała grube, plastikowe okulary, umocowane elastyczną taśmą z tyłu głowy - jak u tenisistów. Zrobiła zaledwie krok, kiedy panna Musgrave oświadczyła drugiej nauczycielce: - Trzeba ją przebrać. Mogę prosić?

Tabithę wyprowadzono i jej miejsce zajęła Naomi. Tamtej nocy w Harrodsie Diamond widział ją zaledwie przez chwilę i pamiętał, jak nie reagowała na nic w otoczeniu ochroniarzy. Tego ranka miała identyczny, beznamiętny wyraz twarzy, jakby nie widziała nikogo. Najwyraźniej istniał

poziom, na którym jej umysł pracował sprawnie, ponieważ poruszała się normalnie - podeszła do krzesła i usiadła. Była opanowana, nie zwracała uwagi na wrzaski Clive'a, kołysanie się Rajindera czy też obecność dorosłych. Była ubrana w czerwoną, sztruksową sukienkę, czarne rajstopy i adidasy, a ktoś przewiązał jej włosy białą wstążką.

-
Jeżeli jej pozwolę, będzie tak siedzieć przez cały czas - powiedziała panna Musgrave. -

Mogę jakoś dotrzeć do innych. Na pozór robią wrażenie bardziej niezrównoważonych psychicznie od Naomi, ale do niej nie ma żadnego dostępu i nie jest to tylko kwestia języka. To musi być jakaś forma autyzmu.

Diamond widział program telewizyjny o dzieciach autystycznych. Pod względem fizycznym sprawiały wrażenie normalnych, ale jednocześnie w jakiś nieuchwytny sposób zamkniętych w swoim wewnętrznym świecie. Demonstrowały najrozmaitsze zachowania - awanturowały się, robiły miny, unikały jakiegokolwiek kontaktu z innymi, okazywały niewłaściwe reakcje emocjonalne, na przykład śmiejąc się, gdy komuś działa się krzywda, i w nielicznych przypadkach przejawiały niezwykłą pamięć, która pozwalała im zagrać melodię słyszaną tylko raz, albo sporządzać skomplikowane rysunki oglądanych przez chwilę sytuacji i budynków. Zapamiętał, że istniały kontrowersje co do postępowania z osobami autystycznymi. Widział poruszający film, jak matki siłą tulą do siebie broniące się przed tym dzieci, aż do chwili gdy przestawały stawiać opór.

Czasami trwało to godzinami. W niektórych wypadkach wyniki były obiecujące.

Panna Musgrave zamknęła drzwi i podała wyjącemu Clive'owi ołówek i blok rysunkowy. Diamond ze zdumieniem zobaczył, jak chłopiec bierze je, milknie i nadal skulony na półce biblioteczki zaczyna coś pisać czy rysować. Rajinder również dał się namówić do wzięcia bloku, chociaż trzeba mu było cierpliwie wytłumaczyć, czego się od niego oczekuje.

-

A teraz zobaczymy, jak będzie z Naomi. - Panna Musgrave podała jej ołówek. Dziewczynka patrzyła przed siebie i nie zrobiła żadnego ruchu. Panna Musgrave delikatnie ujęła prawą dłoń dziewczynki i włożyła jej ołówek między paluszki.

-

Nie chcę się wtrącać - powiedział Diamond - ale czy Japończycy nie trzymają ołówka w taki sposób? - Wyjął z kieszeni pióro i zademonstrował. - Chyba trzymają je pionowo.

Pierwszą reakcją panny Musgrave było lodowate spojrzenie. Potem jednak uznała wagę tej informacji.

Dziewczynka pozwoliła na zmianę ułożenia palców. Panna Musgrave położyła przed Naomi czysty arkusz papieru, stanęła za nią i prowadząc ołówek, narysowała znaczek. - A teraz udowodnij, że się całkowicie mylę, Naomi i narysuj obrazek.

Ale Naomi nie patrzyła na papier. Kiedy tylko panna Musgrave się cofnęła, dłoń dziewczynki znieruchomiała.

-

Miałam już do czynienia z niemowami - stwierdziła panna Musgrave - i zazwyczaj udaje się ich namówić do użycia ołówka.

-

Jest niemową?

-

W każdym razie nie mówi. Nie jest głucha. Kiedy się ją jakoś zaskoczy, wydaje ciche dźwięki.

-

To już coś.

-

Niektórzy autystycy nie są w stanie nauczyć się mówić.

Rajinder chyba potraktował to jako wyzwanie i powtarzał raz za razem: „Proszę pani”, dopóki panna Musgrave nie obejrzała jego rysunku, pochwaliła go i dała mu nowe arkusze papieru. Od strony biblioteczki dobiegł nowy dźwięk. Clive znudził się papierami, wyjął z kieszeni samochodzik, i przyglądając się mu ze skupieniem, obracał kółka palcem.

-

Jeżeli mu się na to pozwoli, będzie się tym zajmował do końca lekcji. To jest działanie obsesyjne. Clive doskonale pasuje do stereotypu autystycznego dziecka - oświadczyła panna Musgrave.

-

To znaczy?

-

Unika towarzystwa innych. Nie nawiązuje kontaktu wzrokowego. Nie pozwala się przytulić. Jeżeli uważa, że narusza się jego prywatność, urządza awantury.

-

Czy Naomi też się tak zachowuje?

-

Jest wyobcowana. Niemówienie jest tego objawem.

-

Próbowała ją pani przytulić?

-

Przyjmuje to obojętnie. Jest bierna. Kolejny rodzaj nieprawidłowości spotykany u tych dzieci.

-

Czy Rajinder i Tabitha też są autystyczne?

-

Tak.

-

Czy Clive mówi?

Skinęła głową.

-
Ale ma skłonność do powtarzania jak papuga.

-
Czy w ogóle robi jakieś postępy?

-
Niewielkie. Niech pan posłucha, jeżeli chce pan nawiązać kontakt z Naomi, proszę się nie krępować.

Propozycja była kusząca, ale dobrze wiedział, że nie powinien jej przyjmować. Przy pierwszym spotkaniu człowiek o jego rozmiarach przeraziłby każde dziecko, próbując się do niego zbliżyć.

-
Na tym etapie - odparł szczerze - wolę raczej działać przez panią. Taki jest mój plan na dzień dzisiejszy.

Zesztywniała.

-
Czego pan właściwie chce?

-
Chcę panią przekonać, że nie będę sprawiał kłopotów. Chcę przyjść tu znowu. I znowu.

Mogę siedzieć i obserwować albo pomagać w jakiś sposób, ale chcę tu być. Nie łudzę się, że mogę uczynić cud dla Naomi. Mam przeczucie, że jeżeli w ogóle da mi jakieś wskazówki, będzie to powolny proces. Zgodzi się pani, że będę tu przychodził regularnie?

Nie odpowiedziała od razu. Poszła, żeby zająć się Clive'em, który zaczął wrzeszczeć, gdy się zbliżyła. Przez chwilę walczyła z nim o samochodzik. Ugryzł ją, krzyknęła z bólu.

-
Gdybym tego nie zrobiła - wyjaśniła Diamondowi - cała lekcja byłaby zmarnowana. Puścisz go wreszcie? - Wyrwała zabawkę Clive'owi, chłopiec zawył przeraźliwie. - Dostaniesz go z powrotem. A teraz narysuj samochód. Samochód.

Dziecko uspokajało się stopniowo i w końcu wzięło ołówek.

Panna Musgrave wróciła do Diamonda, rozmasowując dłoń.

-

Zanim odpowiem na pańską propozycję, czy zechce mi pan powiedzieć coś o sobie?

-

Co tylko pani sobie życzy.

-

A więc dobrze. Dlaczego przestał pan pracować w policji?

Zawahał się.

-

Zrezygnowałem. Puścili mi nerwy w obecności zastępcy naczelnika komendy.

-

O co poszło?

-

O chłopaka. Dwunastolatka. Oskarżono mnie, że uderzałem jego głową w ścianę.

Wytrzeszczyła oczy, a po krótkim milczeniu stwierdziła:

-

Przynajmniej jest pan szczery.

-

Tak - powiedział. - Chyba nie jestem odpowiednią osobą, żeby zapraszać mnie tu ponownie.

Proszę o wszystkim zapomnieć. - Wziął do ręki melonik.

-

Niech pan siada, panie Diamond - oznajmiła zdecydowanie. -Czy pan to zrobił?

-

Co?

-

Uderzył pan tego chłopaka?

-
Nie, ale teraz to bez znaczenia. Rzucił się na mnie, a ja go odepchnąłem. Uderzył głową o ścianę. Nie uwierzono mi i powiedziałem kilka słów, których będę żałował do końca życia.

-
Ma pan dzieci?

Pokręcił głową.

-
Jest pan żonaty?

-
Tak.

-
Ale pan je lubi?

-
Dzieci? - Skinął głową.

Wyciągnęła do niego rękę.

-
Mam na imię Julia.

Rozdział 7

Masz jakiś pomysł, jak do tego doszło?

David Flexner patrzył na dwa poczerńiałe słupy sterczące nad gruzami tego, co kiedyś było mediolańskimi zakładami Manflex Italia. Straszliwy żar stopił słupy, tworząc z nich surowe kształty, przypominające obrazy Dalego umieszczone w szarym, uformowanym z popiołów krajobrazie. A nad tym widać było idealne, bezchmurne niebo. Ze zdziwieniem zorientował się, że myśli: Cóż za wspaniały plan filmowy.

Przywiózł go tu dyrektor fabryki Rico Villa. Garnitur od Zegny i buty od D'Anziniego nie najlepiej nadawały się do chodzenia wśród popiołów. Rico zawsze ubierał się jak przystało na członka wyższego kierownictwa, ale luzacki David w białych dzinsach, czarnym podkoszulku i wypłowiałych czerwonych tenisówkach uważał go za pokrewną duszę, jednego z niewielu podwładnych ojca, z

którym chętnie poszedłby na drinka.

-

Przypuszczam, że to awaria instalacji elektrycznej - odparł Rico. - Czyż nie to najczęściej powoduje pożar?

-

Albo niedopałek.

-

Nie pozwalam tu palić.

To, że Rico wśród wypalonych ruin użył czasu teraźniejszego, rozbawiło Davida. Musiał odwrócić głowę, aby dyrektor nie zauważył jego uśmiechu.

-

Palacze zawsze znajdują sobie jakieś miejsce.

-

To prawda, ale kiedy wybuchł pożar, sobotnia zmiana już zakończyła pracę. W zakładach było tylko dwóch ochroniarzy.

-

Od zaproszenia ognia do wybuchu pożaru mogło minąć trochę czasu - zwrócił uwagę David i dodał nieco bardziej taktownie: - Jak sądzę, straż pożarna przygotowuje raport.

-

Straż i śledczy z ubezpieczeń - odparł Rico. - Chłopcy z Prima Roma Assurance przyjechali następnego dnia, żeby zobaczyć, co mogliby ustalić.

-

Są już jakieś teorie?

-

Nikt nic nie chce powiedzieć.

-

A co z podpaleniem? Może ktoś, kto miał jakąś urazę do firmy?

-
Podpalenie?

-
Czy zwolniono kogoś w czasie ostatniego półrocza?

Rico był wyraźnie wstrząśnięty. Zakrył dłonią usta, jakby nie chcąc potwierdzić takiej możliwości.

-
Jakieś pięć, sześć osób. Za opuszczenie pracy i drobne kradzieże. Dokumentacja kadr także poszła z dymem. Nie mamy już adresów pracowników.

-
Czy to znaczy, że komputer nie przekazywał danych do naszego biura w Rzymie?

-
Niektóre pliki tak. Ale nie personalne. Byłoby to złamanie prawa o ochronie danych osobowych.

-
A zatem musimy polegać tylko na pamięci. Jak tam z twoją?

Rico zrobił gest przeczenia.

-
Sprawdźmy więc pamięć pracowników kadr. Niech sporządzą listę wszystkich zwolnionych, których zapamiętali, a także tych, którzy mieli powód, żeby nie lubić firmy.

-
Dopilnuję tego.

-
Świetnie. - David rozejrzał się po otaczających ich ruinach. - To musiał być cholerny pożar.

Gdzie w tym szmelcu było twoje biuro?

-
Na prawo, jakieś czterdzieści metrów od ciebie - odparł ponuro Rico. - Nikt by nie zgadł.

-
Straciłeś coś osobistego?

Rico wzruszył ramionami.

-
Moje dyplomy. Wisiały w ramach na ścianie. Świadcstwo członkostwa w Instytucie Farmacji i tak dalej. Można je odtworzyć. I trochę zdjęć rodziny. Te przepadły na dobre.

-
Co teraz zrobisz? Chcesz się przenieść do Rzymu?

-
Nic bardzo. Skończyłem pięćdziesiąt trzy lata, mam tu swój dom. Ojciec mieszka w ośrodku dla emerytów. Dzieci są w szkole. Chyba będę musiał dokładnie się zapoznać z warunkami programu osłonowego.

-
Rico, nie możemy sobie pozwolić na to, żeby cię stracić. - David usłyszał wypowiedziane przez siebie zdanie, całkiem oczywiste w tej sytuacji, ale zaskoczyło go, że tak chętnie przyjął rolę rzecznika Manflek-su. Do tej pory właściwie nigdy nie identyfikował się z firmą. Uczestniczył w zebraniach zarządu tylko po to, żeby okazać lojalność wobec ojca. - Znajdziemy sposób, żeby utrzymać całą rodzinę razem. Na razie jesteś potrzebny tutaj, w Mediolanie, nie widzę więc problemów. Musimy mieć tymczasowe biuro. Możesz coś takiego znaleźć?

-
Michael, ja umieram.

Michael odwrócił się gwałtownie i spojrzał na Manny'ego Flexne-ra. Na twarzy szefa nie było nawet cienia rozbawienia, ale to o niczym nie świadczyło. Manny potrafił podpuszczać różnych nieszczęśników, zachowując kamienną twarz. Żeby się zabawić, często bezwstydnie kłamał. A poczucie humoru Manny'ego było dla Leapmana trudne do zrozumienia.

Po biznesowym lunchu i piwie u Rainera Manny zaproponował spacer. Szli teraz przez Essex Street Covered Market na Lower East Side. Bazar tętnił życiem, w powietrzu unosiły się ostre aromaty świeżo upieczonego chleba oraz serów. Ta sceneria wydawała się zupełnie nieodpowiednim miejscem na przekazanie dramatycznych informacji, ale nigdy nie można być pewnym, co Manny wymyślił.

-

Czy dobrze cię usłyszałem?

-

Skąd mogę wiedzieć?

-

Wydawało mi się, iż powiedziałeś, że umierasz.

-

Tak.

-

Mówisz serio?

Manny pokiwał poważnie głową.

-

Dziś rano byłem u lekarza. Jakiś czas temu wysłał mnie na badania. A teraz dostał wyniki.

Przypadek nieoperacyjny. Mam może sześć, może dziewięć miesięcy.

Leapman gapił się na niego bez słowa. Ale nic nie sugerowało, że to przejaw czarnego humoru.

-

To niemożliwe.

-

To samo powiedziałem doktorowi. Wciąż jestem w pełni sprawny. Nadal mogę przeczytać gazetę, zjeść dobry posiłek, wziąć do łóżka kobietę, kiedy mam na to ochotę, i nie rozczarować jej.

Nie jestem może najhojniej obdarzony przez naturę w tej dziedzinie, ale to, co mam, działa jak należy. A on odpowiedział: „Świetnie, niektórzy nie mają tyle szczęścia. Tracą werwę, rozsypują się. Pan odejdzie w dobrym stylu”. Powiedziałem, że mu nie wierzę. Zapytał, czy chcę się założyć.

Odparłem w porządku, doktorku, stawiam pięćdziesiąt dolarów, że w Święto Dziękczynienia będę jeszcze żył. Myślałem, że to pewniak, ale zaproponował, żebyśmy włożyli pieniądze do brązowej koperty i zostawili u jego recepcjonistki, bo nie chce zawracać głowy wykonawcom mojego testamentu. To mi naprawdę dało do myślenia, Michael. Wykonawcy testamentu. Ten lekarz jest pewien swego. - Manny zrobił głęboki wydech. - Odwołałem zakład.

-

Powinieneś postarać się o drugą diagnozę - oświadczył Leapman, szczerze pragnąc pomóc, ale jednocześnie zastanawiał się nad tym, co ta ponura wiadomość oznacza dla jego własnej przyszłości. Uwierzył Manny'emu.

-

Więcej badań, więcej złych wiadomości - mruknął Manny. - Nie, dziękuję. Wolę raczej spędzić ostatnie dni na ziemi pożytecznie, rabując banki, dopóki jeszcze pozostało mi trochę sił. -

Odwrócił się do kobiety stojącej za straganem z owocami i warzywami. Musiała usłyszeć ostatnie zdanie, ponieważ patrzyła na niego uważnie. - Niech pani nie zwraca na mnie uwagi. Jestem w szoku. Ile kosztują u pani ananasy? - Wybrał jednego i sprawdził, czy jest twardy. - Kupujesz dużo ananasów, Michael? Czasami na zewnątrz wyglądają świetnie, jak ja, ale kiedy je przekroisz, są wewnątrz zgniłe. Bez urazy - zwrócił się do kobiety. - Wezmę tego.

Dotarli do końca bazaru i ruszyli z powrotem po Delancey Street.

-

Mimo wszystko to nie najgorsze rozwiązanie dla Manfleksu - stwierdził. - Przyda się nam zmiana na górze.

Leapman poczuł gęsią skórkę.

-

Moje udziały przejdą na Daveya - ciągnął gładko Manny. - Będzie miał pakiet kontrolny i doskonale się sprawdzi.

-

Jako prezes? David? - Leapman starał się, by zabrzmiało to jak pytanie zadane mimochodem, ale nie udało mu się do końca uporać z szokiem.

-

Nie mogę ująć tego lepiej, niż zrobił to Szekspir: niektórzy faceci są urodzonymi dyrektorami, niektórzy osiagają to stanowisko, a niektórych, jak na przykład mojego syna, trzeba na nie wepchnąć siłą.

-

Rynkowi się to nie spodoba - stwierdził Leapman, nie troszcząc się o Szekspira.

-

Masz na myśli to, że Davey przejmie firmę?

-
Nie, twoje odejście. - Odpowiedź była bardziej taktowna niż szczerą.

-
A jakie znasz inne rozwiązanie?

Nastąpiła chwila ciszy.

-
Słusznie.

-
Potrzebuję twojej pomocy - powiedział w końcu Manny.

-
Możesz na nią liczyć.

-
I know-how. Dobrze rozumiesz biznes. On nie.

-
Pomogę w każdy możliwy sposób. - Michael Leapman działał na autopilocie. Wiadomość o chorobie Manny'ego była już wystarczająco zła, ale perspektywa, że to jego syn zostanie prezesem, przekraczała wszelkie oczekiwania.

Manny przełożył ananasa do lewej ręki i położył prawą dłoń na ramieniu Leapmana.

-
Dzięki, Mike. Nie musisz mi tłumaczyć, że rekiny będą czyhać, ale wierzę w tego chłopaka.

Podoba mi się sposób, w jaki się uczy. Prawdę mówiąc, zadzwoniłem ubiegłej nocy do Ricka.

Davey wykonuje wspaniałą robotę w Mediolanie, a zlikwidowanie zakładu nie jest łatwą sprawą.

Ta umiejętność może mu się wkrótce przydać tu na miejscu, pomyślał cynicznie Leapman.

-
Powiedziałeś mu o tej koszmarnej wiadomości, jaką przekazał ci lekarz?

-
Jeszcze nie. To nie takie łatwe przez telefon. W tym momencie nie trzeba o tym mówić Daveyowi. Może w ogóle nie będzie trzeba.

Leapman zmarszczył brwi.

-
Ale przecież właśnie mnie o tym poinformowałeś. Tym bardziej jesteś to winien synowi.

Musi mieć czas, żeby przywyknąć do tej myśli.

-
W ogóle nie słuchałeś tego, co mówiłem? - spytał Manny. - O wepchnięciu na stanowisko siłą? Lepiej, żeby nie miał czasu na myślenie. Znam Daveya, będzie kombinował, jak się wykręcić.

Leapman nie drażył tematu. Z punktu widzenia firmy Manny zapewne miał rację, biorąc pod uwagę oszałamiające założenie, że David Flexner ma zostać następnym prezesem. Po co się przejmować uczuciami Davida, kiedy jego własne zostały bezlitośnie zdeptane?

A teraz stary palant z sądem niezmaconym znajomością rzeczy ocenia perspektywy firmy, nie biorąc pod uwagę oczywistego faktu, że Manflex może czekać przejęcie.

-
Znajdujemy się w lidze na niższej pozycji, niżbym tego chciał, ale obecnie nasza sytuacja nie jest taka zła. Wciąż mamy dobry napływ gotówki.

-
Głównie dzięki kaprofiksowi.

-
A co złego w kaprofiksie? Pomógł milionom ludzi chorym na anginę.

-
Nic... Poza tym, że dochód z niego ma tendencję spadkową.

-
Odkąd utrzymałem w ryzach koszty prac rozwojowych, zwiększyliśmy margines operacyjny o dwa i sześć dziesiątych punktu. Mówisz o kaprofiksie jakby to był nasz jedyny produkt. A przecież mamy szeroką bazę systematycznie sprzedających się leków. W ubiegłym roku nadwyżka z funduszu

emerytalnego wyniosła ponad dziesięć milionów. Oczywiście, przydałby się nam nowy, świetnie sprzedający się lek...

-

I to szybko - wtrącił Leapman.

-

Co?

-

Powiedziałem, szybko... przydałby się nam szybko.

-

Niewątpliwie.

Ale Leapman nie miał zamiaru dać się spławić.

-

Przegapiliśmy betablokery, salbutamol na astmę, L-dopę na parkinsona, antagonistów receptorów histaminowych typu dwa...

-

Dobra, dobra - przerwał mu z irytacją Manny. - Masz rację. Za bardzo postawiliśmy na fidoxin. To największa wpadka w mojej karierze. Z drugiej strony mamy czystą kartę. Nikt nas nie pozwał. Mogę stanąć przed Stwórcą, wiedząc, że nie zaszkodziłem nikomu przez moje niedbalstwo.

-

Z wyjątkiem szkód wyrządzonych środowisku. - Leapman nie mógł się powstrzymać.

-

O co ci chodzi?

-

Ukarano nas grzywnami za zanieczyszczenie francuskich i włoskich rzek.

-

Odpieprz się, Michael!

Przez chwilę szli w milczeniu. Każdy z nich czuł zdenerwowanie wywołane zmianą sytuacji.

-

Powiesz coś zarządowi w czasie nieobecności Daveya? - zapytał w końcu Leapman.

-

O moim stanie? Nie ma takiej potrzeby. Usunę się, a wtedy się dowiedzą.

-

Chcesz, żebym traktował tę wiadomość jako poufną?

-

Na jakiś czas. Co mnie podkusiło, żeby się zwierzać takiemu upartemu sukinsynowi jak ty?

Co za kanał. - Odwrócił się i spojrzał na Leapmana. W jego oczach widniały iskierki rozbawienia, ale cała twarz była smutna, niewątpliwie smutna. Tym razem Mariny Flexner nie żartował.

Rozdział 8

Trzy czarne limuzyny przejechały wolno nieopodal stawu w Central Park West. W końcu zatrzymały się i wysiadła z nich grupka potężnych mężczyzn w rozmaitych odmianach dresów.

Wystarczyłoby ich na drużynę futbolową z tą tylko różnicą, że żadna drużyna futbolowa nie byłaby tak skrepowana. Zerkali przez ramię, jakby ktoś znajomy mógł podglądać to dziwaczne widowisko.

Jako ostatni wyszedł z pierwszego samochodu Massimo Gatti, wpływowa osobistość wre włoskiej społeczności Ameryki - a przynajmniej w tej jej części, która wymagała całodobowej obecności ochroniarzy. W przeciwieństwie do swoich goryli Gatti był niski, miał dużą nadwagę oraz wysokie ciśnienie i dlatego zajął się joggingiem.

Na wstępie przeprowadził symboliczną rozgrzewkę, podnosząc ręce do góry jak chcerleaderka, jednocześnie wykonując bieg w miejscu. Część członków grupy z zakłopotaniem próbowała go naśladować. Następnie Gatti ruszył powolnym truchtem, a dzięki asyście ochroniarzy bez trudu można go było uznać za niższe i grubsze wcielenie aktualnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Jak zwykle, nowojorscy maniacy fitnessu wylegli gromadnie do parku. Tego ranka Michael Leapman też znalazł się wśród nich. Poprosił o pilne spotkanie z Gattim i umówili się właśnie tutaj, co było orzeźwiająca odmianą w porównaniu z biznesowym śniadaniem. Kiedy dostrzegł grupkę, zwiększył tempo i ruszył po trawniku na jej spotkanie. Leapman był jednym z tych szczęściarzy, którzy rzadko ćwiczą, ale udaje im się zachować dobry wygląd.

-

Witam, panie Gatti.

Spotykali się już wcześniej dzięki łańcuszkowi pośredników, zbyt długiemu, by go wspominać.

Zakulisowa wiedza Leapmana o przemyśle farmaceutycznym - legalnym przemyśle farmaceutycznym - przydawała się Gattiemu. W pogrążonym w zapaści świecie finansów leki były jednym z niewielu towarów powszechnego użytku, które zapewniały świetne dochody.

Medykamenty są artykułem pierwszej potrzeby, na które recesja nie ma prawie wpływu. Leapman zaproponował mu udziały w przemyśle i Gatti nie mógł się temu oprzeć.

Być może Gatti skinął głową na powitanie, a może był to ruch związany z biegiem. Nie miał zwyczaju pozdrawiać ludzi, nawet w mniej trudnych dla niego sytuacjach. Po kilku minutach wolnego truchtania poruszał się spazmatycznymi szarpnięciami i hałaśliwie łapał powietrze.

Długa rozmowa najwyraźniej była wykluczona, dlatego Leapman wyrównał krok z Gattim i szybko przeszedł do rzeczy.

-

Z przykrością muszę powiedzieć, że mamy problem z naszą umową.

Gatti przystanął, odwrócił się od Leapmana i machając rękami kazał swojej świcie cofnąć się i zostawić mu nieco prywatności. Ochroniarze zrobili kilka kroków do tyłu. Potem cała procesja ruszyła znowu, tym razem w pewnym odstępie.

-

Co pan chce przez to powiedzieć?

Leapman w krótkich słowach przedstawił sytuację:

-

Manny Flexner poszedł do lekarza i dowiedział się, że zostało mu tylko kilka miesięcy życia.

-

I co z tego?

-

Powstał problem.

-

To jego problem, nie mój - wysapał Gatti.

-
Z całym szacunkiem, ale sprawa nie jest aż tak prosta. Mówi, że ma zamiar ustąpić.

-
Zrezygnować?

-
Tak.

-
I co w tym złego?

-
Chce na swoje miejsce wyznaczyć syna.

-
To on ma syna?

-
Tak.

-
Nie mówił mi pan o tym.

-
Przepraszam, panie Gatti. Powinienem wcześniej o nim wspomnieć. W ogóle nie brałem Davida Flexnera pod uwagę. Nie interesuje się biznesem.

-
Ale jest w zarządzie?

-
No, tak...

-
A pan nie brał go pod uwagę?

-
No nie.

-
Rodzonego syna Flexnera? Nie brał go pan pod uwagę?

Leapmanowi wydało się, że w pytaniach brzmi oskarżycielska nuta i zaczął się niepokoić.

-
Siedzi na zebraniach zarządu i nie odzywa się - próbował się bronić.

Massimo Gatti przystanął. Ochroniarze znowu stanęli w odległości nie pozwalającej podsłuchać rozmowy. Leapman czekał pokornie, aż Gatti złapie oddech.

-
Zawarliśmy umowę, panie Leapman - zdołał w końcu wysapać grubas. - Potrzebował pan pieniędzy. Przyszedł pan do mnie z propozycją. Świetnie. Pański plan wywarł wrażenie na moich ludziach. Dlatego poparliśmy pana. Zrobiliśmy, jak pan proponował. Zlikwidowaliśmy zakłady w Mediolanie. Dwaj dobrzy ludzie zostali zabici.

Przerażony Leapman zareagował błyskawicznie.

-
Niczego takiego nie proponowałem, panie Gatti. Chciał pan je kupić za najniższą cenę. Nie zalecałem podpalenia.

-
Zabito ludzi - powtórzył Gatti. - I to na darmo.

-
Nie na darmo. Powiedzmy szczerze pożar spowodował to, czego pan chciał. Po tej wiadomości akcje Manfleksu spadły na łeb. Cena troszkę się poprawi, kiedy zacznie pan kupować.

Bo to pan, prawda? Pan i pańscy wspólnicy skupowali akcje po minimalnych cenach?

Odpowiedzi nie było.

-
Udziałowcy tracą zaufanie - wyjaśniał dalej Leapman. - Pozycja Manny'ego Flexnera jako prezesa jest nie do utrzymania. Jestem pewien, że zdołam doprowadzić do przewrotu w zarządzie.

Manny nie ma planu awaryjnego. Szuflady są puste.

-

To na czym polega różnica?

-

On umiera, a to zmienia równanie. Ludzie, którzy stanęliby po mojej stronie, teraz będą kierowali się współczuciem lub lojalnością i poprą jego syna. Testament Manny'ego i to całe gówno. W tej chwili nie zdołam tego przeprowadzić.

Gatti wbił w niego spojrzenie.

-

Panie Leapman. Nie obchodzi mnie, kto jest prezesem. Zawarł pan ze mną umowę wartości miliarda dolarów i ma się pan z niej wywiązać. Wic pan, co się dzieje, kiedy ktoś nie dotrzymuje umowy.

Trzy dni po przybyciu do Włoch David Flexner miał już w Mediolanie tymczasowe biuro z centralką telefoniczną, faksem, kserokopiarką, komputerem z edytorem tekstów oraz osobistą asystentkę, o bardzo odpowiednim imieniu Pia. Miała krótko ostrzyżone włosy w kolorze tycjanowskiej miedzi i ciemne oczy. Naprawdę było przyjemnie na nią patrzeć. David natychmiast postanowił, że jeżeli kiedykolwiek będzie kręcił film we Włoszech, da jej główną rolę kobiecą, obojętne czy potrafi grać, czy nie. Kiedy po raz pierwszy weszła do gabinetu, fakt, że mówi po angielsku jak spikerka z BBC i potrafi korzystać z całego sprzętu biurowego, wydawał się mieć znikome znaczenie. Jak wywnioskował z kołysania jej bioder, nie była zagorzałą feministką.

Podobnie zresztą jak on.

Wprawdzie zachwycająca Pia przykuwała uwagę, wywołana pożarem kryzysowa sytuacja nie pozostawiała wiele czasu na przyglądanie się dziewczynie. Rico Villa organizował spotkania z ubezpieczycielami, przedstawicielami związków zawodowych, biurami zatrudnienia i najważniejszymi gazetami w mieście, które stały się głównym środkiem przekazu informacji dla personelu. Zebranie pracowników Manflex Italia zostało zaplanowane na następną sobotę rano w sali kinowej na południowym zachodzie miasta. Do tego momentu David powinien już mieć coś do zaoferowania w ramach programu osłonowego. Cały wczorajszy dzień spędził z księgowymi. Choć nie miał ochoty poświęcić życia przemysłowi farmaceutycznemu, to, co zdarzyło się we Włoszech, stanowiło problem, który powinien rozważać z całą energią i wrażliwością. Wielu ludzi utraciło środki do życia, a on powinien zrobić wszystko, aby potraktowano ich przyzwoicie i sprawiedliwie.

Pod koniec czwartkowego popołudnia Pia wpłynęła do gabinetu z dwoma mężczyznami, którzy na pewno nie byli na liście płac. Zachowywali się zbyt arogancko jak na pracowników. Przyglądali się Davidowi długo i beznamiętnie, jakby brali z niego miarę na trumnę. Nie chciał dać się onieśmielić i ze swojej strony demonstracyjnie okazywał, że też ich ocenia - garnitury z domu towarowego oraz nieciekawe krawaty w paski. Jeden z nich, mniej więcej czterdziestoletni, miał włosy przystrzyżone

do długości około półtora centymetra.

-

Panowie są z policji - oznajmiła całkiem zbytnie Pia. Odwróciła się, aby spytać ich o nazwiska. Najwyraźniej nie mówili po angielsku. Krótkowłosey okazał się komisarzem, co sprawiało wrażenie dość wysokiego stopnia. Nazywał się Dordoni. Drugi musiał mieć zbyt niską rangę, aby zasłużyć na przedstawienie.

-

Macie już panowie jakąś informację o pożarze? - zapytał David, przejmując inicjatywę.

Pia przetłumaczyła, posłuchała i udzieliła odpowiedzi, która nie była odpowiedzią.

-

Komisarz prosi o listę całego personelu zatrudnionego w fabryce.

-

Oczywiście. Dostarczymy ją.

-

Chce wszystkich sprawdzić.

-

Sprawdzić?

-

Żeby wiedzieć, czy żyją.

-

To nie takie proste. Bądź łaskawa mu wyjaśnić, że nie mamy z nimi kontaktu. Na sobotnim spotkaniu zbierzemy wszystkie nazwiska. Ale o co tu chodzi? Wydawało mi się, że w pożarze nikt nie zginął.

Znowu zaczęło się tłumaczenie. Komisarz Dordoni mówił szybko, jakby irytowały go te opóźnienia, i patrzył prosto na Davida wilgotnymi, czarnymi oczami przypominającymi świeże owcze bobki.

-

Mówi, że w noc pożaru samochód... - Pia przerwała i zapytała o coś Dordoniego - ...alfa romeo veloce, rozbił się na wiejskiej drodze trzy kilometry - dwie mile - od Manflex Italia.

Zbiornik paliwa pękł i wrak spłonął doszczętnie. - Odwróciła się znowu do Dordoniego, aby usłyszeć po włosku dalszą część historii i zaraz potem dodała: -Znaleziono szczątki dwóch mężczyzn. Spalone. Bardzo spalone. Nie zostali zidentyfikowani.

-

Czy on uważa, że wypadek miał jakiś związek z pożarem w fabryce?

-

Mówi, że alfa romeo jechało od strony zakładów Manflex. Na podstawie śladów opon zdołali ustalić, że w chwili, gdy samochód wyleciał z drogi, jechał z dużą prędkością. Najwyraźniej przekoziółkował kilka razy. Wewnątrz bagażnika znaleźli pięć pustych kanistrów po benzynie.

David zawahał się, marszcząc brwi.

-

Sądzę, że 011 sugeruje - dodała uprzejmie Pia - że ci ludzie mogli spowodować pożar w fabryce, ale nie powiedział tego wprost.

-

Czego właściwie chce ode mnie?

Dziewczyna jeszcze raz krótko porozmawiała z Dordonim, a potem znowu zwróciła się do Davida.

-

Powiedział, że śledczy ze straży pożarnej nie wykluczyli możliwości podpalenia. Pyta, czy pan wie o kimś, kto chciałby zniszczyć zakłady.

-

Odpowiedź brzmi: nie.

Komisarz Dordoni nie potrzebował tłumaczenia. Zareagował gwałtowną tyradą po włosku.

Pia, która znalazła się między młotem a kowadłem, ale spełniała swoje obowiązki z zadziwiającym spokojem, uniosła nieco brwi.

-

Chce, abym panu przekazała, że to nierozsądne odmawiać współpracy z policją.

-

Jeżeli to groźba, Pio, możesz powiedzieć temu aroganckiemu dupkowi, że mi się nie podoba.

Powiedziałem prawdę. Nie mam powodu podejrzewać nikogo, kogo zatrudniamy lub zatrudnialiśmy. -Kiedy się już wyładował, przemyślał sprawę jeszcze raz. - Nie. Poczekaj. Powiedz mu tak: ta możliwość jest istotnie bardzo niepokojąca i będziemy z nim w pełni współpracować.

To nieco obniżyło temperaturę rozmowy. Dordoni i jego pomocnik przeszli do faktów - chociaż znali nazwiska dwóch ochroniarzy, godziny zmian, liczbę pracowników i tak dalej. David przekazał im te informacje. Zażądali również listy personelu wraz z adresami, ale tego nie mógł im dostarczyć przed sobotnim zebraniem.

-

Jeżeli da mi rysopisy tych dwóch mężczyzn, będziemy mogli popytać i zobaczyć, czy ktoś ich rozpozna - powiedział do Pii.

Kiedy przetłumaczyła Dordoniemu tę propozycję, roześmiał się ponuro, a gdy udzielał odpowiedzi, potarł kciukiem o palec.

Pia tłumaczyła beznamiętnie.

-

Ci ludzie spalili się tak, że sporządzenie rysopisu jest niemożliwe. Być może anatomopatolodzy zdołają coś ustalić, ale prawdopodobnie potrwa to kilka tygodni, a może nawet miesięcy.

-

A co z samochodem?

Dordoni wyjaśnił, że z alfa romeo zdjęto tablice rejestracyjne. Z samochodu nie pozostało prawie nic, co mogłoby być użyteczne.

David zwrócił się do Pii.

-

Czy mogłabyś zadać mu pytanie? Skoro tych ludzi nie zidentyfikowano, czy w ogóle są jakiegokolwiek dowody, które wiązałyby ich z naszą firmą?

Przez chwilę rozmawiała z Dordonim.

-

Mówi, że nie.

-

A więc to tylko poszlaki.

-
Czy to pytanie?

-
Możesz tego nie tłumaczyć - oznajmił. Nie chodziło mu o zaliczanie punktów. - Zapytaj, jak doszło do wypadku.

Pia sprawiała wrażenie, że nie ma na to ochoty.

-
Już powiedział. Samochód jechał za szybko. Dachował.

-
Ale dlaczego? Czy ktoś go gonił?

Odwróciła się do Dordoniego i udało jej się uzyskać niechętną odpowiedź.

-
Nikt tego nie wie.

Dordoni kiwnął głową pomocnikowi, szykując się do wyjścia. Nie chciał odpowiadać na dalsze idiotyczne pytania.

-
Czy w wypadku uczestniczył jakiś inny pojazd? - naciskał dalej David.

Pia przetłumaczyła szybko.

Dordoni wzruszył ramionami. W drzwiach jednak najwyraźniej postanowił przekazać coś więcej.

Odwrócił się i wygłosił kilka zdań.

Tym razem to Pia wzruszyła ramionami.

-
Samochód jechał idealnie prostym odcinkiem drogi. Kierowca stracił nad nim panowanie, ale nie mogą zrozumieć dlaczego. Ślady na asfalcie wskazują, że nie spowodowało tego pęknięcie opony. To niezwykley wypadek. Nazywają to - zdaje się, że macie takie wyrażenie w angielskim -
działaniem siły wyższej.

Później tego samego popołudnia miał okazję poznać opinię Rica Villi na temat tajemniczego wypadku samochodowego. Dyrektor potraktował sprawę lekceważąco, pogardliwie odrzucając sugestię, że pożar został wywołany przez podpalaczy.

-

Dlaczego nie chcą przyznać, że zdarzają się zbiegi okoliczności? Typowe dla policji.

Zawsze szukają pierwszego rozwiązania, które się narzuca. Jednego wieczoru zdarzyły się dwa poważne wypadki, muszą je więc połączyć.

-

Ale zdarzyły się zaledwie parę mil od siebie - zauważył David, wcielając się jakby w rolę Dordoniego.

-

Dachowało dwóch pijaczków. Po co dopisywać do tego teorię spiskową?

-

Skąd wiesz, że byli pijani?

-

Jesteśmy w Lombardii, przyjacielu. Próbowalesz oltrepo pavese?

-

Mieli w bagażniku puste kanistry po benzynie.

-

Pewnie to rolnicy. Jeżeli chcesz utrzymać w ruchu pojazdy rolnicze, zabierasz ze sobą parę kanistrów.

-

Policja powiedziała, że nie było tablic rejestracyjnych.

-

Dzieciaki. Łowcy pamiątek. Podwędzą wszystko.

David nie był tym zbyt przekonany.

-

No dobrze. - Rico odbił piłeczkę. - Za parę dni poznamy listę załogi. Wtedy będziemy wiedzieli, czy zaginął ktoś z Manflex Italia. Założysz się?

-

Ci faceci z samochodu nie musieli pracować w Manflex - zauważył David. - Jak powiedział

Dordoni, mogli zostać wcześniej wyrzuceni. Albo byli jakimiś rozrabiakami z zewnątrz.

-

Daj temu spokój, Dave - poradził Rico, kładąc dłoń na ramieniu Davida. - Mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie. Policja będzie się tym zajmowała miesiącami, może latami.

Najprawdopodobniej okaże się, że umorzają śledztwo jako niewyjaśnione.

Po raz pierwszy od czasu, gdy się zaprzyjaźnili, David Flexner poczuł, że coś w Ricu zaczyna budzić jego niepokój.

Rozdział 9

Powiedz mi, co konkretnie robisz w tej szkole? - zapytała pewnego wieczoru Stephanie, gdy czekali na obiad. Kurczak w piekarniku w żaroodpornej formie pachniał wspaniale, ale warzywa wymagały swoich siedmiu minut w kuchence mikrofalowej.

-

Dużo siedzę.

-

Nie możesz postarać się być jakoś przydatny?

-

Od czasu do czasu jestem. Dzisiaj wykonywałem pracę, w jakiej jestem najlepszy, składałem puzzle. Puzzle z ośmiu części - oznajmił beznamiętnie Diamond, widząc, że Stephanie natychmiast się na to rzuci. Czasem złośliwe uwagi żony sprawiały mu przewrotną przyjemność.

-

A ile później brakowało kawałków?

-

To bardzo nieuprzejme! Ani jednego. Każdy miał rozmiar twojej dłoni.

-

Zakładam, że to ma korzystnie działać na dzieci?

-

Oczywiście.

-

I dlatego pracujesz z nimi, dopasowując do siebie części?

Uśmiechnął się.

-

Jeszcze czego! Ja składam puzzle, a one je rozkładają.

-

Czy Naomi też bierze w tym udział?

Ton jego głosu uległ zmianie. Ich przekomarzanie dobiegło końca.

-

Naomi? Nie.

-

Dlaczego? Puzzle to podstawowa zabawka, wszystko w nich jest jasne. Język nie jest tu potrzebny.

-

Nie bierze udziału w niczym. Jest absolutnie bierna.

-

Może boi się innych.

-

Zachowywała się tak samo, zanim przewieziono ją do szkoły.

-

Jest przestraszona?

Diamond pokiwał głową. Niemal na pewno miała rację.

-
Ale oni upierają się, że to autyzm? - pytała dalej Stephanie.

-
Diagnoza nie jest wyryta w kamieniu - odparł. - O ile mogę się zorientować, to wygodna etykieta pasująca do wielu rodzajów nieprzystosowania dzieci. Na przykład Clive ma ataki wściekłości i musi znaleźć jakiś zakątek w pokoju, który uzna za najbezpieczniejszy. Naomi jest inna. Siedzi tam, gdzie jej każą. Milczy. Całkowicie wyłączona. Jej zachowanie w niczym nie przypomina Clive'a, ale oboje uznano za dzieci autystyczne. Czy już gotowe?

Tyradę przerwało mu pięć elektronicznych pisków. Kuchenka mikrofalowa stanowiła symbol lepszych czasów. Kupił ją w dniu, w którym zrezygnował z pracy w policji, ale dzięki licznym piegom, jakie upstrzyły ją podczas remontu kuchni, wyglądała na starszą. Niektórych plam nie dawało się usunąć.

-
Muszą dojść - przypomniała Stephanie. - Warzywa muszą jeszcze dojść. Nic wiem, czy przypominasz sobie Maxine Beckington, dziewczynkę z zastępu zuchów. Nie została u nas długo, ale była bardzo inteligentna.

-
Pewnie dlatego - zauważył Diamond.

-
Co dlatego?

-
Nie została tam długo. Jeżeli była tak inteligentna, jak mówisz, pewnie miała obiekcje przed tańczeniem wokół muchomora, ponieważ to symbol falliczny.

Spojrzała na niego ze wściekłością. Ruch zuchowy nie był tematem żartów.

-
Chciałam powiedzieć, że matka Maxine urodziła drugie dziecko, chłopczyka. Był

przedmiotem zazdrości wszystkich innych matek, ponieważ okazał się bardzo pogodnym maluchem i chętnie leżał w wózek tak długo, dopóki go z niego nie wyjęto. Sama go widziałam

- piękne dziecko o cudownych, wielkich niebieskich oczach. Nigdy nie płakał. Nigdy nie mieli zarwanej przez niego nocy. Ale po jakimś czasie ten aniołek zaczął ich niepokoić. Uświadomili

sobie, że nie płacze nawet wtedy, gdy jest głodny. Gdyby nie karmili go regularnie, mógłby umrzeć z głodu, zupełnie się nie skarżąc. To było niesamowite. Coś, co początkowo uważano za błogosławieństwo, zaczęło ich niepokoić i to nie bez powodu. Okazało się w końcu, że jest autystyczny. Sprawa twojej Naomi wygląda podobnie.

Diamond przez jakiś czas rozważał tę sugestię.

-

Tak, mogę sobie wyobrazić, że zachowuje się jak ten niemowlak, ale nie powinniśmy czynić takich porównań.

-

Dlaczego?

-

Bo to nienaukowe. Od Julii Musgrave dowiedziałem się, że autyzm musi zostać zdiagnozowany przez specjalistę. Nie można uważać pojedynczego objawu za typowy. Każda z cech, którą się wymienia - skłonność do izolacji, dziwne ruchy, jakie niektóre dzieci wykonują, trudności z mówieniem - może wynikać z innych przyczyn. Autyzm rozpoznaje się na podstawie wielu objawów. A te są zmienne. Nie wszystkie autystyczne niemowlęta zachowują się tak jak to, o którym opowiadałaś. Niektóre walczą i wrzeszczą od pierwszego dnia i nie dają się uspokoić.

-

Koszmar dla matek - przyznała Stephanie. - A wyglądają jak normalne dzieci.

-

Czasami są ładniejsze. Mówiąc o tamtym niemowlęciu, użyłaś określenia „aniołek”.

Autystyczne dzieci często mają wielkie oczy i wyjątkowo symetryczne rysy. Naprawdę sprawiają wrażenie, że są z innego świata.

-

Czy Naomi jest właśnie taka?

-

O, tak.

-

Czy wrzeszczy i walczy?

-
Nigdy.

-
A jeżeli zostanie sprowokowana?

Diamond pomyślał o tym, marszcząc brwi.

-
Nikt nie chce sprawiać jej przykrości. Przeżyła już wystarczająco dużo wstrząsów.

-
Czy inne dzieci nigdy jej nie zaczepiają?

-
Nie walczą między sobą. Są zbyt zamknięte we własnych światach.

Stephanie wzięła żaroodporne rękawice i wyjęła formę do zapiekaneek. Wspólnie nakryli do stołu.

Po pierwszych kilku kęsach Diamond powiedział:

-
Chciałbym wiedzieć, jak geniusze z Wyższej Szkoły Policji poradziłiby sobie z Naomi.

Wystawiłaby na niezłą próbę ich metody zbierania informacji.

-
Mam wrażenie, że szykujesz się na to wyzwanie.

-
Ja? - Uniósł brwi w żartobliwym zdziwieniu.

-
Ty i ona - oznajmiła Stephanie - przypominacie mi problem, który kiedyś przedstawił nam w szkole nauczyciel fizyki. O niepowstrzymanej sile napotykejacej idealnie nieruchomy obiekt. Jak byś to rozwiązał, co?

Julia Musgrave była bardziej skłonna przyjąć jego propozycję, niż oczekiwał. Dziesięć dni, które spędził, obserwując klasę i pomagając od czasu do czasu w zajęciach, rozwiąły wszelkie jej

ewentualne obawy, że okaże się zagrożeniem. Pytania, jakie zadawał po lekcjach i w pokoju nauczycielskim, świadczyły, że szybko docenił trudności związane z nauką upośledzonych dzieci.

Personel, jak można było oczekiwać od szkoły specjalnej, był bardzo oddany dzieciom. Składał się z czterech pełno- i trzech półetatowych pracowników oraz budzącej respekt pani Straw, która poza pilnowaniem drzwi frontowych miała mnóstwo obowiązków, takich jak nadzorowanie przerw, udzielanie pierwszej pomocy, porządkowanie papierów i podgrzewanie lunchów, dostarczanych przez firmę przywożącą posiłki.

Diamond przekonał Julię Musgrave, aby w piątkowe popołudnie na ostatnią godzinę zwolniła Naomi z zajęć. Prześzywając z nią sam na sam, mógłby spróbować cierpliwie zdemontować mur obojętności dziecka. Mieliby dla siebie pokój nauczycielski - mały pokój na tyłach domu służący jednocześnie jako miejsce pracy i odpoczynku. Pod ścianami stały biurka, a w jednym końcu, pod oknem, znajdował się stół z ekspresem do kawy. Wokół niskiego stolika z rozrzuconymi czasopismami stały trzy fotele. Diamond przyniósł małe krzeselko i jakiś czas zastanawiał się, gdzie je postawić. W końcu umieścił je przed jednym z foteli. Zalał rozpuszczalną kawę gorącą wodą i usiadł w fotelu.

W drzwiach pojawiła się pani Straw.

-

Panna Musgrave poprosiła mnie, żebym przyprowadziła tu Naomi - oznajmiła. Ton jej głosu wyraźnie świadczył, że jej zdaniem dyrektorka popełniła błąd. Wciąż nie do końca wybaczyła Diamondowi podstęp, dzięki któremu wszedł do szkoły. Mimo to wyciągnęła zza siebie Naomi i posadziła ją na krzeselku.

Jak zwykle całkowicie spokojna Naomi usiadła przed Diamondem. Miała na sobie tę samą sukienkę z czerwonego sztruksu i czarne rajstopy.

-

Zadbam o nią - zapewnił panią Straw. - Nie musi pani zostawać. - Ponieważ nadal zwlekała, dodał: - Zechce pani łaskawie zamknąć za sobą drzwi?

Kiedy został sam z Naomi, uśmiechnął się, miał nadzieję, że przyjaźnie. Dziewczynka nie zmieniła wyrazu twarzy i zdawała się wpatrywać w drugi koniec pokoju, zupełnie nie zwracając uwagi na zasłaniającą jej pole widzenia solidną postać Diamonda.

W czasie pracy w policji nieraz przesłuchiwał nieśmiałe albo wrogo nastawione dzieci. Żadnemu jednak nie udało się tak jak Naomi sprawić, by poczuł się nie tylko mały, ale właściwie zupełnie niedostrzegalny. Siedziała skromnie, z dłońmi ułożonymi na kolanach, nogami skrzyżowanymi w kostkach, zupełnie nie interesując się nieznanym otoczeniem.

Diamond wziął kawę i kiedy wypił pierwszy łyk, przyszło mu do głowy, że może Naomi również chciałaby się napić. Oranżada oraz inne napoje gazowane były zakazane w szkole, gdyż uważano, że konserwanty mogą szkodzić dzieciom, ale na mleko zezwalano. Wstał i z kartonu stojącego koło

czajnika napełnił do połowy papierowy kubek. Podał go Naomi, która ujęła go obydwoma dłońmi i przyłożyła do ust.

Wiedział, że to nie jest przełom. W czasie tych tygodni musiała jeść i pić, żeby pozostać przy życiu. Ale była to przynajmniej jakaś pozytywna reakcja. Obserwował, jak opróżnia kubek do końca.

-

Więcej? - zapytał, pokazując na karton. - Naomi.

Żadnej reakcji.

Wyciągnął rękę po kubek. Zignorowała jego gest.

-

No dobrze - powiedział spokojnie. - Możesz go trzymać, jeżeli chcesz.

Dolał do swojej filiżanki kawy i wrócił na fotel. W obliczu takiej obojętności kogoś tak małego bardziej niż kiedykolwiek uświadamiał sobie swoje gabaryty. Aby choć częściowo odzyskać poczucie wartości, uznał, że robi sobie przerwę do chwili, gdy wypije kawę.

Widoczne pod grzywką czarnych włosów migdałowe oczy Naomi spoglądały nieruchomo przed siebie. Prawie nie mrugała. Jeżeli nawet dostrzegała Diamonda, był to tylko fragment jego torsu w miejscu, gdzie krawat stykał się z klapą marynarki, ale jej oczy nie były na nim skupione. Nawet gdy usiadł głębiej w fotelu, aby znaleźć się na jednym poziomie z dzieckiem, nie zdołał nawiązać z nią prawdziwego kontaktu wzrokowego.

Wiedział, że jego brak jest charakterystycznym elementem zachowania osoby autystycznej. W połączeniu z faktem, że Naomi nie chce mówić i jest całkowicie obojętna na to, co dzieje się wokół niej, możliwość, że jest dzieckiem autystycznym wydawała się coraz bardziej prawdopodobna. Z rozmów z Julią Musgrave i z lektur wiedział, że rodzicom, a czasami nauczycielom najtrudniej jest zaakceptować to zjawisko, a tym bardziej jego niezmiennosc. Opiekunowie, omamieni tym, że dzieci pod wieloma względami są całkowicie sprawne i wyglądają normalnie, bez powodzenia usiłowali uwolnić je z więzów choroby. Istniała duża możliwość, że on sam również podejmuje daremne starania.

Wypił kawę, pochylił się do przodu i wyciągnął rękę w kierunku dziewczynki tak, że delikatnie dotknął ją palcem wskazującym.

-

Naomi.

Nie zareagowała.

Cofnął rękę i dotknął palcem swojego torsu.

-

Diamond.

Takie określenie tożsamości było pierwszym etapem porozumienia. Dziecko przede wszystkim uczy się mówić „mama”, „tata” i „baba”. Z chwilą uświadomienia sobie znaczeń otwiera się świat języka.

Wciąż żadnej reakcji.

Powtórzył kilkakrotnie czynności i słowa, ale bez skutku.

Skoro nie chce reagować werbalnie, może uda się mu skłonić ją do wykonania jakiegoś znaczącego gestu. Wyciągnął rękę i wyjął z jej dłoni pusty papierowy kubek. Potem ujął jej paluszki, czując ich ciepło. Pochylił się ku niej, przycisnął jej dłoń do swojej piersi i powiedział swoje imię.

Żadnego przebłysku zrozumienia. Wypuścił jej dłoń. Opadła bezwładnie na kolana.

Bez specjalnego przekonania, że zrozumie, o co mu chodzi i wskaże na niego, zapytał:

-

Diamond?

Nic.

Gdyby tylko zdołał wywołać jakąkolwiek reakcję, byłoby to jakąś podstawą. Przesunął się na krawędź fotela i pochylił nad nią tak, że musiała tylko unieść rękę, aby go dotknąć. Powtórzył:

-

Diamond?

Naomi pochyliła się do przodu. Przez chwilę pomyślał, że rozumiała, co ma zrobić. Patrzyła prosto na niego. I nagle zatopiła zęby w jego nosie. Ugryzienie było mocne.

-

Jezu Chryste!

Ból był straszliwy. Diamond wrzasnął i cofnął się gwałtownie. Przycisnął dłoń do nosa. Ukąsiła go do krwi, która zaczęła miarowo kapać.

Wstał i rozejrzał się, szukając czegoś, czym mógłby zatamować krwawienie. Nic nie znalazł, podszedł więc do drzwi, pozostawiając Naomi spokojnie siedzącą na krzeselku, z dłońmi złożonymi

na kolanach.

W kuchni pani Straw nie potrafiła ukryć rozbawienia.

-

Co zrobiła? Walnęła pana w nos? Takie maleństwo?

Podbiegł do kranu i podstawił twarz pod strumień zimnej wody.

Po chwili pani Straw wyjęła z apteczki watę i środek dezynfekcyjny w płynie. Diamond poprosił ją, żeby odprowadziła Naomi do panny Musgrave. Na dziś spotkanie sam na sam dobiegło końca.

Pierwsza krew dla Naomi.

Co takiego jest w nosach, że nikt nie traktuje ich poważnie? Gdyby miał zaklejony plastrem czubek brody, ludzie nie szczyrzyliby zębów na jego widok. Wiedział, że wygląda komicznie, ale plaster był konieczny. Wprawdzie skaleczenie było niewielkie, ale krwawienie nie ustawało. Ostre siekacze Naomi przecięły fałdę skóry na czubku nosa i ranka nie chciała przyschnąć.

Przynajmniej w uśmiechu Julii Musgrave dostrzegł współczucie.

-

To jedno z zagrożeń występujących w tej pracy. Obawiam się, że gryziono mnie prawie wszędzie, ale jak do tej pory oszczędzano mój nos. Jak to zrobiła?

Kiedy wyjaśnił, odparła:

-

Naruszyłeś jej przestrzeń. Te dzieci czują patologiczny lęk, kiedy ktoś zanadto się zbliży.

Widziałeś, jak Clive biegnie do biblioteczki w chwili, gdy wejdzie do mojego gabinetu?

-

Mówiąc te dzieci, miałaś na myśli „dzieci autystyczne”?

-

No cóż, tak.

-

Naomi nie jest taka - oznajmił z uporem Diamond. - Siedzi, gdzie jej kazano. Nie ucieka.

-

Przecież uprzedzałam cię, że ich zachowanie nie jest jednakowe. To stan psychiczny, Peter, nie fizyczny, taki jak świnka, która zawsze daje identyczne objawy. U niektórych przybiera to agresywną formę, inne są bierne.

-

Wyjaśniałaś mi to już.

-

W takim razie wiesz.

-

Ale dlaczego mnie ugryzła? Czy nikt inny nie naruszył dotąd jej przestrzeni?

Julia Musgrave skinęła głową.

-

Rozumiem, o co ci chodzi. To pierwszy przypadek, kiedy kogoś ugryzła, albo przejawiała skłonność do walki.

-

Czy to możliwe, że nauczyła się tego od Clive'a?

-

Gryzienia? Może, ale te dzieci niezbyt często się naśladują. Są zbyt niezależne.

-

Ciągle mówisz te dzieci - zaprotestował Diamond. Ugryzienie, i śmiech budziły w nim irytację. Niektórzy z jego dawnych kolegów z policji powiedzieliby, że daje o sobie znać jego prawdziwy charakter. - Załóżmy, że Naomi nie jest autystyczna. Być może ma jakiś inny problem, który powstrzymuje ją przed mówieniem. Czy może wywierać na nią wpływ to, co robią inne dzieci?

Julia Musgrave westchnęła.

-

Chyba wchodzisz w ślepą uliczkę. Ludziom tak trudno się pogodzić, że ich dzieci są autystyczne.

-

Naomi nie jest moja.

Spojrzała na niego uważnie, nie bez współczucia, ale towarzyszył temu leciutki uśmiech, który nie opuszczał jej warg od chwili, gdy zobaczyła jego obrażenia.

-

Powiedzmy, że jesteś nią szczególnie zainteresowany. Na tym polegają cierpienia związane z tymi dziećmi. Wyglądają wspaniale. Potrafią okazywać przebłyski inteligencji, a w niektórych przypadkach są wręcz błyskotliwe. Podręczniki nazywają takie dzieci uczonymi-idiotami.

-

To okrutne - stwierdził Diamond.

-

To ich stan jest okrutny.

-

Miałem na myśli rodziców.

-

O, tak. Trudniej to zaakceptować niż fakt posiadania dziecka opóźnionego w rozwoju.

Niektóre autystyczne dzieci przed ukończeniem roku potrafią zaśpiewać dość skomplikowane melodie. Znałam czterolatka, który pamiętał każdy takt z symfonii Beethovena. Potrafią robić nieprawdopodobne rzeczy z cyframi. Potrafią ukryć ulubioną zabawkę i wiele tygodni, a nawet miesiące później pójść prosto do niej. Ludzie nie mogą się temu nadziwić i wmawiają sobie, że oto mają do czynienia z geniuszem, który próbuje się uwolnić, i że to po prostu kwestia znalezienia cudownej terapii. Tak nie jest, Peter. Te dzieci są upośledzone na całe życie. Ich pamięć może funkcjonować super-sprawnie, ale pozostała część mózgu nie. Nie potrafią rozumować jak ty czyja.

Nie potrafią interpretować znanych sobie faktów. To straszliwie przygnębiające, ale jeżeli ktoś z nimi pracuje, musi się z tym pogodzić.

-

Oczywiście.

-

Nie zniechęcałam cię?

-

Nie poddam się tak łatwo, Julio. Jestem gotów na następną rundę.

Popatrzyła na niego z czymś w rodzaju współczucia.

-

Chociaż twoja twarz świadczy o czymś innym, to nic jest mecz bokserski.

W drodze do domu, w metrze, zdjął plaster, nie chcąc, by zobaczyła go Stephanie. Mała ranka zaschła, ale okolice ugryzienia wciąż były obolałe. Nie liczył na to, że Stephanie nie zauważy obrażeń z chwilą, gdy tylko przestąpi próg.

-

Za dużo drinków do lunchu? - spytała.

-

To Naomi.

-

Chyba powiedziałaś, że jest malutka.

-

Tak, ale siedziałem w fotelu.

-

Z dzieckiem na kolanach? - Umilkła na chwilę. - Czy w ogóle można ci jeszcze usiąść na kolanach, kochanie?

-

Nie na kolanach, na litość boską. Nie chcę, żeby dopisano mi do akt molestowanie dzieci.

Nie, pochylałem się do przodu, próbując ją skłonić, by mnie dotknęła.

-

Peter, to brzmi jeszcze gorzej.

-

Żeby mi pokazała, że wie, jak się nazywam.

-

Przecież to Japonka, kochanie.

Włączył telewizor.

-

Może powinieneś spróbować innego podejścia - powiedziała po chwili Stephenie.

-

-

Na przykład jakiego? - zapytał ostro. Wciąż czuł się zdenerwowany.

-

Mam wrażenie, że próbujesz porozumieć się z nią, wychodząc z założenia, że nie jest autystyczna. A czy pomyślałeś, żeby zrobić co innego? Innymi słowy, sprawdzić, czy jest?

-

A jak to zrobić?

-

Musisz zapytać.

Po dwóch kolejnych bezowocnych sesjach przeprowadzonych z Naomi w pokoju nauczycielskim (z zachowaniem bezpiecznej odległości), był niemal gotów przyznać, że nie da się poczynić żadnych postępów, i powiedział o tym Julii Musgrave. Byli w szkolnym ogródku podczas czegoś, co w planie zajęć nazwano optymistycznie czasem zabaw. Rajinder i Naomi siedzieli na huśtawkach z oparciami i poprzeczką zabezpieczającą, kołysała ich pani Straw. Żadne z nich nie wydawało się uszczęśliwione tym zajęciem. Tabitha ssała kciuk i patrzyła smętnie, a Clive ukrywał

się w szopie ogrodnika za workiem z nasionami trawy.

-

Podziwiam twoją wytrwałość, Peter - oznajmiła Julia Musgrave - ale muszę powiedzieć, że moim zdaniem masz rację. Trafiłeś na kamienną ścianę. Rozmawiałeś z policją? Zabrali odzież, w której znaleziono Naomi. Ciekawe, czy znaleźli jakieś poszlaki.

-

Nie zastanawiaj się nad tym - odparł. - Znam jednego z tutejszych inspektorów. Rzeczy wysłano do laboratorium i po kilku tygodniach przyszedł raport stwierdzający, w telegraficznym skrócie, że sprawiają wrażenie, iż nosiło je czarnowłose dziecko płci żeńskiej. Znaleźli też metkę Marksa i Spencera. Zawęzła to zakres poszukiwań do pięciu milionów osób. - Urwał żdźbło lawendy i kruszył je między palcami, patrząc, jak kawałki łydy spadają na ścieżkę. To był

ulubiony zapach Steph. - Moja żona sądzi, że wziąłem się do tego z niewłaściwej strony.

-

Co ma na myśli?

-

Twierdzi, że zamiast szukać oznak, że Naomi nic jest autystyczna, powinienem przeanalizować cały materiał, świadczący o tym, że jest. Nie da się udowodnić normalności.

-

W każdym razie to wątpliwy zabieg. Twoja żona jest inteligentną kobietą.

-

Na pewno inteligentniejszą ode mnie.

-

Może porozmawiasz z doktorem Ettlingerem? Dziś po południu przychodzi obejrzeć Naomi.

Ettlinger był psychiatrą dziecięcym, w jakiś trudny do sprecyzowania sposób związanym ze szkołą.

Był niski, przypominał trolla, ze strzechą czarnych, sztywnych włosów. Nie wiadomo, czy przydzieliła go tu miejscowa służba zdrowia, czy też był wolnym strzelcem, któremu udało się przekonać Julię Musgrave, że w jakiś sposób może przydać się dzieciom. Ponieważ Peter Diamond znajdował się tu dzięki uprzejmości Julii, nie miał nic do gadania w tej kwestii, ale według jego prywatnej opinii, Ettlintera powinno się trzymać z dala od małych dzieci. Psychiatra był

gburowaty, zarozumiały i bez poczucia humoru. Mimo to można było odnieść wrażenie, że przekonał wszystkich w szkole, iż jest międzynarodowym autorytetem w sprawach autyzmu, i zapewne było to prawdą.

-

Lepiej niech pan nie marnuje mojego czasu - oznajmił kąśliwie Diamondowi, gdy ten próbował nawiązać z nim rozmowę w pokoju nauczycielskim. - Jestem Niemcem. Nie interesuje mnie pogoda, krykiet ani samochody. - W innych ustach uwagę można by uznać za żart. Ale nie u Ettlintera.

-

Chodzi o sprawy zawodowe, doktorze - zapewnił go Diamond, z przykrością uświadamiając sobie, że zachowuje się uniżenie. Czasy, kiedy mógł potraktować z góry wygadanego eksperta, były tylko wspomnieniem. - Interesuję się Naomi, tą japońską dziewczynką. Jest tu, ponieważ uznano, że jest autystyczna.

-
Tak jest.

-
A więc twierdzi pan, że jest autystyczna?

-
Nie powiedziałem tego. Zgadzam się jedynie z pańskim stwierdzeniem.

-
A czy wyrobił pan sobie opinię?

-
Nie.

-
Dlatego, że ma pan wątpliwości?

-
Z całą pewnością nie - warknął Ettlinger. - Wątpliwości są nienaukowe, ja zaś mam otwarty umysł. Rozumie pan różnicę? Pan może mieć wątpliwości, ja zaś mam otwarty umysł.

Diamond miał ochotę powiedzieć, że stan umysłu Ettlintera interesuje go mniej niż Naomi, ale ugryzł się w język.

Ettlinger dodał:

-
Musiałbym badać to dziecko bardziej systematycznie, niż mogę to robić w czasie przypadkowych wizyt. Ona nie jest moją pacjentką.

-
O ile wiem, przejawia pewne klasyczne objawy autyzmu.

-
Klasyczne? - Ettlinger był tak oburzony, że niemal udławił się tym słowem. - Klasyczne?

Tę chorobę nazwano dopiero w 1943 roku i nie badano jej w poważny sposób do lat

sześćdziesiątych. Jak pan może mówić o klasycznych objawach?

-

W takim razie typowych.

-

Sprzeciwiłbym się również temu określeniu.

Diamond nie dał mu szansy.

-

Nie mówi. Unika kontaktu wzrokowego. Czy to charakterystyka dziecka autystycznego? Bo jeśli tak, Naomi doskonale do niej pasuje.

-

To, co pan opisał, panie Diamond może wskazywać na autyzm, ale jest to także zwyczajny sposób bycia dobrze wychowanych młodych kobiet w dużej części Azji. Pomyślał pan o tym? Nie można odrzucić możliwości, że jej zachowanie przynajmniej w pewnym stopniu wynika z jej kultury.

Był to przekonujący argument, który Diamond przyjął do wiadomości. Miał wrażenie, że podświadomie o tym wiedział.

-

Dlaczego więc nic nie mówi, nawet do kobiety z ambasady japońskiej?

-

Zapewniam pana, że to wyjątkowe.

-

W jaki więc sposób diagnozuje pan autyzm?

Ettlinger westchnął i spojrzał na zegar w pokoju nauczycielskim.

-

No, w jaki sposób się go diagnozuje? Czy są jakieś badania?

-

Co pan ma na myśli?

-
Prześwietlenia, analizy krwi, tomografia. Nic jestem specjalistą.

-
Nie ma obiektywnych badań tego rodzaju - oznajmił Ettlinger z lekceważeniem. -

Obserwuje się zachowanie. Powiem tyle, że każde dziecko, które pasuje do tego syndromu, cierpi w jakimś stopniu na upośledzenie mowy, poczynając od niemoty, a kończąc na afazji, która jest myleniem właściwych sekwencji liter i słów. Każde dziecko, panie Diamond.

Diamond odhaczył w myślach niemotę Naomi.

-
Z definicji wynika też, że dziecko autystyczne jest wyraźnie obojętne na innych ludzi, zwłaszcza na inne dzieci. Nazwa autyzm, jak pan zapewne wie, pochodzi od greckiego słowa auto, ja. Prawda?

Kolejny ptaszek.

-
Można oczekiwać innych upośledzeń, takich jak problemy z opanowaniem motoryki.

-
Chodzi panu o dziwny sposób chodzenia, jak u Rajindera?

-
Tak.

-
Ale Naomi nie jest taka. Wydaje się mieć dobrą koordynację.

Ettlinger skinął głową.

-
Niektóre z nich mają. Dziwne, ale czasem potrafią utrzymać równowagę lepiej niż inne dzieci. Wdrapują się na meble i skaczą po nich bardzo pewnie. Zapewne mogłyby dokonywać niezwykłych wyczynów na linie.

Co nie byłoby łatwe do sprawdzenia, pomyślał Diamond.

-

I nie dostają zawrotu głowy, kiedy kręcą się w kółko.

-

Nie wiedziałem.

-

Powszechnie znany fakt.

-

Czy coś jeszcze?

Ettlinger rozłożył ręce.

-

Bardzo wiele, panie Diamond. Powtarzalne zachowanie, takie jak bicie głową w ścianę, kołysanie się, patrzenie w lustro albo obracanie czegoś. Na przykład kółek zabawki. Musiał pan widzieć, jak robi to Clive.

-

Oczywiście. Ale nie sądzę, by robiła to Naomi.

Ettlinger przeszedł do kolejnych objawów autyzmu.

-

Nienormalne reakcje na wrażenia sensoryczne, takie jak ból, zimno czy ciepło. Wrogość wobec nawet lekkiego dotyku. - Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

-

Słyszał pan, co mi się zdarzyło?

-

Widzę.

-

Czy można się było tego spodziewać od autystycznego dziecka?

-

Owszem, gryzą.

-
Chodzi mi o to, czy to uprawdopodobnia diagnozę?

-
To tylko drobna wskazówka. Następnym razem powinien pan spróbować bardziej hałaśliwego zachowania i zobaczyć, czy na to zareaguje. Często lubią sobie pobaraszkować. -

Najwyraźniej doktorowi Ettlingerowi nie przyszły do głowy moralne obiekcje wobec „baraszkowania” obcego, dorosłego mężczyzny z małą dziewczynką.

-
Czy wiadomo, co powoduje ten stan?

Ettlinger roześmiał się głośno.

-
Co powoduje, mówi pan? Nikt tego nie wie. Nie ma znanej przyczyny i nie ma terapii.

Istnieją teorie. Więcej teorii niż mam czas je wymienić, przyjacielu. Osobiście skłonny jestem sądzić, że problem ma charakter organiczny, a nie emocjonalny. Wbrew temu, co dawniej podejrzewano, autyzm nie ma nic wspólnego ze sposobem wychowania dzieci. Moim zdaniem ma raczej związek z obrażeniami odniesionym przed porodem, w czasie jego trwania lub po nim albo z chorobą atakującą mózg. Praktycznie co tydzień czytam o jakimś Svengalim*, który twierdzi, że odniósł spektakularny sukces i wyleczył z autyzmu.

* Postać złego hipnotyzera z powieści Daphne du Maurier Trilby. W języku potocznym oznacza kogoś, kto w złych zamiarach manipuluje innymi (przyp. tłum.).

Może pan tulić te dzieci, nagradzać je, karać, izolować, stosować dietę. Do jakiegoś stopnia można je wyuczyć, nie zaprzeczam. Ale szympansy też można uczyć. Osobiście wolałbym uczyć szympansy. Wie pan, potrafią okazywać uczucia. Autystyczne dzieci nic okazują żadnych. Są tyranami.

Diamond słuchał tego wszystkiego z coraz większym niesmakiem.

-
To raczej niezbyt naukowe określenie, prawda? Tyrani?

Mały doktor spojrział na niego wściekły.

-

Niech pan wymyśli lepsze... Niech pan poświęci tyle czasu, ile pan zechce, na obserwowanie Naomi i wymyśli lepsze... jeżeli się panu uda.

Odwrócił się tyłem do Diamonda i poszedł porozmawiać z kimś innym.

Rozdział 10

Tego ranka Diamond zaopatrzył się w blok rysunków i flamaster. Skoro dziewczynka nie reaguje na dźwięki, pomyślał, może to kwestia języka. Sprawdzi więc, czy podziałają na nią symbole.

Przysunął swoje krzesło do jej krzeselka i położył blok na niskim stoliku przed nimi. Potem narysował duże koło i na jego szczycie mniejsze kółeczko. Korpus i głowa, przywodzące na myśl wspomnienia dziecięcych zabaw w deszczowe popołudnia na angielskich wakacyjnych obozach.

Tyle że to miało przedstawiać jego ciało i jego głowę. Dorysował kreskami nogi i ręce, a następnie rysy twarzy z kępkami włosów nad każdym uchem, by zaznaczyć szerokość łysego czoła. Pokazał rysunek Naomi, uśmiechnął się zachęcająco i powiedział:

-

Diamond. - Wskazał palcem na swoją pierś.

Może wmówił to sobie, ale chyba jej oczy obdarzyły jego dzieło przelotnym spojrzeniem. Z pewnością jednak nie zatrzymały się na nim dłużej. A ona sama pozostała milcząca.

Dotknął rysunku, a potem stuknął się w głowę.

-

Widzisz? Diamond.

Ani drgnęła.

Nie dając się zniechęcić, przełożył obrazek i na następnym arkuszu narysował mniejszą figurkę z naszkicowaną spódniczką i z czymś na głowie, co miało przypominać grzywkę.

-

Naomi.

Wskazał na nią. Pokazał palcem jej włosy. Potem ozdobił rysunek, dodając małą kokardkę na czubku głowy.

-

Podoba ci się? - Zachichotał i zdał sobie sprawę, jak sztucznie to zabrzmiało. - To ty.

Mało powiedzieć, że jej to nie zaciekało. Nawet nie spojrzała.

Zdecydowany nie dać się zrazić powrócił do pierwszego rysunku, wyrwał go z bloku i położył na stoliku obok drugiego, by pokazać różnice w wielkości.

-
Duży Diamond i mała Naomi. Ja i ty.

Naomi jakby zamarła.

Kilka dalszych prób wyjaśnienia, co znaczą te rysunki, spełzło na niczym.

-
A może ty chciałabyś porysować? - Przysunął jej blok rysunkowy. Widział kiedyś w telewizji chorego na autyzm chłopca, który potrafił wykonywać z pamięci zadziwiające rysunki budynków, precyzyjnych w każdym szczególe i zachowujące idealną perspektywę. Po pobycie w Londynie chłopiec naszkicował katedrę Świętego Pawła i inne równie ozdobne budowle.

Opublikowano dwie książki z jego rysunkami.

Diamond nie oczekiwał od Naomi dzieła sztuki. Chciał tylko, żeby postawiła na papierze jakiś znak. Ujął jej lewą dłoń i uważnie wsunął flamaster w jej palce. Zauważył, że trzymając kubek, posługuje się lewą ręką. Włożył w to wiele namysłu.

Naomi nie zacisnęła palców na flamastrze i pozwoliła, by wypadł jej z ręki.

-
Myślę, że potrafiłabyś to zrobić - powiedział, bardziej żeby podnieść na duchu siebie niż ją.

- Naprawdę myślę, że byś potrafiła. Znów ułożył jej palce na flamastrze i poprowadził jej rękę, kreśląc na papierze koślawe kółko. - Proszę!

To osiągnięcie nie wywarło na Naomi żadnego wrażenia.

-
Jak chcesz, moja panno. - Bardziej zawiedziony, niż chciałby się do tego przyznać, odwrócił się od dziewczynki i podszedł do stolika z kawą. Mógłby teraz nastawić czajnik, żeby nauczyciele nie musieli czekać, kiedy przyjdą w czasie przerwy. Będzie to jego najwyższe osiągnięcie podczas tej lekcji. Sprawdził poziom wody, włączył grzałkę i wyglądał przez okno, przysłuchując się, kiedy czajnik zacznie wydawać piskliwy dźwięk, który niekiedy brano za krzyk dziecka.

Wtedy poczuł lekki dotyk na prawej ręce. Naomi, sama z siebie, wstała z krzeselka, podeszła do

niego i wsunęła w jego rękę swoją dłoń.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. Uniesieniem. Czy miał prawo poczuć uniesienie? Nie odwzajemniła jego spojrzenia, ale to, co zrobiła, wystarczyło. O ile wiedział, był to pierwszy pozytywny gest, jaki uczyniła wobec niego czy kogokolwiek w szkole. Jego palce łagodnie objęły małą rączkę. On i Naomi stali w milczeniu przy oknie w swego rodzaju harmonii - nieprzeparta siła i niewzruszony obiekt.

Woda już zaczynała wrzeć, ale mechanizm wyłączający czajnik był widać uszkodzony. Diamond patrzył przez chwilę na wydobywające się kłęby pary, a potem podszedł do ściany i lewą ręką wyciągnął wtyczkę z kontaktu. Naomi uznała to za znak, że ma wysunąć rękę z jego dłoni i wrócić na swoje krzeselko. Odwrócił się do niej z uśmiechem, by jej okazać, że to nie odrzucenie. Nie zareagowała.

Oczy mu zwilgotniały. „Na miłość boską, pomyślał, przecież się nie rozkleję! Ja, Peter Diamond, były detektyw z wydziału śledczego policji”.

Podczas przerwy śniadaniowej opowiedział Julii Musgrave o lekcji rysunku. Siedzieli razem na ławce pod jaworem w szkolnym ogródku i jedli kanapki. Mógł się już wtedy zdobyć na więcej obiektywizmu, przyznając, że może nie ma co przywiązywać zbyt wielkiej wagi do tego wydarzenia.

-

Nie, potrzebujemy wszelkiej zachęty, jaką daje ta praca - powiedziała. - Niektóre dzieci nigdy nie robią takiego spontanicznego gestu przyjaźni wobec nikogo. Nigdy. To wspaniała wiadomość, Peter. Powiedzmy sobie szczerze, nikt nie osiągnął z nią tyle co ty. Myślę, że ta kobieta z ambasady straciła nadzieję, że do niej dotrze. Nie przyszła przez cały tydzień. Zamiast tego zadzwoniła. Mówią o wysłaniu Naomi do szkoły w Bostonie, która się specjalizuje w autyzmie. Prowadzą ją japońscy nauczyciele.

-

Boston? - powiedział Diamond, przerażony. - Wysłać ją do Ameryki? To jeszcze bardziej skołuje to dziecko.

-

Osiągają tam świetne rezultaty Już zabrano tam kilkoro dzieci stąd. To może być dla niej najlepsze rozwiązanie. Nie robimy z nią żadnych postępów, no tak, do dzisiejszego rana. - Urwała, patrząc na

niego z powagą. - Nazywają ją Hagashi School. Hagashi to chyba „nadzieja" po japońsku. Nie sądzisz, że to wspaniały pomysł?

Jeżeli nawet był wspaniały, on się nim nie zachwycił.

-

Słuchaj, wiem, że chcesz jak najlepiej dla Naomi, ale przypuśćmy, że ona nie jest autystyczna?

-

To nic moja decyzja, Peter. Ona jest pod opieką miejscowych władz.

-

Którym niewątpliwie znacznie ulży, kiedy się jej pozbędą.

-

Teraz już jesteś cyniczny.

-

Więc powiedz mi coś. Co dokładnie zrobiono, żeby odnaleźć jej rodziców?

Westchnęła.

-

Policja prowadzi dochodzenie. O ile wiem, nikt dotąd nie dostarczył o niej żadnej wiarogodnej informacji. Nikt nie zgłosił jej zaginięcia. Gdzie są rodzice? Ktoś niewątpliwie dbał o nią do czasu, kiedy ją znaleziono. Była czysta i porządnie ubrana. Została porzucona, Peter, i nie sądzę, żeby rodzice mieli zmienić zdanie. Młode matki czasem się zgłaszają, by odzyskać porzucone niemowlęta, ale to coś innego.

-

Zgoda.

-

Często spotykam rodziców, którzy czują, że nie dadzą sobie rady z upośledzonymi dziećmi; tylko że oni nie zostawiają ich u Harrodsa.

-

Ile to już trwa? Z sześć tygodni?

-

Prawie.

-

W pierwszym tygodniu jej zdjęcia były w gazetach.

-
I w telewizji. Nic to nie dało.

-
W gazetach było tylko małe zdjęcie - powiedział z namysłem - a w telewizji pokazano je tylko w wiadomościach lokalnych. Chciałbym, żeby trafiło do programu ogólnokrajowego, takiego jak „Przegląd kryminalny”.

Julia Musgrove ściągnęła brwi.

-
Nie wiemy, czy popełniono przestępstwo.

-
Porzucenie dziecka w jej wieku?

Pokręciła głową.

-
To nie jest najlepszy sposób dotarcia do jej rodziców. Gdzieś jest jakaś zrozpaczona matka.

-
No dobrze, może uda się pokazać Naomi w „Rozmowach przed kamerą”.

-
„Rozmowy przed kamerą”?

-
Ty byś prowadziła rozmowę, a ją obejrzałyby miliony.

-
Peter, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł sadzać upośledzoną dziewczynkę przed kamerami.

Rozumiał jej opór, ale go nie podzielał.

-
Przyznałbym ci rację, gdyby była bełkoczącą idiotką albo bała się ludzi jak Clive. Ale i ty, i ja wiemy, jak się zachowa w telewizji. Będzie tak samo spokojna jak zawsze. Tak samo opanowana.

Temu nie zaprzeczysz. A kiedy ją pokażą na żywo, efekt będzie o wiele większy. To bardzo duża szansa, że ktoś ją rozpozna.

-

Niezbyt mi się to podoba.

-

A mnie wcale się nie podoba, że dzieciak ma być wyeksponowany do Ameryki, kiedy jego rodzice mogą nadal być w Anglii. Pozwól, że trochę popytam. To jest właśnie taka historia, jaką lubią pokazywać w telewizji. A ona jest takim interesującym dzieckiem.

-

No właśnie! - powiedziała z westchnieniem. - Nie chcę, by ją wykorzystano. Nie mamy prawa robić z niej przedmiotu, na który ludzie będą się gapić. Jeżeli pokaże się w telewizji, to założę się, że za tym pójda gazety. Będziemy mieli na głowie kupę ludzi, którzy chcą ją adoptować lub przysłać jej zabawki.

-

A ona ma jakieś zabawki?

-

Ona się nimi nie interesuje, Peter. Mamy całą menażerię pluszowych zwierząt.

-

A zabawka na kółkach? - zapytał nagle, przypominając sobie obserwacje Ettlintera.

-

Możesz być pewien, że się nimi nie bawi. To nie ten typ. Posłuchaj, telewizja to rozrywka.

A Naomi nie jest rozrywką. To bezbronne dziecko z poważnym upośledzeniem.

-

Na miłość boską, Julio! Ludzie nie będą się z niej śmiać.

Spojrzała na niego przeciągle.

-

Gdyby to chodziło o Clive'a albo Rajindera, nie posyłałbyś ich do telewizji.

-
Pewnie nie do „Rozmów przed kamerą”.

-
A dlaczego nie?

-
Bo nic można przewidzieć, jak się zachowają. Ale oni są inni. Ty i ja wiemy, że Naomi zachowałyby się bez zarzutu.

-
Ach tak? - W jej oczach pokazał się figlarny błysk. - A skąd wiesz, czyby nie ugryzła kamerzysty?

Musiał się uśmiechnąć.

Julia nagle zauważyła pannę Straw, która biegła ku nim od strony domu. Sądząc ze sposobu, w jaki się poruszała, rozłożenia ramion i rozkołysania bioder - miała im coś przerażającego do zakomunikowania i musiała się upewnić, że zostanie wysłuchana z należytą uwagą.

-
Co się stało, panno Straw?

-
Musi pani zajrzeć do pokoju nauczycielskiego, pani Musgrave. Ktoś tam zostawił pisak. Ta Japonka go znalazła i pomazała wszystkie ściany, a dopiero miesiąc temu położono nowe tapety.

Nie widziała pani jeszcze czegoś takiego!

Akt wandalizmu dokonany w pokoju nauczycielskim dostarczył Diamondowi okazji do działalności detektywistycznej, której nie uprawiał, odkąd odszedł z policji. Wykonawca graffiti dokonał skutecznie swego dzieła - ściany były gęsto pokryte bezsensownymi gryzmołami. Nic oszczędził także mebli. Grube czarne linie zamieniły dolną część pokoju w coś, co jeden z nauczycieli określił jako ekspozycję Jacksona Pollocka. To porównanie Diamond puścił mimo uszu, choć wydawało się słuszne.

Nikt, jak się dowiedział, przepytując pannę Straw, nie widział Naomi przy robocie z flamastrem w rękę. Ale miała go, gdy znaleziono ją później w jadalni. I nie chciała oddać.

-
Musiałam jej odginać palce jeden po drugim - twierdziła panna Straw. - Zamierzała to zrobić w całej

szkole.

Jak się okazało, było to fałszywe oskarżenie. Wątpliwe, czy to Naomi była winowajcą. Diamond potrafił wykazać jej niewinność. Kiedy oglądał ściany pokoju nauczycielskiego, zauważył, że bazgroły znajdują się wyżej, niż zdołałaby dosięgnąć Naomi. I tak prawdziwy winowajca został

przyłapano w swojej zwykłej kryjówce za workiem z nasionami trawy w ogrodowej szopie. Clive nie tylko mógł sięgnąć o kilkanaście centymetrów wyżej niż każde inne dziecko w szkole, ale jego ręce i ubranie były upstrzone czarnymi plamami. Okazało się, że zawędrował do pokoju nauczycielskiego, kiedy nikogo tam nie było, dokonał swego, a potem porzucił flamaster w ogrodzie. A Naomi go znalazła.

-

Obawiam się, że panna Straw jest pamiętliwa - zwierzyła się Diamondowi Julia Musgrave. -

Ale ciężko pracuje dla szkoły. Nic wiem, jak byśmy sobie bez niej poradzili.

-

W jednym miała rację - przyznał. - Dureń ze mnie, że zostawiłem tam ten flamaster. - W

tym nastroju do wyznań pochwopnie się zobowiązał do odnowienia pokoju nauczycielskiego -

istotnie surowa

kara. Ten mały kryzys odciągnął ich od ważniejszego problemu, czy pokazać Naomi w telewizji; nie na długo, postanowił.

Kiedy wychodził, obliczając, ile puszek farby będzie potrzebował, Julia go zawołała i wyszła za nim na korytarz.

Zatrzymał się niepewny, czego się spodziewać.

-

Możesz zatrzymać ten flamaster - powiedziała. - Wierz lub nie, ale nie jest jeszcze całkiem wypisany.

Lekko zdziwiony schował go do kieszeni. Ten flamaster był przecież własnością szkoły. Musiała o tym wiedzieć.

-

I naprawdę nie musisz się o to troszczyć... Mam na myśli pokój nauczycielski - powiedziała.

-

To dla mnie drobiazg - skłamał.

-

Doceniam twoją propozycję, ale nie chcę, żebyś myślał, że to cokolwiek zmieni.

-

Prócz koloru pokoju nauczycielskiego - powiedział z uśmiechem.

Kiedy się odwrócił, niemal wpadł na Naomi. Stała tuż za nim, najwidoczniej czekając, bo wyciągnęła do niego rękę. Po raz drugi tego dnia. Zbyt zdumiewające, by mogło być prawdziwe.

On też wyciągnął do niej rękę, a ona natychmiast cofnęła swoją. Nie chciała, mimo wszystko, fizycznego kontaktu.

-

Rób sobie, co chcesz - powiedział, myśląc z goryczą, że kobiety nawet w tak młodym wieku potrafią igrzać z uczuciami uczciwego mężczyzny.

Dość pewnie wyciągnęła rękę po raz drugi, ale tym razem z dłonią tak odwróconą, jakby prosiła o pieniądze.

-

Co to jest, Naomi? - zapytał, schylając się do niej. - Co próbujesz mi powiedzieć?

Jej oczy utraciły zwykłe szkliste spojrzenie. Skupiła wzrok wyraźnie na nim, zmarszczyła czoło w koncentracji, zaczęła poruszać ręką jak żebrak na bazarze w Kairze.

-

Jesteś głodna? - zapytał.

O cokolwiek by chodziło, naprawdę próbowała coś mu powiedzieć - olbrzymi postęp po sześciu tygodniach bierności - on może w zamian mógłby przynajmniej odgadnąć jej życzenie.

-

To nie mogą być pieniądze.

Kiedy pochylił się niżej, odsunęła połę jego marynarki i sięgnęła do wewnętrznej kieszeni.

-

Młoda damo - powiedział - jesteś bardziej obcesowa, niż ktokolwiek by się spodziewał.

Ale ona nie szukała jego portfela. Chodziło jej o flamaster, który wsunął do kieszeni po spotkaniu z Julią. Naomi go wyjęła i przytuliła do piersi obiema rękami, jak najbardziej upragnioną rzecz na świecie.

-

Boże, miej nas w swojej opiece! - powiedział do niej. - I co ja teraz zrobię?

Był to istotnie dylemat. Jeżeli pozwoli jej zatrzymać flamaster, to ktoś - a przy jego szczęściu będzie to panna Straw - na pewno to zauważy i doniesie reszcie szkoły, że mają pośród siebie piątą kolumnę. Julia Musgrave poczuje się zdradzona. Z drugiej zaś strony, jeżeli będzie się upierał, by odebrać flamaster Naomi, podepcze i zniszczy na zawsze pierwsze pędy uczucia, które wyhodował.

Przypomniawszy sobie, co mówiła panna Straw, że musiała jej odginać palce jeden po drugim. Ten flamaster stanowił skarb dla dziecka, to było oczywiste. Postanowił go jej zostawić i podjąć ryzyko, że Clive może jej go wyrwać i dalej mazać. Był jednak święcie przekonany, że Naomi łatwo nie odda swojej zdobyczy.

Łagodnie położył rękę na jej ramieniu i skierował ją do pokoju nauczycielskiego. Była tak uległa jak nigdy dotąd, co go upewniło, że nie może odebrać jej tego flamastra. Wchodząc do środka, nie myślał

o dokonaniach Clive'a, był więc na nowo zaszokowany rozmiarem gryzmołów. Nikt nie siedział w pokoju nauczycielskim, Diamond mógł zrozumieć dlaczego. Podprowadził Naomi do najgęściej zabazgranej ściany.

-
Widzisz, co się stało? - powiedział z nadzieją, że choć słowa nic dla niej nie znaczą, podzieli jego oburzenie. - To sprawka Clive'a. Ty byś tego nie zrobiła, prawda? Zatoczył w powietrzu krąg ręką, żeby wzmocnić to przesłanie.

Stała poważnie naprzeciw zniszczonej ściany. Zaniepokojony, że może być zbyt szorstki, odruchowo chciał pogładzić ją po włosach, a potem stwierdził, że nie powinien. Taki gest mógłby być źle zinterpretowany przez innych i przez samo dziecko. Ale jego dłoń już była na jej głowie, więc tylko lekko zmierzwił jej czarną czuprynkę, nadal czując, że nie powinien sobie na to pozwolić.

Blok, którym wcześniej się posłużył, wciąż leżał na stoliku, otwarty na rysunku przedstawiającym Naomi. Zwinął go i podał go małej.

-
To jest do rysowania. Jest twój. Dobrze?

Zdawała się rozumieć. Jej oczy krótko spotkały się z jego wzrokiem i wetknęła sobie blok pod pachę.

-
Teraz sprawdźmy, gdzie powinnaś być o tej porze.

Znalazł jej klasę na lekcji oznaczonej w planie zajęć jako lekcja muzyki, która polegała na bezładnym waleniu w bębenki, podczas kiedy odlotowa dziewczyna w czarnym męskim kapeluszu brzdąkała coś na gitarze. Naomi usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, z dala od innych, wciąż trzymając blok rysunkowy i flamaster. Nie chciała wziąć bębenka, który znalazł dla niej Diamond. Ukłonił się nauczycielce i wyszedł.

Teraz trzeba było powiedzieć Julii Musgrave, że powierzył flamaster Naomi. Nie chciał, żeby ta wiadomość dotarła do niej za pośrednictwem panny Straw ani nikogo innego. Wierzył, że potrafi się jakoś z tego wytłumaczyć.

Julia nie była sama w swoim biurze, ale zaprosiła go, by wszedł, jej gościem był brodaty łysiejący mężczyzna w brązowej sztruksowej marynarce z łatami na łokciach. Na kolanach miał teczkę z dokumentami, a z szyi zwisał mu na sznurku gruby ołówek, z czego Diamond wnioskował, że to pracownik opieki społecznej. Był jednak w błędzie.

-
Doktor Dickinson jest psychiatrą dziecięcym - wyjaśniła Julia. - Przyszedł tu obejrzeć Naomi.

-
Jeszcze jedno oględziny? - powiedział Diamond dość spokojnie, zważywszy na dzwonki alarmowe, jakie rozdzwoniły się w jego głowie.

-
Dla ambasady japońskiej. - Doktor Dickinson powiedział to tonem „wszyscy wiemy, jak toczy się ten świat”, nieznoszącym żadnego sprzeciwu. - Chcą znać moją opinię, czy dziecko jest autystyczne. Jest pomysł, by ją wysłać do Hagashi School do Bostonu, jeśli się to okaże dla niej korzystne. Ma dziewczyna szczęście.

-
A to dlaczego?

Dickinson ściągnął brwi.

-
Opłata przekracza tam możliwości większości ludzi: około trzydziestu tysięcy dolarów rocznie.

-
Pieniądze nie robią na mnie wrażenia.

-
Ale na mnie zrobiło głębokie wrażenie wszystko, co czytałem o tej szkole - odciął się Dickinson. - Skoro, jak rozumiem, Naomi jest Japonką, to szczęśliwe rozwiązanie.

-
Tak pan sądzi?

-
Pan Diamond ma pewne zastrzeżenia - wtrąciła szybko Julia Musgrave.

-
Och! A jakąż jest pańska specjalność? - zapytał Dickinson z miażdżącą pogardą.

-
Dochodzenie do prawdy - odpowiedział Diamond. - Jestem, a raczej do niedawna byłem, detektywem.

Dickinson złapał dech i zwrócił się do Julii Musgrave.

-

Doprawdy nie mogę pojąć, dlaczego jakiś detektyw...

Julia Musgrave pokrótce wyjaśniła powody obecności Diamonda w szkole i skończyła uwagą, że właśnie tego ranka jego wytrwałość przyniosła wspaniałe owoce.

-

Och! I cóż to takiego?

-

Naomi wstała z krzesła i wzięła mnie za rękę - poinformował go Diamond.

-

Może to brzmi nieznacząco, ale to prawdziwy postęp.

-

Miejmy nadzieję - skomentował psychiatra tonem, który świadczył o czymś wręcz przeciwnym. - Na nieszczęście autyzm niesie wiele fałszywych nadziei; nie to, żebym miał

kwestionować dokładność pańskich relacji o tym doświadczeniu. W przypadku takich dzieci ma się zawsze pokusę wyciągania nienaukowych wniosków z ich zachowania. Pan zakłada, że kiedy wzięła pana za rękę, chciała wyrazić swoje zaufanie czy uczucia. Przeciwnie...

-

Wcale tego nie powiedziałem - przerwał mu Diamond. - Powiedziałem tylko, że wstała z krzesła i wzięła mnie za rękę. A co do nienaukowych wniosków, dziwię się, że mówi pan o autyzmie Naomi, zanim pan ją zobaczył.

-

Specjalizuję się w autyzmie - powiedział lodowato Dickinson. - Nie zaproszono by mnie tutaj, gdyby dziecko nie przejawiało autystycznych skłonności.

Julia Musgrave uznała za słuszne przerwać tę wymianę zdań.

-

O co chodzi, Peter? To coś pilnego?

-

Coś, o czym chciałem, żebyś się dowiedziała ode mnie, nim usłyszysz od kogoś innego -

odrzekł i opowiedział jej, jak Naomi odzyskała flamaster. - Nie masz nic przeciwko temu? - spytał

w końcu ośmielony tym, że słuchając, niejeden raz skinęła głowa.

-

Chętnie podejmę to ryzyko - odpowiedziała Julia. - Wszystko jest lepsze od tej bierności, którą przejawia tak długo. Tak, to naprawdę dobrze wróży. Nareszcie wykazała jakąś aktywność.

Doktor Dickinson, niezbyt taktownie, przedstawił własną interpretację tego faktu:

-

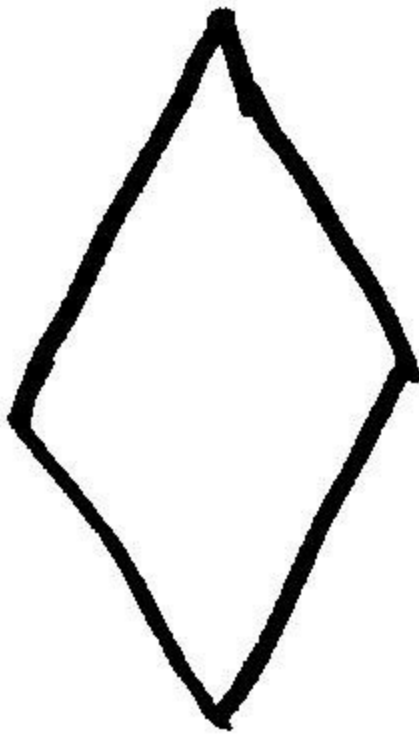
To bardzo charakterystyczne. Autystyczne dzieci często wykazują chęć posiadania jakichś przedmiotów, i to wyjątkowo silną. Lusterka, kółka, kawałki pogniecionego papieru. Nie chcą się z nimi rozstać. To kompulsywne. - Wyjął ze swojej teczki notes i coś zapisał.

-

Ach, to ołówek? - rzucił Diamond. - Myślałem, że to naszyjnik. - Zaraz pożałował, że wymknęła się mu ta złośliwość, nie dlatego żeby w najmniejszym stopniu miał się przejmować wrażliwością doktora Dickinsona, ale dlatego że nie było mądrze podsycać jego wyraźnej niechęci do siebie. To mogło przesądzić o jego ocenie Naomi. Najpierw powiedzieć, a potem pomyśleć - to przysparzało kłopotów Diamondowi nieraz w przeszłości, i przysporzy znowu. Uznał, że lepiej będzie, jeśli od razu wyjdzie z gabinetu Julii.

Padł na fotel w pokoju nauczycielskim, ubolewając nad swoim niskim statusem w szkole. Za czasów kiedy był w policji, mógł uchylić decyzję Dickinsona czy innego psychoanalityka, jeśli zagrożone było dobro dziecka. Nie kupiłby tych bredni o zachowaniu koinpulsywnym. No dobra, pomyślał. Nie kupiłem ich. Ale pokazałbym mu cholerne drzwi.

Nie był pewien, jaką taktykę obierze Julia Musgrave. Jej spokój był nieocenionym atutem w takiej szkole jak ta. Była przystępna i otwarta na sugestie, co niestety oznaczało, że ludzie tacy jak Dickinson znajdowali u niej posłuch. Pod naciskiem psychiatrów, ambasady japońskiej i rady miejskiej może uznać za trudne, wręcz niemożliwe, zatrzymać Naomi. Była pod ostrzałem ze wszystkich stron. Jeden wylany policjant, przekonany, że wszyscy inni się mylą, nie jest kawalerią Stanów Zjednoczonych przychodzącą z odsieczą.



Jego rozmyślania przerwało pobrzękiwanie bębenków niesionych korytarzem. Do pokoju wtoczyła się nauczycielka muzyki z instrumentami w rękach i gitarą zawieszoną na plecach, nadal w czarnym kapeluszu. Zwaliała to wszystko na krzesło i podeszła do czajnika.

-

Kawy?

-

Nie powiem nie.

-

Dziękuję za przyprowadzenie Naomi. Nie wiedziałam, gdzie jest.

Kiwnął głową.

-

Czy interesuje ją muzyka?

-

Nie zauważyłam. Może wolałby pan herbatę?

-

Co pani ma.

Czekali na wodę. Dziewczyna, sądząc z akcentu Australijka, spytała:

-

Nazywa się pan Diamond, prawda?

-

Tak.

-

Niech pan zaczeka. Muszę coś panu pokazać. Moment. - Odeszła, żeby zrobić kawę.

Wkrótce wróciła z dużym arkuszem papieru.

-

Wiedział pan, że ma pan cichą wielbicielekę? - Podniosła kartkę. Patrzył, oczom nie wierząc.

-

Czy to zrobiła Naomi?

-

A któżby inny? I to na mojej lekcji. Nie chciała grać na bębenu u mnie, bo myślała o panu.

Znak na papierze był śmiały i wyrazisty.

Rozdział 11

Między World Trade Center a gmachem nowojorskiej Telephone Company widniał wąski prostokąt błękitu. Rzeka Hudson. Oglądana z biura Manny'ego Flexnera, z wysokości trzydziestego pierwszego piętra budynku Manfleksu przy West Broadway, jasno połyskiwała w porannym słońcu. Okna w biurze Manny'ego sięgały od podłogi do sufitu i były podzielone w środku. Manny obstawał przy tym, by górna połowa była stale uchylona. Lubił, gdzie tylko mógł, czuć świeże powietrze. Był to jeden z tych rozkosznych dni, kiedy podmuch wiatru jest leciutki, a temperatura idealna.

Patrzył na rzekę i rozmawiał przez telefon ze swoim synem Davidem w Mediolanie, a to, co słyszał, sprawiło mu niezmierną przyjemność. Dlaczego każdy poniedziałkowy poranek nie może być taki?

-
Zebranie przebiegło lepiej, niż mogłem się spodziewać - mówił David. - Mieliśmy parę trudnych pytań, dotyczących decyzji zamknięcia fabryki, ale większość zebranych rozumiała problem i doceniała naszą troskę o ich przeniesienie do Rzymu. Naprawdę wszystko odbyło się w niezwykle cywilizowany sposób.

-
Dziękuję ci za ciężką pracę - powiedział z uznaniem Manny. - Odrobiłeś lekcję. Ludzie to docenią. Ilu z nich chce się przenieść do Rzymu?

-
Piętnastu do dwudziestu. Kolejnych dwudziestu potrzebuje więcej czasu na podjęcie decyzji.

-
Ilu z nich to pracownicy naukowcy?

-
Ośmiu, według ostatniego szacunku.

-
Nieźle. Chcesz utrzymać badania na wysokim poziomie. Normą w przemyśle jest jedna trzecia nakładów na badania, dwie trzecie na rozwój. Zawsze się o to starałem. A co z propozycją odpraw?

-
Związek zawodowy domaga się większych, ale takie jest zadanie związku. Czuję, że są skłonni do ugody.

Manny westchnął z zadowoleniem.

-
Odwaliłeś kawał dobrej roboty, Dave. Czy wiadomo już, co spowodowało pożar?

-
Nie, policjanci nie wrócili. Posłałem im listę wszystkich obecnych na zebraniu. Chyba nie będą z tego zadowoleni, bo wyliczyliśmy się z każdego pracownika figurującego w naszych księgach. Zauważyłem, że skłaniają się do teorii, że to robota kogoś stąd.

Nie zidentyfikowano zwłok w alfie romeo?

-

O ile wiem, nie.

-

Może ubezpieczyciel wie coś więcej?

-

Wątpię. Wszyscy pogodzili się z tym, że to musi potrwać. Tato, jeżeli u ciebie wszystko w porządku, mógłbym chyba pod koniec tygodnia wziąć parę dni wolnego i pojechać do Wenecji, tak jak proponowałeś. Rico da sobie radę.

-

Wenecja? - Manny zastanawiał się przez chwilę, a potem podjął decyzję. - Oczywiście, synu, zasłużyłeś na to. Jestem dumny z tego, co

robisz. Ale nie czekaj. Jedź zaraz. I nie mów Ricowi, gdzie się zatrzymasz. Zrób sobie prawdziwe wakacje. Rozumiesz?

-

Nie ma pośpiechu, tato. Mam jeszcze kilka umówionych spotkań.

-

Odwołaj je - powiedział poważnie Manny. - Zrób to dla mnie. Rzuć to wszystko w diabły, jeżeli chcesz zobaczyć Wenecję. I, Dave...

-

Tak?

-

Kocham cię, synu.

-

Kocham cię, tato - odparł David rozbawiony.

-

Uważaj na siebie.

Oczywiście.

Manny odłożył słuchawkę. Na jego biurku leżało wiele napisanych przez niego odręcznie listów.

Wybrał list zaadresowany do syna i napisał na kopercie: „Mam nadzieję, że Wenecja okazała się cudowna”. Potem wstał, nalał sobie brandy z barku i wychylił ją duszkiem.

Zdjął okulary do czytania i włożył je do szkatułki na biurku. Potem wyciągnął portfel, zawierający karty kredytowe i kilka banknotów, i położył go obok szkatułki z okularami.

Po drugiej stronie gabinetu stał owalny mahoniowy stolik i cztery mahoniowe krzesła. Manny wybrał jedno z nich, przeniósł je pod okno, by wejść po nim na szafkę na dokumenty z tekowego drewna. Jego ruchy były skoordynowane, automatyczne i jak na śmiertelnie chorego człowieka niezwykle żywe. Mógł stąd z łatwością wejść na jedno z okien i tak właśnie zrobił. Stał oboma nogami na metalowej ramie i kołysał się, przytrzymując rękami. Miał nad sobą dużo miejsca, nie musiał się garbić.

Nie patrzył w dół. Widział połyskujący przed nim odcinek rzeki Hudson i dalej New Jersey. Dla Manny'ego, w jego stanie umysłu, ta rzeka mogła równie dobrze być Jordanem, a ciągnący się za nim kraj Ziemią Obiecaną - jaka pokrzepiająca myśl. Kiedy skoczył, nadal patrzył przed siebie i gdy zaczął spadać, też wpatrywał się w odległy brzeg, wpatrywał się weń dopóty, dopóki zdołał.

Rozdział 12

Zanim następnego ranka wszyscy prócz panny Straw przyszli do szkoły, Diamond już był w pokoju nauczycielskim, robiąc pośrodku wyspę z pozsuwanych biurek i innych mebli. Wcześniej w sklepie dla majsterkowiczów na Hammersmith kupił dwie trzylitrowe puszkę z winylową matową farbą emulsyjną, w odcieniu określonym jako morela. Kolor próbki wskazywał, że będzie pasował do mebli, a przekonał się do zakupu tym łatwiej, że sprzedawano ją tego dnia, i tylko tego dnia, ze specjalnym rabatem. Z pieniędzmi, które zaoszczędził, poszedł do sklepu z zabawkami po drugiej stronie ulicy i kupił samochodzik napędzany kółkiem zamachowym. Miał zamiar dać go potem Clive'owi. Ten szkolny mały wandal zajął swoje miejsce w jego sercu, mimo dodatkowej pracy, jakiej mu dostarczył.

Za dziesięć dziewiąta w roboczym kombinezonie przeciągał już wałkiem z farbą po ścianie za drzwiami, kiedy pojawiła się pierwsza przedstawicielka ciała pedagogicznego.

Co to jest? - zapytała Sally Trurnan, która zajmowała się najmłodszymi.

Malowanie.

-
A, to pan.

Zanurzył wałek w farbie i położył następny pas moreli. Mimo że nauczyciele zaczęli się schodzić, nie zamierzał odkładać narzędzi, czując, że zasłużył na uznanie za wysiłki ponoszone dla publicznego dobra.

-
Jak się pani dziś czuje? - zapytał Sally.

-
Byłam zaspana, póki tu nie zajrzałam. Ten kolor mnie obudził.

-
Podoba się pani?

-
Mam nadzieję, że zblednie, kiedy wyschnie. Tak na ogół bywa. Co to jest?

-
Morela.

-
Moim zdaniem wygląda raczej jak pomidor. Pozwoli pan, że zdejmę płachtę i znajdę swoje biurko?

Przez następne pół godziny obsypywano go pochwałami, choć zdawała się panować powszechna zgoda co do tego, że powinien zapłacić o funt czy dwa więcej i kupić magnolię albo inny mniej ostry kolor. Wysłuchiwał tego z pogodą i pokrywał farbą przyprawiające o oczopląs malowidła ścienne Clive'a. O dziesiątej był gotów na przerwę na kawę, a to wymagało przesunięcia biurek, by się dostać do czajnika. Zamalował już dwie ściany. Kiedy spojrzął za siebie, efekt jego pracy wydał mu się czerwiejszy od moreli.

Zyskał jednak mnóstwo życzliwości za swoje usiłowania i nikt nie skarżył się na bałagan.

Wyszperali pod płachtą ochronną krzesła i rozsiedli się jak zwykle z filiżankami kawy, pytając o rozwój wydarzeń, odkąd wyszli z pracy. Głównym tematem dnia był wczorajszy rysunek Naomi. W małej szkółce każdy nauczyciel znał każde dziecko.

-

Świetna wiadomość, Peter - powiedział zastępca szefowej, John Taffler. - Po tych wszystkich staraniach, jakie włożyłeś w to dziecko, zasługujesz na sukces.

Diamond był mniej optymistyczny. Miał za sobą noc, by to wszystko przemyśleć.

-
Cieszyłbym się bardziej, gdyby to było coś, czego ją nauczyłem.

Taffler pogroził mu palcem.

-
Nie bądź niewdzięcznikiem. To przecież rozpoznanie. To twoje nazwisko. Zauważyła twoje istnienie.

-
Nie założyłbym się o to.

-
To po co rysowałaby diament? Ona zna twoje nazwisko.

Rozejrzał się po ich twarzach.

-
Skąd by miała znać ten symbol? Ja go jej nie podpowiedziałem, ani nikt inny, o ile mi wiadomo.

-
A może to karo, a ona gra w pokera? - powiedział ktoś i kilka osób się roześmiało.

-
To dowodzi, że mówi po angielsku - stwierdziła Sally Truman. - To chyba teraz jasne?

Diamond ponuro przypomniał, że Naomi w ogóle nie mówi.

-
No to rozumie - upierała się Sally. - Usłyszała pańskie nazwisko i skojarzyła je z tym kształtem. Próbuje nawiązać kontakt.

Jeden z pólétatowców wyraził wątpliwość, którą podzielał również Peter Diamond.

Nie przywiązujemy do tego zbyt wielkiej wagi. Dziecko mogło narysować tę figurę całkiem przypadkowo. Nigdy tego nie powtórzy.

-

Może nie mieć do tego okazji - odezwał się Taffler namaszczonym tonem kogoś, kto jest w posiadaniu poufnych informacji. -W każdym razie nie tutaj. Słyszeliście, że Olly Dickinson, psychiatra, który tu był wczoraj, uznał ją za autystyczkę? Zabierają do Ameryki, kiedy tylko uda się to zorganizować.

Diamond od dawna obawiał się, że usłyszy coś takiego, ale i tak poczuł uderzenie krwi.

-

Szkoła pozbywa się dziecka, dla którego nie potrafi nic zrobić, podobnie jak opieka społeczna. Policja zawiesza poszukiwania. Dickinson zgarnia honorarium. Ambasada wyklada forszę i rozgrzesza swoje zbiorowe sumienie. W Ameryce realizują czek i wciągają do spisu nowe nazwisko. Fajnie dla wszystkich, prócz jednej małej dziewczynki, która nie może powiedzieć słowa, by temu zapobiec. - Wstał i ruszył prosto do gabinetu Julii Musgrave.

Otworzył z rozmachem drzwi.

-

Kiedy ma wyjechać? - zapytał bez wstępów.

Julia uniosła głowę znad papierów rozłożonych na biurku. Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, niewątpliwie na widok jego kombinezonu. Nie zajrzała dotąd do pokoju nauczycielskiego.

-

Dlaczego nie siadasz, Peter?

-

Bo jestem wściekły, dlatego. Powiedz mi, ile mam czasu. To wszystko, co chcę wiedzieć.

-

Jak to - ile masz czasu?

-

To jasne. Żeby znaleźć jej rodzinę.

Twarz jej pobladła.

-
Nie jestem wobec ciebie niewdzięczna, Peter, doceniamy wszystkie wysiłki, jakie włożyłeś w Naomi - przyznała. - Muszę ci tylko przypomnieć, że jesteś ochotnikiem. Nic dałam ci żadnych uprawnień do decydowania ojej przyszłości.

Nie potrząsnął przed nią pięścią, tylko ją zacisnął i walnął w przestrzeń przed sobą.

-
Mówisz o przyszłości, a ja próbuję odtworzyć jej przeszłość. Ty i twoi kumple wolelibyście ją zmieść pod dywan.

Spojrzała na niego tak, jakby ją uderzył.

-
To mnie zabolalo - powiedziała, ścisząc głos, żeby nad sobą zapanować. - Naprawdę zabolalo. Jeśli chcesz wiedzieć, przekonywałam, prosiłam, żeby Naomi tu została, dopóki nie wyczerpiemy wszystkich możliwości. Przegrałam jednym głosem.

Zapadła chwila napiętego milczenia.

-
Przepraszam. - Postąpił parę kroków w jej stronę, podnosząc ręce w bezradnym geście niezadowolenia z siebie. - O Boże, znowu wrzeszczę, nie próbując najpierw poznać faktów. Jest mi bardziej przykro, niż to potrafię wyrazić.

Potrząsnęła głową w sposób, który oznaczał, że wszelkie słowa mogą ją tylko jeszcze bardziej przygnębić.

-
Pewnie w niedzielę - powiedziała.

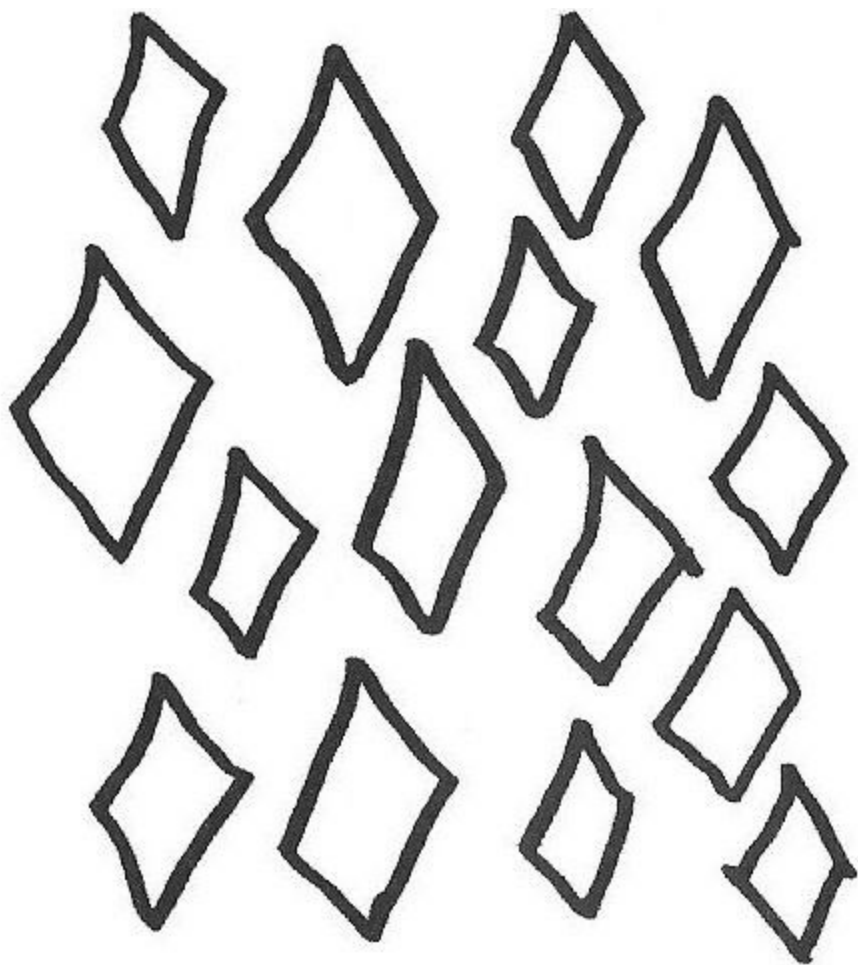
Niedziela.

Cztery dni.

Kiedy wrócił do pokoju nauczycielskiego, nikogo już tam nie było. Zamiast wziąć się do wałka, wyciągnął spod płachty książkę telefoniczną i zaczął wydzwaniać do stacji telewizyjnych, zabiegając o udział w programie tak, jak zamierzył, o okienko w porze największej oglądalności.

Za każdym razem prosił o rozmowę z redaktorem dyżurnym. Kiedy zauważył, że go spławiają i łączą tylko z zastępcami, bez skrępowania powoływał się na swoją dawną rangę w policji i żądał

rozmowy z kimś na wyższym stanowisku. W śmiałym stylu z czasów pracy w wydziale zabójstw przedzierał się uparcie przez BBC, Thames TV i Sky, dobijając się do wszystkich audycji



śniadaniowych, południowych debat w studiu, programów dla kobiet i wieczornych i nocnych talk-show. Nie pominął niczego, żeby sprzedać temat nierozwiązanej tajemnicy małej dziewczynki, która spowodowała alarm u Harrodsa i od ponad dwóch miesięcy nikt nie poznał jej tożsamości.

Większość rozmówców zbyła go. Kilku odesłało go gdzie indziej, a niektórzy wzięli jego numer telefonu i obiecali, że jeśli ich zespół programowy (czy kto tam) wyrazi zainteresowanie, oddzwonią.

Nie pozostawało mu nic innego, jak zabrać się z powrotem do wałka. Do przerwy na lunch praca była skończona, ale nikt nie zadzwonił. Bolały go ramiona i zaschło mu w gardle. Weszła pani Straw, w zatwardziałości serca udając, że nie widzi nieskazitelných połyskujących ścian, i wskazała mu kilka plam po farbie na podłodze. Zapewnił ją, że farba jest zmywalna i łatwo da się ją usunąć.

Ale czując się tak, jak się czuł, nie rzucił się natychmiast do czyszczenia pobrudzonych miejsc, pani S. urządziła więc demonstrację, chwytając za kubel i ścierkę i obficie moczając całą podłogę, właśnie kiedy ciało pedagogiczne schodziło się na przerwę.

Ale coś podniosło go na duchu, choć nie był to komplement dla jego malarskiej roboty. John Taffler chwycił go za ramię i powiedział:

- Chodź i popatrz, kolego.

Diamond ruszył do ogrodu, dokąd wyszły już dzieci. Na niskim murku koło ogródka warzywnego siedziała Naomi. Miała na kolanach blok rysunkowy i posługiwała się flamastrem, całkowicie tym zajęciem zaabsorbowana.

Diamond ostrożnie podszedł do niej tak blisko, by zajrzeć jej przez ramię i zobaczyć, co robi.

Narysowała piętnaście rombów w kształcie diamentu, z grubsza takich samych wymiarów, każdy osobno.

- I co ty na to? - zapytał Taffler. - To nie jest na chybił. Ona je ustawia szeregami.

Rysunek ucieszył i zdziwił Diamonda.

Taffler przykucnął przy Naomi.

-

To ładne - powiedział. - Śliczne! Diamenty. - Poklepał kilka razy figury geometryczne. -

Diament, diament, diament. - Potem wskazał do góry. - Pan Diamond. To nam chciałaś, kochanie, powiedzieć. Prawda?

Dziecko przerwało robotę i na chwilę spojrzało w górę. Niestety, nie było w jej spojrzeniu nic, co potwierdzałoby założenie Johna Tafflera, nic, co choć z grubsza wskazywałoby, że miała na myśli Diamonda. Zmarszczyła brwi i odwróciła się.

-

Dziękujemy Bogu za to, co mamy - powiedział Diamond, który postanowił nie szukać dziury w całym. - Posługuje się flamastrem, i to już jest postęp.

-

No dobrze. - Taffler się wyprostował. - Wyszła przynajmniej ze stanu absolutnej bierności -

dodał i ruszyli stronę budynku. - Szkoda, że nie rysuje nic innego. To może być obsesyjne.

Diamond nie był w nastroju, by podzielać tę obawę. Nie uradował się też zbytnio, zastając w pokoju nauczycielskim doktora Ettlintera roztaczającego przed jedną słuchaczką - panią Straw -

swoje poglądy na temat koloru w miejscu pracy. Kolor morelowy, czy jak go nazwał Ettlinger, pomarańczowy jest wysoce niestosowny dla wspólnego pomieszczenia, gdyż pobudza agresję.

Czerwony i pomarańczowy to kolory żaru i namiętności. Słuchając tego wszystkiego, Diamond nie mógł już się doczekać orgii przy kawie i kanapkach z serem. Jakby nie dość było nabijania podejrzeniami głowy pani Straw, Ettlinger przeszedł do rozważań o tym, że ktoś, kto wybrał tak niestosowny kolor, zapewne pilnie potrzebuje leczenia. W jego osobowości musi tkwić głęboko

ukryty i niebezpieczny pierwiastek agresji.

Diamond, wciąż w pochłapanym farbą kombinezonie, zauważył:

-

Zapewniam pana, doktorze, że go znajdę. I uduszę go gołymi rękami.

Słyszając to, pani Straw opuściła pokój, zostawiając w nim kubek i ścierkę.

Nawet Ettlinger, srogi Ettlinger, zdobył się na uśmiech. Umiał docenić żart, choćby nawet skierowany pod jego adresem.

-

Nie wiedziałem, że ma pan tendencje samobójcze - powiedział namaszczonym tonem. -

Samouduszenie nie jest proste.

Dziwne, ale ta abstrakcyjna rozmowa zbliżyła obu mężczyzn, jakby przełamała lody. Diamond przyznał, że rozgniewała go - ale nie samobójczo - decyzja o wyjeździe Naomi. Ettlinger nic o tym nie wiedział. Podzielił oburzenie. Diamond uważał się przecież za ulubionego psychiatrę szkoły.

Diamond zaproponował mu kawę i włączył czajnik.

-

Nie powinienem tego mówić o koledze po fachu, ale powiem - oświadczył Ettlinger. -

Dickinson powinien się wstydzić. Żaden psychiatra nie może orzec autyzmu po jednym spotkaniu, szczególnie w przypadku takiego dziecka jak Naomi, której zachowanie jest przeważnie bierne.

-

Mógł się pomylić?

-

Dopuszczam różne możliwości.

-

Pamiętam - powiedział Diamond, szukając sposobu, by wycisnąć więcej informacji z tego nowego źródła. - Ale tak poza protokołem, czy jest jakieś inne wytłumaczenie faktu, że ona nie mówi?

Oczy Ettlingera zamrugały trzykrotnie za grubymi soczewkami.

-

Lubi pan trochę mieć wodę?

-

Tak bym tego nie nazwał. Ale próbuję złowić w niej rybę.

-

No dobrze. Niewykluczone, że to przypadek mutyzmu fakultatywnego.

-

Może pan powtórzyć?

Ettlinger powtórzył i wyjaśnił.

-

Jest to zaburzenie psychiczne występujące u niektórych trzylatków i starszych dzieci. Coś powstrzymuje je od mówienia. Czasem przejawia się to w szkole, choć w domu mówią normalnie.

W najcięższych przypadkach milkną całkiem i trwa to całe miesiące, a nawet lata.

-

Czy to się leczy?

-

Nie ma na to jednego lekarstwa. Wyrastają z tego, poddaje się terapii niektóre z nich. Ale trudno powiedzieć, czy by się z tego i tak nie wyleczyły. Najlepsze rezultaty, jakie się osiąga, to jeden na jeden. Nic zawsze jest pożądane umieszczanie takich dzieci w jednej klasie z dziećmi, cierpiącymi na jakieś inne zaburzenia. Dziecko autystyczne może je świadomie lub nieświadomie naśladować.

-

Małpuje ich zachowanie?

Ettlinger kiwnął głową.

-

Takie jak gryzienie?

Doktora się uśmiechnął.

-

Czemu nie?

Teoria mutyzmu fakultatywnego wydawała się Diamondowi coraz bardziej możliwa do przyjęcia.

-

Czy wyjaśnia ona także unikanie kontaktu wzrokowego? - zapytał.

-

Nie uważałbym tego za zachowanie, jakie dziecko może podejrzeć u innych - powiedział

Ettlinger. - Jeśli jednak ta dziewczynka zachowuje milczenie, będzie zapewne unikać sytuacji, które wymagają odpowiedzi. Dlatego może odwracać wzrok od ludzi.

-

Mówi pan, że nikt nie zna przyczyny tego... jak mu tam?... fakultatywnego...

-

...mutyzmu. - Ettlinger wzruszył ramionami - Niczego nie można uogólniać. Czasem uważa się, że powoduje go niechęć do szkoły. Przenosi się dziecko do innej szkoły czy do innej klasy i mowa powraca. Ale w większości przypadków zaczyna się wcześniej i problem bynajmniej nie jest prosty ani łatwy do rozwiązania. Może być wynikiem zaburzeń emocjonalnych, których dorośli nie są świadomi.

Diamond zrobił kawę i podał lekarzowi parujący kubek.

-

Naomi została rozdzielona z rodzicami. Być może porzucona. Czy chodzi o taki rodzaj zaburzenia?

-

Tak, takie dramatyczne przejście może doprowadzić do traumy.

-

Trauma? To jakaś nowa gra.

Ettlinger się skrzywił na tę metaforę, dając jasno do zrozumienia, że kumpelstwo ma swoje granice.

-

Określiłbym traumę jako głęboką ranę emocjonalną, uraz psychiczny

-

Może spowodować niemotę u dziecka?

-

Oczywiście.

-

I jest uleczalna?

-

Powiedzmy, że to stan przejściowy.

-

A więc Naomi odzyska mowę?

-

Nie omawiałem jakiegoś konkretnego przypadku.

Diamond pokiwał głową.

-

A więc pojawi się jeszcze jedno możliwe wyjaśnienie. Mieliśmy dotąd autyzm, mutyzm fakultatywny, a teraz traumę.

Ettlinger się rozpromienił.

-

Czy już dostatecznie zmaciliśmy wodę?

Diamond przytaknął. Zamieszanie nie było jego celem, wręcz przeciwnie. Zyskał poparcie specjalisty w zakwestionowaniu tezy, że Naomi jest autystyczna. Nie miał dostatecznej siły przebiccia, by zapobiec wsadzeniu jej w niedzielę do samolotu do Bostonu, ale poczuł się utwierdzony w przekonaniu, że słusznie przeciwko temu protestuje.

Tego popołudnia pojawiła się nowa zachęta. Telefon z BBC. Wielkoduszny producent, który rano nie dawał mu cienia nadziei, rozmawiał przy lunchu z czyjąś sekretarką z Centrum Telewizyjnego.

A ona powiedziała słówko o Naomi swojemu producentowi, temu, który teraz właśnie dzwonił. Od dwóch tygodni szedł w BBC2 nowy program, o którym Diamond nigdy nie słyszał, pod tytułem „A co z dziećmi?”, nadawany w piątki po południu, o dzieciach i prowadzony przez dzieci. Składa się głównie z dwu- czy trzypięciominutowych kawałków, takich jak piosenki, tańce, tresura zwierząt, quizy,

pokaz zabawek, wywiady z dziećmi, które pojawiły się w wiadomościach, i z dorosłymi, takimi jak pisarze i artyści tworzący dla dzieci.

Wszystko to brzmiało dość chaotycznie, ale Diamond był na tyle ostrożny, żeby nie zdradzić się z tym wrażeniem.

-

Jestem pewien, że dzieciaki to uwielbiają.

-

Dziwne, ale oglądalność nie jest wcale zachęcająca - przyznał producent, który przedstawił się jako Cedric Athelhampton. - Jesteśmy tuż za „Tin-Tincm” i „Jackanory”. Kontrolerzy oglądalności dadzą nam przetrwać, jeśli wprowadzimy treści edukacyjne, społeczne i tym podobne. Próbuje włączyć w ten program sprawy większej wagi.

To spróbujcie mnie, zażartował w myślach Diamond. W rzeczywistości czuł się w tej chwili lżejszy od powietrza.

-

Szukacie poważnych tematów?

-

Właśnie. Ale muszą być przekazane w sposób prosty i bezpośredni. I dotyczyć dzieci.

Dlatego zainteresowałem się, kiedy usłyszałem o waszej Japoneczce. To ta dziewczynka znaleziona u Harrodsa?

-

Tak.

-

Nadal nie mówi ani słowa?

-

Ani sylaby.

-

I nikt jej nie rozpoznał? Powiem panu, panie Diamond, jak ja to widzę. Mam pewien twórczy pomysł. Przedstawimy to jako wyzwanie. Chwyta pan?

Z podziwu godnym opanowaniem Diamond zapewnił, że śledzi jego tok myślenia.

Głos Cedrica Athelhamptona to przybierał na sile, to opadał w przewidywaniu zdarzeń:

-

To wciągnie naszą widownię. Dzieci uwielbiają się bawić w detektywów. Zobaczymy, czy ktoś zna ją ze szkoły albo z parku, albo z ulicy, na której się bawi. Niech mi pan powie, panie Diamond, co właściwie pana łączy z tą dziewczynką?

Był przygotowany na to pytanie.

-

Zainteresowałem się tą sprawą. A skoro mowa o detektywach, sam jestem byłym detektywem.

-

Bosko!

Po raz pierwszy słyszał, żeby ktoś to tak określił.

Jedynym minusem w całej tej euforii był fakt, że Cedric myślał o programie w piątek w przyszłym tygodniu.

-

Przykro mi, ale to niemożliwe - powiedział Diamond. - Nie może pan jej wstawić w tym tygodniu?

-

Chciałbym, złotko, ale mamy już doskonały scenariusz na ten tydzień.

-

A to robi jakąś różnicę? - zapytał, usiłując nie okazać, że to „złotko” wyprowadziło go z równowagi.

-

To program na żywo, panie Diamond. Nic możemy podejmować większego ryzyka niż musimy.

-

Program na żywo dla dzieci? Czy tak się robi?

-

W naszym programie nic nie jest zwyczajne. Dlatego tak przykuwa uwagę. Nie możecie przyjść w

piątek za tydzień?

-

Nie. Naomi będzie już wtedy w Ameryce.

-

W Ameryce? Po co?

Diamond odpowiedział bez wahania.

-

Chodzi o program telewizyjny w czasie największej oglądalności. Powiedzieli mi, że będzie sensacją dnia.

On także potrafił być twórczy, jeśli został do tego zmuszony.

Rozdział 13

David Flexner po raz kolejny obracał w rękach kopertę i patrzył na nagryzłone na niej pospiesznie słowa: „Mam nadzieję, że Wenecja okazała się cudowna”. Ckliwość, czysta ckliwość -

powtarzał sobie, kiedy aż zbyt autentyczna łza zmąciła mu wzrok. Zawsze umiałeś poruszyć w kimś czułą strunę, tato, zawsze ci się to udawało.

Wenecja niewątpliwie była cudowna. Za radą Manny'ego pojechał tam tego samego wieczoru.

Porzucił wszystko albo niemal wszystko. Zadowolony, że tak dobrze udało mu się załatwić swoje pierwsze zadanie, zaprosił czarującą Pię, by mu towarzyszyła. Ku jego radości, roześmiała się i uściśnęła mu rękę. Zatrzymali się na trzy dni i dwie niezapomniane noce w prawdziwym pałacu -

hotelu Cipriani na cyplu wysepki Guidecca, wychodzącym na Lido. Wenecja okazała się cudowna i Pia też.

Wszystko to czyniło powrót do Mediolanu jeszcze bardziej przygnębiającymi. Słowa Rica: „Gdzie byłeś? Nie mogliśmy się z tobą skontaktować” - w zamiarze nie były oskarżeniem, ale tak zabrzmiały. Na wieść o tym, co zrobił Manny, Davida przygniotło poczucie winy. Dopiero podczas lotu do Nowego Jorku przebiegł w myśli kolejność wydarzeń i uznał, że ojciec chciał, żeby się to odbyło w taki sposób, chciał, żeby David był daleko, ciesząc się życiem, zanim otrzyma okropną wiadomość.

Manny skoczył z dwudziestego pierwszego piętra i zginął na miejscu na parking. Rak by go zabrał za kilka miesięcy. To podwójny wstrząs dla Davida.

Na lotnisku Kennedy'ego przywitał go Michael Leapman, uściśkał przyjacielsko i wręczył kopertę.

David nie otworzył jej od razu. Przesłanie na jej odwrócenie to było wszystko, co mógł znieść w tej chwili. Na prośbę Davida pojechali prosto do kostnicy, gdzie dokonali koniecznej identyfikacji zwłok. Twarz Manny'ego była zadziwiająco niezmienną. Doznał rozległych obrażeń podstawy czaszki, wyjaśnił pracownik kostnicy, ale uderzył o ziemię nogami. Całe ciało prócz twarzy było przykryte. Przygotowany na to, że może mieć trudności z rozpoznaniem ojca, David był

zaskoczony i głęboko wzruszony widząc rysy, które znał i kochał. Pochylił się, by pocałować Manny'ego w czoło i wyszeptać słowa pożegnania. I wtedy wydarzyła się dziwna rzecz. Włosy Davida, związane jak zwykle w koński ogon, ześlizgły się z ramion i opadły na bladą twarz nieboszczyka. Szybko je odgarnął i wtedy otworzyło się lewe oko. To włosy podciągnęły martwą powiekę, ale efekt był zadziwiający, jakby ojciec mrugnął do niego. Przeciągnął dłonią po twarzy i zamknął powiekę. Wszystko odbyło się tak szybko, że inni mogli tego nie zauważyć. Z pewnością nikt nie powiedział słowa.

Po wyjściu na światło dzienne Michael Leapman zaproponował drinka przed powrotem do biura.

Wybrali irlandzki bar przy najbliższej przecznicy. Kiedy usiedli, Leapman zasugerował, żeby zajrzeć do tego koperty. W jego zachowaniu było coś innego niż współczucie, coś podobnego do szacunku. Podczas ich poprzednich spotkań w sali posiedzeń zarządu najczęściej odnosił się lekceważąco do Davida - ale wtedy miał za sobą większość innych dyrektorów.

-

Później.

-

Nie zrozum mnie źle. Nic chcę być natrętny, sądzę jednak, że powinieneś do niego zajrzeć teraz, nim przestudiujemy go w biurze. Jeżeli jest w nim coś takiego jak w liście, który zostawił

mnie, są sprawy, które trzeba załatwić naprawdę szybko.

David pomyślał, że Leapman ma rację. To był właśnie ten rodzaj listu. Manny nadal rządził. Jedno zdanie wskazywało, że to list samobójcy: „Przykro mi, że coś takiego musiało się stać, Davey, ale znasz mnie - nigdy nie umiałem czekać na coś paskudnego”. A potem prosto do interesów:

„Chcę, żebyś objął prezesurę. Mój cały majątek wraz z pakietem akcji przechodzi na ciebie.

Przekazałem Michaelowi Leapmanowi moją wolę i obiecał mi poparcie. Wysunie twoją kandydaturę na prezesa na zebraniu kryzysowym, prosiłem go, żeby je zwołał. Zarząd cię poprze.

Ważne, żeby z twojej strony nie było najmniejszej zwłoki, żadnego dostrzegalnego odwlekania decyzji, bo akcje spadną i drapieży

nas potkną. Spraw się tak dobrze, jak dobrze się uporałeś z problemami w Mediolanie, a przejdziemy przez to wszystko bez szkody, ba, będziemy jeszcze nieźle prosperować. Masz na to moje słowo, Davey, że kiedy będziesz u steru, znajdziesz się w stanie nieustannego upojenia. Po prostu pamiętaj,

że jesteś szefem. Ty przejmujesz inicjatywę, dobrze? Potrzebujesz rady? Przyjmij ją. Tylko nie pozwól nikomu do niczego się zmuszać. Nie waham się przyznać, że Manfleksowi brakuje nowego produktu, który by przyniósł zyski w następnych dziesięcioleciach. Musisz podjąć ważne decyzje. W tym przemyśle nie można uciekać od ryzyka. Mógłbym pisać dalej, ale chyba dość już powiedziałem. Ty to zrobisz, wiem, że to zrobisz, chłopcze".

I podpisał ten list: „Twój kochający Tata".

David siedział sztywno na krześle i czytał list po raz drugi. Można znieść wiele wstrząsów, ale potem się popada w stan odrętwienia. Czuł się tego bliski. Prezes Manfleksu - zabawne! Nigdy poważnie nie brał pod uwagę takiego rozwiązania. Zawsze zakładał, że po odejściu Manny'ego rodzina zachowa większość akcji, a kto inny przejmie kierownictwo firmy. Wystarczało mu, że zajmuje nominalne stanowisko w zarządzie i nie musi brać na siebie ciężaru kluczowych decyzji.

Był stworzony do twórczości, nie do produkcji przeklętych pigułek.

Oparł się na krześle i patrzył w sufit.

-

Jesteś zaskoczony? - zapytał Leapman.

-

To mało powiedziane.

-

Namawiałem go, żeby z tobą porozmawiał, powiedział o swoich planach. Nie chciał.

Powiedział coś o powierzeniu ci kierownictwa. Sądził, że będziesz lepiej funkcjonował, jeżeli to spadnie na ciebie bez ostrzeżenia.

David wbił wzrok w Leapmana.

-

Czy to znaczy, że ci powiedział, że chce się zabić?

-

Nie. Przynajmniej nie w taki sposób, żebym to tak zrozumiał. - Leapman nerwowo poprawił krawat.

-

Powiedział o raku?

-

Tak.

-

I co dokładnie powiedział, że z tym zrobi?

Leapman wpatrywał się w swoje piwo, jakby odpowiedź na to pytanie miała pokazać się na jego powierzchni.

-

No? - dopytywał się David. - Chcę wiedzieć.

-

No cóż, powiedział, że zamierza... zejść...

Wargi Davida powoli układały się w uśmiech, a uśmiech przemienił się w wybuch śmiechu, pierwszy wyłom w posępnej martwocie, w jaką zapadł, gdy dowiedział się, że Manny nie żyje.

-

I zszedł w dół z dwudziestego pierwszego piętra. To typowe dla Manny'ego. Niesmaczny dowcip o samobójstwie. No, Michael, nie będę miał ci za złe, jeżeli się roześmiesz. Tata na pewno by nie miał. Myślę, że mówiąc to, świetnie się bawił

Leapman zmusił się do uśmiechu. Nigdy nie przemawiało do niego poczucie humoru Manny'ego.

David uznał to za komiczne, tym bardziej kiedy wyobraził sobie cichą uciechę ojca, kiedy przekazywał tę myśl swojemu nadętemu pomagierowi.

-

I powiedział ci także, że chce, żebym ja poszedł w górę?

Leapman przytaknął w milczeniu.

-

Pomyślałeś, że zwariował? Tak szczerze.

-

To było zupełnie niespodziewane. Ale możesz liczyć na moje poparcie - dorzucił szybko.

-
Będę go potrzebował. - David złożył w ten sposób oświadczenie o swojej decyzji. Nagle intuicyjnie, ale nieodwracalnie podjął najważniejszą decyzję swojego życia. Mimo pogardy do świata interesów, podejmie się tego zadania. Misja w Mediolanie upewniła go, że ma umiejętności kierownicze. Manny był równie mądry i dowcipny. Miał rację, mówiąc o upojeniu, jakie płynie ze sprawowania władzy.

-
Trzeba wzmocnić zaufanie akcjonariuszy-powiedział, jakby ta sprawa zajmowała jego myśli już od tygodni. - Jak stoją nasze akcje? Widziałem, że gwałtownie spadły, kiedy rozeszła się wiadomość o jego śmierci.

-
Dziś rano poszły w dół jeszcze o sześć punktów. Ktoś na nas naskoczy, jeśli nie przerwiemy tego trendu.

-
Masz na myśli przejęcie?

-
Istnieje takie niebezpieczeństwo. Te wszystkie sukinsyny wiedzą, jaką mamy wartość. W tym wszystkim chodzi o utratę zaufania. My idziemy na dno, a oni tylko czekają, by uderzyć.

-
A wtedy nas wykończą...

-
To się może stać bardzo szybko.

-
Jeśli czegoś nie zrobimy.

-
Tak. - Leapman przesunął powoli palcem wskazującym po oprawie okularów. - Aby odzyskać zaufanie, musisz przekazać rynkowi coś pozytywnego. Dzięki twojemu ojcu mamy solidną opinię, w każdym

razie mieliśmy ją do ostatnich kilku tygodni. Jesteśmy mocni w produktach OTC...

-

OTC?

-

Lekach sprzedawanych bez recepty. To specyfiki poszukiwane przez konsumentów. A kaprofix jest wciąż jednym z najczęściej przepisywanych leków na anginę.

-

Ale ktoś nas może szybko prześcignąć.

-

Adalat-Procardia już nas chyba przegonił.

-

Czyj to lek?

-

Jest produkowany wspólnie przez Bayera i Pfizera. A Marion-M. Dow już wkraczają z nowymi specyfikami.

-

Chyba mamy wiele leków w fazie badań.

Leapman pokręcił głową.

-

Nie na rynek anginowy. A patent na kaprofix wkrótce wygaśnie.

-

To znaczy, że kompilatorzy wprowadzą na rynek jego podróbki?

-

Tak.

Zapadła chwila milczenia.

-
Jest dla mnie absolutnie oczywiste - podsumował David - że muszę postawić na program badawczo-rozwojowy. Znasz się na tym lepiej niż ja, Michael. Mamy coś w obiecującym stadium?

Ojciec mówi w liście, że należy szybko podjąć decyzje.

-
Ta będzie trudna - zastrzegł się Leapman. - No dobrze. Mogę z tobą przejrzeć wszystkie możliwości, ale wolałbym to zrobić w biurze, mając liczby przed oczami.

-
Świetnie. Chodźmy.

Leapman się zawahał.

-
Muszę ci o czymś powiedzieć. Jest pewien gość, którego naprawdę powinieneś poznać.

Profesor Alaric Churchward z Uniwersytetu Corydon.

-
Corydon? Gdzie to u diabła jest?

-
W Indianapolis. Specjalizują się w naukach biologicznych. Uniwersytet powstał za administracji Kennedy'ego albo wkrótce potem, kiedy zaczęto doceniać potencjał genetyki.

-
Po złamaniu kodu DNA?

Leapman kiwnął głową.

-
Churchward przyszedł do nich z Yale, w początku lat osiemdziesiątych, jak mi się zdaje.

Gdybym miał szukać przyszłego laureata Nagrody Nobla, byłby to oczywisty kandydat.

-
Sądziysz, że mógłby się nam przydać?

-
Już się przydaje. Dzięki twojemu ojcu mamy ściśle powiązania z Corydonem. Finansujemy znaczną część ich badań.

-
Badania z zakresu inżynierii genetycznej. - W głosie Davida pojawiła się nuta nieufności.

-
Nie możesz być taki sceptyczny - skarcił go łagodnie Leapman. -Leki wyprodukowane dzięki inżynierii genetycznej to przyszłość naszego przemysłu. Wielkie postępy w medycynie będą odtąd dziełem genetyków. Już teraz dostarczają nam bezpieczniejszej i lepszej insuliny dla cukrzyków. Przez najbliższych dwadzieścia lat wytworzą szczepionki na wszelkie choroby, jakie zechcesz wymienić. - Przerwał i pociągnął łyk piwa. - Ale najnowszy przełom nie zawdzięcza niczego biotechnologii.

-
Przełom? Naprawdę tak uważasz?

Leapman zdobył się na uśmiech.

-
Zrobiono je ze staromodnych składników chemicznych, Davidzie.

-
Lekarstwo?

Leapman kiwnął głową.

-
Na co? Na jaką chorobę?

-
Na największego zabójcę.

-
Raka?

Na starość, Davidzie, na starość.

Rozdział 14

Uroczystości pogrzebowe Manny'ego Flexnera odbyły się w Ema-nu-El przy Piątej Alei, największej synagodze świata. Obecność ponad dwustu pięćdziesięciu osób była miarą jego popularności. Przyszli Żydzi i goje, szeroki przekrój nowojorskiej społeczności. „Był człowiekiem powszechnie kochanym”, powiedział rabin, co zapewne należało do rutyny żałobnych przemówień, ale w tym przypadku było prawdziwe, a najwidoczniej odnosiło się do znacznej liczby atrakcyjnych kobiet należących do gminy.

Później tego samego popołudnia, kiedy większość rodziny tłoczyła się w domu przy Upper East Side, jedząc kanapki i przekazując sobie dykteryjki o miłosnych i biznesowych eskapadach Manny'ego, w siedzibie Manfleksu odbyło się posiedzenie kryzysowe. Wysunięto kandydaturę i wybrano na nowego prezesa, bez jednego głosu sprzeciwu, Davida Flexnera. Michael Leapman, który ją zgłosił, oświadczył, że taka była wola Manny'ego. Siedmiu członków zarządu i dwóch członków konsultantów uprzejmie przyklasnęło temu wyborowi i otworzono butelkę szampana.

Ceny akcji Manfleksu, które przez cały tydzień spadały, tuż przed zamknięciem notowań poszły o kilka punktów w górę.

-

A więc są lepsze wiadomości - rzucił David, kiedy Leapman mu o tym powiedział.

-

Przykro mi, ale raczej nie. Cena wzrosła na wieść, że ktoś wykupuje akcje w dużych ilościach. Rynek wyczuwa, że szykuje się przejęcie.

-

Tak szybko?

-

Rekiny są szybkie. Porządnie ciężki cios, a one wyczuwają krew.

Jak na swój niefrasobliwy sposób bycia, David zareagował gwałtownie.

-

Niech ich diabli wezmą, Michael! Żaden spekulant nie złamie Manfleksu. To było całe życie mojego ojca. Tysiące innych istnień zależy od firmy. Jestem odpowiedzialny za naszych pracowników.

Leapman położył mu dłoń na ramieniu.

-
Nie przejmuj się tak, Davidzie. Tak, niestety, działa rynek.

-
Chodzi o zaufanie, prawda? - przypomniał mu David. - Musimy pokazać, że Manflex pod moim kierownictwem ma przyszłość.

-
Oczywiście, jeżeli to dobrze rozegramy...

-
Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie uwierzę, żeby przyszłość tak wielkiego koncernu farmaceutycznego, jak nasz, miała zależeć od jakiegoś spekulanta. Sprzedajemy przecież, do cholery, setki produktów.

-
Podobnie jak nasi konkurenci. Czym byłby Glaxo bez zantacu, a SmithKline Beecham bez tagametetu? Potrzebujesz stałego dopływu nowych produktów, to jednak wymaga ogromnych nakładów na badania. Masz pojęcie, ile lekarstw trzeba opatentować i wypróbować, nim znajdzie się jedno udane? Pięć tysięcy, Davidzie. Pięć tysięcy na jedno. To są osobliwości naszego biznesu.

Nie jesteśmy zdolni do konkurencji na taką skalę. Już nie.

-
Rozumiem. Pojąłem, o co chodzi. Muszę jak najszybciej spotkać się z profesorem Churchwardem. Czy to oznacza wyprawę do Indianapolis?

Leapman kiwnął głową.

-
Jak szybko chcesz tam jechać?

-
Pierwszym możliwym lotem. Właściwie powinienem być teraz w domu z rodziną. Będą musieli mi to wybaczyć.

-
Nie możesz im powiedzieć, że to ważna sprawa?

-
Wiesz, co na to powiedzą? Czy on nie jest taki sam jak jego ojciec?

Polecieli tego samego wieczoru i spędzili noc w Hiltonie w Indianapolis.

Po śniadaniu wzięli taksówkę i pojechali na Uniwersytet Corydon, jakieś piętnaście minut drogi na zachód ulicą Waszyngtona za lotniskiem. Leapman uzupełniał jego wiadomości o człowieku, z którym mieli się spotkać.

-
To nie on odkrył PDM3, ale pierwszy dostrzegł jego możliwości. Przez co najmniej dziesięć lat pracował nad leczeniem choroby Alzheimera; to było chyba tematem jego pracy doktorskiej.

Przed pięciu laty zaczął badać pewien czynnik, który dawał możliwości przeciwdziałania utracie pamięci związanej z alzheimerem. Nazwaliśmy go prodermolate albo PDM3. Pierwsze wyniki były obiecujące, nic więcej, ale ostatnio - to znaczy podczas ostatnich kilku tygodni - doszedł do rezultatów, które można określić jako sensacyjne. Mają wpływ nie tylko na chorych na alzheimer, ale na zdolności umysłowe całej ludzkości.

-
Ojciec znał ten projekt?

-
Oczywiście. Manny wiedział o nim. Parę razy spotkał się z profesorem Churchwardem.

-
I jak go oceniał?

-
Churchwarda?

-
PDM3.

-
Popierał te badania.

-
Myślisz, że chciał na nich oprzeć przyszłość Manfleksu?

Leapman pokręcił głową.

-

Nic wiedział tego, o czym wiemy teraz.

-

Przecież umarł dopiero przed tygodniem. Czyżby wszystko ruszyło do przodu od tego czasu?

Leapman przyłożył rękę do twarzy i powiedział tak, jakby obwieszczał sensacyjną nowinę.

-

No tak, Davidzie. Manny był wspaniałym facetem i wszyscy go kochali...

-

Ale?

-

Ale pod koniec życia nie miał głowy do tych spraw. Nie winię go za to. Kiedy mi powiedział o swojej śmiertelnej chorobie, zrobiłem to, co zrobiłby na moim miejscu każdy: dyskretnie zorientowałem się w bieżącej sytuacji firmy. Poprosiłem o aktualne dane wszystkich badań, jakie podejmowaliśmy na całym świecie. W ten sposób dowiedziałem się, że Churchward jest niemal gotów do ogłoszenia fantastycznych wyników PDM3.

-

Nie omówiłeś tego z ojcem?

-

Było już za późno.

Kampus Uniwersytetu Corydon był ciasny i brzydki. Ani jednego drzewka. Solidnie odremontowane budynki z lat sześćdziesiątych z dobudówkami z wieku komputera. Kamery ochrony przy wejściu. Recepcjonista w czarnym mundurze obstawiony monitorami, z konsolą przed sobą. Wystukał ich nazwiska i zobaczyli, jak pojawiają się na jednym z monitorów. Potem przeszli przez rytuał fotografowania do plakietek identyfikacyjnych. W końcu pojawiła się sekretarka profesora Churchwarda - skromna młoda kobieta z przypiętą do bluzki plakietką z napisem „Bridget Walkswell”. Wyglądała na osobę, którą onieśmielałyby żarty z jej nazwiska.

Krokiem tak dokładnie pozbawionym kręcenia biodrami, że musiał być przestudiowany przed lustrem, poprowadziła ich do windy.

Wysiedli w nisko sklepionym laboratorium, wypełnionym aparaturą; olbrzymimi przezroczystymi bębnami na stojakach i metalowymi konstrukcjami obwieszonymi białymi rurkami i kablami elektrycznymi. Wszędzie rozmieszczono żółte napisy, ostrzegające przed zagrożeniem biologicznym i dotykaniem ustami pipet. Szum komputerów dochodzący z drugiego krańca sali ściągnął ich uwagę na rząd klawiatur i ekranów ciągnący się wzdłuż stołu. Wznosiło się tam urządzenie podobne do peryskopu łodzi podwodnej, którym posługiwał się drobny czarnowłosy mężczyzna w białym kitlu.

Brigdet Walkswell zaanonsowała ich.

-

Zaraz - powiedział profesor, nie odrywając oczu od okularu. Dotknął regulatora. Na ekranie za nim coś się poruszyło we wzorze

wyglądającym jak chiński ideogram, w którym David rozpoznał spiralę DNA, program genetyczny.

Profesor przez jakieś pół minuty robił swoje. Kiedy się w końcu odwrócił, nawet nie rzucił okiem na gości. Skierował fotel na kółkach na prawo i wystukał coś w najbliższym komputerze.

Nie przepraszając właściwie za szefa, panna Walkswell rozłożyła ręce gestem oznaczającym bezradność, a potem wyciągnęła spod stołu dwa stołki. Usiedli na nich i czekali.

W końcu profesor Churchward odwrócił się do nich.

-

A zatem jesteście tu, panowie, w interesach? - Pstrykając palcami, wskazał na drzwi. Panna Walkswell wyszła.

Wielki człowiek ma niewątpliwie bardziej interesujące sprawy, by wypełnić czas, niż rozmowa z dwoma przedsiębiorcami z Nowego Jorku. Zaproponował im jednak kawę, wskazując na zlewkę z wodą gotującą się na palniku gazowym. Obok stały wyszczerbione kubki z nieumytymi łyżeczkami. Niemal jednogłośnie oświadczyli, że są po śniadaniu.

Churchward wyglądał jak maratończyk, bez grama zbędnego otłuszczenia, ale jego metabolizm nie wymagał sportu, by utrzymać organizm w formie. Profesor należał do ludzi, którzy kipią energią, nie podnosząc się z krzesła. Przenikliwe błękitne oczy w drobnej chudej twarzy zmierzyły niedbały strój Davida, zauważając wszystko. Nie można było po nim poznać, co myśli. Sam nosił pospolicie brązowy krawat i miał włosy obcięte krótko jak u marynarza.

-

David został wczoraj prezesem Manfleksu - wyjaśnił Leapman.

Churchward kiwnął głową, jakby już o tym wiedział. Ani słowa ubolewania z powodu śmierci Manny'ego.

-
Chce pan ode mnie aktualnych danych o prodermolate. Wie już pan coś o nim?

-
Załóżmy, że nie wiem nic - powiedział David, który istotnie niewiele wiedział.

-
Jak pan chce. Związek chemiczny, który nazywamy PDM3, został odkryty w 1975 roku przez zespół w Cornell. Byli oni wówczas finansowani przez Beaver River Chemicals, obecną filię Manfleksu, jak panu chyba wiadomo. Jego formuła została zarejestrowana jak milion innych, ale nie brano pod uwagę, że może mieć jakiś handlowy użytek. Dopiero pięć lat temu postanowiono podjąć badania nad tym związkiem jako nad czynnikiem ochronnym. Wie pan, co mam na myśli?

David ściągnął brwi. Pytanie było skierowane do niego i czuł, że musi zaryzykować jakąś odpowiedź.

-
Antykoncepcję?

Profesor zamknął oczy i westchnął głęboko, zanim znów je otworzył.

-
Czynniki ochronne to leki, które chronią komórki mózgowe przed obumieraniem. Nikt nie wie, dlaczego. Pański ojciec wspierał te badania, choć wiedział, że niektórzy z jego konkurentów pracują na tym samym polu. Najcenniejszą nagrodą w tym przemyśle jest lek na chorobę Alzheimera.

-
To wiem - powiedział David.

Churchward skinął głową.

-
Takie firmy jak Janssen czy Miles zaczęły przedkliniczne próby z Ickami już wynalezionymi, pański ojciec poprosił więc swoich ludzi, żeby sprawdzili, czy nie mają czegoś, co mogłoby mieć zastosowanie w leczeniu alzheimera.

-
I ktoś przypomniał sobie o PDM3?

-
Bynajmniej. - Profesor Churchward nie miał żadnych oporów, by pognębić Davida. -

Sprawy tak się nie toczą. Był to tylko jeden z licznych związków chemicznych, które sobie przypomniało i wypróbowano. W odkryciach medycznych badania ukierunkowane mają mniejsze znaczenie, niż się uważa. W znacznej mierze polegamy na całościowych badaniach czynności biologicznych. Pierwsze wyniki były interesujące, ale nie spektakularne. W badaniach przedklinicznych PDM3 nie obiecywało nic nadzwyczajnego. Czy ma pan jakiegokolwiek pojęcie, o czym mówię? Zna pan procedury badawcze? - zapytał groźnie.

Tym razem David ograniczył się do dwuznacznego uniesienia brwi.

-
Mówię o serii testów, którym jest poddany każdy lek przed zatwierdzeniem.

-
Wiem - odparł David. - W stadium przedklinicznym dokonuje się doświadczeń tylko na zwierzętach.

Churchward niechętnie przytknął.

-
Słusznie. Jeśli badania te wypadną zadowalająco, przechodzi się do fazy pierwszej. Ze względów bezpieczeństwa testuje się je na niewielkiej grupie ludzi. W fazie drugiej bada się skuteczność, nadal na małej próbie. To wykonaliśmy. PDM3 przeszedł przez fazę drugą, teraz jesteśmy gotowi przejść do fazy trzeciej, szerokich badań klinicznych. Zakładając, że wszystko pójdzie dobrze - a nie mam powodu sądzić inaczej - przedłożymy je FDA. Agencji do Spraw Żywności i Leków - dodał jak dla dziecka.

-
A kiedy je zatwierdzą, wchodzimy w interes?

-
I to jaki! - mruknął Leapman.

-
Naprawdę wierzy pan, że ten lek to coś szczególnego? - zapytał David.

-
Szczególno? - Profesor zawahał się, jakby rozważał odpowiedź. - To, co osiągnęliśmy, panie

Flexner, jest na gruncie farmacji równoważnikiem rozbicia atomu.

David poczuł gęsią skórę. Wiedział, że naukowcy nie są skłonni do składania tego rodzaju ekstrawaganckich oświadczeń.

Profesor Churchward mówił dalej.

-

PDM3 nie jest czynnikiem ochronnym. To czynnik regenerujący. Pozwala umierającemu nerwowi rosnąć i odnowić się. Żaden inny specyfik w dziejach farmacji nie jest do tego zdolny.

-

Odradzają się komórki mózgu?

-

Tak. Czy dostrzega pan możliwości? To wykracza poza leczenie choroby Alzheimera.

Mamy środek, który może podtrzymać w nieskończoność naszą sprawność umysłową. Nie ma żadnego powodu, dla którego lek ten nie miałby być dostępny dla ludzi zdrowych i młodych.

Czterdziestoletni mężczyźni i kobiety będą się mogli spodziewać, że ich mózg będzie funkcjonował tak samo, gdy dojdą do osiemdziesiątki. Ten lek wyeliminuje proces starzenia.

-

Ma pan na myśli starzenie umysłowe?

Churchward skinął głową.

-

Niechże pan będzie rozsądny. Nie twierdzę, że możemy starych uczynić młodymi. To zadanie dla chirurgii plastycznej.

-

A zatem to nie przedłuża średniej długości życia?

Profesor rozłożył dramatycznie ramiona.

-

Czego pan chce ode mnie, panie Flexner?

-

Próbuję zrozumieć sens tego odkrycia, profesorze - odparł chłodno David. - Jeżeli czeka pan na gratulacje, to gratuluję. Chciałbym się też upewnić, czy w pełni pana rozumiem.

-

To niesie ze sobą fantastyczne możliwości - wtrącił pośpiesznie Leapman. - Ludzie będą mogli dłużej pracować. Nie będą obciążeniem dla budżetu. Będą mogli sami dbać o siebie.

Utalentowani

mężczyźni i kobiety będą mogli wzbogacać świat do końca życia, zamiast cierpieć na starczą niemoc.

-

Czy wyprzedzamy resztę?

-

Nie ma żadnych innych konkurentów - powiedział Leapman.

-

Prowadzone są pewne badania nad czynnikiem stymulującym wzrost nerwów, wytwarzanym przez mózg - uznał za słuszne dorzucić Churchward. - Ale znajdują się we wczesnym stadium i substancja jest oczywiście pochodzenia organicznego.

-

Nie może rywalizować z lekiem - dodał Leapman.

-

Jesteś pewien, że go opatentujemy?

-

Założę się, że tak.

-

A co z ADR? - David nie był zupełnym ignorantem. ADR to skutki uboczne leku.

-

Jak pan niewątpliwie wie - Churchward nie ukrywał ironii -każdy lek ma swoje skutki uboczne. Należy je zestawić z działaniami pożądanymi. PDM3 ma pewne przejściowe przeciwwskazania. U niektórych pacjentów wywołuje lekkie bóle głowy, mdłości i uczucie oszołomienia, ale odnotowaliśmy takie same objawy u ludzi, którym podawano placebo.

-
W takim samym stopniu?

-
Niedokładnie w takim samym - przyznał Churchward. -U większości badanych nie pojawiły się żadne skutki uboczne.

-
U ilu?

-
U ponad sześćdziesięciu ośmiu procent.

Te liczby miały wywrzeć wrażenie na Davidzie i istotnie wywarły.

-
A co z dalekosięznymi skutkami? Chyba jeszcze za wcześnie, by to ocenić?

-
Nic ma żadnych oznak skutków dalekosięznych - odparł profesor.

-
A więc ich nie będzie, prawda? Czy odkrył pan jakieś skutki uboczne, przeprowadzając badania na zwierzętach?

-
W kilku wypadkach wystąpiło nieco większe wydzielanie enzymów wątrobowych.

-
Czy to stanowi problem?

-
Stanowiłoby, gdybyśmy się posunęli za daleko. Wątroba ma znakomite zdolności regeneracyjne, jeśli więc przestrzega się odpowiedniego dawkowania, nie ma niebezpieczeństwa.

-
Jak pan to stwierdza, profesorze?

-
Na podstawie badań krwi.

-
Jeżeli chcemy wypuścić lek na rynek, nie możemy liczyć na to, że ludzie zechcą się poddać badaniu krwi - powiedział David, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to naiwnie.

Churchward cmoknął i nic nie odpowiedział.

-
Sądzę, że powstało tutaj lekkie pomieszanie pojęć.

-
Wierzę, że potrafimy rozwiązać tę sprawę w dalszych próbach - powiedział Churchward. -

Rzecz się sprowadza do odpowiedniego dawkowania, jeśli wszyscy rozumiemy ten termin.

Prawic wszystko, co mówił profesor, było podszyte pogardą, a David nie mógł zrozumieć dlaczego. Czuł się źle i niezręcznie. Był pewien, że ojciec przeprowadziłby tę rozmowę w mniej konfrontacyjnym tonie - łącząc humor z bezczelnością - w dodatku Manny'emu już by się udało ustalić podstawowe fakty.

-
Niech mnie pan źle nie zrozumie - powiedział. - Po prostu próbuję spojrzeć na to z każdej strony. Wiem, co to są niepożądane reakcje. Przyjmuję pański punkt widzenia, że w mniejszym czy większym stopniu wywołuje je każdy lek. Jeśli chce się pokonać raka, to nic zważa się na to, ile włosów się przy tym straci, prawda? Różnica polega na tym, że za pomocą PDM3 nie będziemy leczyć choroby.

-
Ależ tak, będziemy leczyć alzheimera - powiedział Leapman.

-
Profesor powiedział, że mamy oferować ten lek ludziom zdrowym.

-
Zaraz, zaraz - przerwał profesor. - Najważniejsze jest to, że PDM3 jest nadzwyczaj skuteczny w leczeniu alzheimera, co było przedmiotem moich badań. Teraz możemy bezpiecznie przejść do fazy trzeciej.

-
Ale jest pan także przekonany, że poprawi on funkcjonowanie zdrowego mózgu.

-
Poprawi? Nic - skorygował go Churchward. - Może przedłużyć j ego sprawność.

-
No dobrze, ale skoro mamy go sprzedawać ludziom zdrowym, nie równoważmy skutków ubocznych, tych bólów głowy, nudności, otumanienia, zaburzeń pracy wątroby, leczeniem ciężkiej choroby. Wymagamy od nich podjęcia ryzyka.

-
Nie zgadzam się z tym. Nie mówmy o ryzyku. Ryzyko wyeliminujemy. Mogą to być najwyżej drobne dolegliwości - powiedział

Churchward. - A to już ich sprawa. Mnóstwo potraw i napojów wywołuje przykrzejsze objawy niż PDM3. Lekarstwa także. Gdy zażywasz multiwitaminę, narażasz się na obstrukcję.

-
A więc PDM3 jest tak bezpieczny jak tabletki witaminy?

-
W odpowiedniej dawce tak.

-
Tego właśnie Manny szukał przez całe życie - oświadczył Leapman, rozdzielając słowa i nadając głosowi podniosły ewangeliczny ton. - Niezawodny produkt, który szturmem podbije rynek.

David pomyślał o ojcu. Przypomnił sobie dziwne łypnięcie martwego oka w kostnicy. Taki incydent mógł symbolizować wszystko, nigdy nie da się wymazać go z pamięci.

-
Kiedy ogłosimy to publicznie?

-
Choćby jutro, jeżeli chcemy utrzymać Manflex na fali - powiedział Leapman. Widząc zdziwienie Davida, szybko dorzucił: - Na tym etapie możemy jutro ogłosić, że wkrótce zwołamy konferencję, by przedstawić pierwsze stadium badań nad nowym lekiem na alzheimera. To wystarczy, by odzyskać

zaufanie.

Decyzji nie można było odkładać. David poczuł zimny pot pod trykotową koszulką. Zerknął na Churchwarda.

-
Zgadzam się, panowie - powiedział profesor z braterską życzliwością. - Jestem gotów do publicznego przedstawienia sprawy.

-
Jeszcze nie rozpoczynamy produkcji - pocieszył Davida Leapman.

-
Tak. Ale skoro to raz ogłosimy, nie będę miał odwrotu albo narażę kurs naszych akcji.

-
Jasne - potwierdził wesoło Leapman.

David był wciąż niepewny.

-
Następny krok wymaga dużych pieniędzy. Chyba milionów. Badania kliniczne na wielką skalę nie są tanie. A jeśli dostaniemy zgodę FDA, będziemy musieli mnóstwo zainwestować w dystrybucję leku.

-
Zwiększymy kapitał.

-
W warunkach światowej recesji?

-
Musimy być odważni, Davidzie, w przeciwnym razie, szczerze mówiąc, Manflex jest skończony. - Leapman przysunął się bliżej i dodał konfidencjonalnie: - Właściwie mam pewną propozycję dodatkowego finansowania, ale przedstawię ci ją później.

Rozdział 15

Z blokiem rysunkowym wetkniętym pod pachę i flamastrem w garści Naomi wsiadła do czekającej na nią taksówki tak pewnie jak do powozu królewskiego. Na wypadek, gdyby czuła się jednak bardziej nieswojo, niż na to wyglądało, Diamond próbował urozmaicić jej podróż, pokazując londyńskie

autobusy, które mijali po drodze. Mniej więcej po dziesiątym zrezygnował. Naomi nic potrzebowała zabawiania.

Julia Musgrave chciała jej kupić na tę okazję sukienkę z koronkowym kołnierzykiem, dopóki Diamond nie przypomniał, z jakiego powodu dziecko ma stanąć przed kamerami telewizyjnymi.

Była więc w ubraniu podobnym do tego, w jakim ją znaleziono - w sukience w biało-brązową pepitkę od Marksa i Spencera, w białych rajstopkach i tenisówkach.

W chwili, gdy taksówka okrążyła fontannę przed Centrum Telewizyjnym na Shephard's Bush, mała rączka sięgnęła do ręki Diamonda i mocno ją chwyciła. Nerwy? Nie był przekonany. Może uważa, że to ja wyglądam na stremowanego, pomyślał.

W trakcie swojej policyjnej kariery nieraz zdarzało mu się występować w telewizji, nie powinien więc odczuwać żadnego niepokoju. Żywił jednak pewne wątpliwości, czy apele o dostarczenie informacji w „Przeglądzie kryminalnym” stanowią dostateczne przygotowanie do wystąpienia w programie „A co z dziećmi”.

Poproszono, by wraz z Naomi zgłosił się w piątek o dziesiątej i cierpliwie czekał, gdyż Cedric miał ich wstawić do programu, gdy tylko nadarzy się okazja, ale nie sposób przewidzieć, o której to będzie.

Zaprowadzono ich na górę do pokoju gościnnego. Takie pomieszczenia mają wprawiać gości w swobodny nastrój. Kiedy Diamond wszedł do środka, opuściła go pewność siebie. Poczł się tu nie na miejscu. Gościnność polegała na stosie puszek z colą i talerzach pączków i biszkoptów. Wokół

skórzanych i stalowych mebli zapraszająco rozrzucono przeróżne zabawki. Naomi okazała się równie obojętna na jedzenie i picie jak Diamond. Przykucnęła na pokrytej dywanem podłodze i wkrótce była całkowicie pochłonięta swoim rysowaniem.

W każdym przedsięwzięciu, któremu człowiek się oddaje całym sercem, są punkty zwrotne, kiedy musi się przystanąć, rozejrzeć wokół siebie i dokonać podsumowania. To nic zabawki ani pączki wprawiły Diamonda w ten stan, ani nie pojawienie się trzech dziewczynek w różowych atłasowych sukienkach i chłopca ostrzyżonego na punka, który wjechał na deskorolce. Czynnikiem krytycznym okazała się Sally, zwodniczo łagodnie wyglądająca szympansica, której towarzyszyła siwowłosa kobieta w rękawicach z wyłożonymi mankietami. Ledwie wniesiono Sally i postawiono ją w przeciwnym krańcu pokoju, z dala od kanapy, na której siedział Diamond, zaczęła podskakiwać i krzyżeć. Ona nie rozpacza, zapewniła kobieta, i nie czuje się zestresowana telewizją. Sally była chyba stałą atrakcją programu. Nie, Sally krzyczy z radości, bo jest szczęśliwa.

Co więcej, chciała dzielić to szczęście z Diamondem. Długa smycz przyczepiona do czerwonych skórzanych szelek, trzymana przez treserkę, dawała jej znaczną swobodę ruchów. Podeszła na jakiś metr od Diamonda (na tyle pozwoliła jej treserka) i zamachała ramionami w jego stronę. A potem wyszczerzyła zęby i wrzasnęła.

Bo była szczęśliwa.

Rano przy śniadaniu powiedział Stephanie, gdzie spędzi dzień, zauważając posepnie, że dziecięcy program telewizyjny i praca w policji to niebo i ziemia. Stephanie przypomniała, że teraz jest wolnym strzelcem. Jeżeli dla małej Naomi chce skakać przez obręcze, proszę bardzo, ale niech nie zapomina, że to jego własny wybór.

-

Chcesz mi powiedzieć - podsumował - żebym przestał marudzić.

Nie zaprzeczyła.

Jeśli więc Peter Diamond, z natury wybuchowy, był skłonny podzielić się kanapą z wrzeszczącą małpą, coś istotnego musiało zajść w jego życiu, i zaszło. Najważniejszy był dla niego teraz los małej milczącej dziewczynki, która ze swojej strony zrobiła jedno: kilka razy włożyła swoją rączkę w jego dłoń.

Nie chcąc robić zamieszania, wytrzymał całe piętnaście sekund wybryków szympanicy Sally, zanim przeniósł się na inne krzesło. Nawet uśmiechał się dobrodusznie do treserki, żywiąc w duchu poważne podejrzenia, że gdyby doszło co do czego, to on i Naomi zostaną wyrzuceni na boczną ulicę, a nie Sally.

Mimo to Sally nadal robiła wrzaskliwe wypady w jego kierunku.

-

Lubi pana - oświadczyła treserka, używając wybiegu, do jakiego często uciekają się właściciele zwierząt, terroryzujących innych ludzi. - Naprawdę poczuła do pana sympatię.

Wreszcie pojawiła się odsiecz w osobie młodej kobiety o bystrych oczach, która przedstawiła się jako Justine, asystentka Cedrica. Wraz z nią przyszedł ciemnoskóry chłopczyk, na oko niewiele starszy od Naomi.

-

To jest Curtis, przeprowadzi z panem rozmowę - powiedziała Justine i na widok uniesionych brwi Diamonda wyjaśniła: - Program jest w całości prowadzony przez dzieci. - Po czym uśmiechnęła się i wyszła.

Curtis mrugnął. Miał na sobie czerwoną czapkę baseballową i czarną trykotową koszulkę z wypisaną na przodzie białymi literami nazwą programu. Wyciągnął rączkę do Diamonda.

-

Pete - pozwoli pan, że będę się tak do pana zwracał? Naprawdę bardzo mi przykro, że nie mogę powiedzieć, kiedy wejdziemy na wizję - oznajmił, co zabrzmiało, jakby powiedział to ktoś pięć razy

starszy. - Ale może ty i Naomi zechcielibyście zajrzeć do studia, kiedy się nadarzy okazja.

-

Będziemy bardzo wdzięczni - potwierdził Pete. Jak dotąd jedyną osobą na świecie, która używała tej skróconej formy jego imienia, była Stephanie. Po błyskawicznej ocenie uznał, że Curtis wart jest tego, by zrobić dla niego wyjątek. Nikogo innego z pokoju gościnnego nie zaprosił do zapoznania się ze studiem.

Naomi była tak zajęta rysowaniem, że trzeba jej było pomóc stanąć na nogi.

-

Czy to pismo japońskie? - zapytał Curtis.

-

Świetny pomysł, ale chyba nie - odpowiedział Diamond, zerknąwszy na kartkę znów ozdobioną rombami w kształcie diamentów. - Wiesz oczywiście, że ona nie mówi?

-

Jasne, że wiem, Pete - padła odpowiedź. Curtis przeprowadził ich sprężystym krokiem przez kilka wahadłowych drzwi do studia, przepastnego miejsca, pogrążonego w półmroku, z wyjątkiem przedstawiającej piracki statek dekoracji, którą ustawiali technicy. Uważając, by nie nadepnąć na kable, Curtis ruszył na nieoświetloną część sceny, przedstawiającą salę odlotów na lotnisku, ale przystosowaną do rozmiarów dziecka. Przez okno widać było model jumbo-jeta na realistycznie wyglądającym pasie startowym.

-

To jedna z naszych stałych dekoracji. Naprawdę. Denna, nie? - tłumaczył się Curtis. -

Rozumiesz, chodzi o modną młodzież. To tu Cedric zamierza nas kręcić.

Jako że Naomi miała w perspektywie lot do Bostonu, wybór nie wydawał się niestosowny i Diamond podzielił się tą uwagą z Curtisem.

-

Jedyny problem w tym, że w dekoracjach o tym wymiarze będę wyglądał jak King Kong -

dodał.

-

Nie ma obawy, Pete - zapewnił go Curtis. - Kamerzysta o to zadba. - To, czy jego wzruszająca wiara

była uzasadniona, było inną sprawą, ale kiedy chłopiec przeszedł do szkicowania zarysu wywiadu, jaki miał przeprowadzić, okazał się bardziej wiarygodny. - Widzę to tak: musimy sięgnąć do historii, jak Naomi została znaleziona. Byłeś tej nocy w Harrodsie, tak?

Diamond przytaknął.

-

Porozmawiamy o tym, jak wywołała wielki alarm, a potem ja cię zapytam, kim jest i jak się tam dostała, a ty powiesz, że nikt tego nie wie. Dobrze? Potem dodasz, że ona w ogóle się nie odzywa. Cedric mówi, że nie powinniśmy zastanawiać się nad przyczyną. Po prostu trzymaj się tego.

-

Zgoda - powiedział Diamond, czując przyływ sympatii do tych ludzi. Nie chciał, żeby zakwalifikowano Naomi jako dziecko autystyczne czy w jakikolwiek sposób umysłowo upośledzone. Znacznie lepiej, jeśli jej milczenie zostanie przedstawione jako fakt.

-

No to fajnie - odparł Curtis. - Zakończę tym, że potrzebujemy pomocy w rozwiązaniu tej tajemnicy. - Urwał, zrobił palcami znak cudzysłowu i powiedział rozdzielając wyrazy: - Kim...

jest... Naomi? Przyjrzyjcie się dobrze Naomi. Chcemy, żeby ludzie ją obejrzel i powiedzieli sobie:

„Jezu, gdzie ja widziałem to dziecko?”

Nie było cienia wątpliwości; Curtis był fachowcem.

-

I to wszystko? - spytał Diamond.

-

Chyba że chcesz coś jeszcze dodać.

-

Wystarczy to, co ty powiesz.

-

Chcesz zobaczyć inne dekoracje?

Przez cały czas Naomi tkwiła u boku Diamonda z blokiem rysunkowym przyciśniętym do piersi.

Teraz, gdy rozmowa przeszła na nowy, mniej poważny temat, zaczęła przebierać nogami, jakby

chciała wyjść ze studia. Curtis zerknął na nią i zapytał:

-

Czy ona nie chce wyjść?

-

Co? - Diamond był skonsternowany

-

Do toalety. Siusiu. Skąd wiesz, kiedy musi wyjść?

Tej okoliczności Diamond nie przewidział. Odpowiedzialność za małą dziewczynkę pociąga za sobą komplikacje.

-

Pokaż mi, gdzie to jest, Curtis.

Toaleta znajdowała się obok pokoju gościnnego. Kiedy Naomi zobaczyła drzwi, wcisnęła blok i flamaster Diamondowi i wbiegła do środka. Ciekawe, zrozumiała chyba znaczenie symboli, bo nie pomyliła się w wyborze kabiny.

Curtis spojrział na zegarek i obiecał, że wróci do nich po lunchu, wtedy zostaną zaproszeni do charakteryzatorni. Sam skierował się do bufetu i z łobuzerskim mrugnięciem zostawił Diamonda czekającego trochę niepewnie przed toaletą. Nikt mu nie powiedział, czy dziewczynka potrafi sobie poradzić, a jak na złość nie było w pobliżu żadnej kobiety, którą mógłby poprosić, by to sprawdziła.

Psia krew, gdyby mnie teraz zobaczyły chłopaki z policji w Avon i Somerset, pomyślał.

I wtedy właśnie wyszła, spokojna i całkiem w porządku. Poszli razem do bufetu BBC. Teraz sprawy nabrały tempa.

Lunch.

Makijaż.

Powrót do pokoju gościnnego.

Curtis, teraz ubrany w czerwoną koszulę z czarną muszką, zapoznał ich z aktualnym planem programu. Wyglądało na to, że uda się ich zmieścić między występem trio w atlasowych sukienkach a chłopcem na deskorolce. Tymczasem Naomi nadal rysowała.

-

Może próbuje coś ci powiedzieć. Nie pomyślałeś o tym? - zauważył Curtis.

-

Myślisz o rysunkach? Oczywiście, że pomyślałem - powiedział Diamond. - Tylko jak dotąd tego nie rozgryżłem.

Curtis znów zerknął przez ramię Naomi.

-

Może to jakieś logo? Wiesz, takie, jakie się widzi na reklamach?

-

W kształcie diamentu? Poza wyrobem pierścionków nie przychodzi mi do głowy żadna firma, która by się tym mogła posłużyć.

-

Zauważyłeś, że ona ich wewnątrz nie zamazuje? Większość dzieci, gdy rysuje jakiś kształt, to go wypełnia.

Było to spostrzeżenie, którego dotąd nie wziął pod uwagę. Przez chwilę nie dostrzegł jego doniosłości, ale Curtis go wyprzedził.

-

To mogłoby być coś, przez co się patrzy, tak jak te śmieszne okna w starych domach?

Okna z szybkami oprawionymi w ołów!

-

Niesamowity pomysł, Curtis.

-

I to za darmo - powiedział Curtis. - Teraz pójde do kontrolki. Trzymaj się. - I wyszedł, strzelając palcami w takt jakiejś melodii.

Diamond rozważał pomysł Curtisa. Jeżeli Naomi mieszkała w domu z zakratowanymi oknami, mógłby to być prawdziwy klucz. Wstał z krzesła i z trudem schylił, by uklęknąć obok niej.

Przestała rysować i oparła się plecami o jego udo.

Przyjrzał się znakom, które zrobiła na papierze. Przynajmniej niektóre z nich łączyły się ze sobą wierzchołkami. Może to nieuniknione, skoro narysowała ich tak wiele. Wyciągnął rękę i powiedział:

-
Czy mogę użyć twojego flamastra?

Podawała mu go. Nie tylko zrozumiała, ale też powierzyła mu swój cenny flamaster. Dobry znak.

Odwrócił kartkę, wziął nowy arkusz i zaczął rysować romby połączone wierzchołkami. Łatwiej by mu było narysować dwa zbiory przecinających się ukośnych linii, ale zgodnie z koncepcją Naomi wyszedł od podstawowego kształtu, stopniowo dobudowując całą kratę.

Przyglądała się jego pracy, a to dodawało mu zachęty, choć pozostawała bierna. Uzupełnił rysunek prostymi kreskami, mającymi przedstawiać ramę i wyszło mu coś, co mogłoby ująć za okratowane okno. Wręczył kartkę dziewczynce.

-
No i co ty na to?

Przyjrzała się jego dziełu z powagą, studiując je tak dokładnie, jakby była członkiem komisji kwalifikacyjnej w Akademii Królewskiej. Wyciągnęła rękę i końcem palca przesunęła po kracie.

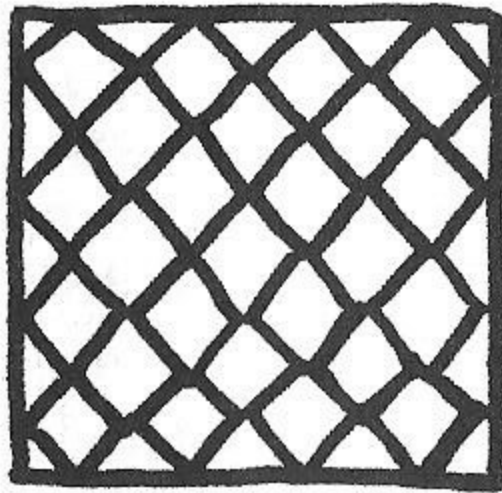
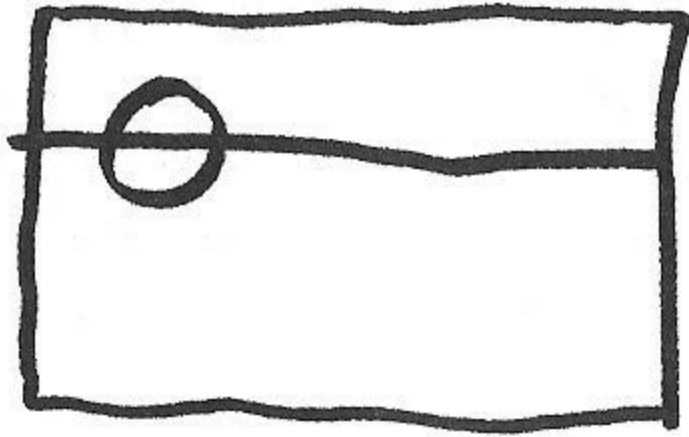
Wyglądało na to, że coś się nie zgadzało.

-
Firanki? - zapytał Diamond. Sięgnął po blok, ale mu go nie oddała, tylko wyciągnęła rękę po flamaster.

Podał go jej.

W najgłębszym skupieniu pochyliła się nad rysunkiem tak niziutko, że czuprynka odsłoniła szczupły biały kark. Coś rysowała u góry arkusza, nad oknem, które narysował Diamond. Nie mógł zobaczyć, póki nie usiadła.

Tym razem zadziwiła go kompletnie, dodawszy dwa prostokąty i małe kółko.



Zaczynał się czuć, jakby to był rodzaj gry dla ludzi o wyższym niż jego ilorazie inteligencji. Nigdy nie opanował kostki Rubika. Zaprzestał prób, kiedy jedna z dziewczynek z drużyny zuchowej Stephanie pokazała mu, jak to zrobić dwoma szybkimi ruchami.

Od dalszego wysiłku umysłowego uwolnił go Curtis, który wrócił, by powiedzieć, że są potrzebni w studiu. Naomi wstała, nie tylko pokazując, że rozumie, ale też, że zależy jej na tym, by wreszcie załatwić sprawę. Wizyta w Centrum Telewizyjnym ożywiła ją. Szkoda, że nie było z nimi Julii Musgrave, by mogła to zobaczyć.

Na scenie znalazło się duże krzesło dla Diamonda, ale ustawiono je tak nisko, że na wizji będzie miał o sześć cali skrócone nogi.

- Nie spodziewajcie się, że wstanę, kiedy ruszy kamera - ostrzegł Curtisa, który stał obok niego, gotów do wywiadu.

Naprzeciwko nich na małej wyściełanej ławeczce przycupnęła Naomi. Wydawała się bardziej zainteresowana modelem samolotu, widocznym przez okno, niż kamerami. Kierownik planu musiał pstryknąć palcami, by zwrócić jej uwagę.

Rozległ się sygnał.

Curtis gładko mówił do kamery. Wszystkie dzieci - powiedział - lubią sobie wyobrazać, że są detektywami, i oto zdarza się okazja, by rozwiązać prawdziwą zagadkę. W kilku zwięzłych zdaniach zarysował tło, alarm antyterrorystyczny u Harrodsa i znalezienie dziewczynki. Teraz przeszedł do przedstawienia Diamonda.

Wywiad przebiegł zgodnie z planem, bez żadnych podchwytliwych pytań i niepewnych odpowiedzi. Potem mieli okazję obejrzenia nagrania. Diamond z zadowoleniem zobaczył, jak wymownie zabrzmiał apel do widzów. W końcu z reżyserki wyłonił się Cedric At-helhampton, szczupły jak ołówek i ubrany całkowicie na biało, i potrząsnął ręką Diamonda.

-

Zadziwiające, kochany, po prostu zadziwiające. Zostałeś stworzony do telewizji w całej swojej zwalistej postaci. Wiedziałeś o tym? Taki kawał chłopa, co za cudowny kontrast z małą dziewczynką! Moim jedynym problemem jest teraz to, że nie przedziłem BBC o telefonach.

Jestem pewien, że już zablokowały linie. Oberwę za to, ale na swoją obronę powiem, że to kawał świetnej telewizji.

-

Co z tymi telefonami? - zapytał nagle zaniepokojony Diamond. - Ktoś je odbiera?

-

Teraz przechodzą przez moje biuro, do mojej asystentki Justine. Mówiąc między nami, dziewięćdziesiąt dziewięć procent to będą brednie. Przysłowiowy nocnik pełen bobków. Dzieci ponosi, kiedy ktoś z takim wdziękiem i talentem jak Curtis składa im propozycję. Czy można mu się oprzeć?

Diamond nie był skłonny do omawiania wdzięku i talentu Curtisa. Był wściekły na siebie, że nie pomyślał o tym wcześniej. Za bardzo zajął się programem.

-

Ciekawi mnie ten jeden procent. Czy Justine potrafi to wyczuć?

Cedric uśmiechnął się szelmowsko.

-

Wyczuć? Skąd ja mam to wiedzieć? - Ale widząc spojrzenie Diamonda, dodał: - Jest bystra.

Nic martw się. - Ucisnął ramię Diamonda. - Damy ci znać, jeśli dopisze nam szczęście.

Ale Diamond nie był zadowolony. Zażądał, by zaprowadzono go do biura, gdzie Justine odbierała telefony. Miała przed sobą notes i ołówek w ręku i mówiła do słuchawki:

-

Dziękuję, kochanie. Podaj mi teraz telefon mamusi. - Spojrzała na Diamonda. - Przeklęte bachory. - Przcisnęła inny guzik i powiedziała znużonym tonem: - „A co z dziećmi”... Gdzie dokładnie ją widziałeś?... W Król i ja? Mówisz o filmie z Yulem Brynnerem?... Dziękuję... Zapiszę to.

Może nie ma sensu pytać jej, czy któryś z tych telefonów wydawał się obiecujący.

-

To rodzice podsuwają im te pomysły - powiedziała Justine. - Są głupszy od swoich dzieci.

Siedzę tu już od ponad godziny i będą dzwonić non stop. Niech pan będzie tak dobry i przyniesie mi z bufetu kanapkę i sok pomarańczowy. Dobrze? Inaczej sama musiałabym wyjść.

Zrobił to bez wahania. Musiał polegać na Justine.

Kiedy wrócił, właśnie odłożyła słuchawkę. Zgłodniała, ugryzła kanapkę.

-

Dziękuję. Ile jestem panu winna?

-

Tylko rekapitulację wyników - odpowiedział. - Chyba trafiliśmy na żyłę złota, prawda?

-

Pan to musi ocenić. Co najmniej dwunastu rozmówców przysięga, że znają ją ze szkoły albo z lekcji tańca, albo skądś tam. Wzięłam ich numery telefonów, będzie pan mógł do nich zadzwonić.

I był jeden niesamowity telefon.

-

Jak to niesamowity?

-

Coś mi się w nim bardzo nie podobało. Zadzwoniła Japonka. Tak, chyba to była Japonka.

Mówiła moim zdaniem jakoś z japońska.

-

Podać swoje nazwisko?

-

Nic. W tym rzecz. Odmówiła. I nie twierdziła, że zna Naomi, jak wszyscy inni. Powiedziała tylko, że otrzymała polecenie, by przesłać panu wiadomość. O siódmej przyjedzie tu taksówka.

-

Tutaj?

-

Tak. I jeżeli pan naprawdę chce pomóc Naomi, ma pan do niej wsiąść, razem z Naomi.

-

Naomi też?

-

Tak.

-

To wszystko? Nie powiedziała, dokąd ta taksówka ma nas zabrać?

Justine pokręciła głową.

-

Zrobi pan to?

-

Miała pani wrażenie, że mówiła poważnie?

-

Panie Diamond, była tak poważna, że na pana miejscu zastanowiłabym się dwa razy, zanim bym wsiadła do tej taksówki.

-

Nie szukam czczych rozrywek - powiedział Diamond. - Która to godzina?

Rozdział 16

SZYBKIE REAKCJE MOGĄ OZNACZAĆ SUKCES, ale mogą wpędzić człowieka w tarapaty. Diamond pamiętał, że nie jest już wysokiej rangi policjantem. Postąpił profesjonalnie, idąc za jedynym realnym tropem, który wyłonił się z programu telewizyjnego. Ale jako czynny detektyw działający na podstawie poufnej informacji musiałby przekazać swoje posunięcia do kwatery głównej.

Zapytał kierowcę, dokąd jadą.

- Mam zamknięte usta, stary.

- No powiedz!

- Do Albert Hall.

- A niech cię wszyscy diabli!

Powinien zadzwonić do szkoły albo przynajmniej poprosić kogoś, żeby zawiadomił Julię Musgrave. Dla pana w średnim wieku wożenie po Londynie małej dziewczynki bez powiadomienia jej opiekunów było wysoce niestosowne i gdyby rzecz się wydała, zasługiwałaby na potępienie.

Julia będzie go podejrzewać o uprowadzenie dziecka - miała go dotąd za człowieka odpowiedzialnego - ale tak mogliby to widzieć inni. Molestowanie dzieci to zło, którego nie potrafił zrozumieć, a które media w ostatnich czasach wyciągnęły na światło dzienne i niewiele trzeba, żeby kobieta taka, jak pani Straw napiętnowała go jako zbrodnicę. Żeby jednak usprawiedliwić panią Straw, musiałby przyznać, że każdy policjant byłby zobowiązany potraktować poważnie takie oskarżenie. Postanowił znaleźć telefon jak najszybciej po przybyciu na miejsce przeznaczenia.

A było nim Albert Hall.

Kiedy się zatrzymali na Kensington Street, naprzeciw północnego wejścia, podeszła do nich jakaś Japonka. Diamond położył dłoń na głowce Naomi i przyciągnął ją opiekuńczo do siebie. Nie zamierzał ryzykować.

Kobieta złożyła długi ceremonialny ukłon. Wyglądała na sześćdziesiątkę i była o wiele za stara na matkę Naomi. W lewym kącie górnej wargi miała brodawkę.

- Pan Diamond?

- Tak.

- Proszę za mną.

- Chwileczkę, madame. - Uregulował opłatę. Kiedy prawa ręka znów znalazła się u jego boku, poczuł, że Naomi mocno ściska mu końce palców. Najwyraźniej nie uznała tej kobiety za kogoś z rodziny. Poszli za nią w kierunku gmachu, a on zauważył, że Naomi odchyła do tyłu głowę, żeby objąć wzrokiem ceglana fasadę budowli. Ilekroć widział Albert Hall, zawsze sobie myślał, że to ogromny garnek dla bogów. Można sobie wyobrazić boską rękę unoszącą dach, wkładają-

ca do środka ogromną warzącą i mieszającą zawartość przy wtórze pieśni *Kraj nadziei i chwały* w ostatni wieczór Koncertów Promenad- wych. Kobieta wbiegła żwawo po schodkach i przez łukowate wejście, tak jakby Albert Hall był jej domem. Była ubrana w kosztowny wschodni strój, płowy jedwabny żakiet i świetnie dobrane brązowe spodnie.

Oprawne w złoto okulary wisiały na długim łańcuszku, który dyndał jej na plecach.

Gdy wchodzili do budynku, ścisk palców Naomi był tak silny, że krew przestała krążyć w dłoni Diamonda. Kobieta skręciła na prawo, prowadząc ich pasażem, który otacza widownię. Kręcili się tam także inni, w większości młodzi ludzie w wieku i o wyglądzie studentów. Diamond nie odniósł jednak wrażenia, że I lali będzie służył jako sala koncertowa czy to muzyki pop, czy klasycznej.

Nie wiedział, co tam wystawiają w tym tygodniu. „Nie pomyślałem o tym” - skarcił sam siebie.

Mógł zapytać kogoś w Centrum Telewizyjnym.

Ich przewodniczka zatrzymała się przed drzwiami oznaczonymi jako prywatne i zapukała.

Diamond czuł się nieswojo, wprowadzając Naomi do zamkniętego pomieszczenia.

- Czy może mi pani powiedzieć, o co tu chodzi? - zapytał.

Kobieta odwróciła się do niego.

- Przykro mi, ale to do mnie nie należy.

- Kim pani jest? Nawet nie znam pani nazwiska.

- Nikim. Niech pan na mnie nic zwraca uwagi.

- Mówi pani dobrze po angielsku.

- To jedyny powód, dla którego tu jestem.

Drzwi otworzył krępy młody Japończyk w czarnym dresie. Kobieta złożyła ukłon. Młody mężczyzna pochylił głowę w oficjalnym powitaniu skierowanym raczej do Diamonda niż do przewodniczki, ukazując włosy związane w węzełek na czubku czaszki. Powiedział coś po japońsku.

- Proszę wejść - powiedziała do nich kobieta, stając z boku z gestem zapraszającym do środka.

Mdląco słodki kwiatowy opar unosił się z włosów młodego człowieka i Diamond rozpoznał, że był to zapach kamelii. Przypomniawszy sobie, że Stephanie używała kiedyś subtelniejszej odmiany tych perfum. Coraz mniej wyglądało to na powrót do domu zgubionego dziecka, ale w tym zaproszeniu nie było nic, co mogłoby się wydawać groźne. Wprowadził Naomi do środka.

Powitał ich widok, na który nie byli przygotowani: para ogromnych pośladków, całkiem gołych

oprócz paseczka czarnego jedwabiu wciśniętego w przedział.

Z powodów zbyt złożonych, by je zbadać, mięsisty męski tyłek nie jest zjawiskiem szczególnie szanowanym we współczesnym zachodnim społeczeństwie. Może być przedmiotem kpin - wręcz pośmiewiskiem - albo też bardziej pozytywnie, źródłem dodatkowych punktów w drużynie rugby czy w zespole przeciągania liny. Ten zad wyraźnie aspirował do wyższych rejonów doświadczeń.

Był monumentalny, a zarazem napawający czcią, jak pomnik Alberta po drugiej stronie ulicy.

Nieruchomy, bladoczysty, gładki, mocny jak dwie zestawione ze sobą beczki, dominował nad środkiem pokoju i nad jego bokami również. Reszta właściciela cielska była chwilowo ukryta prócz fragmentów masywnych nóg i gołych stóp. Mężczyzna pochylał się do przodu w pozycji trudnej do utrzymania.

Z poziomu oczu Naomi ten widok mógłby konkurować z górą Fudzi.

Diamond przypomniał sobie, co widział przed kilkoma dniami w wiadomościach telewizyjnych. Rozpoczęto festiwal japoński, a jego główną atrakcją były zawody zapaśników. Ten sport miał tutaj oddanych kibiców. Wymówił to słowo: „Sumo?”

Mężczyzna, który ich wpuścił, pokiwał głową.

Chociaż Diamond nie oglądał zapasów sumo w telewizji, czuł sympatię do tego sportu, w którym trening polega na obżarstwie, a sama walka rzadko trwa dłużej niż piętnaście sekund.

Pośladki napięły się, zdrząły i ze zdumiewającą szybkością zmieniły pozycję. Ich właściciel, nie zważając na gości, wykonał ćwiczenie fizyczne: uniósł się w biodrach i podciągnął prawą nogę do wysokości ramienia, a potem pozwolił, by ciężko opadła.

- To *shiko* - szepnęła kobieta od progu. - Dla odpędzenia złych duchów i wrogów.

- Niech mu pani powie, że nie ma tu wroga - szepnął Diamond.

Shiko zostało powtórzone lewą nogą. Olbrzymia masa cielska po wykonaniu tych ruchów zatrzęsała się i znów znieruchomiła. W każdym razie wzmógł się kameliowy zaduch. Zapaśnik, podobnie jak jego czciciele, musiał być wypomadowany jakąś pachnącą maścią.

- Ktoś się chyba pomylił, zapraszając nas tutaj - oświadczył Diamond.

Wstrząśnięty tym, że ktoś odzywa się w trakcie wykonywania ćwiczeń, mężczyzna w dresie uniósł rękę, nakazując milczenie.

Zapaśnik znów potraktował ich widokiem swojego tyłu, schylając się tak nisko, że jego głowa znalazła się między kolanami. Miał na biodrach jedwabną przepaskę, noszoną w czasie walk przez najwyższych rangą *sumotori*. Wymuszona bliskość z kolosalnym zadem tak zażenowała Diamonda, że nawet nie pomyślał o tym, jakie wrażenie ten widok musi robić na dziecku. Pokój właściwie nie był mały, ale zajęty przez zapaśnika, i tych dwoje z włosami wysmarowanymi pomadą o zapachu

kamelii, wydawał się malutki. Obejrzał się, by sprawdzić, czy ta kobieta wciąż tu jest. Stała w drzwiach, starając się nie rzucać w oczy.

- Jest pani pewna, że chodziło tu o nas?

Kiwnęła głową i na znak, że ma się nie odzywać, przyłożyła palec do ust.

Zapaśnik odchrząknął, podniósł się z pozycji scyzoryka i nagle obrócił się do nich twarzą.

Wszystko w nim było olbrzymie. Jego uda wyglądały, jakby mogły utrzymać ogromny ciężar, i w istocie podtrzymywały olbrzymie brzuszysko, które przelewało się nad przepaską tak, że wyglądał, jakby był nagi. Tors pokrywał mu gruby, głęboko pofałdowany zwal mięśni. Nad tym wszystkim wznosiła się niczym księżyc w pełni mała, jakby cudna główka. Wyróżniała się tym, że ściągnięte do tyłu włosy były ułożone w tradycyjny kształt wachlarza. Uczesanie to oznaczało najwyższego rangą *sumotori*. Wymienił krótkie spojrzenie z mężczyzną w dresie, który chwycił czarne okrycie, przypominające togę, i okrył nim ramiona zapaśnika.

Wielki człowiek pochylił się w ukłonie i Diamond zrobił to samo. Przynajmniej raz w życiu poczuł się fizycznie drobny, niemal szczupły. Zobaczył wyciągniętą do niego rękę. Znając ruchliwość japońskich zapaśników, nie byłby zdziwiony, gdyby nagle znalazł się za olbrzymem w kącie pokoju. Nie spotkało go jednak nic gorszego niż mocny uścisk dłoni. Wysoki chrapliwy głos powiedział coś po japońsku.

- Ozeki Yamagata chciał się przedstawić - odezwała się kobieta zza pleców Diamonda - i powitać was w Albert Hall, jego tymczasowej siedzibie.

Diamond przedstawił siebie i Naomi. Podsunęto im krzesła. Yamagata przysiadł na drewnianej ławie i powiedział coś do swojego garderobianego, który z kolei przekazał to tłumaczce.

- Mam zaszczyt tłumaczyć dla pana Yamagaty - powiedziała. - Polecił mi wyjaśnić, że Ozeki to druga w kolejności ranga w sumo. Pan Yamagata jest bardzo ważną osobistością w Japonii i zajmuje pierwsze miejsce w tym turnieju. Jesteście mile widziani jako honorowi goście na wieczornym występie, jeśli zechcecie.

- Czujemy się doprawdy zaszczytzeni - powiedział Diamond, dostosowując się gładko do podniosłego stylu rozmówcy - ale uważam, że dziecko jest za małe.

Kiedy przetłumaczono to panu Yamagacie, chyba uznał ten argument, bo z powagą skinął głową.

Naomi wciąż zaciskała palce na dłoni Diamonda. Nie bez powodu patrzyła na to, co się dzieje, z głęboką podejrzliwością.

Yamagata znów coś powiedział i tłumaczka wyjaśniła, że Bardzo Ważny Zapaśnik przypadkiem oglądał program telewizyjny „A co z dziećmi”. Przyniesiono mu przenośny odbiornik, żeby mógł obejrzeć program o sumo, ale ponieważ w audycji zajmowano się głównie konkurencyjną ekipą,

przełączył więc kanał. - Pana Yamagata głęboko się wzruszył smutnym losem japońskiej dziewczynki, którą pokazano w brytyjskiej telewizji i która się nie odzywa. Prosił

mnie, żebym się dowiedziała czegoś o niej, zadzwoniłam więc do BBC.

Nadzieje Diamonda na przełom legły w gruzach.

- Czy to znaczy, że on nie rozpoznaje dziewczynki?

Pokręciła głową.

- Nie wic, kim jest?

- Wie tyle, ile pokazano w telewizji.

- To przekracza wszelkie granice! - Diamond zerwał się z krzesła, stawiając zarazem na nogi Naomi uczeponą jego dłoni. - Ściągacie nas tutaj, bo ten... ten kawał sadła przypadkiem zobaczył dziecko na ekranie? To idiotyczne! Kogo jeszcze tak ściągnęliście - Arthura Daleya?

- Proszę. Nie mogę tego powiedzieć panu Yamagacie.

- To niech się pani nic fatyguje. Wychodzimy. Zostaliśmy okantowani przez tę kupę mięsa. -

Odwrócił się do drzwi, ale drogę odciął asystent w dresie pochylony w bojowej pozycji i niewyglądający na to, że żartuje. Naomi pisnęła, wypuściła swój cenny blok i objęła obiema rączkami Diamonda tak wysoko, jak tylko mogła sięgnąć.

Co nie dawało idealnych warunków do starcia wręcz z zapaśnikiem sumo.

- Przepraszam. - Diamond starał się to powiedzieć w uprzejmy brytyjski sposób. -

Chcielibyśmy wyjść.

Yamagata wyrzucił z siebie potok japońszczyzny, a tłumaczka wepchnęła się między Diamonda a asystenta. - Panie Diamond, błagam pana! Pan Yamagata nie skończył mówić. Nie możecie jeszcze wyjść.

- Nie ma już nic do powiedzenia - warknął Diamond. - Przyszliśmy tylko po to, by odkryć, kim jest Naomi. Ale on nie wie. Nie ma o tym pojęcia.

- Chce pomóc.

- Wypytyując ją po japońsku? Ludzie z ambasady już próbowali. Nie odpowiada. A teraz niech pani będzie uprzejma poprosić tego bufona, żeby nas przepuścił.

- Nic powinien się pan odwracać od pana Yamagaty.

Wygłosiła to zdanie jak jakąś uniwersalną prawdę. Prawdopodobnie była ona znana i przezornie przestrzegana w bractwie zapaśników. Diamond rozważył ją i spojrział przez ramię.

Yamagata na szczęście nie ruszył się z ławy. Skinął na Diamonda, by znów usiadł.

Może mimo wszystko, pomyślał Diamond, gość ma coś konstruktywnego do zaproponowania.

Niczego nie wygram, jeżeli stąd wyjdę ze złością. Nie powinienem dać się ponieść frustracji.

Gdybym przepytował świadka w więzieniu, starego świadka, czy bym go słuchał, nie mając nadziei, że mi coś wyjaśni?

- No dobrze - powiedział, trzymając rękę na ramieniu Naomi. - Dwie minuty.

Znowu usiedli.

- Pan Yamagata chciałby usłyszeć historię tej dziewczynki z pana własnych ust.

- Sądziłem, że to on ma mi coś do powiedzenia.

- Panic Diamond...

- Jak pani sobie życzy. - Starając się zachować cierpliwość, streści! pokrótce wszystkie znane mu fakty, poczynając od alarmu antyterrorystycznego u Harrodsa, a kończąc na rysunkach Naomi, które pozwoliła mu obejrzeć.

Zapaśnik powoli odwracał kartki bloku rysunkowego, przyglądając się rombom i dochodząc w końcu do okien z oprawnymi w ołów szybkami.

- To moja robota - powiedział Diamond. Pomyślał, że zabrzmiało to śmiesznie, jakby artysta amator upominał się o komplementy. - Rysunek na górze zrobiła Naomi. Przez jakiś czas się zastanawiałem, czy nie pisze japońskimi znakami, ale powiedziano mi, że nie.

Kiedy to wyjaśniono Yamagacie, pokręcił głową. Wydawał się zdziwiony znaczeniem tych rysunków, podobnie jak wszystkim innym. Zamknął blok i eleganckim gestem obu rąk zwrócił go Naomi, jakby to był cenny przedmiot, objęty rytuałem sumo. Powiedział do niej coś po japońsku, ale nie odpowiedziała. Potem się zwrócił do Diamonda i wydukał kilka słów po angielsku.

- Yamagata kocha małą dziewczynkę.

- Nie przywiozłem jej tutaj, żeby ją panu oddać - próbował wyjaśnić Diamond. - Zresztą nie należy do mnie. Dziś wieczorem zabieram ją z powrotem do szkoły.

- Na miłość boską, niech pani mu to powie - poprosił tłumaczkę.

Nastąpiła krótka narada po japońsku. Potem kobieta, znów składając ukłon, powiedziała do Diamonda:

- Niech pan wybaczy, że o tym mówię, ale chyba nie zrozumiał pan pana Yamagaty. Chciał

powiedzieć, że miał córeczkę mniej więcej w wieku Naomi. Głęboko ją kochał, ale umarła na zapalenie opon mózgowych.

Oczy Yamagaty wyraźnie zwilgotniały.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział szczerze Diamond. - Śmierć dziecka to najcięższy ból.

Ale proszę, niech mu pani wytłumaczy, że dziecko należy do kogoś innego.

- On to rozumie.

Yamagata znów odezwał się po japońsku, dla wzmocnienia słów przykładając dłoń do piersi.

- Mówi, że chce pomóc tej dziewczynce.

- Naomi? Chce pomóc Naomi?

Yamagata pokiwał głową.

-

To miło - powiedział Diamond. - Doceniam tę propozycję, ale co może zrobić? Czy pan mnie rozumie? Co może pan zrobić, żeby jej pomóc?

Kobieta przełożyła to na japoński, a potem dostała szybką odpowiedź:

- On mówi, że zaraz panu powie.

Diamond nie chciał się okazać niewdzięczny.

- Myślę, że powinien pan zrobić to, czego ja próbowałem: zainteresować opinię publiczną - powiedział w końcu.

Kiedy tłumaczka przekazała to Yamagacie, zapaśnik wydał wargi w grymasie niesmaku. Znów coś powiedział.

- Pan Yamagata wysłuchał pańskiej opowieści i wierzy panu - oznajmiła kobieta. - Był pan detektywem w policji i ma pan pełne kwalifikacje, by odkryć prawdę o dziecku. Pan Ymiagata jest sławnym zapaśnikiem, ale nie jest detektywem. Jest bogatym człowiekiem. Chce pokryć wszystkie koszty. Opłaci pańskie podróże, przeloty i pobyty w hotelach.

Znalazł się sponsor!

- Nie miałem zamiaru nigdzie lecieć.

- Pan Yamagata uważa, że to konieczne.

Diamond pokręcił głową.

- Wątpię.

Następna narada, a potem kobieta powiedziała:

- Pan Yamagata życzy sobie jeszcze raz obejrzeć ten blok rysunkowy.

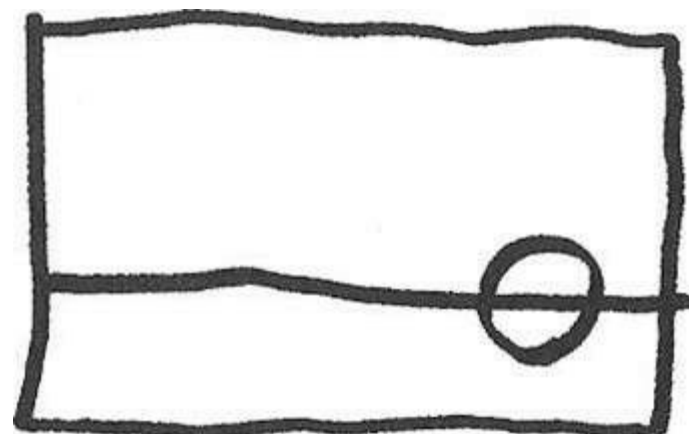
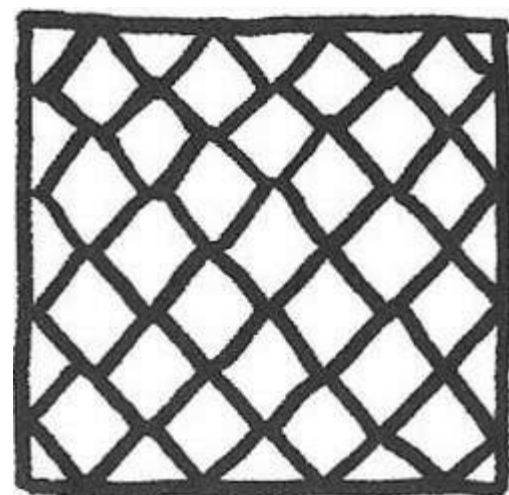
- Znowu? - Blok leżał na kolanach Naomi. Pozwoliła Diamondowi zabrać go i podać zapaśnikowi.

Yamagata odwracał karki, aż doszedł do rysunku ołowianych szybek, tego, który narysował

Diamond. Przeciągnął palcem po figurach zrobionych przez Naomi i powiedział:

- Samolot.

Aby wzmocnić tę informację, położył blok na udach i rozpostarł szeroko ramiona.



- Przy największym wysiłku wyobraźni ten rysunek nie może przedstawiać samolotu.

Yamagata przywołał bliżej tłumaczkę i coś jej poważnie wyjaśniał.

- On mówi, że powinien pan dobrze się przyjrzeć temu rysunkowi - powiedziała do Diamonda.

Yamagata odwrócił blok i pokazał go detektywowi.

- On uważa, że tak dziecko może widzieć wewnątrz samolotu.

- Nie jestem, przypuszczam, stałym pasażerem odrzutowców, ale latałem kilka razy i żaden z nich nie miał okien z oprawnych w ołów szybek.

-

Niech pan się przyjrzy temu rysunkowi razem z panem Yamagatą.

Yamagata podniósł blok wyżej.

Mówił wskazując palcem kreski, a kobieta tłumaczyła.

- Ta kratka, która, jak pan założył, ma przedstawiać okno, może być czymś innym.

- Przecież sam ją narysowałem.

- Narysował pan wzór stworzony przez dziecko. Pan Yamagata uważa, że może on przedstawiać kieszeń do przechowywania dokumentów, przymocowaną z tyłu każdego siedzenia.

Diamond zrozumiał o co chodzi.

- Tę siatkę, do której się utoyka wszystko, instrukcje bezpieczeństwa, tygodnik lotniczy i tak dalej? To jest myśl! Jeśli siedziała w samolocie, miała to na poziomie oczu. A ten drugi kształt to klapka, na której się stawia tacę. Chyba on ma rację. - Pstryknął palcami. - To wspaniałe!

Cholernie wspaniałe! Naomi daje nam znać, że była w samolocie.

- Albo w pociągu intercity.

Nastąpiła chwila pełnego milczenia.

- On to powiedział?

- Nie, to ja - stwierdziła tłumaczka. - Mieszkam w Anglii. Wiele miejsc w pociągu ma takie klapki. W samolotach, którymi podróżowałam, miały na ogół kieszenie z tkaniny.

Słusznie.

- Zaraz - powiedział Diamond i wskazał palcem. - Czy mogę dostać z powrotem blok?

Yamagata podał mu rysunki.

Diamond otworzył blok na nowej stronie, wyjął ołówek z kieszeni i wykonał szybko dwa uproszczone rysunki: samolotu i pociągu.

- Teraz zobaczmy. - Podał je Naomi i przybył dłonią pociąg. - Czy to?

Nie zareagowała.

- Czy to? - Odsłonił pociąg.

Po nękającej zwłoce dziewczynka wyciągnęła rękę i dotknęła rysunku pociągu.

- To ten? Czy to ten, Naomi?

Znów stuknęła w pociąg.

- Ma pani rację. A on tylko częściowo. Wprawdzie odkrył, co przedstawia rysunek, ale ona zakomunikowała nam, że podróżowała pociągiem.

- Japońskie Linie Lotnicze - odezwał się Yamagata, kiwając głową.

- Kolej Brytyjska - odparł Diamond. - To fantastyczne, że pani na to wpadła.

- Cała zasługa interpretacji tego rysunku przypada panu Yamagacie.

- A zatem dzielcie ją między siebie. Cholernie wspaniałe!

- Azjaci piszą ideogramami. Mamy dobre oko do symboli.

Yamagata znów powiedział coś po japońsku, a jego tłumaczka stwierdziła:

- Pan Yamagata musi się przygotować do *basho*. Nie możemy go dłużej zatrzymywać. Mówi, że zapłaci za wszystko, czego panu potrzeba, by znaleźć rodziców Naomi.

Oczy Diamonda zaokrągliły się ze zdumienia.

- Zapłaci?

- Tak.

- Muszę to sobie ułożyć w głowie. Czy on mi proponuje, że mnie wynajmie?

- Tak.

- Czy to istotnie oznacza wszystko, czego mi potrzeba?

Kolejna narada.

- Pan Yamagata ma złotą kartę American Express - oznajmiła tłumaczka.

- Jestem pod wrażeniem, ale...

- Da panu numer tej karty. Jeśli będzie pan miał jakieś wydatki, poda pan tylko numer. Zapiszę go panu.

- Daje mi *carte blanche* na wydawanie jego pieniędzy?

- American Express - powiedział osobiście Yamagata, mając pewne trudności z wymówieniem głoski „r”.

- Panu Yamagacie wystarczy, że jest pan człowiekiem honoru.

Choć nieograniczony sponsoring i uznanie człowieka honoru były nader krzepiące, Diamond miał mieszane uczucia co do tego spotkania. Jego nadzieje, że Japończycy rozpoznają Naomi, przysły. Był zadowolony, że jej rysunek został wyjaśniony, ale także zawiedziony, bo nie dowiedział się o niczym poza podróżą brytyjską koleją.

Po następnej serii ukłonów i uścisków dłoni wycofał się wreszcie z Naomi na nieprzepojone wonią, cudownie świeże powietrze.

Tłumaczka wyszła za nimi i wręczyła mu wizytówkę z adresem Yamagaty w Tokio. Pod spodem zapisała numer karty kredytowej.

- Mój numer telefonu jest na odwrocie - powiedziała uroczyście.

Z trudem oparł się odruchowej chęci, by się uśmiechnąć, mrugnąć lub w inny sposób okazać życzliwość, ale są ludzie, których lepiej nie irytować, a azjatycka matrona chyba do nich należała.

Wzmianka o telefonie przypomniała Peterowi Diamondowi o znacznie pilniejszej sprawie. Dotąd nie zadzwonił do szkoły. Podziękował Japonce, schował do kieszeni wizytówkę i poszedł rozejrzeć się za budką telefoniczną.

Ku jego niezmiernej uldze telefon odebrała Julia Musgrave. Uznała, że słusznie odpowiedział

na wezwanie zapaśnika sumo. Oglądała „A co z dziećmi?” Wszyscy w szkole oglądali, a kiedy Clive rozpoznał Naomi, wśród dzieci zapanowało wielkie poruszenie. Szkoda tylko, że z programu, oprócz oferty pana Yamagaty, nie wynikło nic konkretnego, ponieważ przypomniała Diamondowi, któremu i tak nie wychodziło to z głowy, że pobyt Naomi w Anglii dobiega już końca. Za mniej niż czterdzieści osiem godzin dziewczynka odleci do Bostonu.

Kiedy Diamond dotarł do szkoły, okazało się, że panna Musgrave poszła już do domu.

Jak to dobrze, że zdążył zadzwonić. Najgorsze, o co mogła obwinić go pani Straw, było to, że dziecko wygląda, jakby ledwie trzymało się na nogach.

- Niech pan tylko na nią spojrzy, ledwie stoi, taka jest wykończona.

Naomi wysunęła rączkę z dłoni Diamonda, weszła do środka i wciąż ściskając blok rysunkowy, lekkim krokiem wbiegła po schodach na górę.

Uchylił kapelusza przed panią Straw i wyszedł złapać metro.

Rozdział 17

RADA, JAKIEJ STEPHANIE UDZIELIŁA MU PRZY ŚNIADANIU, była rozsądna, choć absolutnie nie do przyjęcia.

- Daj sobie spokój, Pete. Masz za mało czasu. Nie dasz rady rozwiązać problemu tej dziewczynki.

- Jakiego problemu?

Stephanie westchnęła.

- Boże, nie bądź taki dokładny. Jest za wcześnie.

Aby okazać dobrą wolę, włożył dla niej do tosterą kromkę chleba.

- Chciałem tylko, żebyś mi wyjaśniła, co masz na myśli. Którego z jej problemów nie potrafię rozwiązać?

- Mówienia.

- Raczej niemówienia.

Znów westchnęła. Oparła podbródek na złączonych dłoniach i obrzuciła go spojrzeniem, które mówiło, że jest irracjonalnie racjonalny.

- Nigdy nie spodziewałem się, że zdołam przywrócić jej mowę - powiedział. - Nie jestem terapeutą, jestem policjantem.

- Też nie jesteś - przypomniała dyskretnie.

- No dobrze, byłem policjantem.

- Ale nie zajmowałeś się porzuconymi dziećmi.

- Właśnie się tego uczę. Znam procedury. Posłuchaj, Steph, znasz mnie dość dobrze, żeby wiedzieć, że teraz się nic poddam.

Wstała od stołu i zniosła swój talerz do zlewu.

- A co możesz jeszcze zrobić? Jest sobota rano. Powiedziałeś, że Naomi jutro leci do Bostonu.

- Tak.

- A może to dla niej najlepsze, Pete? Szkołę prowadzą japończycy. Ma wspaniałą reputację.

Nie miał nic przeciw szkole.

- Pytasz, co mogę zrobić - powiedział. - Mogę sprawić, że będzie rysowała. Ona próbuje coś zakomunikować tym swoim rysunkiem. Zdobywam jej zaufanie. Trzyma mnie za rękę.

Stephanie spojrzała na wodę spływającą na naczynia i uśmiechnęła się ukradkiem. Jednym prostym ruchem wzięcia go za rękę małej milczącej dziewczynce udało się oswoić niedźwiedzia.

- Chciałabyś pójść ze mną? - zapytał.

- Do szkoły?

- Moglibyśmy wziąć ją na spacer.

Miło było, że jej to zaproponował, ale pomyślała i pokręciła głową.

- Nie zna mnie. Nie będzie ufna, jeśli pojawi się ktoś obcy. Widziała już zbyt wiele osób o dobrych chęciach, pracownic opieki społecznej i ludzi z ambasady, nauczycieli, próbujących coś z niej wydusić, pełnych najlepszych intencji, ale nie takich, jakich potrzebuje to dziecko.

Bóg raczy wiedzieć, dlaczego, chyba tylko ty zdołałeś osiągnąć z nią jakieś porozumienie. Idź sam, kochanie, ale nie wiąż z tym wielkich nadziei.

Znając sobotni rozkład dnia w szkole, zaplanował swoje przyjście na tuż przed dziesiątą, kiedy było już po śniadaniu, pokoje wysprzątano, a ubrane dzieci bawiły się. Był jeden z tych słonecznych, bezchmurnych londyńskich poranków, który sprawia, że opowieści o miejskim zanieczyszczeniu powietrza wydają się mitem. Słyszał dzieci bawiące się na tyłach domu w ogrodzie, obszedł więc dom od tej strony. Pierwszy dostrzegł go Clive i podbiegł do niego z samo-chodzikiem, który dał mu w prezencie, naśladując udanie dźwięk silnika. Diamond zatrzymał się i rozpostarł ramiona na powitanie, ale chłopczyk skręcił w lewo, jakby sobie właśnie przypomniał, że jest dzieckiem autystycznym i nie nawiązuje żadnych stosunków z dorosłymi.

Pani Straw była na komisariacie. Siedziała na ławce pod jaworem i gorliwie robiła coś na drutach w migotliwym cieniu rzucanym przez liście.

Przywitał się uprzejmie i zapytał o pannę Musgrave. W rozmowie z panią Straw każdy z personelu, mówiąc o kimś innym, dodawał: pani, panna lub pan.

- Jest zajęta.

- W swoim gabinecie?

- Zajęta, powiedziałam.

- Tak, ale gdzie mogę ją znaleźć?

- Nie chce, żeby jej przeszkadzano.

- Rozumiem, pytam tylko, gdzie jest.

- Na telefonie.

Niektóre zwroty pani Straw, rozumiane dosłownie, miały wręcz surrealistyczny wydźwięk.

Diamond wyobraził sobie Julię usiłującą utrzymać równowagę na czubku słuchawki telefonicznej.

- Nie pytałem, co robi.

Milczenie.

- Chodzi o telefon w jej biurze? - zapytał. Wiedział, że w szkole są trzy aparaty.

Nadal ani słowa.

- Pójdę i sam zobaczę. Gdzie jest Naomi?

Jakby nie słysząc go, pani Straw zacisnęła mocniej usta. Tego ranka była bardziej nieuprzejma niż zwykle. Nadal poruszała drutami drobnymi, pełnymi napięcia ruchami.

- Jest pani na dyżurze? - zapytał Diamond, zirytowany niemy przedstawiением. - Czy dziecko nie powinno być na dworze, razem z innymi?

- Odeszła.

- Co to ma znaczyć: odeszła?

- Mówię chyba po angielsku?

- Odeszła?

Skinęła głową.

- Chce pani powiedzieć, że odeszła na dobre?

- Zabrano ją dziś rano.

Pani Straw nie podniosła nawet oczu znad swojej robótki. Podała tę informację obojętnym tonem, jakby było to coś powszechnie znanego, i zabrała się do następnego rzędka.

Diamond był tak zdziwiony, że mógł wykrztusić z siebie tylko nedorzeczne:

- Co?

- Głuchy pan jest?

Odwrócił się i poszedł poszukać Julii Musgrave.

Tak jak powiedziała pani Straw, Julia rozmawiała przez telefon. Widząc go na progu swojego gabinetu, rzuciła do słuchawki.

- W porządku. Właśnie przyszedł. Sama mu powiem. Rozmawiałam z twoją żoną -
powiedziała, odkładając słuchawkę.

- Z moją żoną?

- Próbuję się z tobą skontaktować. Nie wiedziałam, że tu jesteś. Mam wiadomość, która może cię zdenerwować.

- Pani Straw właśnie powiedziała mi o Naomi.

Jej twarz się ściągnęła.

- Co to za kobieta! Wydała dziecko, nie informując ani mnie, ani opieki społecznej, ani w ogóle nikogo.

- Nie było cię?

- Wszystko stało się przed moim przyjściem, około ósmej rano, kiedy dzieci jedzą śniadanie.

Jedynymi osobami z personelu były pani Straw i ta malezyjska dziewczyna, która gotuje. Jakaś Japonka zastukała do drzwi, oświadczyła, że jest matką Naomi i że chce zabrać córkę.

Wylegitymowała się paszportem i pokazała fotografię Naomi. Według pani Straw, Naomi zdecydowanie ją rozpoznała.

Próbował ogarnąć informacje.

- Paszport i zdjęcie czy paszport ze zdjęciem?

Julia pokręciła głową.

- Zdjęcie było oddzielnie. Paszport należał do kobiety, ale dziecko było w nim wymienione.

- Naomi?

- Nie, jakieś inne imię. Pamiętaj, że to my nazwaliśmy ją Naomi.

- Jak ta kobieta wyglądała?

Pokręciła głową.

- Chyba rozumiem, co to znaczy próbować wyciągnąć jakiegokolwiek informacje od pani Straw.

Tak się wściekłam, kiedy się dowiedziałam, że wydała Naomi komuś obcemu, że straciłam możliwość

normalnej rozmowy z tą babą.

- Natychmiast każ jej tu przyjść. Ma nam dokładnie zdać sprawę z tego, co się zdarzyło.

- Oczywiście. Zostaniesz tu?

- Ma się rozumieć, że zostanę. Pójdę ją przyprowadzić.

Chociaż spojrzenie, jakim został obrzucony, mogłoby zabić, pani Straw zwinęła robótkę i poszła za nim.

Usiedli sztywno wśród dziecięcych zabawek i rysunków w gabinecie Julii, Diamond na drewnianym stołku, pani Straw na krześle tuż obok drzwi, jakby gotowa do wyjścia.

Julia wyjaśniła, że chciałyby rozpatrzyć wszystkie szczegóły tego, co wydarzyło się rano.

Ostentacyjnie pomijając to, co zostało powiedziane, i wyzywająco wysuwając podbródek, pani Straw zapytała:

- A co ten tu robi?

Diamond zaczerpnął tchu, by ją zwymyślać, ale Julia uprzedziła go, tym skuteczniej, że jej nagana została wygłoszona spokojnym, wyważonym tonem.

- Pan Diamond, jak dobrze pani wie, interesuje się Naomi. Pracował w policji.

- To nie ma nic wspólnego z policją.

- Wiem, że nie ma, ale muszę przekonać się, że ta kobieta naprawdę jest matką Naomi. To może być oszustka.

- Niemożliwe - odparła pani Straw.

- Przeciwnie. To całkiem możliwe, że jakaś bezdzietna kobieta zobaczyła Naomi w telewizji i postanowiła podać się za jej matkę.

Pani Straw była niewzruszona.

- Miała zdjęcie Naomi.

- Zanim się tym zajmiemy - wtrącił Diamond - czy może nam pani opowiedzieć wszystko od początku, od chwili, kiedy przyszła ta kobieta?

- Już to mówiłam pannic Musgrave - odparła pani Straw, nawet nie spojrzawszy na niego.

- Podała mi pani tylko podstawowe fakty - zaprotestowała Julia. - Teraz musimy wiedzieć więcej.

Pani Straw rozparła się na krześle, westchnęła i splotła ramiona.

- Nie wiem nic więcej.

- No to niech pani opowie o tym jeszcze raz, tak by pan Diamond mógł dokładnie usłyszeć, co pani zapamiętała.

Pani Straw w proteście wzniosła oczy do góry.

- Mam już tego dosyć. Otworzyłam drzwi, kiedy dzieci jadły śniadanie.

- Która to była godzina?

- Koło ósmej. Nie mam zegarka. To była ta Japonka. Zapytała, czy jest tutaj dziewczynka, która była wczoraj w telewizji. Powiedziała: „Jestem jej matką”.

- Jak wyglądała? Czy może pani ją opisać?

- To była Japonka.

Najwyraźniej według przekonania pani Straw miało to mówić wszystko.

- I... ? - przynaglił ją Diamond.

- Dla mnie wszystkie Japonki wyglądają tak samo.

- W jakim mogła być wieku?

- Nie umiem powiedzieć. Nie da się określić.

- Czy była dostatecznie młoda, żeby być matką Naomi?

- Chyba tak.

- Jak była ubrana?

- Muszę sobie przypomnieć.

- No to proszę pomyśleć. Teraz.

- W jakiś szary żakiet i spodnie w podobnym kolorze - odparła po chwili.

- Buty?

- Chyba czarne.

- Na wysokich obcasach?

- Nie zauważyłam.

- Czy pani zdaniem była ubrana elegancko?

- Miała ubranie od Rohana, jeśli o to panu chodzi.

Nie chodziło mu o to. Nic nie wiedział o ubraniach od Rohana ani jak się je rozpoznaje, ale z tonu pani Straw wnioskował, że jest tego pewna.

- Jak była uczesana?

- Miała krótkie włosy.

- Co to znaczy: krótkie? Ostrzyżone tuż przy głowie?

- Nie. Miała trwałą.

- Loki?

- Fale.

Krok po kroku wytwarzał sobie wyobrażenie o kobiecie, choć nie aż takie, by pozwoliło odróżnić ją od miliona innych Japoniek.

- Jakiego była wzrostu?

- Średniego.

- Średniego jak na Japonkę?

Jej odpowiedź znów niewiele dała.

- Chyba tak.

Po kilku pytaniach o kolor skóry i makijaż (kobieta, jak się zdaje, była bardzo zadbana) Diamond skinął głową Julii.

- Możemy iść dalej? Wpuściła ją pani do środka.

- Dopiero wtedy, kiedy pokazała mi paszport i zdjęcie Naomi.

- To był jej paszport?

- Było w nim jej zdjęcie.

- Czy to był paszport japoński?

- Każdy głupi by poznał, że nie jest z Timbaktu - prychnęła pogardliwie pani Straw.

Diamond nie wytrzymał.

- Mogła mieć paszport amerykański albo australijski.

- Skąd to mogę wiedzieć?

- Nie widziała pani co tam jest napisane?

- Nie umiem czytać po japońsku.

- A zatem uważa pani, że to było pismo japońskie. To już coś. Nie chcemy pani na niczym przyłapać, po prostu potrzebujemy wszelkich informacji, jakich może nam pani udzielić, pani Straw.

- To w jakimś obcym języku. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

- I pokazała pani fotografię Naomi?

- Tak.

- Jest pani pewna, że to była Naomi?

- Tak mi się wydawało.

- Przed chwilą powiedziała pani, że wszystkie Japonki wyglądają dla pani jednakowo.

- Jeśli są obce. Naomi widziałam setki razy.

Całkiem słuszne stwierdzenie.

- Czyli że to było świeże zdjęcie Naomi?

- Musiało być.

- Nazwała Naomi jakimś imieniem? - zapytała Julia.

- Nic pamiętam.

- Proszę sobie przypomnieć - ponaglił Diamond. - Przecież jakoś ją nazwała?

- Już mówiłam, że nie pamiętam. Dla mnie to była chińszczyzna. W każdym razie -

oświadczyła pani Straw, chcąc przejść do własnej opowieści i uniknąć dalszych rozważań o imieniu dziewczynki - powiedziałam jej, że panny Musgrave nie ma, a ona na to, że chce zobaczyć dziecko. Ciągle to powtarzała. Nie dała się wyprosić za drzwi. No to wpuściłam ją do jadalni.

Nikt nie mógł wątpić, że ktoś, kto potrafił zagadać panią Straw, musiał być bardzo natarczywy.

- Dzieci były same - dodała pani Straw, by wytłumaczyć tę szybką kapitulację. - Zostawiłam je, żeby otworzyć drzwi. Nie mogłam się z nią kłócić na progu.

- Proszę, niech pani mówi dalej.

- Nie ma nic innego. Weszła i ruszyła prosto do Naomi. Każdy mógł zobaczyć, że to jej matka.

- Dlaczego? - zapytał Diamond.

- Pan tego nie zrozumie - odpowiedziała wyniośle pani Straw. -Potrzeba kobiety, by to zrozumieć. - Spojrzała na Julię, czekając na poparcie.

Ale Julia uchyliła się od tej solidarności.

- Chcemy dokładnie wiedzieć, co zaszło. Czy Naomi wstała i podbiegła do niej?

- Tak. Oczywiście.

Diamond za późno podniósł rękę, by zainterweniować. Już nie zdoła przestrzec Julii, by nie wkładała gotowych odpowiedzi w usta pani Straw, tak jak by to zrobił, gdyby jakiś niedoświadczony stójkowy zadawał pytania sugerujące. Szkoda została wyrządzona i pani Straw brnęła dalej.

- Ścisnęły się i całowały, i płakały, i mówiły coś do siebie po japońsku.

- Mówiły? Naomi mówiła?

- To znaczy matka. Potem powiedziała, że zabiera Naomi do domu, a ja tłumaczyłam jej, że nie powinna, zanim się nic zobaczy z panną Musgrave. Robiłam, co mogłam, by ją zatrzymać, ale proszę pamiętać, że byłam sama, oprócz dziewczyny w kuchni. Musiałam pilnować innych dzieci.

- Dlaczego nie chciała zaczekać? Skąd ten pośpiech?

- Nie wiem. Z cudzoziemcami nigdy nie dojdzie się do ładu.

- Co się stało potem?

- Poprosiłam kucharkę, żeby miała oko na dzieci, weszłyśmy na górę i znalazłam ubranie, które Naomi miała na sobie, kiedy tu przyszła. Pozwoliłam im je zabrać. Wiedziałam, że panna Musgrave się temu nie sprzeciwi.

- Co potem?

- Wyszły.

- Nie zostawiając nazwiska ani adresu?

- Zapomniałam poprosić.

- Cudownie!

- Ona się spieszyła - powiedziała z uporem pani Straw.

- A pan nie mogła się doczekać, kiedy zamknie za nią drzwi.

- To niesprawiedliwe i nieprawdziwe - oświadczyła pani Straw i słysząc dobiegające z ogrodu krzyki, dodała: - Bóg wie, co te dzieciaki tam wyprawiają. Lepiej do nich pójść.

Diamond stanowczo stwierdził, że jeszcze nie skończył. Chciał obejrzeć pokój, w którym spała Naomi.

- Jak pan uważa. Nie ma tam nic do oglądania - burknęła pani Straw.

Westchnęła pełna oburzenia i spojrzała na Julię Musgrave, która kazała jej wykonać polecenie pana Diamonda.

Zaprowadziła ich na górę, idąc, jakby stąpała po rozżarzonych węglach, i otworzyła drzwi do pokoju, w którym stały trzy łóżeczka. Nie były jeszcze zasłane.

- Które jest łóżkiem Naomi?

Pani Straw wskazała stojące najbliżej drzwi. Leżała tam jasnozielona dziecięca piżama.

Diamond podniósł ją.

- To własność szkoły - poinformowała go pani Straw.

Odłożył piżamę z powrotem i otworzył szafkę przy łóżku. Była pusta. Ale nim się wyprostował, zauważył sztywny kant czegoś wepchniętego między ramę łóżka a materac. Wsunął tam rękę.

Przyszły mu na myśl słowa Julii Musgrave: „Potrafią schować ulubioną zabawkę, a potem po tygodniach, a nawet miesiącach trafić prosto do niej”. Był to blok rysunkowy Naomi. Wyciągnął go i przerzucił kilka kartek, by mieć całkowitą pewność.

- Zostawiła go.

- Musiała o nim zapomnieć - powiedziała opryskliwie pani Straw.

- To nieprawdopodobne. Jak pani dobrze wie, nosiła go ze sobą wszędzie. - Wsunął jeszcze raz rękę pod materac i tym razem wyciągnął spod niego flamaster. - Trzymała te rzeczy tutaj, bo były dla niej cenne. To niemożliwe, żeby zostawiła je z własnej woli.

Wokół ust pani Straw zarysowały się zmarszczki.

- Przecież pani tu była - powiedział Diamond. - Czy mała mogła zabrać swoje rzeczy?

Nie odpowiedziała.

- Przed chwilą usiłowała nam pani wmówić, że było to radosne spotkanie z matką - zauważył

cierpko Diamond. - Uściski, pocałunki, kilka łez. Czy były to łzy radości, pani Straw, czy rozpaczy? No cóż, to odkrycie budzi moje podejrzenia. Zaczynam się zastanawiać, czy aby dziecko nie zostało stąd zabrane wbrew jego woli. Jeżeli tak, to lepiej, żeby nam to pani powiedziała.

Pokręciła energicznie głową, na znak niezgody albo sprzeciwu wobec tej interpretacji.

W obliczu dobrze znanego mu wyzwania, jakim jest odmawiający współpracy świadek, doświadczony śledczy, jakim niewątpliwie był, mógłby bez trudu wydobyć prawdę, ale ponieważ Naomi znalazła się w zagrożeniu, nie miał czasu na długie korowody

- Pani skłamała.

Pani Straw wygięła usta i spiorunowała go wzrokiem.

Popchnął ku niej blok rysunkowy, tak że musiała się cofnąć.

- Bez tego by nie wyszła.

- Niech się pan ode mnie odczepi! - mruknęła pani Straw.

Czuł na ramieniu rękę Julii Musgrave, która usiłowała go bezskutecznie zmitygować.

- Niech się pani przyzna. Ta kobieta zabrała Naomi siłą. Wywlokła to dziecko, a ono krzyczało i kopało - odmalował żywo scenę.

- Nie.

Dał jej chwilę na bardziej przemyślaną odpowiedź.

- Z tym krzykiem to nieprawda, może pan zapytać kucharki.

- Nie omieszkamy tego zrobić.

- Tylko się trochę opierała.

- Dojdziemy i do tego - odparł Diamond.

- Nie było żadnych krzyków.

- Płaczów?

- Nie.

- Ale nie było też żadnych uścisków i całusów, prawda? Pani to wszystko zmyśliła.

- Nie.

- Przecież przed chwilą powiedziała pani, że dziecko się opierało. Jak więc możemy uwierzyć, że po

wzruszającym spotkaniu jej tak zwana matka musiała się z nią szamotać, by ją stąd wyprowadzić?

Pani Straw wydała z siebie odgłos pośredni między łapaniem powietrza a łkaniem i zacisnęła zęby na dolnej wardze. Smok, który odstraszał gości, stał się teraz istotą przypartą do muru.

Julia, zapewne ulegając napięciu chwili, powiedziała:

- Nikt pani o nic nie obwinia, pani Straw - co nie było do końca prawdą. Bo Diamond nie miał zamiaru popuścić. Był wściekły. Co więcej, miał świadomość uciekającego czasu.

- O nie, to właśnie pani wina - powiedział, nie odrywając wzroku od pani Straw. - Myśli pani, że się wykręci od odpowiedzialności, opowiadając nam te bzdury o całusach i uściskach. Pani nie chce, żebyśmy się dowiedzieli, co naprawdę wydarzyło się dziś rano. Kiedy teraz zasuwa nam pani te brednie, ta kobieta wywozi Bóg wie dokąd dziecko, które powierzono pani opiece.

Jest pani w poważnych tarapatach, pani Straw. Lepiej niech pani wszystko powie.

Siła jego wymowy odniosła pożądany skutek. Pani Straw spopieliała na twarzy. Sztywno zaciśnięte usta zmiękły i zaczęły drżeć. Po- gmerala ręką w kieszeni fartucha i wyciągnęła z niej wielką czerwoną chustkę. Przycisnęła ją do nosa, ale zamiast go wydmuchać, wydała długi, cichy jęk rozpaczy. Oczy jej zwilgotniały. Wstrząsnęło nią potężne łkanie. Wybuch był o tyle niepokojący, że zwykle wydawała się taka nieugięta.

- No, no - powiedziała współczująco Julia.

- Nie mamy na to czasu, pani Straw. - Diamond był niewzruszony.

Ocierając łzy, rozpoczęła wyznanie, przerywane częstym łkaniem.

- Za bardzo się bałam, żeby wam dokładnie powiedzieć, co się stało. Naomi nie chciała wyjść i walczyła. To, co mówiłam o zdjęciu i o wszystkim... to prawda... I jestem pewna, że się znały, tylko kiedy stało się jasne, że ta kobieta chce ją zabrać ze sobą, wpadła w szał... to znaczy Naomi. Próbowала uciekać, ale ta kobieta chwyciła ją za ramię i nie puściła. Co miałam zrobić?

Jestem tu tylko pomocnicą. W kółko powtarzała, że jest matką Naomi, a jej paszport był tego dowodem. W końcu poszłam na górę po rzeczy. Kiedy mówiłam, że one też weszły na górę, to nie była prawda. Naomi nie mogła nic zrobić i sama zebrałam jej rzeczy. Nie pomyślałam o bloku. Włożyłam jej ubranie do torby i oddałam ją. Naomi trzeba było popychać i ciągnąć całą drogę do taksówki.

- Była tam taksówka?

- Tak, chyba musiała czekać. Zauważyłam ją, kiedy otworzyłam drzwi. Naomi szarpała się i kopała przy drzwiach taksówki i wsiadła do niej dopiero wtedy, kiedy ta kobieta uderzyła ją w nogę.

- O nie! - zawołała Julia, która nikomu nic pozwalała bić dzieci w szkole.

- Co to była za taksówka? - zapytał Diamond, który próbował ograniczyć się do najważniejszych informacji, choć i on był wstrząśnięty losem Naomi.

- Zwyczajna. Nie stracę pracy, prawda, panno Musgrave?

- Czarna?

- Co?

- Taksówka. Czy była czarna?

- A! Tak.

- Chyba nie powinienem się spodziewać, że zanotowała pani numer.

Pokręciła głową.

- Coś jeszcze działo się za drzwiami? Niech pani sobie przypomni.

- Nie mogę. Nie widziałam dokładnie wszystkiego z powodu żywopłotu.

- O której odjechały? Jak długo tu była?

- Nie wiem, chyba koło dwudziestu minut. Może krócej. Nie, raczej dwadzieścia minut.

- A zatem przed ósmą trzydzieści?

- Tak mi się zdaje.

- Wzywam policję - powiedział Diamond do Julii. - Będzie nam potrzebna.

Pani Straw przymknęła oczy i jęknęła.

Rozdział 18

OSOBNIK, KTÓRY ODEBRAŁ TELEFON W kensingstońskiej komendzie policji, wyraził wątpliwość, czy można znaleźć bezimienną Japonkę i dziewczynkę, które o ósmej trzydzieści wsiadły do taksówki przy Earl Court.

Diamond już od miesiący nie obsztorcowywał policjantów, ale wciąż był w tym dobry.

- Boże Wszechmogący! A za kogoż u diabła się pan uważa? - grzmiał przez telefon. - To sytuacja jest cholernie krytyczna. To nie pańska rzecz patrzeć z chmur i decydować, co można, a co nie. Byłem w policji, synu, i wiem, o czym mówię. Ranek to godziny szczytu dla taksówek.

- O to właśnie chodzi - powiedział nieszczęsny dyżurny.

- Kim pan jest? Cywilem? Niech mi pan da jakiegoś mundurowego. Kto jest u was komendantem

komisariatu?

-

Ja.

-

Boże, ratuj! Niech pan słucha. Nie będę pana uczył pańskiego zawodu, ale są sposoby, żeby wytropić taksówkę. Większość pracuje w korporacjach i przekazuje swoją pozycję dziewczynom z centrali. W godzinach szczytu jest wielkie zapotrzebowanie na taksówki. Jeśli któraś stoi przed szkołą przez dwadzieścia minut, ktoś mógł to zapamiętać, bo była w tym czasie niedostępna dla innych. Rozumie pan?

- Tak, ale...

- A ten kierowca, nieważne kto to, musiał zapamiętać pasażerki. Musiał zapamiętać, że wioził

Japonkę i protestującą dziewczynkę. Nie może pan sprawdzić wszystkich taksówek w Londynie, zgoda, ale może pan zadzwonić do biur, każąc im to sprawdzić przy pomocy swoich kontrolerów, czy jak tam się ich nazywa...

- Wie pan, o co pan prosi, panie...

- Diamond. Były nadkomisarz Diamond. Tak, wiem dokładnie, o co proszę, to rutynowa czynność, prócz wypytywania sąsiadów, co się rozumie samo przez się. Jeśli pan chce pomocy...

- To nie będzie potrzebne.

-

Dobra. Cieszę się, że może pan to załatwić - powiedział Diamond i, nim komendant zdążył

mu przerwać, dodał: - W takim razie jadę na komendę. Tam się bardziej przydam.

Wywołało to pożądany efekt, zdecydowane przeświadczenie, że sprawa jest pilna.

- Czy zechce mnie pan wysłuchać? Chcę, żeby został pan na miejscu. Wysyłam kogoś, żeby odebrał od pana oświadczenie.

- Do jasnej cholery! Podałem panu fakty. Czy mam panu powtarzać, że dziewczynka została zabrana ze szkoły wbrew jej woli? Uprowadzona, komendancie. Musimy wiedzieć, dokąd ją zabrano, i musimy się tego dowiedzieć szybko.

Rozłączył się.

Julia Musgrave słuchała tego wszystkiego, była blada, wyraźnie zaniepokojona presją Diamonda; nie

wiedziała, że to jedyna droga, żeby załatwić cokolwiek w policji.

- Powiedziałeś, że sytuacja jest krytyczna.

Jego odpowiedź była powściągliwa.

- Znam tego gliniarza. Gdyby mu powiedzieć, że w Pałacu Buckingham podłożono bombę, chciałby to mieć najpierw na piśmie.

- Czy Naomi coś grozi?

- Musimy przyjąć, że tak. Kimkolwiek jest ta kobieta, a może być jej matką, z tego, co wiem, zachowywała się podejrzanie.

- Być może. Ale trudno się spodziewać, żeby matka, której odebrano dziecko, postępowała racjonalnie. Pojawiła się tu rano. Czy to naprawdę podejrzane? Gdyby zginęło moje dziecko, nawet bym się nie zastanawiała, czy pukać do czyichś drzwi, o każdej porze, w dzień i w noc.

- Więc dlaczego nie przyszła tu wczoraj, zaraz po pokazie telewizyjnym?

- Nie wiemy, gdzie była, kiedy go oglądała. Jeśli była w Manchesterze, musiała przyjechać do Londynu. Prawda?

- Mogła zatelefonować.

- Może próbowała. Sam mi mówiłeś, że linia BBC była zatkana.

Nawet nie próbował iść dalej tym tokiem rozumowania, wspomniał więc o innej oczywistej przyczynie nieufności do kobiety.

- Nie wierzę, żeby prawdziwa matka tuż po odzyskaniu dziecka mogła je uderzyć.

- A stres?

Poddał się. Zasadniczo wiedział, że traktuje sprawę tak dramatycznie, raczej instynktownie niż z pobudek racjonalnych. Zdobył w końcu zaufanie Naomi - przynajmniej do tego stopnia, że trzymała go za rękę. Nie przyznałby się ani Julii Musgrave, ani nikomu innemu - nawet Stephanie -

że to dziecko go oczarowało. Wciąż czuł małą rączkę w swojej dłoni i uważał za swój obowiązek sprawdzić, czy jest bezpieczna. Nie chciał jednak, żeby ktokolwiek uznał, że on - mający na swoim koncie tuzin dochodzeń w sprawie morderstwa - jest mięczakiem, po prostu mięczakiem.

Szczególnie zaś nie chciał się do tego przyznać sam przed sobą.

Było w tym coś więcej, pomyślał z uporem. Miał głębokie podejrzenia co do tej kobiety. Jak mogła znieść tak długie rozstanie z dzieckiem? Dlaczego, kiedy Naomi się jej zgubiła, natychmiast nie zaalarmowała policji albo przynajmniej własnej ambasady? Wiadomo, że cudzoziemcy są niekiedy

zagubieni w obcym kraju, ale każdy, niezależnie od narodowości, potrafi zareagować właściwie w tej sytuacji.

A zatem nie podda się, dopóki nie stwierdzi, że owa „matka” jest istotnie matką dziewczynki i może się zaopiekować swoim dzieckiem.

Przed spełnieniem swojej obietnicy (czy raczej pogroźki), że zadzwoni do Scotland Yardu, postanowił, że da radiowozowi dziesięć minut. Ktoś musiał widzieć kobietę wlokącą Naomi do taksówki i warto się upewnić, czy zadał właściwe pytania. Jak dotąd nic nabrał zbytniego przekonania co do obrotowości komendy dzielnicy Kensington. Dwoje funkcjonariuszy - mężczyzna i kobieta - przybyli na dwie minuty przed wyznaczonym im przez Diamonda czasem; wyglądali trochę jak statyści z telewizyjnej opery mydlanej. Dlaczego nikt w policyjnym mundurze nie wygląda na prawdziwego? Aby oddać im sprawiedliwość, sprawnie podzielili służbowe obowiązki: jedno stuknęło do sąsiadów, drugie przesłuchiwało panią Straw.

Diamond długo czekał, żeby się dowiedzieć, że nikt z sąsiadów nie widział, jak ktoś ciągnie Naomi do taksówki. Jeden z nich obudził nadzieję, mówiąc, że zauważył taksówkę stojącą przed szkołą, ale potrafił tylko powiedzieć, że wóz był czarny, a kierowca biały.

Komisariat przy Earls Court Road ktoś musiał ostrzec przed grożącym mu najściem. Dwaj sierżanci i funkcjonariusz wydziału dochodzeniowego w cywilu - jak się okazało, inspektor - stali razem przy biurku, by dać odpór Diamondowi. Tyle że wcale im się to nie udało. Diamond zdążył

już ustalić kto jest zastępcą komendanta Szóstego Rejonu Zachodniego, a nic nie otwiera drzwi łatwiej niż powołanie się na nazwisko zwierzchnika.

Była sobota rano i sam Wielki Szef był nieobecny, musiał więc zadowolić się jego namiastką, komisarzem Sullinsem, którego nazwisko, wzięte z książki telefonicznej w Bibliotece Kensingtońskiej, utrwalił sobie w pamięci.

Z kolei Sullins, podstępny typ w białej koszuli i w czerwonych szelkach, starający się usilnie odgrywać rolę szefa kensingtońskiej komendy, utrzymywał, że słyszał o Diamondzie, choć do chwili podania sobie rąk na schodach nigdy przedtem się nie spotkali.

„Wszystko jest pod kontrolą”, było hasłem dnia Sullinsa, przynajmniej na użytek Diamonda.

Tak, nadaje sprawie zgubionego dziecka najwyższy priorytet. Policja już wie wszystko o Naomi („Ja też chciałbym wiedzieć”, pomyślał Diamond), od momentu alarmu u Harrodsa. Dołożyli wszelkich starań, by ustalić, kim ona jest. A teraz robią co można, by wytropić taksówkę.

Kontaktują się ze wszystkimi korporacjami taksówkowymi w całym Londynie. Diamond może spokojnie sobie wracać do domu w pełnym przekonaniu, że nie może zrobić nic, co przyspieszy poszukiwania.

- Dziękuję, wolałbym zostać - oświadczył uprzejmie.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe - odparł Sullins.

- Dlaczego?

- Nie dopuszczamy publiczności...

- Jestem byłym policjantem - wtrącił Diamond.

- Doceniam pańską propozycję, panie Diamond, ale mamy własne procedury.

- Oczywiście potrzebuje pan na to zgody szefa. To zrozumiałe. - Diamond uśmiechnął się rozbijając. - Załatwię to. Co robi w sobotę rano - gra w golfa czy idzie z małżonką na zakupy? Jestem całkowicie pewny, że gdziekolwiek jest, ma przy sobie swój pager. I nawet jeśli będzie musiał pójść do wozu, gdzie ma telefon, śmiem twierdzić, że nie będzie miał mi tego za złe. Czy chce pan, żebym wspomniał, że to pan prosił mnie o uzyskanie tego zezwolenia, czy mam nie wymieniać pańskiego nazwiska, panie Sullins?

Żaden ambitny policjant nie jest odporny na tego rodzaju szantaż.

- Mówi pan, że był pan policjantem - zauważył Sullins, jakby dopiero teraz dotarła do niego ta informacja. - No cóż, może się nam pan przydać. Ale to absolutnie niezgodne z przepisami.

Diamond skinął głową.

- Dziękuję. Będę niezauważalny. - Co było najbardziej nieprawdopodobnym stwierdzeniem, jakie wygłosił tego ranka.

W pokoju łączności policjantka wpisywała dane do komputera. Diamond przecisnął się obok niej, żeby się dostać do rejestru rozmów, które miała przy sobie telefonistka. - Jest coś od korporacji taksówko- wych o tej japońskiej dziewczynce?

- Na razie nic.

- Ile ich jest?

- Firm? Patrzył pan na żółte strony?

Wziął do ręki książkę telefoniczną leżącą na jej biurku. To, co zobaczył, wprawiło go w przygnębienie.

- Ile pani już obdzwoniła?

- Około dwunastu.

- Proszę dzwonić dalej.

Obrzuciła go miażdżącym spojrzeniem.

- Kim pan jest?

- To małe dziecko - powiedział.

- Japonka, w wieku około siedmiu lat - wyrecytowała bez zaglądania do notatki. - Czerwona sztruksowa sukienka, czarne rajstopy, białe tenisówki; towarzyszy jej Japonka w wieku około trzydziestu lat, elegancka, z krótkimi czarnymi falistymi włosami, w szarym żakiecie i w odpowiednio do niego dobranych spodniach, prawdopodobnie od Rohana.

Skorzystał z okazji, żeby zapytać, po czym się rozpoznaje ubrania od Rohana. Dowiedział się, że nazwa firmy widnieje na naszytych na nich metkach.

Pani Straw nie była przecież znawczynią mody, a jednak jej informacje okazały się chyba rzetelne.

- Nie są tanie - dodała z zadumą dziewczyna - ale bardzo eleganckie. To taki szczególny rodzaj szyku. A spodnie od Rohana to naprawdę jest coś, te kieszonki...

Podziękował jej.

- Może mogę jakoś pomóc, na przykład wybierać numery?

- Czy to jakaś przygana, czy co? Pracowałam szybko, póki pan mi nie przeszkodził.

- A co będzie, jeśli któraś firma oddzwoni?

- Ten tam Harry odbierze. Dotąd nikt nie dzwonił.

„Ten tam Harry” miał na uszach słuchawki. Przeglądał właśnie numer „Visu” i podniósł w górę kciuk na powitanie.

- No to zostawiam was - powiedział potulnie.

- Dzięki!

Wyszedł. Zamarzył nagle o papierosie, choć nie palił już od lat. Był nawet wrogiem palenia.

Nigdy nie przypuszczał, że w komisariacie policji będzie się czuł tak obco i nieporadnie, poszedł więc poszukać bufetu. Po pięciu papierosach i dwóch czarnych kawach wrócił na górę tylko po to, by zobaczyć, jak Harry macha do niego rozpostartą w negatywnym geście dłońią.

Po godzinie wrócił i znowu telefonistka powiedziała mu, że obdzwoiła wszystkie korporacje taksówkarskie, z wyjątkiem trzech, gdzie nikt nie odbiera telefonu. Pewnie gdzieś wyszli załatwić jakieś sprawy. Większość powiedziała, że musi sprawdzić u swoich kontrolerów albo u kierowców, a niektórzy zeszli już z rannej zmiany. Zgodnie z umową, mieli oddzwonić, gdyby ktoś sobie przypomniał, że zabierał Japonkę z dzieckiem z Earl Court.

Harry wypełniał kupon zakładów futbolowych.

- Nic?

- Kompletnie nic.

Diamond poszedł poszukać Sullinsa. Znalazł go w gabinecie na górze, dyktującego list.

- Wychodzi pan, panie Diamond?

- Chyba nic nie wyjdzie z tymi taksówkami.

- *Nil desperandum*. Jakaś firma może w każdej chwili oddzwonić.

- Wiem. Ale upłynęło już sześć godzin od czasu, kiedy je widziano.

- Nie róbmy melodramatu - powiedział głupio Sullins. - Nie mamy do czynienia z podłożeniem bomby.

- Melodramatu? Przecież chodzi o zaginione dziecko!

- Możliwe.

- Zaalarmował pan lotniska i główne dworce kolejowe?

- Z jakiego powodu miałem zaalarmować? Dlatego że matka dała klapsa dziecku?

Zachowajmy właściwe proporcje. Zaraz mi pan powie, że nie wiadomo, czy to jest jej matka.

- Bo nie wiadomo.

- Ale ona pokazała zdjęcie, panie Diamond.

Wybuchowi awantury zapobiegł sygnał interkomu.

Sullins nacisnął przycisk.

- Tak?

- Odebraliśmy telefon z firmy taksówkarskiej Instant Cab z Hammersmith - odezwał się kobiecy głos.

-

Przełącz go - polecił Sullins. Męski głos mówił:

- ...zszedł ze zmiany o dwunastej i dopiero teraz mogliśmy do niego dotrzeć. To on jest tym kierowcą. Zabrał tę Japonkę dziś rano

o siódmej pięćdziesiąt z Brook Green. Miała granatową walizkę. Zawiózł ją do Kempsford Gardens School na Earl Court - to chyba to? -

I czekał do ósmej trzydzieści pięć, a może trochę dłużej, kiedy wyszła z dzieckiem, dziewczynką, też Japonką. Powiedział, że mała wydawała się rozgniewana. Zawiózł je na lotnisko.

- Heathrow?

- Tak.

- Na który terminal?

- Trzeci. Międzynarodowy.

Diamond nie czekał dłużej. Wybiegł i już był na dole, krzycząc do Harry'ego, żeby go połączył z Urzędem Imigracyjnym.

Rozdział 19

WCISNIĘTY W FOTEL 1 IB DIAMOND CZUŁ SIĘ TAK WYGODNIE, jak może się czuć zażywna osoba w samolocie Concorde znanym ze smukłości linii. Miejsce 11B znajdowało się bezpośrednio za stanowiskiem dla obsługi, co stwarzało podwójną korzyść: więcej miejsca na nogi i możliwość takiego rozłożenia tacy, które pozwalało mu postawić kieliszek z szampanem na płaskiej powierzchni, a nie na wypukłości brzucha.

To, że się znalazł w tym samolocie, było wynikiem niezwykle szybkiej decyzji. Około wpół do szóstej po południu dowiedział się w Urzędzie Imigracyjnym na Heathrow, że ktoś pamięta Japonkę z dzieckiem przechodzącą przez odprawę około godziny pierwszej. Co ważniejsze, kobieta była ubrana w strój, opisany jako szary sportowy garnitur, a dziewczynka miała na sobie czerwoną sztruksową sukienkę, czarne rajstopy i tenisówki. Wkrótce potem personel kontrolny British Airways potwierdził, że niejaka pani Nakajima w towarzystwie córki Ayi, o godzinie czternastej piętnaście wystartowały lotem BA 177, mającym dotrzeć do portu lotniczego Kennedy'ego w Nowym Jorku o godzinie siedemnastej pięć czasu miejscowego.

Nowy Jork. To, w co się dał wplątać, nie było grą dla bojaźliwych serc. Powołując się na swoją dawną rangę w policji, uzyskał od Urzędu Imigracyjnego na lotnisku Kennedy'ego obietnicę, że przetrzymają panią Nakajimę i jej córkę przez godzinę. Już przedtem dowiedział się w British Airways, że lecąc ostatnim lotem Concorde tego dnia o dziewiętnastej, będzie w Nowym Jorku piętnaście minut po wylądowaniu BA 177 - był to układ czasu, który przez cały lot kazał mu co chwilę spoglądać na zegarek. Wykupił przelot, podając numer złotej karty Yamagaty. Przeszło mu przez myśl, że powinien zadzwonić do Albert Hall i uzyskać zgodę swojego sponsora, ale postanowił, że tego nie zrobi. „Pan Yamagata jest bardzo bogatym człowiekiem. Zapłaci” -

zapewniła tłumaczka przy spotkaniu, należy więc sądzić, że jako człowiek honoru nic będzie miał

zastrzeżeń do tych głupich pięciu tysięcy trzydziestu funtów. W każdym razie na tym etapie Diamond wolał o to nie pytać.

Przypominając sobie w porę, że jest kochającym mężem, zadzwonił do Stephanie, by ją powiadomić,

że wyjeżdża z kraju. Nie była tak zrozpaczona, jak oczekiwał.

- Skoro już tam będziesz, może uda ci się dostać parę prawdziwych nowojorskich tenisówek.

Oczywiście białych. Pamiętaj, tutaj kupuję siódemkę, ale według ich rozmiarów to będzie osiem i pół. Skąd ona to wszystko wie? Pomyślał.

Znów spojrzął na zegarek, myśląc o tym, co go czeka. Funkcjonariusze amerykańskiego Urzędu Imigracyjnego przeprowadzą pierwsze dochodzenie. Są dobrze wyszkoleni w wyłapywaniu oszustów. Będzie musiał się ostro postawić, by ich przekonać, że prowadzi urzędowe śledztwo. Tej całej Nakajimie udało się pokonać tę okropną panią Straw. Ta kobieta to prawdziwe wyzwanie. Ale nawet jeśli się ugnie pod gradem pytań i przyzna do uprowadzenia dziecka, dalej nie wiadomo, jakie powinien podjąć działania i gdzie. Znajomość prawa o ekstradycji nigdy nie była jego mocną stroną.

Stewardesa przeszła korytarzem i wręczyła mu kartkę z tekstem przekazanym do kokpitu.

„Do Nkm. Diamonda

Od Urzędu Imigracyjnego USA Czas: 17.21 NJ.

Spotkamy pana po przylocie. Pani Nakajima i dziecko zatrzymane”.

W żyłach Diamonda rozeszło się mrowiące uczucie: mieszanina ulgi, oczekiwania i szampana.

- Dobra wiadomość? - zapytała stewardesa.

Uśmiechnął się do niej z godnością.

- Po prostu potwierdzenie spotkania.

Prawdę mówiąc, zasłużył sobie na fanfary. Przez krótką chwilę samozadowolenia przyrównał się do głównego inspektora Dew, który w 1910 roku przeleciał przez Atlantyk, by aresztować doktora Crippena i jego kochankę. Wiadomość telegraficzna, skok przez Atlantyk i Crippen został nakryty. Na tym się kończy podobieństwo. Crippen był mordercą, a pani Nakajima była winna co najwyżej uprowadzenia.

Concorde zaczął schodzić do lądowania. Pasażerom polecono zapiąć pasy.

Wylądowali o siedemnastej pięćdziesiąt, pięć minut przed planowanym czasem.

Kiedy otworzono drzwi, funkcjonariuszka Urzędu Imigracyjnego już na niego czekała.

Diamond przedstawił się.

- Czy mogę zobaczyć pański identyfikator? - zapytała, szacując go wzrokiem. Sądząc ze sposobu, w

jaki spojrziała na jego brzuch, nie przystawał do jej wyobrażenia o brytyjskim detektywie.

- Czy wystarczy mój paszport? - Na szczęście został wydany przed czterema laty i miał wpisany zawód oficera policji.

- Proszę pójść za mną, sir.

To „sir” zabrzmiało zachęcająco. Był zeszywniały po podróży i nieco oszołomiony, ale spragniony zobaczyć Naomi. Przeprowadzono go przez sznurową barierę wzdłuż korytarza obstawionego szatkami z dokumentami. Następne drzwi, następny korytarz i wszedł do biura wyglądającego jak dekoracja z telewizyjnego serialu policyjnego wraz z zainscenizowanymi działaniami, kiedy ludzie przechodzą, zatrzymują się, wymieniają między sobą uwagi, zapewne po to, by rozwinąć różne wątki opowieści, i ruszają dalej. Czarny oficer w niebiesko zabarwionych okularach przepchnął się między biurkami.

- Pan musi być tym gościem ze Scotland Yardu.

- Peter Diamond - odrzekł, podając mu rękę, bez wchodzenia w materię, skąd właściwie jest. -

Mam nadzieję, że trzyma pan jeszcze te osoby?

- Oczywiście. - Mężczyzna nie musiał podawać swojego nazwiska. Na szyi miał zawieszoną tabliczkę z identyfikatorem Arthur Wharton.

- Sprawiają jakieś kłopoty?

- Nie, proszę pana.

- Co im pan powiedział.?

- To, co zwykle. Drobną formalność z ich paszportem. Są do pańskiej dyspozycji. - Arthur Wharton skinął na kobietę, która przyprowadziła Diamonda, a ona zdecydowanym krokiem ruszyła naprzód, między dwiema osobami przechodzącymi przez biuro z dwóch różnych stron.

Diamond zrozumiał, że ma pójść za nią. Próbował podążać tą samą co ona drogą, ale stwierdził, że nie potrafi tak zręcznie przemykać się między ludźmi.

Dogonił ją przy otwartych drzwiach. Siedział przed nimi umundurowany policjant i popijał kawę z tekturowego kubka.

Diamond zajrzał do pomieszczenia.

Patrzył zdumiony.

Istotnie siedziała tam kobieta z dzieckiem, ale tym dzieckiem nie była Naomi.

Była przynajmniej o dwa lata młodsza. Dziewczynka siedząca na fotelu ze stalowych rur i wymachująca nóżkami miała dziecinną buzię, drobne rysy i pyzate policzki. Nie była nawet ubrana jak Naomi. Miała na sobie niebieską sukienkę, białe skarpetki i czarne lśniące pantofelki, jakby z lakierowanej skóry. Owszem, była Japonką, ale na tym kończyło się podobieństwo.

Dorosła Japonka, która z niepokojem spoglądała na Diamonda, także nie odpowiadała podanemu mu opisowi. Była w czerwonej spódnicy i żakiecie i nosiła okulary bez oprawek.

Odwrócił się do swojej eskorty, ale dziewczyna już znikła.

- To nie te osoby - powiedział do mężczyzny przed drzwiami. - Zaszła jakaś pomyłka.

Policjant wzruszył ramionami.

Diamond odnalazł powrotną drogę do Urzędu Imigracyjnego i wyładował frustrację na oficerze Whartonie.

- Zatrzymał pan nie te osoby. Na miłość boską, nigdy nie widziałem tego dzieciaka i obie są inaczej ubrane!

- Hej, hej! - Wharton wyciągnął karcąco palec. - Tylko bez awantur. Zatrzymaliśmy te osoby, które były poszukiwane. Nie podał pan żadnego opisu, tylko nazwisko. To jest pani Nakajima, co do tego nie ma wątpliwości. Chce pan zobaczyć jej paszport? - Wręczył mu go.

- No tak, istotnie, obie pasażerki naprawdę nazywają się Nakajima. - Ale nie są zgodne opisem

- powiedział znowu.

- Chce pan powiedzieć, że paszport należy do jakiejś innej kobiety?

- Nie. Chcę powiedzieć, że osoby widziane na lotnisku w Heathrow były ubrane inaczej niż pani Nakajima i jej dziecko. - Zanim skończył to mówić, pojął, że popełnił błąd. - O nic!

Wharton obojętnie mierzył go wzrokiem.

- Uznałem, że skoro pani Nakajima i jej córka są Japonkami i podróżują samotnie, to te same kobieta i dziecko, które widziano przy odprawie na Heathrow. Kiedy z British Airways przyszła wiadomość, nic sprawdziłem innych linii. Musiały lecieć innym lotem. Mogły polecieć wszędzie, do każdego cholernego miejsca na świecie. - Wściekły, że okazał się takim głupcem, rąbnął pięścią w biurko Whartona, aż podskoczyły spinacze do papierów.

Gonić concordem siedem tysięcy kilometrów za niewłaściwymi osobami! Co za idiota!

- Może jest już za późno - powiedział do Whartona - ale chcę się skontaktować z terminalem trzecim na Heathrow. Chciałbym wysłać faks do wszystkich linii lotniczych, by sprawdzili listy pasażerów w poszukiwaniu samotnie podróżującej Japonki z dzieckiem, które odleciały dzisiaj około pierwszej. Mógłby mi pan to załatwić? - Widząc, że wiele od niego żąda, po chwili dodał: - Arturze?

- Chcesz, żebym to ja podpisał te faksy? - Wyraz twarzy Whartona nie był zbyt obiecujący.

- Przecież macie tutaj te wszystkie urządzenia - powiedział otwarcie Diamond.

- I chcesz, żebym ja ci to załatwił?

- Właśnie. Gdybym podał swoje nazwisko, rzecz wymagałaby zbyt wielu wyjaśnień, a jeśli żądanie wyjdzie od Urzędu Imigracyjnego Stanów Zjednoczonych, zadziałają szybko.

Obejdzie się bez wyjaśnień. Szybkość to w tym wypadku kluczowa sprawa.

- Chcesz sprawdzać listy pasażerów? Chyba żartujesz, człowieku?

- Są skomputeryzowane - zauważył Diamond. Niechętnie widział we współczesnej technice sprzymierzeńca, ale w tej wyjątkowej sytuacji nie cofnąłby się przed niczym. - Trzeba tylko uderzyć w kilka klawiszy.

Wharton potarł policzek.

- Arturze - napierał Diamond. - Kiedy ty będziesz to dla mnie robił, ja pójdę do pani Nakajimy i przeproszę ją w twoim imieniu. Czy tak będzie w porządku?

Nie było w porządku i dobrze o tym wiedział. Wharton też, ale sytuacja stawała się nagląca.

- Napisz ten tekst, który mam wysłać.

Czterdzieści minut później, kiedy Wharton został już dokładnie poinformowany o poszukiwaniu Naomi i całkowicie utożsamiał się z tym wyzwaniem, nadeszła odpowiedź z Londynu.

- Hej, człowieku, masz! - Podał mu faks, który właśnie odebrał z maszyny. - Dobra wiadomość? Ona mimo wszystko tu jest.

Diamondowi zaparło dech.

- Tu? w Nowym Jorku?

- Tak. Przyleciały po południu samolotem linii United. Japonka z dzieckiem.

- Wspaniale! Kiedy wylądowały?

- O siedemnastej trzydzieści. Mniej więcej przed godziną.

- Przed godziną? - Uniesienie Diamonda opadło i zgasło. - Musiały już przejść przez odprawę celną i opuściły lotnisko.

Wharton posłał mu krzepiący uśmiech.

- Nie na tym lotnisku. Przejście przez Urząd Imigracyjny zabiera trochę czasu w porcie lotniczym

Kennedy'ego. - Spojrzał na zegarek. - Sądzę, że powinni być teraz w sali odpraw, ale bym się o to nie zakładał.

Diamond już był na nogach.

- Którędy?

- Czekaaj, Peter - powiedział Wharton. - Możesz sobie narobić poważnych kłopotów.

Sprawdzimy to stąd. - Wskazał w górę, gdzie pod sufitem wisiało osiem monitorów telewizyjnych. - Nadzór wideo. Zobacz, czy znajdziesz te twoje panie. Ja sprawdzę, czy złapię załogę tego lotu.

Kamery były ustawione tak, że mogli powoli przejrzeć całą wijącą się wzdłuż barierek kolejkę do stanowiska, gdzie sprawdzano i stemplowano paszporty, Diamond badał dokładnie każdy ekran, szukając dziecka. Niestety niektóre z dzieci zasłaniaли dorośli.

Przez ten czas Wharton dzwonił.

- Rozmawiałem z głównym stewardem z United - poinformował Diamonda. - Bez wątpienia były na pokładzie. Zapamiętał Naomi w czerwonym sztruksie i kobietę w szarym żakiecie od Rohana.

- To fantastycznie, ale chciałbym wiedzieć, gdzie są teraz? - odparł Diamond. - Nie widzę ich w kolejce.

- I nie zobaczysz. Pasażerowie lotu United już chyba przeszli przez Urząd Imigracyjny.

Obejrzyj salę bagażową - monitory masz na prawo. Powinny być gdzieś tam. Spróbuję ustalić, który z naszych urzędników je odprawiał.

Diamond wolałby być w sali bagażowej niż wpatrywać się w szare ekrany Postaci zgrupowane przy bagażowej karuzeli wydawały się tak odległe i zamazane jak obrazki z pierwszego lądowania na Księżycu. Zaledwie potrafił już odróżnić jednego człowieka od drugiego.

- Jeśli zamierzasz je wytropić, mamy lepsze możliwości - wyjaśnił Wharton, odrywając na chwilę słuchawkę od ucha. - Możemy mieć bliższy podgląd.

- Dzięki. - Ale ich nie wytropił, a przyczyna była przygnębiająco łatwa do wyobrażenia.

Odebrały swój bagaż i wyszły. Albo kobieta miała paszport amerykański, a w takim razie przeszła przez odprawę pół godziny temu, albo miały tylko ręczny bagaż.

Nagle Wharton wdał się z kimś w poważną rozmowę.

- Tak, właśnie przeszły przez Urząd Imigracyjny. Kobieta nazywa się Tanaka - słyszysz? -

pani Minori Tanaka. Ma paszport japoński. Dziecko podróżuje na jej paszporcie, ma na imię Emi.

- Amy?

Wharton przeliterował.

- Pani Tanaka podała jako swój adres hotel Sheraton przy Park Avenue. Możemy sprawdzić w hotelu, czy ma rezerwację.

Diamond nie spuszczał oczu z monitorów i w chwilę później jego wytrwałość została wynagrodzona nieco zamazanym widokiem dwóch postaci, kobiety i małej dziewczynki, podchodzących z wózkiem do karuzeli bagażowej. Dziecko, jak się wydawało, miało grzywkę i czarne włosy Naomi.

Wskazał je.

- To one. Drugie od końca. To dziecko.

Wharton sięgnął po odległy guzik i przycisnął go, by zmienić ogniskową obiektywu. Twarz dziecka się powiększała, aż wreszcie wypełniła cały ekran, była spokojna, o spojrzeniu nieskierowanym na nic szczególnego, jakby pogrążona w rozmyślaniach.

Bez wątpienia Naomi.

- Daj mi obejrzeć tę kobietę obok niej - zażądał Diamond.

- W zbliżeniu?

Ekran na chwilę się zaciemnił, a potem Diamond uzyskał pierwszy obraz pani Tanaka, bystrooką, inteligentną twarz o wydatnych kościach policzkowych i małym nosku. Usta, podkreślone mocną szminką, były większe niż zwykle u Japonek i sprawiały wrażenie buntowniczych albo seksownych, zależnie od tego, jak kto chciałby ten wyraz interpretować.

- Ładna - stwierdził Arthur Wharton.

Niespodziewanie twarz zniknęła z ekranu.

- Możesz to znów nastawić? - poprosił Diamond i zanim jeszcze Wharton dostosował kamery do widoku z dali, zobaczył, że kobieta pochyla się nad karuzelą. - Jezu! Zabiera swoją walizkę!

Zaraz wyjdzie!

Wpatrzni w ekran pogrążyli się w grożącej klęską bierności. W ciągu kilku sekund pani Tanaka może przetoczyć wózek przez odprawę celną i odjechać z Naomi.

- Jak się do nich dostaniemy? - zapytał Diamond.

- Najpierw trzeba ostemplować twój paszport - powiedział Wharton.

- Czy to takie to pilne! Dziecko zostało uprowadzone!

- Paszport.

Diamond wręczył mu dokument. Wharton otworzył go, wyciągnął z szuflady biurka pieczętę, dostosował datę i odcisnął ją w paszporcie.

- Teraz jesteś tu legalnie i możemy ich szukać.

Diamond zamilkł. Zabrakło mu słów, a także tchu, kiedy Wharton biegiem prowadził go przez ruchome przejścia i w dół, przez dwie kondygnacje schodów. Potem jeszcze drzwi i wynurzyli się w głównej hali terminalu, na wprost wyjścia dla przybyłych. Kłębiło się tam od przyjaciół i krewnych, tłoczących się przy barierkach, by jak najszybciej dojrzeć swoich, kiedy pasażerowie wytaczali na wózkach bagaże.

Zdążyli w samą porę, by zobaczyć, jak wychodzi pani Tanaka, popychając wielką granatową walizkę. Przy niej - teraz już nie ulegało najmniejszej wątpliwości - szła Naomi.

Dziewczynka wydawała się niezainteresowana nową scenerią, roztaczającą się przed nią, a także masą twarzy ludzi mijanych po drodze. Szła automatycznie u boku pani Tanaka. Minęły punkt, gdzie stali kierowcy, wystawiający tabliczki z nazwiskami pasażerów, na których czekali.

- Nic zatrzymasz ich? - spytał Wharton, dając mu szturchańca. - Ruszaj, człowieku.

Diamond postąpił naprzód i nagle - po raz drugi - ogarnęło go mocne przekonanie, że nie jest w stanie nikogo wymijać ani się przemykać. Jakiś inwalida w fotelu na kółkach zatrzymał się w poślizgu i krzyknął na niego, by patrzył, dokąd idzie. Nie miał czasu, żeby mu wyjaśnić, co dokładnie robi. Po prostu nie zauważył go.

Ale kiedy odnalazł wolne przejście, zawahał się.

Jakiś człowiek podszedł do pani Tanaka i rozmawiał z nią, biały mężczyzna, wysoki, z krótko przyciętymi czarnymi włosami, o wydatnym nosie, który przywiódł Diamondowi na myśl Charltona Hestona, choć na tym podobieństwo się kończyło. Mężczyzna miał na sobie skórzaną czarną kurtkę i białe dzinsy. Coś mówił do pani Tanaka, a ona przytakiwała głową i ścigała brwi, wyraźnie zaskoczona jego obecnością.

Naomi stała obok mężczyzny i patrzyła wprost na Diamonda. Ale było to kamienne autystyczne spojrzenie, które tak dobrze znał. Nie dała znaku, że go rozpoznała, żadnego śladu zdziwienia, radości czy niechęci. Po prostu jej oczy na chwilę spoczęły na nim, po czym jej uwagę odciągnął

elektroniczny sygnał, zapowiadający jakiś komunikat dla podróżnych. Odwróciła buzię w kierunku źródła dźwięku.

Podjęta w ułamku sekundy decyzja zrodzona z doświadczenia zawodowego w ściganiu podejrzanych powstrzymała Diamonda przed podejściem do nich. Mężczyzna mógł być naciągaczem, narzucającym się z „pomocą” przy bagażu za niebotyczną opłatę - łatwa forsa, kiedy ofiarą pada kobieta z dzieckiem. Ale jego obecność mogła mieć także inne znaczenie. Powinien więc przejść obok nich, skrócić w lewo, stanąć blisko kolejki do informacji i stamtąd obserwować, co się wydarzy.

Wymowa ciała pani Tanaka wskazywała na to, że wprawdzie godzi się na propozycję mężczyzny, ale nie bez oporów. Pokręciła głową i rozkładała ramiona, dwukrotnie odchodziła od niego. W końcu jednak pozwoliła mu przejąć wózek i potoczyć go do najbliższego wyjścia tak szybko, że Naomi musiała podbiec, by dotrzymać im kroku.

Diamond szedł tuż za nimi, w poczuciu bezpieczeństwa, wiedząc, że żadne z dorosłych go nie zna, a Naomi nie reaguje na jego obecność. To, że pozwala im bez przeszkód oddalić się, niosło ze sobą pewne ryzyko, liczył się jednak z tym, że cokolwiek teraz zrobią, wózek ograniczy szybkość ich poruszeń.

Skierowali się do postoju taksówek. Jeśli to okaże się konieczne, Diamond pozwoli im wsiąść do jednej z nich i odjechać, a sam pojedzie za nimi w następnej. Jeżeli mężczyzna w skórzanej kurtce pojedzie z panią Tanaka, uzyska pewność, że jest on zamieszany w tę sprawę.

Na dworze stał ciąg żółtych taksówek, nadzorowany przez człowieka z gwizdkiem. Skórzana Kurtka przetoczyła wózek tuż obok i przez ulicę. Czyżby wahadłowiec? Najwyraźniej nie. Weszli na parking krótkiego postoju, Diamond nie wziął pod uwagę tej możliwości. Zakrył twarz ręką w naganie dla siebie samego. Odkąd tu jest, stracił bystrość umysłu; przypisywał to oszołomieniu lotem.

Musiał szybko przejść przez ulicę, lawirując między pojazdami, aż na parter parkingu, gdzie poczuł się jeszcze gorzej. Skórzana Kurtka i pani Tanaka razem z Naomi szli jakieś dwadzieścia pięć metrów przed nim, skręcili w prawo i weszli do windy. Zanim zdążył do niej dopaść, drzwi się zasunęły.

Co dalej?

Obok były schody. Nie miał pojęcia, czy ma zejść w dół do podziemia, czy iść w górę na wyższy podest. Nie miał żadnej wskazówki, na które piętro zawiozła ich winda.

Musiał się na coś zdecydować w nadziei, że będą jeszcze w zasięgu wzroku, kiedy się tam dostanie. Jeden kierunek był równie dobry jak drugi, zbiegł więc w dół, przeskakując co drugi stopień, i wpadł przez wahadłowe drzwi do hali.

Pośród rzędu wozów nie było widać nikogo.

Za nim otworzyły się drzwi windy. Wewnątrz nie było nikogo. Wszedł i przycisnął guzik drugiego piętra, przeklinając opieszałość, z jaką zasuwają się drzwi.

Będzie miał dużo szczęścia, jeśli ich całkiem nie zgubi. Winda ruszyła w górę, drzwi się otworzyły, a 011 wysiadł z niej i zaczął biec. Nie ma już sensu podchodzić zwierzyny. Kiedy wsiądą do wozu i odjadą, nie będzie mógł ich dogonić. Nigdzie obok nie było taksówek. Zobaczył

ich. Stali o trzy czy cztery przejścia na prawo od niego, w odległości jakichś osiemdziesięciu metrów. Biegł wołając:

- Pani Tanaka!

Obejrzała się.

Skórzana Kurtka także się obejrzał. Właśnie otwierał drzwi do samochodu.

Diamond był o trzydzieści metrów od nich.

Pani Tanaka powiedziała coś, czego Diamond nie dosłyszał, sama otworzyła drzwi wozu i wepchnęła do środka Naomi.

- Jedno słówko! - wołał Diamond.

Ale nie uzyskał tego słówka. Za to skierował na siebie atak toczącego się wózka. Skórzana Kurtka użył go jako taranu, najeżdżając na niego złośliwie. Wózek miał na sobie ciężar walizki, a za sobą siłę młodego rosnącego mężczyzny.

Natarcie wózka zmiażdżyłoby kostki Diamonda, gdyby o ułamek sekundy przed zderzeniem nie podskoczył o jakieś dziesięć centymetrów - taką wysokość, na jaką może się zdobyć człowiek o jego tuszy. Diamond upadł na twarz, sprawiając, że pierwsze uderzenie wzięła na siebie walizka, i rozbił sobie głowę o metalowy kosz umocowany na wierzchu wózka. Gdyby nie amortyzacja uderzenia przez walizkę, zapewne skończyłby z głową w koszu, niczym ofiara gilotyny.

Podniósł się, zatoczył i runął, przewracając wózek i wgniatając błotnik wozu lewym ramieniem. Teraz nie był już w stanie podnieść się i walczyć.

Skórzana Kurtka nie czekał. Wyciągnął spod wózka walizkę (w połowie pękniętą), wrzucił ją do bagażnika, zatrzasnął drzwiczki i usiadł na przednim siedzeniu obok pani Tanaka.

Opar wyrzuconych spalin ani trochę nie pomógł Diamondowi. Wóz - wielki biały buick z czerwonymi paskami na boku - ruszył. Zaszumiały opony i samochód pomknął przed siebie.

Rozdział 20

ROZLEGŁE POTŁUCZENIA. Piekące otarcie naskórka na barku i lewym ramieniu. Szybko wzmagający się ból głowy. W sumie żadnego poważnego uszkodzenia, prócz zranionej miłości własnej. Popęłnił

błąd. Skrewił. Zachował się, jak to się mówi, do bani. Przeleciał tysiące cholernych kilometrów, wreszcie dopadł Naomi i pozwolił, by mu ją sprzątnięto sprzed nosa. Teraz ją wiozą Bóg wie dokąd.

Beznadziejne.

Dźwignął się z trudem na nogi, bardziej przybity pretensją do siebie niż bólem. Do diabła, zaniechał najbardziej podstawowych procedur. Nie zapamiętał nawet numeru samochodu.

Mógł sobie wyobrazić, co powiedzą nowojorscy gliniarze, kiedy ich poprosi o znalezienie białego buicka z czerwonym obramowaniem, nic podając jego numeru.

No i co teraz?

Czy to naprawdę koniec pościgu?

Rozejrzał się wokół i rzucił okiem na wózek leżący na boku w miejscu, które przedtem zajmował samochód. Chciał spojrzeć nad barierą boksu w nadziei, że dojrzy znikającego buicka, ale był cholernie pewny, że wzrok nie pozwoli mu z takiej odległości odczytać numeru na tabliczce rejestracyjnej - nawet gdyby mu się udało dojrzeć samochód.

A potem przyszło mu do głowy, że każdy pojazd opuszczający to miejsce musi podlegać jakimś procedurom. Budowniczy parkingu zapewnili taką organizację ruchu, że każdy wyjeżdżający musiał się w uporządkowany sposób odprawić. Na dole powinien być szlaban i miejsce, gdzie się płaci. A na tak ruchliwym parkingu być może trzeba ustawić się w kolejce do zapłacenia. Nawet jeżeli mają tu automatyczne wrota, można stąd wyjechać jedynie tak szybko, jak na to pozwolą maszyna sprawdzająca i jadące z przodu auta. Był całkiem pewien, że Skórzana Kurtka nie zatrzymywał się przy urządzeniach pobierających należność z góry.

Nie mogli wyjechać bez opłaty. Trzeba trochę czasu, żeby wóz, nawet bardzo szybki, wydostał się stąd na ulicę.

Najszybszym krokiem, na jaki mógł się zdobyć, pokuśtykał do windy. Jedyne wyjście z parkingu znajdował się na najniższej kondygnacji, a winda była najszybszą drogą, by dostać się na dół. Na szczęście - ostatnio mu nie dopisywało - drzwi windy były otwarte, wszedł więc do niej i nacisnął guzik. Każda zwłoka była męczarnią: pauza, nim podziałał mechanizm zamykający drzwi, powolny zjazd na dół - modlił się w duchu, by się nie zatrzymała na którymś piętrze - i wahania, zanim się otworzyła. Wreszcie wyszedł i rozejrzał się za oznaczeniem wyjazdu, próbując wybrać najkrótszą prowadzącą do niego drogę, nie musiał przecież poruszać się po tej samej serpentynie co samochody.

Zdecydował skierować się na lewo, przez szereg wozów, co oznaczało przeciskanie się między nimi i wytrącenie z właściwego ustawienia kilku bocznych lusterek, ale okazało najkrótszą drogą.

Przed nim pięć lub sześć samochodów skręcało łukiem z rampy. Pobiegł za czwartym, i zdążył zobaczyć, jak opada bariera, i buick - a w każdym razie biało-czerwony wóz - wyjeżdża na ulicę.

Nie marnował dłużej czasu. Teraz pierwszym z kolei wozem był różowy chevrolet. Otworzył drzwiczki od strony pasażera. Kobieta przy kierownicy właśnie uiszczała opłatę. Odwróciła się gwałtownie. - Co to takiego?

- Policja. - Nie mógł jej pokazać żadnych dokumentów prócz paszportu, wyciągnął go z kieszeni i podał jako gwarancję. - Pozwoli pani? Zechce pani uprzejmie jechać za tym wozem przed nami?

- Niech pan to powtórzy. - Była młoda, chyba około dwudziestki, z masą czarnych loczków, które podskakiwały, kiedy mówiła.

- Proszę, żeby pani pojechała za tym buickiem.

- Jest pan z Anglii? - zapytała.

Jęknął w duchu.

- To pilne.

- Niech pan wskakuje. Zabiorę pana na Manhattan, jeżeli chce pan tam jechać.

Nie przedłużał rozmowy.

Ruszyła z obiecującą szybkością i wkrótce wydostali się z kompleksu zabudowań lotniska na autostradę Van Wyck, prowadzącą na Manhattan, ani śladu buicka.

- Może pani jechać szybciej?

- Pan powiedział, że jest z policji?

- Tak.

- Nie ma pan przy sobie przenośnej syreny?

Miał wrażenie, że pokpiwa sobie z niego.

- Nie.

- A pozwolenie policji na przekroczenie obowiązującej szybkości?

- Tam jest dziecko w niebezpieczeństwie. Mała dziewczynka - nalegał Diamond.

Ruszyła pasem szybkiego ruchu.

Po czterech kilometrach Diamond poprosił, żeby nieco zwolniła. Dostrzegł białego buicka.

Jechał środkowym pasem z szybkością mniej więcej stu dwudziestu kilometrów. Nad siedzeniem dla pasażera zobaczył zarys głowy pani Tanaka.

- Nie za blisko.

- Nie chce pan, żebym ich zmusiła do zjechania z drogi?

- Nie teraz. Wolałbym pozostać niedostrzeżony.

- Po prostu uwielbiam sposób, w jaki pan mówi. - Skręciła zwróciła się w puste miejsce za trzecim wozem od buicka i jechali teraz grupą ze stałą prędkością. - Ta dziewczynka także jest z Anglii?

-

No tak, tak. Jak pani na imię? - spytał, by zmienić temat. Gdyby jej powiedział to, co wie o Naomi, tylko zamąciłby jej w głowie. Sam był zdezorientowany.

- Ken.

- Powiedziała pani Ken?

- Tak.

- Czy w Ameryce to kobiece imię?

- Skrót od Kennedy. Urodziłam się w tym tygodniu, kiedy zabito prezydenta. Już mnie mężczyźni to ciągle objaśnianie.

- To miło mieć niezwykle imię. Moje jest pospolite, Peter.

- Piotr Wielki.

- Bez żartów!

- Co w tym złego? - spytała Ken.

Poklepał się po wypukłości swojego brzucha, a ona uśmiechnęła się.

- Wcale o tym nie myślałam.

Sznur samochodów poruszał się z tą samą prędkością i w tej samej kolejności. Teraz widać już było na horyzoncie Nowy Jork.

- Jesteśmy na Long Island, prawda? - zapytał Diamond.

- Właśnie wjechaliśmy na autostradę Long Island - potwierdziła. - Zmierzamy do tunelu pod East River.

- Czy i tak jechałaby pani tą drogą?

Kiwnęła głową.

- Mieszkam w Bronksie. To mi nie robi różnicy. - Po chwili milczenia dodała: - Intryguje mnie pan. Tak naprawdę nie jest pan wcale policjantem. Może wyglądam na głuptasa, ale umiem odróżnić legitymację policyjną od paszportu. Z drugiej strony, nie wygląda pan na autostopowicza. Ani na gwałciciela. To raczej przypomina walkę z żoną o opiekę nad dzieckiem.

Powiedział jej, że Naomi nie jest jego dzieckiem. Był już niemal przekonany, że mimo wszystko powinien jej wyjaśnić, skąd mała japończyka wzięła się w jego życiu, gdy wjechali do tunelu i zamiast opowiedzieć o tym, skupił się na myślach o niepewności, co się zdarzy na drugim jego końcu.

- Gdzie dokładnie kończy się tunel? - spytał, jakby miał mapę Manhattanu wydrukowaną w mózgu.

- Na 34 Wschodniej - odpowiedziała Ken. - Odtąd nie będzie tak łatwo jechać za nimi.

- Mogłaby pani spróbować się do nich zbliżyć?

Po wyjeździe z tunelu udało jej się wyprzedzić jeden z wozów. Drugi skręcił przy pierwszych światłach, od buicka dzieliło ich jedynie niebieskie volvo. Napięcie rosło. Kiedy przejeżdżali przez miasto, czekając na zmianę świateł, chcieli, by volvo nie zwlekało. Minęli Empire State Building i Macy's, zanim skręcili w prawo, w Ósmą Aleję, prowadzącą na północ.

Buick nabierał prędkości.

- Może pani wyprzedzić to auto przed nami?

Kiedy zmieniła pas, kierowca volva uznał to za wyzwanie i zajechał im drogę. Przy następnych światłach ostro zahamował, zmuszając ich do zatrzymania, buick pojechał dalej.

Diamond zaklął i obejrzał się, by sprawdzić, czy jest miejsce, by ruszyć, ale było to niemożliwe.

-

Daleko nie odjadą - powiedziała pocieszająco Ken. - Zatrzymają się na światłach.

Nie był tego taki pewien. Już ich widział, jak przy następnej przecznicy przejeżdżają na czerwonym świetle.

- Musimy wyprzedzić tego mądralę.

Zrobiła to, blokując ruch przed siedzibą zarządu terminalu autobusowego, przy wzrastającym ryku klaksonów. Fatalnie tracili odległość. Musieli zakładać, że to coś białego migoczącego w oddali jest buickiem. Diamond wychylił się naprzód z twarzą niemal przywartą do szyby.

- Niech pani jedzie prosto przed siebie. Jeżeli skrećą, powiem pani.

Wyprzedzała inne wozy przy każdej okazji, a czasem, kiedy wcale nie było okazji. Nie mógł nic zarzucić jej oddaniu sprawie. Od czasu do czasu dostrzegał biały wóz w ruchu ulicznym, o przecznicy przed nimi i pokładał w Bogu nadzieję, że gonią odpowiedniego białego buicka. Po prawej stronie wyłonił się Central Park.

- Jeśli pojedziemy trochę dalej, dotrzemy do Bronksu i będę w domu - powiedziała Ken.

Ale tak daleko nie zajechali. Niemal dotarli do północnej granicy Parku, kiedy biały wóz przed nimi wjechał na lewy pas i skręcił.

- Może pani skręcić?

- Oczywiście.

- To musi być ulica Sto Dziewiąta.

Prowadziła chevroleta z pewnością, przyspieszając, kiedy miała miejsce, i skręcając z taką prędkością, że tylko pischwały opony. Ale na ulicy Sto Dziewiątej Zachodniej nic było przed nimi białego wozu.

- Mogli skręcić w Manhattan Avenue - podsunęła Ken.

- To niech pani spróbuje.

Znów skręciła w lewo. Był to błąd, bo o dwie przecznice przed nimi były tylko żółte taksówki.

- Przykro, naprawdę przykro - powiedziała, a w jej głosie brzmiało prawdziwe zmartwienie. -

Chce pan, żebym zawróciła?

- Jak pani myśli, dokąd mogli jechać, kiedy straciliśmy ich z oczu?

- Trudno powiedzieć. Jesteśmy niedaleko od Columbi.

- Mówi pani o uniwersytecie?

- Tak.

- Spróbujmy cofnąć się w tamtym kierunku. Jeśli mam odrobinę szczęścia, może samochód stoi gdzieś zapakowany na ulicy.

Skręcili w prawo, w Amsterdam Avenue. Ani śladu białego wozu. Po prawej stronie wyłonił się wielki kościół.

- To miejsce cieszy się wielką popularnością wśród studentów - zauważyła Ken.
- Kościół świętego Jana Bosko? - Diamond przeczytał tablicę z niedowierzaniem.
- Miałam na myśli węgierską cukiernię po lewej stronie.
- Ach! - Żadnemu z nich nie było do śmiechu, a konsternacja świadczyła o bezradności. Z

niczym nic jest tak trudno się pogodzić, jak ze świadomością klęski. Błąkali się, próbując podnieść się na duchu, ale słowa nie dodawały im otuchy.

- Za przecznicą lub dwiema zaczyna się Columbia - poinformowała.
- Powinniśmy je sprawdzić. Może pani skrócić w najbliższą?

Była to ulica Sto Trzynasta, i dojechali nią aż do Broadwayu, a potem, po dwóch skrętach w lewo, wjechali w Sto Dwunastą. Stały tam zaparkowane trzy białe wozy, ale żaden nie był

buickiem. Upłynęło prawie dziesięć minut, odkąd stracili go z oczu, a te dziesięć urosło do dwudziestu, kiedy bez żadnych rezultatów krążyli po ulicach.

- Mogę się przesiąść do taksówki - powiedział Diamond.
- Ależ skąd - obruszyła się Ken. - Tak samo mi zależy na znalezieniu tego cholernego samochodu jak panu.
- Teraz mógł już wyjechać z tej dzielnicy.
- Dla dobra tej dziewczynki powinniśmy nadal go szukać.

Nic musiał tego potwierdzać.

Odnalezienie buicka zajęło im prawie godzinę. Stał zapakowany nieopodal Broadwayu, przy końcu ulicy Sto Czternastej. Znaleźliby go wcześniej, gdyby nie zaczęli poszukiwań od Sto Trzynastej i nie cofali się do Sto Ósmej, ale ogromna ulga, że w końcu wpadli na trop, zatarła cały żal.

- Co teraz? - zapytała Ken.
- Jestem pani bardziej wdzięczny, niż potrafię to wyrazić.

Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc jego angielskiego uchylania się od bezpośrednich stwierdzeń.

- Poradzę sobie - powiedział.
- Przecież chyba pan nie myśli, że go teraz zostawię? Chcę zobaczyć tę dziewczynkę. - Jej oczy

rozpraszały wszelkie wątpliwości co do szczerości tych słów.

- W takim razie powiem pani, co zrobimy. Odwiedzimy po kolei te domy.

Wzdłuż tego odcinka ulicy stały kamienice mieszkalne i małe hotele. Zaczęli od hoteli.

- Mam nadzieję znaleźć tu pewną parę z małą dziewczynką. Mogli się tu zameldować godzinę temu - w uprzedzająco uprzejmy sposób rozpoczynał poszukiwania. - Pani jest Japonką, podobnie jak dziecko. - Starał się przedstawić jako opiekuńczy angielski dżentelmen, którego przyjaciele coś u niego zostawili, a on chce im to teraz zwrócić.

Po obejściu trzech hoteli, gdzie nie szczędzono im podejrzliwych spojrzeń i kręcenia głową, ale nie udzielono żadnej odpowiedzi, zmienił taktykę w Firbanku, nędznej kamienicy z piaskowca z napisem w oknie: „Wolne miejsca”. Okno wymagało umycia.

Drzwi były otwarte, a mężczyzna w czarnym podkoszulku i w dżinsach stał za rozkładanym stołem, który służył mu za biurko recepcjonisty.

- Czy zatrzymała się tu pani Tanaka?

- A kim, kurwa, jesteście?

Można to było uznać za coś lepszego od milczenia. Diamond powiedział mu, że jest z Urzędu Imigracyjnego.

- A kim, kurwa, pan jest?

- George de Wint.

- Kierownik?

- Nie mam w hotelu żadnych nielegalnych - powiedział asekurancko de Wint. W ustach muskularnego wytatuowanego mężczyzny o profilu Cagneya zabrzmiało to żałośnie.

- Ale jest pani Tanaka, przybyła tego popołudnia z Anglii?

- Z Anglii?

- Japonka z mężczyzną i małą dziewczynką.

- No to w czym problem?

- Jest czy wyszła?

- Oczywiście, jest tutaj. Mam zadzwonić do jej pokoju?

Diamond stłumił uczucie triumfu.

- Czy mógłbym zobaczyć meldunek?

De Wint odwrócił się w lewo, położył rękę na książce wpisów z oślimi uszami i posunął ją przez blat stołu. Diamond otworzył ją na ostatnim zapisie, którym były dane pani Tanaka.

- Tu jest tylko jedno nazwisko.

- No to co? Dzieci nie muszą się meldować.

- A co z mężczyzną?

- Gość nie zostaje tutaj. Zaniósł jej walizkę.

- Już wyszedł?

- O ile wiem, nie. O co właściwie chodzi. Nie chcę mieć żadnych kłopotów.

- Który pokój?

- Dwunastka.

- Na górze?

- Na drugim piętrze. Chciała mieć podwójny z łazienką, więc dałem jej największy.

W Firbanku pachniało rozpylonymi w powietrzu tanimi perfumami. Nie było windy, a schody tak trzeszczały, że nie było mowy o tym, by ukradkiem podkraść się pod drzwi.

Na gałce pokoju dwunastego wisiała wywieszka: „Nie przeszkadzać”. Diamond zastukał.

Nikt nie odpowiedział.

- Wygląda na to, że poszli prosto do łóżka - stwierdził de Wint.

- Przy dziecku? - powiedziała z niedowierzaniem Ken.

- Poszli spać. Musieli być wykończeni, skoro przylecieli z Anglii.

- Jest tam kto? - zawołał Diamond.

Cisza.

Poruszył gałką. Kierownik odczepił od paska pęk kluczy.

Kiedy otworzyli drzwi, nikt się nie odezwał. Pokój nie był pogrążony w ciemnościach.

Diamond wszedł do środka.

Sredniej wielkości, tanio umeblowany pokój. Podwójne łóżko, jedno ze ściągniętą pościelą. Na drugim leżała otwarta walizka.

- Wyszli - powiedział de Wint. - Ludzie są tacy głupi, zostawiają wywieszkę na drzwiach.

Kiedy służba ma sprzątnąć pokój?

- Powiedział pan, że oni tam są.

- No to się pomyliłem. Szanowny panie, to hotel, a nie więzienie.

Diamond ruszył przez pokój do drzwi łazienki, stuknął w nie raz i otworzył. Paliło się światło. Na podłodze leżał mokry ręcznik. Wanna była pełna po brzegi, woda przelewała się na podłogę. Podeszedł bliżej.

- Ktoś tu jednak jest - powiedział.

Kierownik też podeszedł, ale jego reakcja była mniej opanowana.

- Jezu! Dlaczego akurat w moim hotelu?

W wannie przykryte wodą leżało ciało kobiety z twarzą obróconą w dół. Była ubrana w białą bluzkę, w szare spodnie i pantofle. Miała czarne, krótkie włosy.

Diamond ostrzegł Ken, żeby nie patrzyła.

Odkrycie śmierci jest przerażające w każdych okolicznościach, tym bardziej że przeguby rąk tej kobiety związane z tyłu sznurem, a nogi w kostkach kilkakrotnie owinięto zaciśniętym następnie paskiem.

Diamond zdjął marynarkę i podał ją de Wintowi, który wciąż biadał nad swoim nieszczęściem.

Podwinął rękawy koszuli i pochylił się nad wanną, usiłując obrócić ciało twarzą do góry.

Nowojorska policja nie będzie zachwycona, że poruszono trupa, ale on musiał natychmiast potwierdzić tożsamość ofiary. Chwycił za ubranie, pociągnął, ale człowiek o jego posturze nie został stworzony do odwracania zwłok w wannie, musiał więc prosić kierownika o pomoc.

- Człowieku, do ciebie mówię.

De Wint wycofał się z łazienki.

- Ja nie mogę jej dotknąć. Po prostu nie mogę.

Na szczęście Ken miała mniejsze opory.

- Ja pomogę. Nie boję się.

Za drugim podejściem, ochlapani wodą od stóp do głów, odwrócili ciało.

Bez wątplenia były to zwłoki Japonki, którą ścigali od lotniska Kennedy'ego, kobiety, która wywiozła Naomi z Anglii.

Diamond, ociekając wodą z rękawów, zwrócił się do de Winta:

- Czy to ta kobieta, która wynajęła pokój? Podejdź bliżej, człowieku. Rozpoznajesz tę panią czy nie?

- O mój Boże, tak, to ona.

Teraz można było głowę znów zanurzyć w wodzie.

I w ten sposób zbliżyli się do pytania, którego dotąd nikt nie zadał, bo zbyt było straszne do pomyślenia; gdzie jest Naomi?

Diamond poczuł, że uginają się pod nim nogi. Dosłownie trzęsły mu się kolana nic z powodu tego, co przed chwilą odkrył, ale tego, co może odkryć. Bez słowa wyprostował się, i wrócił do sypialni, zostawiając kierownika wymiotującego do miski klozetowej.

Nie było tu wielu miejsc, w których dałoby się ukryć zwłoki dziecka. Bez ściągania pościeli mógł stwierdzić, że nic pod nią nie ma. Przestrzeń pod sofą była zbyt ciasna. Otworzył szafę. Leżał

w niej tylko żakiet tej kobiety, szary, z wyhaftowanym na przedzie żółtą nitką nazwiskiem Rohan.

Pozostało tylko sprawdzić okno. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się znaleźć martwej Naomi w pokoju. Połączenie intuicji i doświadczenia mówiło mu, że jej tu nie ma. Ze znacznie mniejszą pewnością spojrział przez okno.

Wychodziło na tyły budynku przy sąsiedniej ulicy i wąskie podwórko, okolone brudnymi cegłami.

Musiał się zmusić, by spojrzeć w dół.

Plastikowe pojemniki na śmieci, kilka doniczek z przywiedłym geranium. Jakieś zeschnięte liście i skrawki papieru poruszane co jakiś czas podmuchem wiatru. Nic, co by przypominało małe ciało.

Z parapetu okna naprzeciwko przyglądał mu się gołąb.

Wychylił się dalej.

- Schody przeciwpożarowe są na lewo - zawołał do de Winta. - Jak tam się można dostać z wnętrza domu ?

- Przez drzwi na końcu korytarza.

- A gdybym nie chciał schodzić na dół, jak mógłbym się wydostać na ulicę?

- Tam jest przejście do Sto Trzynastej. Widać je stąd.

- Chyba tędy uciekł z dzieckiem. - Cofnął się od okna.

Czas był teraz bezcenny. Postawiony wobec dylematu, czy ruszyć w natychmiastową pogoń, czy próbować wyjaśnić to, co się wydarzyło, przeglądając rzeczy kobiety, wybrał to drugie i rozpoczął szybkie przeszukiwanie pokoju. Pobyt na miejscu zbrodni przygnębił go, ale do cholery, chodzi przede wszystkim o bezpieczeństwo Naomi i jeżeli gdzieś tu są jakieś tropy, należy je odnaleźć, i to szybko.

Najpierw zrobił przegląd walizki, pudła z niebieskiej tkaniny, bez nazwiska wytwórcy i żadnej nalepki na zewnątrz.

Starannie ułożone warstwy ubrania i bielizny były wysokiej jakości. Było także kilka ubrań dla dziecka z metką Marksa i Spencera. Pomacał w kilku miejscach zawartość walizki w nadziei, że znajdzie jakieś dokumenty albo notes z adresami. Nie było jednak nic poza skorowidzem z ulic londyńskich i numerem „Timesa” sprzed trzech dni. Torba podręczna zawierała przybory toaletowe, szminkę do ust i inne kosmetyki oraz nieco tabletek aspiryny w folii aluminiowej.

Szczotka i grzebień. Ręczna suszarka do włosów. Nic nadzwyczajnego.

Przejrzał raz jeszcze skorowidz ulic londyńskich i znalazł zaznaczony ołówkiem krzyżyk obok szkoły. To świadczyło ostatecznie o jej powiązaniach z Naomi.

Z twarzą, która nie różniła się kolorem od zielonkawej łazienki, kierownik pojawił się w samą porę, by Diamond mógł mu zadać kilka dalszych pytań.

- Czy ten mężczyzna, który był z nimi, mówił coś, kiedy się meldowali?

- Myśli pan, że mógł coś takiego zrobić?

- Odpowie pan, czy nie? Słyszał pan, jak mówi. Czy to był Brytyjczyk?

- Nic. Załatwiała wszystko kobieta i próbowała uciszyć dziecko.

- Dziewczynka była zdenerwowana?

- Ona im robiła piekło.

Ken opuściła nagle niezłomność. Uświadomiła sobie, przez co musiała przejść dziewczynka.

- O Boże!

Diamond utrzymał twardo wyobraźnię na wodzy

- Skoncentrujmy się na tym mężczyźnie. Jak się zachowywał, kiedy tu weszli? - spytał de Winta.

- Wciąż się uśmiechał.
- Chociaż dziecko się awanturowało?
- Tak, jakby się czuł skrępowany.
- Wydawał się zaborczy wobec dziecka?

De Wint pokręcił głową.

- Po prostu się uśmiechał i zostawił kobiecie trud dojścia z nią do ładu. Nie wiem, czy to pomoże, ale miał gdzieś złoty ząb. Zauważyłem, kiedy się uśmiechał.

- „Gdzieś” - powtórzył Diamond bez wdzięczności. - Na Przodzie? Z boku? W górnej czy dolnej szczęce? No...

- W górnej. Z tej strony.

- Po lewej.

Wzmianka o zębie musiała przypomnieć kierownikowi resztę twarzy.

- Miał brązowe oczy i nos, którego się nie zapomina, wąski i wytworny. Jak ten aktor filmowy...

- Charlton Heston?

Chyba na de Wincie zrobiło to wrażenie. Nie wiedział, że Diamond został zaatakowany bagażowym wózkiem przez mężczyznę z nosem Charltona Hestona.

Szukając dalej, Diamond znalazł przewróconą do góry dnem torebkę, zostawioną między łózkami. Jej zawartość - grzebień, jeszcze jedna szminka, pióra, puderniczka, jakieś klucze, dwie zapałki i tubka cukierków miętowych - leżała rozsypana na dywanie. Była tam także portmonetka zawierająca sześćset dolarów i garść monet brytyjskich. Nie było to morderstwo rabunkowe.

Podniósł torebkę. Wszystkie schowki były pootwierane i opróżnione.

Czego w niej brakowało?

Paszportu.

Zdjęcia Naomi, które kobieta pokazała pani Straw.

Zapewne książeczki czekowej i kart kredytowych.

Biletów na przelot do Stanów Zjednoczonych i kart pokładowych. Mogła je wyrzucić na lotnisku Kennedy'ego, ale to mało prawdopodobne. Ludzie zazwyczaj pozbywają się ich później.

Krótko mówiąc, przepadły wszelkie dokumenty, na których podstawie można ustalić tożsamość

kobiety i dziecka.

Odsunął łóżko i zajrzał pod nie. Przeszukał kieszenie zakietu w szafie. Nic.

Skórzana Kurtka zabrał wszystko, z taką samą zręcznością, z jaką zabił. Skoro przyglądało się temu przerażone dziecko, musiał działać ze szczególną determinacją. Albo bezdusnością.

Diamond przeciągnął ręką po przeredzonych włosach, próbując zrozumieć, czy coś jeszcze go tu trzyma. Impuls, by udać się w pościg za mordercą, był nieodparty. Ten człowiek ma Naomi.

Może zabrał ją, by także ją zabić?

Ale dokąd? Ślad już wystygł. Skórzana Kurtka mógł się udać w każdym kierunku Nowego Jorku. Odnalezienie ich nie było zadaniem dla jednego człowieka. Wymagało pomocy policji Podniósł słuchawkę telefonu, otrzymał połączenie z miastem i wybrał numer 911.

Patrol już wyrusza, obiecali. On sam ma zostać na miejscu i niczego nie dotykać.

Cholernie spóźnione polecenie, pomyślał.

Dręczyła go bezradność. Co za obciach! Policjanci zmyją mu głowę za ruszanie zwłok i dotykanie mienia zmarłej, i to właśnie powinni zrobić.

Naruszył zasady dla dobra Naomi i niczego nie osiągnął.

Był tak zdenerwowany, że kiedy Ken odezwała się z drugiego końca pokoju, jej słowa dotarły do niego z pewnym opóźnieniem. Jeśli ma się tu pojawić policja, powiedziała, wołałaby raczej tu nie pozostawać, szczególnie że nie może już w niczym pomóc.

Podziękował jej tak gorąco, jak tylko potrafił, powiedział, że przyszła mu z pomocą w trudnej sytuacji i bohatercko dotrzymywała mu kroku. Ona zaś odparła, że życzy mu naprawdę szybkiego uratowania dziecka, a potem uścisnęła mu dłoń i wyszła.

Nie była to właściwa pora, by uzalać się nad sobą, ale było mu przykro, że go zostawiła.

Całkiem sam - dc Wint też wyszedł, korzystając z okazji, by odprowadzić Ken na dół -

Diamond uznał, że takie oczekiwanie jest nie do zniesienia. Nie miał czym się zająć w pokoju i znów wszedł do łazienki.

Trup pani Tanaka, odwrócony twarzą do góry, z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami, leżał zanurzony w wodzie. Nie było sensu odwracać go twarzą na dół, nawet gdyby mu się to udało.

Powie policjantom, co zrobił od wejścia do pokoju.

Patrząc na zwłoki, przypomniał sobie sztywność jej uda, kiedy chwycił za ubranie, by ją obrócić. W

wydziale do spraw zabójstw z konieczności miał do czynienia ze zmarłymi; z jakichś powodów *rigor mortis* - zeszywnienie pośmiertne, doświadczane zmysłem dotyku, robiło na nim głębsze wrażenie niż widok trupa. Utrata giętkości mięśni przekształcała zwłoki w coś na kształt gipsowego odlewu, tak bardzo różnego od żywego ciała. „Zaraz, tu coś jest nie w porządku, pomyślał. Została zabita przed niespełną godziną. Wiem o tym. Widziałem ją na lotnisku i jechałem za nią samochodem. *Rigor mortis* następuje po wielu godzinach, nie w tak krótkim czasie”.

Pochylił się nad wanną i położył rękę na przedramieniu zmarłej. Ciało było miękkie w dotyku.

Znów przyłożył rękę do uda, w tym miejscu, gdzie jej przedtem dotykał. Nadal wyczuwał sztywność.

Coś mu się przypomniało i znalazł wyjaśnienie. Zapamiętał, co powiedziała telefonistka w komendzie policji na Earls Court: „Spodnie od Rohana to naprawdę coś - te wszystkie kieszonki”.

Zeszywnienie nie było wynikiem *rigor mortis*. Po obu stronach spodni były dwie kieszenie, nałożone jedna na drugą, wewnętrzna zamknięta na zamek błyskawiczny. Pociągnął za uszko.

Przyczyna efektu zeszywnienia pośmiertnego leżała w wewnętrznej kieszeni.

Wyciągnął z niej gruby skórzany portfel. Otworzył go i znalazł japoński paszport, wydany w grudniu 1988 roku. Nasiąkł wodą, która uszkodziła brzegi kartek, ale zapisy w środku pozostały nienaruszone. Były w dwóch językach, japońskim i angielskim. Właścicielką paszportu była pani Minori Tanaka, lat trzydzieści sześć. Fotografia była najwyraźniej zdjęciem zmarłej.

Był jej adres w Jokohamie. Wyjął pióro i notes i zapisał go.

W paszporcie zapisano także jej dziecko, Emi, data urodzenia 2 lutego 1984, płci żeńskiej.

Westchnął i pokręcił głową. Emi... Naomi. Biedactwo.

Na dole rozległy się głosy, których dźwięk był znany każdemu, kto pracował w policji. Nic przyszli odczytywać stanu gazomierza. Doszło go ciężkie stąpanie po schodach, a w przerwach głos de Winta, nastrojony wysoko, gdyż zgrywał się na szacownego hotelarza, który nigdy przedtem nie miał kłopotów.

Diamond szybko zbadał resztę zawartości portfela. Były tam karty pokładowe i bilety lotnicze.

A także wetknięty do środka mały plik zdjęć. Przejrzał je, wybrał jedno, a potem popatrzył na nie z pewnym zaskoczeniem, zanim je wsunął do swojej kieszeni. Postanowił nie wyznawać wszystkiego policji.

Rozdział 21

Dwaj policjanci którzy pojawili się na schodach, mieli wbite do głowy tylko jedno: jeżeli to morderstwo, lokal należy opieczetować do przyjazdu jednostki z wydziału zabójstw. Obejrzawszy

zwłoki, nie posunęli się do tego, by zdjęć obuwie i na palcach wyjść z pokoju, ale zachowali wszelkie starania, by unikać kontaktu ze wszystkim prócz dywanu. Przestrzeganie tej dyscypliny powinno być sygnałem alarmowym dla Diamonda, ale jego myśli były zajęte czymś innym.

Wyszedł za nimi z pokoju i powiedział, że trzeba teraz zrobić coś innego, i to pilnie. Dał im opis Naomi i mężczyzny w skórzanej kurtce oraz białego buicka, wraz w numerem rejestracyjnym.

Policjanci zdawali się urażeni, że gruby Anglik tak obcesowo się rządzi, zmienił więc postawę na cechującą się większym uszanowaniem. Cierpliwie, znacznie bardziej cierpliwie, niż ktokolwiek, kto go znał, powtórzył wszystko, aż jeden z nich podjął decyzję, by przesłać do centrali wiadomość, że podejrzany o to morderstwo jest na wolności z siedmioletnią japońską dziewczynką, uznaną za upośledzoną umysłowo. Nic więcej nie mógł zrobić. Maszyna ruszyła.

Miejsce zbrodni zaroilo się wkrótce od detektywów z wydziału zabójstw, zespołu ekspertów w białych kombinezonach, fotografów policyjnych, zastępcy koronera i lekarza patologa. Czynności proceduralne rozczłonkowały na części grozę gwałtownej śmierci i uczyniły ją bardziej strawną.

Przez następne trzy godziny detektywi maglowali Petera Diamonda. Gwałtowna śmierć w Nowym Jorku jest czymś pospolitym, ale przypadek pani Tanaka był niezwykle. Każdy z przesłuchujących go śledczych nazywał go zbrodnią popełnioną z okrucieństwem. Nawet mordercy mają skalę wewnętrznego przyzwolenia, gdzie strzał w głowę jest notowany o kilka punktów wyżej niż utopienie. Skrępowanie rąk ofiary zostało dokonane w szczególnie paskudny sposób. Jeden z funkcjonariuszy stwierdził, że morderca uciekł się do zatopienia, bo to względnie cichy sposób zabijania. Istotnie kierownik nie usłyszał niczego, co by go zaalarmowało. Gdyby nie pojawił się Diamond i nie zażądał, by go zaprowadzić do pokoju, nie odkryto by zwłok aż do następnego dnia.

Zdaniem Diamonda, wycisk, jaki dali mu detektywi, zważywszy na to, kim jest, był obraźliwy, i powiedział im to. Mordercy są twardzielami. A on, według słów pewnego porucznika, jako były detektyw zachował się jak Kubaś Puchatek w filmie Jamesa Bonda. Ponieważ nie chciał się pogodzić z tym porównaniem, po paru godzinach słuchania ich wrzasków udał, że przyjmuje ich punkt widzenia.

Zawieziono go do komisariatu numer 26, dla sporządzenia portretu pamięciowego Skórzanej Kurtki; zadanie, które sam często zlecał świadkom, nie doceniając tego, jak trudno jest uchwycić szczegóły podobieństwa. Potem dano mu do przejrzenia zdjęcia znanych kryminalistów. Było to bezowocne zajęcie, ale konieczne.

O jedenastej wieczorem nadal nie było żadnych wiadomości o uicku, oprócz tej, że zidentyfikowano go jako wóz ukradziony wcześniej rano w dzielnicy Queens. Jeśli nie zatrzyma się samochodu w ciągu dwóch pierwszych godzin po zgłoszeniu, powiedziano mu, szanse na aresztowanie kogokolwiek są nikłe. Złodzieje porzucają jeden wóz biorą sobie inny, jeżeli są zawodowymi złodziejami, a kto w Nowym Jorku przyzna się do tego, że jest amatorem?

Zapytał, czy patrolom przypomniano o szczegółach. Zapewniono go, że nadajnik krótkofalowy działa na bieżąco. Kiedy w niebezpieczeństwie, prawdziwym niebezpieczeństwie jest dziecko, jak ta mała Japoneczka, sprawa ma najwyższy priorytet.

- Co jeszcze mogę zrobić?

Otrzymał odpowiedź, jakiej się spodziewał.

- Chce pan zatem, żebym sobie poszedł?

- Tak jest. Jaki jest pański adres?

- Adres?

- No, gdzie się pan zatrzymał, człowieku?

Nawet dotąd o tym nie pomyślał.

- Jeszcze nic nie wybrałem.

- Jest już dość późno, proszę pana.

Ulokował się w Firbanku, w pokoju na parterze bez łazienki, za sześćdziesiąt dolarów. Był to sensowny wybór. Wprawdzie jego dobroczyńca mógłby mu zafundować pięciogwiazdkowy hotel w śródmieściu za pięćset dolarów, ale tu przecież toczyła się cała akcja. A w pięciogwiazdkowym hotelu w śródmieściu pasażer bez bagażu mógłby budzić nieufność.

Akcja? Nie mam się po co oszukiwać - pomyślał. - Jestem zepchnięty na boczny tor. Morderca przetrzymuje gdzieś w mieście upośledzone dziecko, a nawet policja nie ma żadnych informacji.

Cierpliwość, opanowanie, wiara, że coś się odmieni - na tych podporach uczy się wspierać doświadczony detektyw, kiedy już wszystko zostało zrobione i wydaje się, że nic się nie dzieje.

Przechodził to wiele razy. To ogromne napięcie, ale trzeba wytrwać.

Hamując ciekawość przez całe godziny, zamknął się w łazience na pierwszym piętrze, wyciągnął z kieszeni fotografię, którą znalazł w portfelu pani Tanaka. Dziwny obrazek do noszenia w portfelu. Nie przypominał zdjęć, które pokazuje się przyjaciołom, kiedy mowa o rodzinie. Było to zdjęcie nagrobka.

Większość napisów była po japońsku, z wyjątkiem daty urodzenia i śmierci zmarłej osoby.

Musiał natężyć wzrok, by je odczytać: 2.2.1984 - 12.12.1988.

Sięgnął do kieszeni po notatkę, jaką zrobił o danych paszportowych, i stwierdził, że pamięć go nie zawodzi. Dziecko wymienione w paszporcie jako Emi Tanaka urodziło się 2 lutego 1984 roku, co było identyczne z datą na nagrobku.

Zbieg okoliczności?

Nie.

Bliźniaczka?

Nieprawdopodobne.

Emi Tanaka najprawdopodobniej nie żyła.

I umarła kilka lat temu. A jednak pani Tanaka przeprowadziła ją przez Urzędy Imigracyjne na Heathrow i na lotnisku Kennedy'ego, używając paszportu mówiącego, że dziewczynka jest dzieckiem urodzonym drugiego lutego 1984 roku. Wiek by się zgadzał. Dzieci podróżujące na paszportach rodziców nie muszą mieć dowodów tożsamości. Żadnych zdjęć, żadnych metryk urodzenia, nawet rysopisu.

Wrócił do pokoju i położył się na łóżku, rozważając przyczyny, dla których kobieta przebyła drogę z Japonii do Anglii, by zabrać sobie dziecko - autystyczne dziecko - pod pozorem, że jest jej.

Nasuwa się natychmiast przypuszczenie, że porwała Naomi. Może była jedną z tych nieszczęsnych matek, które porywają cudze dzieci, bo ich własne zmarło. Prowadził śledztwo w podobnej sprawie w Anglii, chociaż tamte dzieci były znacznie młodsze, zaledwie kilkumiesięczne. Nieszczęście porywaczki budziło współczucie każdego, jego samego też. Z ulgą dowiedział się, że kobieta została bardzo łagodnie potraktowana przez sąd. Każdy, kto cierpiał z powodu straty niemowlęcia czy z powodu poronienia, potrafi zrozumieć motywy takiego czynu, choć sam w sobie jest on przestępczy.

Ustaliwszy fakty, zaczął układać scenariusz. Gdzieś w Japonii w 1988 roku umarła w wieku czterech lat i dziesięciu miesięcy Emi, córeczka pani Tanaka. Złamana bólem matka nie mogła dojść do siebie po tej stracie. Musiała patrzeć jak rówieśnicy jej zmarłej córeczki rosą zdrowo i cieszą się życiem, tak jak powinno być z Emi. Przypadkiem albo rozmyślnie obserwowała dzieci w szkole dla upośledzonych. Jednym z nich była Naomi, a pani Tanaka zwróciła na nią szczególną uwagę zapewne dlatego, że była w wieku, w jakim powinna być Emi. Patrzyła na nią z miłością.

Nic rozumiejąc autyzmu Naomi, tłumaczyła sobie, że to śliczne i na pozór normalne dziecko jest jedynie niechciane i nieszczęśliwe, że ona będzie dla niego dobrą matką i da mu miłość, do której tęskni.

Wymyśliła więc sobie jakiś sposób uprowadzenia dziewczynki ze szkoły.

Potem uciekła z nią do Anglii, posługując się wpisem paszportowym swojej córki, by przeprowadzić Naomi przez Urząd Imigracyjny.

W Londynie (mówił dalej scenariusz) podczas zakupów u Harrodsa Naomi udało się uciec od kobiety, która ją porwała. Schowała się w dziale meblowym, gdzie ją znaleziono po zamknięciu magazynu.

Zrozpaczona pani Tanaka nie wiedziała, jak odzyskać dziecko. Bojąc się kontaktu z policją i z ambasadą japońską, czekała na informacje, gdzie szukać Naomi. W końcu, być może rozpoznawszy ją w telewizji, wytropiła ją w szkole. Przyszła wcześniej rano, by uniknąć spotkania z kimś z nauczycieli. Jej determinacja pokonała stanowczość pani Straw. Potem razem z dzieckiem uciekła do

Nowego Jorku.

I tu teoria się załamywała. Wydarzenia w Ameryce były niewytłumaczalne. Obecność w tej sprawie Skórzanej Kurtki nie przystawała do niczego. Najwyraźniej czekał na panią Tanaka i dziecko - z zamiarem zamordowania tej kobiety. Jeśli tak nie było, musiał być zabójcą, który na ślepo wybiera kobiety na lotnisku i morduje je, czy taki działający na chybił trafił morderca podszedłby do kobiety z małym dzieckiem? Z pewnością mógł przewidzieć, jakie to stworzy problemy. W każdym razie charakter morderstwa nie wskazywał na przypadkowy dobór ofiary.

Nie działał tu zwykle motyw seksu czy rabunku.

Diamond do późna borykał się z faktami, próbując ułożyć kolejny scenariusz i uznając go za niemożliwy. Doszedł do wniosku, że gdzieś w łańcuchu wydarzeń musiało istnieć jakieś ogniwo amerykańskie, które mu umknęło, ale to był kres jego rozważań. W pewnej chwili wyszedł z pokoju i poszedł na górę sprawdzić, czy nie wydarzyło się nic nowego. Zastał tylko samotnego policjanta drzemiącego na krześle przed pokojem. Wewnątrz nikogo nie było. Zabójca zbiegł, a śledztwo toczyło się teraz w kwaterze głównej, gdziekolwiek by się znajdowała.

Wrócił do swojego pokoju, rozebrał się i położył do łóżka. W Anglii musiało być już rano. Nie chciało mu się spać, ale był piekielnie zmęczony.

Rozdział 22

WYDZIAŁ ZABÓJSTW POLICJI PROWADZIŁ ŚLEDZTWO NA SWÓJ SPOSÓB i nie uwzględniał w swoich planach talentów detektywistycznych Petera Diamonda. On zaś stwierdził, że bycie osobą postronną jest dla niego bardziej denerwujące niż dowodzenie patrolem tropiącym mordercę.

Rano, uświadomiwszy sobie, że nic nie jadł od czasu lotu z Londynu, wyszedł poszukać jakiejś kawiarni i znalazł Hungry Mac's na rogu Broadwayu i ulicy Sto Czternastej. Numer siódmy na karcie zawierał wszystko, co miała do zaoferowania kuchnia, i obiecywał to, co on uważał za solidne śniadanie. Zamówił podwójną porcję. Usiadł na jednym ze stołków przy kontuarze -

niezbyt wygodnym dla grubasa - by mieć przed sobą ekran telewizyjny. Firbank nie był hotelem, który wyposaża pokoje w odbiorniki telewizyjne, nie wiedział więc, czy nadano jakieś komunikaty o morderstwie i o uprowadzeniu Naomi. Ku jego irytacji, nadawano jakąś idiotyczną grę i dwóch klientów śledziło ją tak uważnie, jakby to była najważniejsza rozrywka w tygodniu.

Powinien się domyślić, że wszelkie informacje uzyska od mężczyzny, który przyjmował zamówienie.

- Na pewno zje pan dwa śniadania?

- Na pewno.

- Przyjezdny?

- Tak.

- Z Anglii?

- Tak.

- Gdzie się pan zatrzymał?

Diamond się zawahał. Osobiście nie doświadczył dotąd szybkiego przepytывania przez nowojorskiego kelnera, chociaż widział innych ludzi poddanych tej procedurze.

- W Firbanku.

- Tam, gdzie znaleziono martwą kobietę?

- Tak. - Próbował zażartować: - Klimatyzacja w każdym pokoju. Kierownictwo zaopatruje w ręczniki i nieboszczyków.

- Spotyka się ostatnio szaleńców - zauważył ogólnikowo mężczyzna i nie było całkiem jasne, czy nie miał na myśli Diamonda. - Facet spał w Firbanku ostatniej nocy. - Najwyraźniej miał

jednak na myśli właśnie jego.

W kawiarni było wielu klientów, ale nikt inny nie wydawał się zainteresowany, gdzie Diamond spędził noc.

Otrzymał talerz pełen bekonu, kielbasek i zapiekanki z ziemniaków wraz z czterema smażonymi jajami oraz tosty i kawę, a także jeszcze jeden smakowity kąsek w postaci zwięzłej informacji kelnera.

- Słyszałem, że znaleziono wóz, którego używał morderca.

Diamond uniósł widelec i nóż nad talerzem.

- Gdzie?

- Jacyś policjanci wyniuchali go w Chinatown.

- Nikogo w nim chyba nie było?

- No pewnie.

Pochłoniął podwójne śniadanie z szybkością, o której w Hungry Mac's mówiono przez następne tygodnie, i pomknął do komisariatu numer 26. Tam jego stanowcza mina doprowadziła go aż do sierżanta Steina z biura detektywów, tyczkowatego szpakowatego mężczyzny w wypłowiałej różowej koszuli i w czarnych dżinsach, który tego ranka był tu najstarszym rangą detektywem zorientowanym w tej sprawie.

- Pan jest tym brytyjskim policjantem - powiedział Stein tonem, z którego można było poznać, że ostrzeżono go przed Diamondem.

- Podobno znaleźliście wóz.

- Tak, znalazł go posterunkowy.

- W Chinatown. To gdzieś blisko Broadwayu?

- Można tak powiedzieć.

- Gdzie jest?

- Chinatown?

- Nie, buick.

- Odprawdzili go - powiedział sierżant Stein i po dłuższej pauzie dodał: - Do badania specjalistycznego.

- Kiedy go znaleziono?

- Oświadczenie wydamy później.

- Niech pan sobie daruje - powiedział Diamond, czując przyływ irytacji. - Nie przyszedłem tu z ciekawości.

- Właściwie po co pan tu jest?

- Jestem tu z powodu dziecka, które zaginęło wraz z mordercą. Czy to nie jest wystarczająco dobry powód dla nowojorskiej policji?

Stein pozostał niewzruszony.

- Muszę panu zadać pewne pytanie, proszę pana.

- Jakie?

- Dlaczego pan tak szczególnie interesuje się tym dzieckiem?

Diamond się sprężył.

- Do czego pan zmierza, sierżancie?

- Mamy na oku gości w średnim wieku, którzy się uganiają za małymi dziewczynkami.

Sierżant znalazł się o włos od ciosu w szczękę i wiedział o tym, gdyż Diamond przysunął się do niego tak blisko, że stanęli naprzeciwko siebie nos w nos, jak bokserzy śledzący się spod oka.

- To nie jest tylko obraźliwe, to także prowokacja - powiedział zduszonym głosem. - A jeśli zależy ci na twojej odznace, nie wciskaj nigdy takiego gówna oficerowi policji.

Nie pamiętał w tej chwili, że nie jest już oficerem policji. Zareagował tak, jakby nim był, musiałby się mocno namyślić, by sobie przypomnieć, że nim nie jest. Ale sierżant Stein nie mógł o tym wiedzieć.

Sierżant cofnął się, podnosząc prawą dłoń w indiańskim geście pokoju.

- Niech pan zapomni o tym, co powiedziałem. Dobrze? To była trudna noc.

- Dzisiejsza może być jeszcze cięższa - warknął Diamond. - No dobrze. O której znaleźli wóz?

- Około drugiej w nocy na Mulberry Street.

- Ktoś coś widział?

- Nic, nie znaleźliśmy żadnych świadków.

- Dokąd zabrano wóz?

- Do warsztatu przy Amsterdam Avenue.

- Da się tam dojść?

- Chce go pan zobaczyć? Może pan tam pojechać z naszym patrolem. Niech pan zaczeka, panie Diamond.

Kiwając wiele razy głową dla potwierdzenia nowo zrodzonej gotowości do współpracy, Stein z ulgą uwolnił się od Diamonda.

Jazda Amsterdam Avenue w towarzystwie żującego gumę policjanta pozwoliła Diamondowi rozważyć słowa Steina. Molestowanie dzieci zdarzało się zawsze, ostatnio jednak stało się wręcz nagminne. Czy wzrosła liczba jego przypadków, to już inna sprawa. Podobnie jak z gwałtami i innymi nadużyciami seksualnymi, statystyki należało widzieć w kontekście większej wykrywalności tego rodzaju przestępstw. W publicznej percepcji utrwaliło się, że lepiej, by mężczyzna niebędący ojcem lub nauczycielem nie był widywany sam na sam z dzieckiem.

Rozumiał tę potrzebę czujności, ale ubolewał nad faktem, że kilku zboczeńców czy żądnych sensacji reporterów mogło sprawić, że przyjaźń między mężczyzną a dzieckiem wydawała się już czymś nieprawdopodobnym, niemal niemożliwym.

Nie miał własnego dziecka, nie mógł spojrzeć na tę sprawę oczami ojca, ale czy ludzie bezdzietni, którzy lubią dzieci, są skazani na to, że będzie się ich traktować jako potencjalnych zboczeńców?

Garaż, gdzie przeprowadzano specjalistyczne badania pojazdów, nie przypominał lśniącego czystością warsztatu połączanego z laboratorium, jakiego spodziewał się Diamond. Był to

rozbudowany warsztat z kilkoma rampami i kanałami, obsługiwany przez młodych ludzi w brudnych kombinezonach. Buick stał zaparkowany na podjeździe i nikt się nim nic zajmował.

Wkrótce znalazł sympatycznego i przyjaźnie nastawionego „technika dowodowego”, którego chyba nikt nie uprzedził, że ma się wystrzegać kłopotliwego brytyjskiego gliny i który okazał się chętny do rozmowy.

- Ten buick? Zajmie mi przynajmniej tydzień. Na razie mogę powiedzieć, że chyba pół

Nowego Jorku jeździło tym wozem i używało go do uprawiania seksu i palenia. Chyba należał do zrzeszenia studentów.

- Dokonał pan już wstępnych prac?

- Zajrzałem do środka i usunąłem większość śmieci, żeby móc go zbadać.

- Co tam było?

- Wśród śmieci? Paczki po papierosach i niedopałki, papierki od cukierków, opakowania kanapek, chusteczki higieniczne, paczki prezerwatyw, rachunki za benzynę, alka-seltzer, guma do żucia, długopisy, kwity parkingowe, podpaski, pojemniki po jedzeniu na wynos... mam mówić dalej?

- Sporo tego - zauważył Diamond. - Wpakował pan to wszystko do worka?

- Spokojnie, człowieku. Wczoraj w nocy przyprowadzili cztery wozy.

- Mogę spojrzeć na śmieci? Wyznaczyli mnie do tej sprawy.

- Bardzo proszę.

Zaprowadził go na tyły garażu do obszernego pokoju, gdzie na długich stołach na kozłach leżały wymienione przed chwilą przedmioty. Ich obraz kontrastował z pierwszym wrażeniem dobrodusznej nieudolności, jakie odniósł. Każda rzecz miała nalepkę i oznaczenie numerem i miejscem, gdzie została znaleziona w samochodzie. Sądząc z pokwitowania za benzynę, z buicka nie wyrzucano śmieci przynajmniej od lutego. Ktoś zebrał je teraz w stertę i zsypał razem. Próbować w tym wszystkim znaleźć i zidentyfikować coś, co wyrzucił morderca pani Tanaka, byłoby iście diabelskim zadaniem.

- Sprawdził pan kufer?

- Jaki kufer?

Różnice językowe pogłębiały problemy.

- To miejsce, gdzie wkłada się rzeczy w tyle wozu.

- A! Bagażnik. Tak. Sprawdziliśmy.

- Po prostu nie widziałem na nalepkach żadnej wzmianki o kufrze. Teraz już wiem dlaczego.

- W porządku.

Pochylił się, by się przyjrzeć długopisom.

- Możecie chyba określić, czy były ostatnio używane. Dobrze, dobrze, nie mam zamiaru ich dotykać.

- A po czym mamy poznać?

- Jeżeli długopisu się nie używa przez jakiś czas, wysycha. Kiedy się chce coś zapisać, trzeba nim pocierać o powierzchnię, póki nie spłynie atrament.

Jego przyjaciel, „technik dowodowy”, wysłuchał pouczenia z większym skupieniem, niż na to zasługiwało.

- To prawda, ale nic znam żadnego testu, który by pozwolił stwierdzić, od jak dawna pióro nie było używane. To zależy od pewnych zmiennych, na przykład takich jak temperatura, w jakiej było przechowywane. Jezu! Człowieku, nie potrafimy dokładnie określić, jak długo leżały gdzieś zwłoki, i nie wiem, jak mogłoby się udać z długopisem.

- No cóż, jeśli atrament spływa łatwo, można się domyślać, że piórem pisano niedawno. -

Zachowywał się jak Sherlock Holmes, tylko na nikim nie robiło to wrażenia, a najmniej na nim samym. Daj sobie spokój z tym długopisem.

- Mogę przejrzeć pokwitowania?

- Oczywiście, tylko niech je pan trzyma spięte razem i używa pałeczki przy ich rozdzielaniu.

- Trudno sobie wyobrazić, że morderca zatrzymuje się gdzieś przy stacji benzynowej -

zauważył Diamond, biorąc do ręki plik kwitów. - Nie sądzę, żeby na którymś z rachunków były odciski jego palców.

- Możemy sprawdzić datę, to żaden problem - powiedział technik.

- Nie szukam daty - odparł Diamond. Działał teraz głównie pod wpływem impulsu, przeglądał

kwity, używając drewnianej pałeczki do przekładania kartek. Pióra nasunęły mu na myśl pewną możliwość.

- Myśli pan, że coś może być zapisane na odwrocie?

- Już pan to sprawdził?

- Nie miałem czasu. Czemu ktoś miałby to zrobić?

- Ta dziewczynka, którą porwano, uwielbia rysować.

- Sądzi pan, że mogła zostawić jakiś znak?

- To możliwe - powiedział Diamond. - Niestety - dodał, odkładając rachunki na stół - na żadnym z tych nie ma żadnego znaku.

Podobnie przejrzał kwity. Na nich także Naomi niczego nie narysowała. Mlasnął językiem ze zniechęceniem.

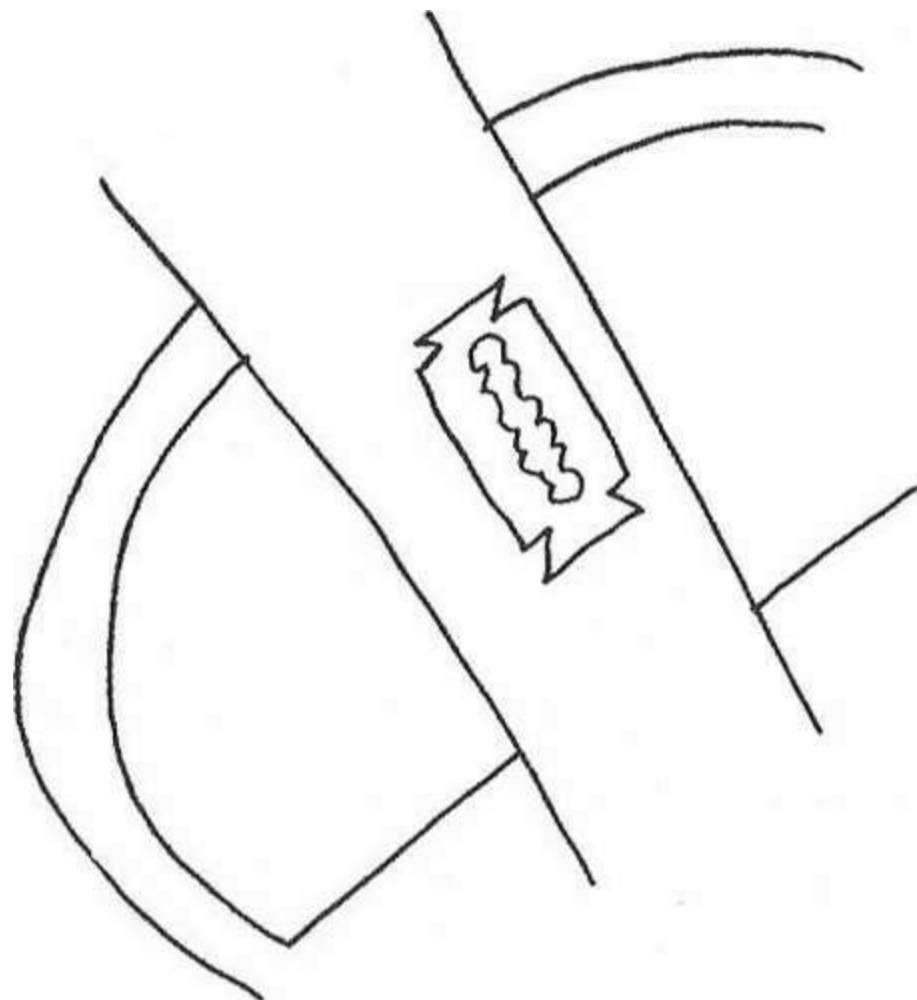
- Już pan wszystko zobaczył?

- Zatrzymuję pana?

- Nie, nie, wszystko w porządku.

- Chciałbym przejrzeć resztę materiału. Może pan wrócić do roboty, mogę obiecać, że na niczym nie zostawię odcisków swoich palców.

- To mi wystarczy.



Miło jest pozyskać czyjeś zaufanie.

Możliwość znalezienia czegokolwiek była niewielka, ale nawet gmeranie w kupie śmieci było lepsze od beczynności. Za pomocą drewnianych pałeczek przeglądał systematycznie przedmiot za przedmiotem, poszukując świeżych śladów. Była tam tubka z cukierkami miętowymi i przyszło mu do głowy, że może poczęstowano nimi Naomi, żeby ją uspokoić, ale były tak zakurzone, że musiano je rozpakować wiele miesięcy temu.

Nadal biorąc pod uwagę możliwość, że dano Naomi coś do jedzenia, by uciszyć jej protesty, zajął się pojemnikami na żywność. Sześć pudełek różnych kształtów z rozmaitych punktów szybkiego żywienia. Zalegał nad nimi kwaśno-słodki odór i Diamond wolał się nie zastanawiać, co załatywało kwasem, a co słodkością. Wolał także nie wyobrażać sobie, jaki smród musiał panować we wnętrzu buicka w ciepły dzień, kiedy na jakiś czas zamknięto okna.

Dwa pojemniki były wyraźnie świeższe, wyciągnął więc je ze stosu. Nie były polistyrenowe jak pozostałe, ale zrobiono je z cienkiego białego kartonu. Sądząc po tłustych plamach i cukrowych okruchach, musiały zawierać pączki.

Odwrócił jedno pudełko, by obejrzeć je od spodu. Stanowiło dobry materiał do rysowania. Ale ta powierzchnia była pusta. Dlaczego tak bardzo przywiązał się do myśli, że Naomi zostawiła jakiś rysunek - więcej, rysunek zawierający informację? Miał poczucie, że prowadzi go siła telepatii, jakby dziewczynka pragnęła, by odkrył to, co mu przekazała. Było to absolutnie nielogiczne, bo tylko z rzadka doświadczał przeczuc, które się spełniały, takich jak pewność, że spotka starego przyjaciela w obcym mieście.

Kiedy więc podniósł drugie pudło i zobaczył, że na spodzie pokrywki znajdują się uczynione piórem znaki, może przyspieszyło mu się tętno, ale nie wyrzucił rąk do góry z okrzykiem:

„Eureka!”

W komisariacie cierpliwie wyjaśniał sierżantowi Steinowi, jak bardzo Naomi lubiła rysować, zapewne po to by zrekompensować swoją niekomunikatywność wymuszoną przez niemotę.

- Przypuszcza pan, że to jej robota? - zapytał Stein.

- To nie. To moja kopia rysunku na pudełku. Zostawiłem je w warsztacie, razem ze wszystkimi rzeczami znalezionymi w wozie. Atrament jest ten sam co w długopisie znalezionym na podłodze obok przedniego siedzenia dla pasażera. Nie da się dowieść, że to rysunek Naomi, ale mogę stwierdzić, sądząc po stanie pudełka, że nie leżało ono długo w wozie. Morderca mógł się gdzieś zatrzymać, żeby ją nakarmić, a może po prostu znalazła pudełko w wozie i użyła go do zrobienia tego szkicu.

- Pan to nazywa szkicem? - powiedział Stein - Proszę mi tego nie brać za złe, ale dla mnie to wygląda raczej na jakieś bazgroły. Co to jest?

- Sam nie jestem pewien - przyznał Diamond. - Oryginał jest chyba dwa razy większy - dodał, kładąc swój notes na biurku.

- Pan naprawdę uważa, że ten rysunek coś przedstawia? - odezwał się Stein po chwili.

- Jeżeli zrobiła go Naomi, to tak. Ona ma własne spojrzenie na rzeczywistość, ale jej rysunki są dokładne.

- Czy to jakaś mapa?

- Bardzo możliwe.

- Jeśli ma to stanowić pomoc dla mnie, to musi być mapa - powiedział Stein. - Ale co tu mamy? Jakiś rodzaj estakady? Nie ma ich zbyt wiele w Nowym Jorku.

Diamond wpatrywał się w rysunek. Podobnie jak Stein widział szeroką drogę na grobli, ciągnącą się z południowego wschodu na północny zachód, najwyraźniej krzyżującą się z mniejszymi drogami. - Ale co oznacza ten prostokątny przedmiot?

- Chyba samochód.

- Widziany z lotu ptaka?

- Być może.

- A ten wydłużony kształt pośrodku?

Stein zastanawiał się przez chwilę.

- Mówi pan, że to dziecko ma swoiste spojrzenie na rzeczy. Może patrzymy na tego buicka od spodu. To by mogła być rura wydechowa.

- Od spodu? - Diamond nie przypuszczał, by dziecko w jej wieku mogło mieć taką wiedzę techniczną. Wątpił także, czy Naomi ma dostateczną zdolność rozumowania, by narysować mapę.

- Dziewczynka rysuje z pamięci to co widziała. W Anglii jechała pociągiem i później zrobiła dokładny szkic tyłu fotela, za którym siedziała.

- Czy to pomogło w pańskim dochodzeniu?

- Nie. Bezpośrednio nie.

Sierżant Stein uniósł brwi, jakby kwestionował wartość czasu spędzonego na odcyfrowywaniu dzieła Naomi.

- Ten przedmiot, o którym pan powiedział, że może być samochodem, mnie przypomina żyletkę starego typu.

- Uhm - mruknął Stein bez szczególnego przekonania.

- Także sprzed wynalezienia ostrza do jednorazowego użytku.

- Pamiętam je - powiedział Stein - ale jeżeli to jest żyletka, nie rozumiem reszty rysunku.

- Ja też.

- Muszę załatwić kilka spraw, ale potem wrócę.

Zostawiony sam z tajemnicą, Diamond odwrócił swój notes, żeby sprawdzić, czy może obrazek ustawiony inaczej nabierze jakiegoś sensu. Nie było żadnej pewności, czy to, co uważa za jego górę, jest naprawdę górą. Można dowolnie obracać pudełko. Nie wyłoniła się jednak żadna inna możliwość. Prostokąt, oglądany z każdej strony, nadal wyglądał jak żyletka. Teraz, kiedy dostrzegł ewentualność, nie mógł sobie wyobrazić, by mogło to być cokolwiek innego.

Około południa pojawił się porucznik Eastland, prowadzący śledztwo - ten sam, który porównał go do Kubusia Puchatka - i powiedział, że jest pewien postęp w ustaleniu tożsamości zmarłej.

Japońska policja sprawdziła w Jokohamie adres, zapisany w paszporcie. Pani Tanaka była rozwiedziona i mieszkała sama. Do listopada ubiegłego roku pracowała jako sekretarka na uniwersytecie jokohamskim.

- Sekretarka? To nie jest precyzyjne określenie - zauważył Diamond. - Może to oznaczać zarówno pracownika administracji z dużymi kompetencjami, jak i zwykłą maszynistkę.

- Napisano, że pracowała w pionie naukowym jako członek zespołu przetwarzania danych - powiedział mu Eastland. - Co do dziecka...

- Poruczniku - przerwał Diamond - jest coś, co powinien pan wiedzieć o dziecku. - Był

zakłopotany, ale musiał się przyznać. - Jestem całkowicie pewien, że Naomi nie jest dzieckiem pani Tanaka. Córnka pani Tanaka nie żyje. Znalazłem... znalazłem zdjęcie jej grobu. To było dziecko zapisane w jej paszporcie. - Wyciągnął zdjęcie z kieszeni, przygotowany na to, że zostanie rozerwany na strzępy. Ukrywanie dowodów nie jest najlepszym sposobem na zdobywanie przyjaciół i zwolenników.

- Skąd pan to ma? - padło nieuniknione pytanie.

Wyjaśnił i przeprosił.

- Czemu pan mi to teraz pokazuje? - zapytał Eastland, nie okazując żadnej innej reakcji. Był to mizernie wyglądający mężczyzna pod czterdziestkę, z mocno zaciśniętymi wargami i o wyważonym sposobie mówienia.

- To może mieć wpływ na całą sprawę.

- Wiedział pan o tym wczoraj wieczorem.
- Obejrzałem zdjęcie dopiero potem, kiedy skończyliście mnie przesłuchiwać.
- Nie można było wziąć tego więcej, co?
- To nie dlatego.
- A dlaczego?
- Chodziło mi o priorytety. Chciałem po prostu je utrzymać. Pierwszą rzeczą było puszczenie w ruch maszyny poszukiwania, by znaleźć Naomi, obojętne, kim jest.
- Wyjął pan coś jeszcze z tego portfela?
- Nie.
- Mogę na tym polegać?
- Absolutnie.
- Czy pan wie, kim pan jest?
- Wiem, co pan sądzi o tym, kim jestem.
- A zatem rozumiemy się wzajemnie - powiedział Eastland beznamiętnie. - A teraz, czy byłby pan tak uprzejmy pokazać mi ten rysunek, który omawialiście z sierżantem Steinem?

Sarkazm tego pytania był aż nadto jaskrawy, ale było w nim przynajmniej uznanie wysiłku, jaki Diamond włożył w sprawę.

Znowu otworzył notes. Żeby niczego nie sugerować porucznikowi, nie wspomniał nic o żyletce.

- Sądzi pan, że to narysowało to dziecko?

Diamond znowu wyjaśnił, że zrobił kopię rysunku.

Eastland przez jakiś czas wpatrywał się w rysunek ze ściągniętymi brwiami.

- A jakie jest pańskie zdanie? - zapytał w końcu.
- Przypuszczam, że ten mały przedmiot to żyletka.
- Być może. W takim razie co stoi na... półce? Czy jesteśmy w łazience? Czy te półkoliste odcinki przedstawiają umywalkę?
- Nie pomyślałem o tym.

- Łazienka połączona z pokojem mordercy ma podobną umywalkę, ale półka jest pod całkiem innym kątem. Nic widziałem nigdy łazienkowej półki zawieszanej w poprzek miski. Chociaż oczywiście, dzieci rysują rzeczy z dziwnych kątów widzenia.

- Musiałaby być wyższa ode mnie i od pana, żeby móc spojrzeć z góry na półkę - skomentował Diamond.

- Mówiłem, że dzieci widzą rzeczy inaczej.

- Ale ona wiernie odtwarza rzeczywistość.

- I pan uważa, że ten rysunek ma znaczenie?

- Jeśli się nie ma wiele więcej, by posunąć naprzód... - powiedział Diamond słabym głosem, kiedy zaświtała mu nowa możliwość.

- Nawet jeżeli to jest rysunek tamtej łazienki - mówił Eastland - i nawet jeżeli to jest żyletka, chociaż ich tam nie widziałem, to dokąd nas to doprowadzi?

Ale znaki nagle nabrały sensu dla Diamonda. Coś zaskoczyło w mózgu.

- To jest tatuaż!

- Co?

- Żyletka jest wytatuowana. Niech pan spojrzy jeszcze raz. To, co pan wziął za półkę, to najwyraźniej ramię oparte na kierownicy. Ona rysuje to, co widzi przed sobą. Myślę, że to ramię podejrzanego. Taki widok miała przed sobą Naomi, jeśli była przypięta do przedniego siedzenia, obok kierowcy.

Eastland spojrział na rysunek.

- Może pan mieć rację.

Rozdział 23

JEDEN ZE STARSZYCH POLICJANTÓW, przewijających się przez biuro, pamiętał tatuaż w kształcie żyletki.

Pod koniec lat siedemdziesiątych był to symbol bandy nastolatków, jednego z odłamów subkultury punk- rocka, wywołującej burdy na obrzeżach Brooklynu. W 1978 roku banda liczyła około czterdziestu członków. W latach osiemdziesiątych wyparły ją inne gangi.

- Przechowujecie zapewne zapisy tatuaży znanych przestępców? - zapytał Diamond.

- Są w komputerze.

Sprawdzili. Spisanych było jedenastu mężczyzn mających na jednym lub drugim ramieniu wytatuowaną żyłkę. Nie wszyscy byli członkami brooklyńskiego gangu. Niektórym chyba po prostu podobał się wzór, jeden z nich wytatuował sobie cały łańcuch żyłek biegnący od wierzchu jednej dłoni w górę po ramieniu, poprzez barki i w dół do drugiej dłoni.

Komputer dostarczył szczegółów biografii o każdym z nich. Opis trzech członków brooklyńskiego gangu był obiecująco bliski obrazu, jaki Diamond zachował o Skórzanej Kurtce.

Poprosił o policyjne zdjęcia. Wymagało to przejścia do archiwum, do innego budynku w tym samym zespole gmachów. Kiedy tam doszli, rozłożone teczki czekały już na stole. Diamond czuł przyspieszone bicie serca.

Rysunek Naomi się opłacił.

Na jednym ze zdjęć był Skórzana Kurtka. Bez wątpliwości. Surowa, wąska twarz, oczy, profil Charltona Hestona.

- To on.

- Lundin? Nieprzyjemny gość.

Facet nazywał się Fredrik Anders Lundin. Wiek: trzydzieści dwa lata. Młodociany przestępca.

Potem dwukrotnie skazany za rozbój z bronią w rękę. Między tymi dwoma wyrokami był jeszcze jeden, za morderstwo, ale został uchylony na skutek apelacji. Była też informacja, że po odsiedzeniu trzech lat za drugi rozbój Lundin zaoferował swoje usługi zawodowemu mordercy.

Obecnie pozostawał pod nadzorem policyjnym (tak stwierdzały dokumenty), zapewne w przewidywaniu, że uda się go zamknąć na dłużej, zamiast wymierzać mu ostrzegawczy wyrok z oskarżenia o złe zamiary.

- To znaczy, że macie go na oku.

- Jest pan na sto procent pewny, że to ten facet? - zapytał porucznik Eastland, jak zwykle cedząc słowa.

- Absolutnie.

- Widział go pan, jak spotyka się z panią Tanaka i dzieckiem na parkingu przy lotnisku?

- Poruczniku, byłem tak blisko niego, jak teraz pana.

- Dobra. Zatrzymamy go.

-Jak?

Eastland wzruszył ramionami, jakby chcąc powiedzieć, że brytyjscy policjanci to tępaki.

- Od tego są patrole.

- Ale to nie jest zwykłe zatrzymanie - przypomniał mu Diamond. - Ten człowiek to morderca.

I uprowadził dziecko. Bezpieczeństwo dziewczynki jest najważniejsze. Wyśle pan dwóch policjantów i ci ludzie mogą zacząć strzelać.

- No to co pan proponuje? Obserwację?

- Według akt już jest pod nadzorem.

- Niech pan nie wierzy we wszystko, co jest zapisane - ostrzegł go Eastland. - Nadzór może oznaczać, że mamy faceta, który widzi, jak Lundin gra w bilard parę razy w tygodniu.

Diamond nie był pewien, w jakiej mierze ta niefrasobliwa postawa była efektem próby odizolowania się nowojorskiego detektywa od niebezpieczeństwa panującego na ulicach. Mówił

więc poważnie i nie zdawał niczego na przypadek.

- Poruczniku, pyta mnie pan o radę. Uważani, że konieczna jest nadzwyczajna ostrożność. Nie powinien pan próbować zaarrestować go w pokoju, gdzie trzyma Naomi. To by ją naraziło na prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Jestem panu głęboko zobowiązany, panie Diamond - powiedział Eastland, naśladowując angielski akcent niemal tak dobrze jak Dick Van Dyke w *Mary Poppins*. - Wybierzmy się na miłą przejażdżkę do Queens, gdzie rezyduje ten dżentelmen, i bądźmy delikatni. Zakładam, że zechce pan do nas dołączyć.

Diamonda nie ubawił ten sarkazm, ale przyjął zaproszenie sierżanta Steina, by pojechać jego wozem. Kiedy wyłonili się ze śródmiejskiego tunelu, zaczynało się zmierzchać, zapaliły się niektóre latarnie.

- Ma pan przy sobie jakąś broń? - zapytał Stein.

- Nie.

- Czy to słuszne, że angielscy policjanci chodzą nieuzbrojeni?

- Na ogół tak.

- Nigdy jej pan nie potrzebował?

- Jak dotąd nigdy. - Mógł też dodać, że zawsze był niezgrabiaszem i że broń w jego posiadaniu mogłaby niespodziewanie wypalić, na przykład teraz od wstrząsów, jakich doznawał. Jego siedzenie nie miało najwyraźniej żadnych sprężyn.

- Ja już pięć razy bym zginął bez swojego automatu - oznajmił Stein.

Dzielnica, w którą wjeżdżali, nie była ani najlepsza w Queens, ani też najgorsza.

Czynszowe kamienice z przełomu wieków były zapewne eleganckie, kiedy je budowano. Na schodach przeciwpożarowych wciąż zalegały pozostałości ciepłego popołudnia, które właśnie miało się ku końcowi: leżaki, rośliny w doniczkach, pościel, puszki piwa, pudełka z chińszczyzną.

Na rogu ulicy zatrzymał ich policjant.

- Nic możecie tędy przejechać. Podejrzany ma widok na ulicę.

- Po której stronie jest jego mieszkanie? - zapytał Stein.

- Po prawej.

- Ktoś już go widział?

- Nie. Ale światło jest zapalone.

- Możemy mieć szczęście.

Wysiedli i dołączyli do porucznika Eastlanda i dwóch innych policjantów, którzy podeszli z tyłu. Trzeci wóz z umundurowanymi funkcjonariuszami nadjechał z innego kierunku. Eastland użył nadajnika radiowego, by nawiązać kontakt z tymi, którzy zajęli pozycje bliżej mieszkania. Potem wydał rozkazy. Diamond nabrał do niego przekonania.

- Mamy dobrą współpracę z ludźmi z sąsiednich mieszkań - powiedział Eastland Diamondowi.

- Widzieli dziecko?

- Niestety nie.

- Może słyszeli jego głos?

- Jak dotąd nikt o niczym takim nie wspomniał.

- Może ściany są za grube.

- Może.

- Jaki macie plan?

- Musimy czekać - odparł Eastland. - Jeśli nam dobrze pójdzie, za godzinę wyjdzie z domu, żeby coś zjeść, a wtedy go złapiemy. Chce pan podejść bliżej?

- Czemu nie?

Polecił Steinowi, żeby mu towarzyszył. Jak dwaj mieszkańcy wyprowadzający na spacer niewidzialne psy, kroczyli chodnikiem w kierunku kamienicy oznaczonej numerem 224, gdzie światło w oknach pierwszego piętra było obiecującym świadectwem, że Fredrik Lundin jest w domu. Weneckie żaluzje odbierały wszelką możliwość wyglądania na zewnątrz, ale i tak nie byłoby roztropnie zatrzymywać się pod nimi. Szparka grubości palca między listwami pozwoliłaby obserwować ulicę.

Doszli do końca bloku, zanim się zatrzymali. Stein poczęstował Diamonda papierosem.

Diamond pomyślał, że miał już nie palić.

Zatrzeszczał radioodbiornik Steina. Głos Eastlanda pytał:

- Widzicie coś?

- Światło w oknie. "Żaluzje. Na parterze jest ciemno, chyba nikt tam nie mieszka. Drzwi wejściowe wyglądają na łatwe do sforsowania. Czy mamy wchodzić?"

- Jeszcze nie.

-

Problem w tym - wyznał Stein, kiedy wyłączył radio - że jeśli Lundin nabierze podejrzeń, będziemy musieli przystąpić do oblężenia.

Choć zmrok szybko zapadał, Diamond był gotów podjąć ryzyko.

-

Do oblężenia potrzeba znacznych sił - wyjaśnił Stein. - Nie powinniśmy do tego dopuścić.

O trzy papierosy później radio znów przerwało ciszę.

-

Nie możemy czekać przez całą noc - oświadczył Eastland. - Pan i Diamond wejdźcie od frontu i zajmijcie mieszkanie na parterze. Bądźcie gotowi ruszyć na górę, gdy tylko podejrzany zostanie wypłoszony i oddzielony od dziecka. Odebrano?

-

Odebrano, poruczniku - potwierdził Stein.

Diamond miał ochotę wyrwać mu radio i wymusić na Eastlandzie, by nie prowokował strzelaniny, ale rozum powiedział mu, że nic by nie wskórał. Była to akcja Eastlanda i na oczach swoich ludzi nie będzie odbierał instrukcji od detektywa z zagranicy. Dobrze, że Eastland wspomniał, iż ma zamiar rozdzielić Lundina i Naomi.

Razem ze Steinem powrócili ulicą do domu 224. Było już ciemniej i front kamienicy nie był dobrze oświetlony. Ledwie mogli dostrzec wejście. Stein sięgnął pod marynarkę, najwyraźniej po to, by wyczuć rękojeść broni, bez której nie mógł się obejść. Skinął na Diamonda, by spróbował otworzyć. Drzwi ustąpiły.

Z góry nie dobiegał żaden dźwięk. Znaleźli się w obszernej sieni na wprost schodów, na prawo były drzwi do mieszkania, w którym mieli zająć pozycję. Diamond chwycił za klamkę. Byłoby zbyt pięknie, żeby i te drzwi stały otworem. I oczywiście były dokładnie zamknięte. Porządny kopniak zapewne załatwiłby sprawę, ale wiązało się to z ryzykiem postawienia na nogi całej kamienicy. Na szczęście sierżant Stein przygotował się na taką ewentualność, mając przy sobie plastikowy pasek, znany włamywaczom i policjantom jako niezbędna pomoc w otwieraniu zamków. Posłużył się nim pewnie i weszli do środka.

Wionęło na nich ciepłe powietrze, przesycone wonią tanich perfum i ludzkiego ciała. Jak w burdelu, pomyślał Diamond, a myśl ta znalazła potwierdzenie, gdy usłyszał kobiecy głos szepczący sennie, ale bez strachu:

-

Kto tam? Która godzina?

Skrzypnęła sofa i ktoś się poruszył. Kobieta, która na niej leżała, zapytała:

-

Czy jesteś jeden, czy jest was dwóch? - Wstała i podeszła niepewnym krokiem do stołowej lampy. - Nie przyjmuję dwóch, razem nie. Przykro mi, chłopcy. Jeden musi poczekać.

Położyła rękę na lampie.

-

Zostaw to - powiedział Stein scenicznym szeptem.

-

Co, u kurwy... - zaczęła i wtedy Diamond szybko podeszedł do niej i zatkał jej dłonią usta.

Szamotała się i musiał chwycić ją wpół. Wyślizgiwała mu się, bo pod jedwabną narzutką była najwyraźniej naga.

-

Wszystko w porządku, jesteśmy oficerami policji - rzucił szorstko, co nie było przesłaniem zdolnym uspokoić damę jej profesji, ale stanowiło pierwszą rzecz, jaka przyszła mu na myśl.

-
Tylko piśnij, a przymkniemy cię. - Stein był znacznie bardziej brutalny. - Przyszliśmy po gościa z góry. Znasz go?

Diamond rozluźnił uchwyt.

-
Pan ma na myśli Fredrika? - powiedziała znowu zbyt głośno.

Obaj psyknęli, uciszając ją.

-
Co takiego zrobił? - szepnęła tym razem cicho.

-
Czy jest z nim dziecko? - zapytał Stein.

-
Dziecko?

-
Dziewczynka.

Zawahała się.

-
To znaczy, co, nieletnia?

-
Mała dziewczynka, dziecko, tej wysokości, Japonka.

Wydawała się naprawdę wstrząśnięta.

-
Fredrik? Nigdy nie brał do pracy dzieci. Jestem pewna, że nigdy nie wysyłał dzieci na ulicę.

Nie pracowałabym z facetem, który wysyła tam dzieci.

Diamond na pozór wydawał się spokojny i nic nie mówił. Ale czuł jak serce bije mu jak młotem.

Zaschło mu w ustach. Do tej chwili nie pomyślał, że motywem uprowadzenia Naomi może być dziecięca prostytutka. Teraz musiał się zmierzyć i z tą obrzydliwą możliwością. Najwyraźniej Lundin czerpał dochody ze stręczycielstwa. Dałby Bóg, żeby kobieta miała rację, że nie parał się zmuszaniem dzieci do seksu.

-

Słyszałaś jakieś odgłosy z góry? - zapytał Stein.

Pokręciła głową.

-

Absolutnie nic?

-

Nie słyszałam, żeby ktoś coś mówił.

-

Ale mogłaś słyszeć, jak się poruszają.

-

No tak. To czasem słyszę.

-

A wczoraj?

-

Chyba tak.

-

Było ich więcej?

-

Nie umiem powiedzieć.

-

Czy od wczoraj rozmawiałaś z Lundinem?

-

Nie.

-

Myślisz, że jest teraz w domu?

-

Skąd mam to wiedzieć? Spałam, kiedyście się pojawili. Ktoś wam dał klucz?

-

Czemu nie pójdziesz znowu spać? - zaproponował Stein, niezbyt uprzejmym tonem.

Nawiązali radiową łączność z Eastlandem i poinformowali go o sytuacji.

-

W porządku - przyszła instrukcja. - Zostańcie tam, gdzie jesteście. Przyślijcie tu do nas tę królową nocy. Może nam pomóc.

-

Słyszałaś? - zapytał Stein kobietę, która układała się już na sofie. - Ubieraj się. Szybko.

-

Halo, Stein - zabrzmiał głos w radiu.

-

Tak, poruczniku?

-

Kiedy Lundin wyjdzie, zostawcie go nam. Idźcie prosto na górę i szukajcie dziecka.

Lamentując po pierwsze, że nie chce wcale pomagać policji, po drugie, że nie wie, co ma na siebie włożyć, kobieta kręciła się po mieszkaniu, wybierając poszczególne sztuki ubrania. Diamond nie zwracał na nią uwagi. Wciąż nogi się pod nim uginały od tego, co usłyszał. Przez chwilę gotów był

domagać się od policji, by obeszła się łagodnie z Lundinem, gdyby był gotów do udzielenia informacji. Teraz, jeśli ten groteskowy scenariusz okaże się prawdziwy, będą musieli go powstrzymać, by sam nie przyłożył sukinsynowi.

-

Czego jeszcze szukasz?

-
Mojej twarzy.

-
Czego?

-
Torebki ze szminką do ust i z innym kosmetykami. Gdzieś tu była.

-
Nie wierzę własnym uszom! Zabieraj tyłek i wynoś się! Wyszła.

Eastland chciał jej użyć na przynętę. Istniało więcej szans na to, że Lundin otworzy drzwi kobiecie, z którą pracował, niż nowojorskiej policji.

Nad ich głowami zatrzeszczały deski podłogi. Ktoś na pewno tam był. Stein natychmiast przekazał wiadomość porucznikowi. Dotąd operacja przebiegała bez zarzutu. Od frontu i z tyłu policjanci czekali na rozkaz.

Diamond także czekał, usiłując się skupić na zadaniu, które miał wykonać ze Steinem. Musiał wierzyć w to, że w mieszkaniu na górze znajdzie żywą i zdrową Naomi. Wciąż miał w pamięci małą rączkę, czuł jej dotyk w swojej dłoni. Zazwyczaj zapamiętywał spojrzenia. Mógł przywołać obraz jej oczu, ale z powodu choroby nie były one zbyt wymowne. Za to wciąż wzruszało go wspomnienie jej dotyku.

Zajęli ze Steinem pozycję przy uchylonych drzwiach, mając widok na wejściowy hol. Wiedzieli, że cała akcja zajmie jakiś czas, zanim wszystko się uspokoi, i czekali niemal dwadzieścia minut na kolejne wydarzenia.

W końcu rozległ się odgłos otwierania drzwi i kroki w holu. prostytutka minęła drzwi mieszkania na parterze i zaczęła wchodzić po schodach, stukając wysokimi obcasami, znakiem swojego zawodu, o drewniane stopnie.

Stein wyciągnął broń.

Dwie cieniste postacie przemknęły przez hol tuż za kobietą. Były bezszelestne.

Odwróciła się na podeście i zaczęła wchodzić na drugi odcinek schodów. Obstawa szła w ślad za nią.

Na dole w holu kilku policjantów wśliznęło się przez wąską szparę w drzwiach wejściowych.

Kobiety nie było już widać, ale dźwięk dzwonka do drzwi Lundina rozległ się głośno i wyraźnie, tak jak i jej głos.

- Fredrik, to tylko ja, Dixie.

Diamond usłyszał kroki przemierzające pokój nad jego głową, ale nie słyszał, by drzwi wejściowe się otwierały. Zapewne Lundin patrzył przez wizjer.

Dzwonek rozległ się po raz drugi.

Obaj uzbrojeni ludzie przywarli ciasno do ściany po obu stronach drzwi.

-

Fredrik, jesteś tam?

Coś zachrobotало, jakby zamek się otwierał.

-

Cześć, Fredrik - odezwał się znów kobiecy głos. - Mógłbyś na chwilę zejść na dół?

-

Kurwa, czego ode mnie chcesz?

-

Mam kłopot z klientem. Proszę...

-

Jaki kłopot?

-

No... nie chce wyjść.

-

Jak to nie chce?

Wyjdź, wyjdź, przynaglał go w duchu Diamond. Tylko jeden krok za drzwi.

-

Mówiłam ci. Nie chce.

-
Nie chce wyjść od ciebie? Dostał swoje i nie chce wyjść?

-
Nie umiem go zmusić.

-
Kto to jest?

-
Jakiś facet. Nie znam go. Jeśli nie wyjdzie, nie mogę pracować.

-
Dobra, wracaj. Zajmę się tym.

Drzwi zamknęły się.

Diamond z rozpaczy klepnął się w głowę.

Dixie zeszła ze schodów znacznie szybciej, niż na nie wchodziła. Przepchnęła się między Steinem a Diamondem.

-
Robię to wszystko dla was, chłopaki - powiedziała. - Nic sknoćcie czego, bo będzie po mnie.

-
Zamknij się - mruknął Stein. Widać pomoc policji nie zyskuje wielkiego uznania.

Oczekiwanie wydawało się tym razem dłuższe, choć nie trwało nawet pięciu minut.

Kroki na górze przemierzyły pokój i dało się słyszeć, jak Lundin otwiera drzwi. Tym razem na pewno wyszedł na podest, bo rozległ się krzyk:

-
Stać! Policja!

Lundin nierozważnie postanowił nie posłuchać policji. Słysząc było, jak rzuca się na schody.

Musiał przeskakiwać po dwa lub trzy stopnie, kiedy rozległ się strzał, a po nim dwa następne.

Okrzyk bólu zagłuszył łoskot ciała padającego na schody i staczającego się z nich w dół.

-

Dostali go - powiedział sierżant Stein. Podczas strzelaniny w holu wyglądał przez szparę, sprawdzając, czy można już bezpiecznie przejść obok rannego. - Chodźmy.

Obok schodów leżał mężczyzna w białej trykotowej koszulce i czarnych dżinsach. Stał nad nim policjant. Stein przebiegł obok niego i wskoczył na schody, tuż za nim Diamond. Drzwi do mieszkania Lundina były otwarte. Po długim oczekiwaniu w ciemnościach oślepiło ich bijące z wewnątrz światło. W mieszkaniu były meble z brązowej skóry, beżowe elementy urządzenia i chiński dywan. Wystroju dopełniały olbrzymie rośliny w doniczkach i kilka abstrakcyjnych rzeźb z brązu.

Ale nie było żadnej małej dziewczynki.

Diamond sprawdził inne pomieszczenia - sypialnię, kuchnię i łazienkę. Ściągnął pościel, pootwierał na oścież szafy, z ponurym lękiem zajrzał do wanny.

Nie było jej.

Wrócił do salonu, poszukując miejsc, które mógł pominąć.

-

Panie Diamond! - Stein poszedł za nim do łazienki i został w niej.

Diamond zastał go klęczącego przed toaletą.

-

Czy to może być to dziecko?

Pytanie to napełniło Diamonda przerażeniem.

-

Zawsze zaglądam do kibla - wyjaśnił sierżant. Kiedy wpadają w panikę, próbują się czegoś pozbyć. - Trzymał w rękach podarte kawałki fotografii.

Diamond rozłożył je na podłodze. Było ich razem siedem i tworzyły niekompletny, ale rozpoznawalny obraz.

-

Tak - powiedział. - To ona.

Rozdział 24

Diamond zrobił się natarczywy.

-

Pominąwszy wszystko inne, chyba się pan tam nic zmieści - powiedział Eastland. - Stein może pana zawieźć wygodnie do szpitala.

-

Pojadę ambulansem - upierał się Diamond. Już postawił stopę na stopniu i wystarczyło tylko trochę się dźwignąć, by wejść do środka. Przydałaby się mu pomocna ręka, bo był to wysoki stopień jak na tęgiego mężczyznę.

-

Z tyłu pojedzie sanitariusz i jeden z policjantów.

-

Niech policjant siądzie z przodu - powiedział Diamond. - Będę miał oko na więźnia.

Przecież nie ucieknie z dwiema kulami w nogach.

-

Może go pan przepytac w szpitalu.

-

Chcę uzyskać odpowiedź teraz, poruczniku. Zmarnowaliście za dużo czasu.

Ta wypowiedź dotknęła Eastlanda do żywego.

-

My zmarnowaliśmy czas? To pan chciał, żeby to wszystko się odbyło jak przyjęcie w Dniu Dziękczynienia. Łagodne podejście! Martwił się pan o dziecko. Pamięta pan?

-

Tak jest. I nadal się o nią martwię. - Pochylił się do wnętrza ambulansu i chwycił za nosze, by podciągnąć się do środka. Konsekwencje tego wyczynu mogły być zgubne, bo nosze były na kółkach i zaczęły się staczać. Diamond miał jednak dość rozmachu, by się wspiąć i uchronić siebie i nieszczęsnego Lundina przed wylądowaniem na jezdni. Potem zasiadł na pustym miejscu obok sanitariusza. Dla człowieka jego pokroju czyny były zawsze bardziej przekonujące niż argumenty. -

Do zobaczenia, poruczniku.

Eastland obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

-

Jeżeli jest pan typowym Anglikiem, to wcale się nie dziwię, że co dzień leje tam deszcz. -

Skinął na kierowcę, by zamknął drzwi.

-

Jak długo to nam zajmie? - zapytał Diamond siedzącego obok młodego człowieka tak układnie, jakby nic nie zostało powiedziane.

-

Ma pan na myśli drogę do szpitala? Sześć, siedem minut.

-

W porządku. - Pochylił się nad noszami, by lepiej widzieć twarz więźnia.

-

Uwaga na jego nogę - ostrzegł sanitariusz.

-

Uwaga na moją nogę - powiedział Lundin z jeszcze większym przekonaniem. Dostał zastrzyk znieczulający, ale dłoń rozpostarta nad zranioną kończyną mogła oznaczać ból.

-

Mniejsza o jego nogę - powiedział Diamond. - Niech mi pan pokaże jego ramię. Prawe.

Sanitariusz ściągnął z Lundina prześcieradło. Na prawym ramieniu widniała wytatuowana żyłtka.

-

Jeżeli myślisz, że się szprycuję, to jesteś w błędzie - oznajmił Lundin.

-

Daleko nie zajdziesz z takim gadaniem - powiedział Diamond.

-

Chcę się dowiedzieć wszystkiego o dziecku. Gdzie ona jest?

-

Żądam adwokata.

Stara śpiewka, pomyślał Diamond.

-

Wiesz co, Lundin? Nikt nie lubi zboczeńców, którzy się zabawiają z małymi dziewczynkami. Przydarzają się im dziwne wypadki w więzieniu.

-

Małe dziewczynki? O czym pan mówi ?

-

Nie wciskaj mi tu kitu. Widziałem, jak ją zabierałeś z lotniska. Razem z jej matką.

-

A, to pan - pojął w końcu Lundin.

Diamond był nieco dotknięty tym, że Lundin nie rozpoznał go natychmiast. Kiedy ktoś go raz zobaczył, rzadko go zapominał. Co prawda Lundin miał ograniczone pole widzenia ze swoich noszy. W każdym razie przeszli już chyba do porządku nad koniecznością sprowadzenia natychmiast adwokata.

-

Tak jest. No to już się znamy. Jestem tym, którego zdzieliłeś wózkami, a ty molestujesz dzieci.

-

To łgarstwo!-

-

Przewróciłeś mnie bagażowym wózkiem.

-

To co innego. Ale nie jestem zboczeńcem.

-

Pracujesz dla kogoś, kto nim jest... I powiesz mi, kim jest ten ktoś.

-

Nic nie powiem.

-

To haniebne dostarczać dzieci takim ludziom.

-

Gówna prawda.

-

Nie narażaj mi się, Lundin.

-

Co? Precz od mojej nogi!

-

Gdzie jest dziecko? Co nią zrobiłeś?

-

Nie muszę z tobą gadać. Kim ty jesteś? - zapytał Lundin.

-

Człowiekiem, który ma problem z nadwagą - odparł Diamond, splatając ostentacyjnie ramiona i przysuwając się do zranionej nogi.

-

Czasem muszę się podeprzeć.

-

Sukinsyn! Precz ode mnie! Słyszysz?

-

No to nie podskakuj! Gdzie ona jest?

-

Dziecko?

-

Tak.

-

Wszystko w porządku. To nie to, o czym mówisz.

-

Z jej matką nic nie jest w porządku. Czy zabiłeś też dziecko?

-

Mówię ci, że nie. Nie!

-

Żyje?

-

Tak.

-

To gdzie mogę ją znaleźć?

Milczenie.

-

Gdzie ją mogę znaleźć, Lundin?

-

Wynoś się! Oddałem ją. Umowa była, że mam ją przekazać.

-

Komu?

-

Nie mogę powiedzieć. Nie wiem.

-
Zależy ci na tym dziecku? - spytał Diamond.

-
O czym mówisz?

-
Wiem, że to bez sensu pytać płatnego mordercę, czy mu zależy na dziecku. Ale wyrażę to w ten sposób: staniesz przed sądem oskarżony o zabicie pani Tanaka. Jeśli dziecko też nie żyje, zostaniesz oskarżony o drugie morderstwo.

-
Jest zdrowa i cała.

-
Skąd wiesz? Ten ktoś, komu ją oddałeś, mógł ją już zabić.

-
Nie sędzę.

-
Wynajęli cię, żebyś zabił matkę. Czemu mieliby się powstrzymać przed zabiciem dziecka?

Wahał się przez chwilę, a potem znów zapytał:

-
Kim pan jest?

-
Nazywam się Diamond.

-
Jest pan gliną?

-
Nie, nie jestem. - Niekiedy szczerłość bywa wynagrodzona prawdą. Warto spróbować. -

Jestem osobą prywatną. Przyleciałem tu z Anglii z powodu tego dziecka. Naomi została nielegalnie zabrana z domu opieki nad dziećmi i bardzo zależy mi na tym, żeby się dowiedzieć, co się z nią dzieje.

-

Nie jest pan policjantem?

-

Nie, już mówiłem.

-

I nie nagrywa pan tej rozmowy?

-

Nie.

Po chwili milczenia Lundin zdobył się na tyle zaufania, by powiedzieć:

-

Umowa była na kobietę, nie na dziecko.

-

Wynajęto cię, żeby zabić tę kobietę?

Diamond zorientował się już, że powinien unikać tego wątku. Nie wnosił nic nowego i wyrwał Lundina ze wstrząsu.

-

Nic nie powiedziałem. Nie muszę z panem rozmawiać.

-

Kto cię wynajął?

Milczenie.

-

Powiedziałeś, że przekazałeś dziecko. Kiedy to było? - zapytał Diamond podstępnie.

-
Wczoraj wieczorem - mruknął ponuro Lundin.

-
Ale przedtem musiałeś się porozumieć.

-
Nie muszę odpowiadać na te głupie... - zaczął Lundin i przerwał, widząc, że Diamond rozplata ramiona. - Powiedzieli mi, żebym przywiózł dziewczynkę do Trump Tower i zostawił ją w windzie na drugim piętrze o dziewiątej wieczorem.

-
Miałeś ją komuś przekazać?

-
Nie, tylko zostawić.

-
I tak zrobiłeś?

-
Chyba ktoś na nią czekał.

-
Widziałeś go?

-
W tej grze nie lubi się nikogo widzieć.

-
Jak przekazywano polecenia?

-
Przez telefon.

-

Mężczyzna czy kobieta?

-

Chyba mężczyzna.

To wszystko prowadziło donikąd. Fredrik Lundin nie wiedział, gdzie jest Naomi ani kto ją u siebie trzyma. Zostanie oskarżony o morderstwo pani Tanaka, ale ludzie, którzy go wynajęli, mogli być pewni, że nie potrafi wskazać ich policji. Zatarli wszelkie ślady.

-

Wróćmy do pierwszego polecenia, jakie otrzymałeś. Kto nawiązał kontakt?

-

Nie wiem. Odebrałem telefon.

Lundin z nikim się nie spotkał. Głos powiedział mu, co ma robić i gdzie ma odebrać zaliczkę za pozbycie się pani Tanaka. Mówił o tym, jak o zwyczajnej transakcji, jak o sprzedaży domu, z wypłatą dziewięćdziesięciu procent po załatwieniu wszystkich formalności, tyle że tu „załatwienie formalności” miało ponury wydźwięk.

Diamond nie potrzebował sześciu czy siedmiu minut, jakie zabierała droga do szpitala. W ciągu czterech minut dowiedział się wszystkiego, czego mógł się dowiedzieć od Fredrika Lundina.

Policja przesłucha go już w szpitalu i niewątpliwie wyciągnie z niego dość informacji, by go wpakować za kraty na długie lata, ale nie odkryje niczego, co chciał wiedzieć Diamond, niczego, co byłoby przydatne do odnalezienia Naomi.

Dojechali do szpitala i Lundina odwieziono na salę opatrunkową. Diamond zwierzył się ze swojego rozczarowania porucznikowi Eastlandowi.

Eastland czuł się dotknięty wcześniejszą wymianą zdań.

-

A czego się pan spodziewał? - burknął, kiedy usłyszał, jak mało o swoich mocodawcach powiedział Lundin. - Ten facet jest ich żołnierzem. Po co trzymać psa i samemu szczekać?

-

Mam nadzieję, że nie zaniedba pan sprawy tego dziecka?

-

Czy powiedziałem coś takiego? Słyszał pan, żebym coś takiego mówił?

-
Nie, ale...

-
Dobra, Jakie są pańskie plany, Diamond?

-
Moje plany? No... jeszcze nic nie postanowiłem.

-
Zostanie pan w tym podłym hoteliku? Diamond zastanowił się przez chwilę.

-
Chyba tak.

-
Może pan wrócić ze mną. Teraz sprawę przejmuje Stein. Wiedział, że nie jest to ręka wyciągnięta do zgody. Eastland chciał

go mieć poza szpitalem, kiedy będzie się odbywało przesłuchanie, i tym razem postanowił mu ulec.

-
Wziąłem na siebie trochę za dużo jak na moje możliwości -przyznał Diamond, kiedy usiedli razem na tylnym siedzeniu policyjnego wozu. - Bardziej potrzebuję pańskiej pomocy niż pan mojej. -Było to sformułowanie najbardziej zbliżone do przeprosin, na jakie mógł się zdobyć.

-
Myślałem, że pan udusi faceta.

-
Lundina? Nie. Myliłem się co do niego. Naprawdę przypuszczałem, że jest członkiem przestępczej szajki zajmującej się prostytutką. Teraz myślę, że dziecko zostało porwane z innego powodu. Wprawdzie Lundin jest stręczycielem, ale nie dlatego go wynajęto.

-
Pracują dla niego trzy albo cztery dziewczyny na ulicy, przy której mieszka. Ale to drobny alfons - powiedział Eastland. - Co się za tym kryje? Jaki jest motyw? Dlaczego ktoś miałby mu płacić za zamordowanie kobiety i przekazanie komuś dziecka? O co tu chodzi, o spór o kuratelę?

-
Spór o prawo opieki nad dzieckiem? - powtórzył Diamond. - Nie. Nikt nie kochał Naomi.

Porzucono ją w Londynie, póki nie pojawiła się pani Tanaka, a ona też nie traktowała dziecka z zauważalną czułością.

-
Nie była jej matką.

-
Słusznie. Ale gdzie są jej rodzice? W ogóle ich nie widać. Gdyby walczyli o opiekę nad dzieckiem, już by się po nią zgłosili. W takich wypadkach ludzie szukają rozgłosu.

-
Ma pan jakąś teorię?

Diamond stłumił ziewnięcie.

-
Poruczniku, jestem z mordowany podróżą przez Atlantyk. Jedyne, co mogę zrobić, to starać się nie zasnąć. Wiem jedno: z czymkolwiek mamy tu do czynienia, łączy się to z wysokim ryzykiem i wielką forszą. Ale dlaczego mała upośledzona dziewczynka jest w to wszystko zamieszana, to dla mnie tajemnica.

-
Dla okupu?

-
Rodzice musieliby być bardzo bogaci.

-
Japońscy przemysłowcy?

-
Z pewnością by zgłosili, gdyby zginęło ich dziecko. Był pan w kontakcie z policją japońską.

Mówili coś o potentacie, któremu porwano dziecko?

-

Nie - odparł Eastland. - Ale i pan, i ja wiemy, że nie zawsze zgłasza się porwanie dziecka.

Rodzice mogą pertraktować bezpośrednio z porywaczami.

-

Jak przystaje pani Tanaka do tej teorii? - spytał Diamond tonem zdradzającym brak przekonania. - Dlaczego ją zabito?

-

Ktoś ją na czymś przyłapał. Może wystawiła do wiatru ludzi, którzy ją wynajęli.

-

Naprawdę pan w to wierzy? - spytał Diamond.

-

A potrafi pan wymyślić coś lepszego?

Nie odpowiedział i przez jakiś czas słychać było tylko, jak zawieszenie wozu zмага się z nierówną nawierzchnią ulic Manhattanu.

-

Gdybyśmy mogli ustalić tożsamość tego dziecka, mielibyśmy więcej szans na jego znalezienie - odezwał się Eastland.

-

Usiłowaliśmy to zrobić - powiedział Diamond.

Zajechali przed hotel. Diamond wysiadł, podziękował Eastlandowi za podwiezienie i dodał, że może wpadnie rano.

Był przybity i perspektywa spędzenia jeszcze jednej nocy w Firbanku nie podniosła go na duchu.

Na widok telefonu w holu przyszło mu do głowy, że od wyjazdu z Londynu nie odezwał się do Stephanie. Nie należała do tych, co łatwo wpadają w panikę, ale musiała się dziwić, dlaczego dotąd nie dał znać o sobie. Poszukał w kieszeni drobnych, bo bardzo chciał usłyszeć jej głos, nawet gdyby miała na niego nakrzyczeć.

Obliczył, która godzina jest w Londynie. Około czwartej rano.

Nic mu się nie udawało.

Rozdział 25

Kiedy rano zadzwonił do Stephanie, znów źle trafił z czasem. Wysłuchał sygnału aż do bólu ucha i zorientował się, że w Anglii jest południe, a ona powinna być w sklepie. Poszedł na śniadanie przekonany, że będzie miał znowu nieudany dzień.

Kiedy wrócił do hotelu i spróbował raz jeszcze, podniosła słuchawkę, ale znowu było to nie w porę. Nawet z odległości dziesięciu tysięcy kilometrów i kilku stref czasowych nie można było nie usłyszeć niezadowolenia w jej głosie. Popadł w niełaskę. Nic pomogło tłumaczenie, że próbował dodzwonić się do niej wcześniej. Legendarny urok Diamonda został wystawiony na próbę. Musiał się jakoś z tego wykaraskać.

-

Dzwonię teraz, kochanie, bo oprócz tego, że chciałem usłyszeć twój głos, chciałbym sprawdzić coś, o czym wspomniałaś przed wyjazdem, o rozmiarach obuwia. Czy mam rację? Czy angielska siódemka odpowiada tutaj numerowi osiem i pół?

_Nastąpiła chwila namysłu, podczas której, jak wyczuł, wszelkie pretensje wyparowały. Potem rozmawiali już normalnie. Nic wspomniał o zamordowaniu pani Tanaka, ale powiedział, że nadal nie można znaleźć Naomi, a ona zdawała się tym szczerze przejęta.

-

Może w końcu zostawię to wszystko - wyznał.

-

Nie powinieneś rezygnować - powiedziała z oburzeniem. - Peter, nie możesz zastawić tego biedactwa uwięzionego gdzieś w Nowym Jorku. I co powiesz temu zapaśnikowi, temu, który opłaca twoją podróż?

-

O tym nie pomyślałem.

-

Nie martw się o mnie, świetnie sobie poradzę przez tych kilka dni. Naprawdę. Zrób, co tylko można dla tego dziecka. Musi być jakiś sposób, żeby ją wytropić.

-

Mam nadzieję, że tak. - I z najgłębszym przekonaniem dodał: - Kocham cię.

-

Ja też cię kocham.

-

Dzięki, Steph. Jesteś bardzo wyrozumiała.

-

Czasem rozumiem więcej, niż ci się wydaje, kotku - odpowiedziała po chwili milczenia.

Zaczął padać, pożyczył więc z hotelu parasol, zanim wyruszył na komendę policji, gdzie panowało ogólne zamieszanie. Dowiedział się, że uprowadzenie Naomi stało się wiadomością dnia.

W nocy były też trzy zabójstwa na strzelnicy w Zachodnim Harlemic. Sporo czasu zabrało mu ustalenie, że owa „strzelnica” to potoczna nazwa opuszczonej kamienicy, gdzie się zbierają narkomani i dilerzy. Od niektórych z nich właśnie pobierano odciski palców, a on rozglądał się za kimś, kogo znał.

Wszedł sierżant Stein i kiwnął mu głową. Poszedłby prosto do innego pokoju, gdyby Diamond nic zastąpił mu drogi.

-

Wydobył pan coś jeszcze z Lundina?

-

Niewiele. Był śpiący.

-

Żadnych wskazówek co do tego, co stało się z dzieckiem?

-

Kompletnie nic. Przepraszam, muszę napisać raport o aresztowaniu.

-

Niczego się nie dowiedziano?

Stein pokręcił głową.

-

Dlaczego nic pójdzie pan czegoś zwiedzić? Popatrzeć na Empire State Building albo na coś innego?

-

Jest tu gdzieś porucznik Eastland?

-

Może będzie po południu.

Przełykając szyderstwo, Diamond wyszedł i zatrzymał taksówkę, nie po to by zwiedzać Nowy Jork, ale by pojechać do mieszkania Lundina. Nasunął mu się pewien pomysł, kiedy czuł się przybity, jego umysł pracował czasem na najwyższych obrotach.

Stojąca na ulicy furgonetka wskazywała, że w domu pracuje ekipa kryminologiczna. Spotkał kogoś z niej na schodach, wyjaśnił, kim jest, co przyjęto niechętnym zmrużeniem oczu, ale potem wspomniał nazwisko Eastlanda, co zrobiło większe wrażenie.

-

Kiedy byliśmy tu wczoraj, znaleźliśmy kawałki podartego zdjęcia zaginionego dziecka.

-

W toalecie. Tak, mamy je. Znaleźliśmy jeszcze kilka kawałków, wetkniętych głębiej.

-

Mogę je obejrzeć?

-

Niech pan pomówi o tym z szefem

Kawałki fotografii leżały w plastikowej torbie w furgonetce i udostępniono je Diamondowi po pewnej zwłoce, dopiero kiedy wyjaśnił swój pomysł szefowi, nie unikając autoreklamy, co, jak zauważył, było konieczne, by uzyskać coś w Nowym Jorku.

-

Ten rodzaj zdjęcia, o ile pamiętam, twarz en face na błękitnym tle, wydaje się typowy dla fotografii szkolnych. Zakłady fotograficzne zrobiły z tego cały biznes. Przekonują szkołę, by pozwoliła im zrobić zdjęcia wszystkich dzieci, jednego po drugim. Te fotografie są takie same na całym świecie. Widzi się rozpromienione dzieciaki w szkolnych mundurkach na biurku biznesmena albo na kominku w Białym Domu, wszędzie. Ma pan rodzinę, małe dzieci?

-

Tak. Mamy wnuka.

-

Fotograf musi wykonać dziesiątki, może nawet setki zdjęć na zamówienie, prawda? I musi mieć jakiś sposób ich identyfikacji. Nie może przecież kazać każdemu dziecku trzymać tabliczki z nazwiskiem, jak na zdjęciu policyjnym. Co więc robi? Zapisuje na odwrocie jakiś numer serii. Jeśli dopisze nam szczęście, jeden ze skrawków może mieć numer, który zidentyfikuje dziecko.

Szefa zainteresowało to dostatecznie, by posłał kogoś do furgonetki.

Diamond, czerwony z wysiłku, dodał ostrożnie:

-

Oczywiście, możemy nie mieć szczęścia.

Strzępy zdjęcia rozsypano na stole. Na pierwszy rzut oka nie było widać żadnego numeru, ale zaczęli odwracać poszczególne kawałki.

-

Co z tym?

Wyglądało to na czarodziejską sztuczkę, ale nie było złudzeniem. Tak jak przewidywał Diamond, na narożnym kawałku zapisano ołówkiem numer 212. Nareszcie wyglądało na to, że dopisało mu szczęście.

-

To było po prostu przeczucie?

-

Tak.

-

Fantastyczne - przyznał szef.

-

Dziękuję.

-

No to ma pan teraz ten numer.

-

Tak.

-
To musi pan znaleźć właściwego fotografa wśród wszystkich szkolnych fotografów na całym świecie.

-
Słusznie - potwierdził Diamond, nie próbując nawet wyjaśnić, że jest sposób na ograniczenie pola poszukiwań. Powinien przeprowadzić badania w Japonii, szczególnie w Jokohamie, gdzie mieszkała i pracowała pani Tanaka. W Jokohamie było oczywiście pełno szkół, ale szkoły podstawowe z niewielką liczbą dzieci, zważywszy na numer 212, były mniej liczne.

Podniecony swoim odkryciem, wrócił na komendę policji i powiedział o nim sierżantowi Steinowi.

-W kilka minut napisali i wysłali faksem list do komendy głównej policji w Jokohamie. Niestety, w Japonii było już po północy. Policjanci czuwali, ale szkolni fotografowie raczej nie.

Za to Londyn był na nogach. Zapytał Steina, czy może przeprowadzić rozmowę międzynarodową w związku z tą sprawą.

-
Chce pan wykonać połączenie lokalne - powiedział Stein ze scenicznym przymrużeniem oka. - Nie ma sprawy. Możemy przeprowadzać rozmowy miejscowe z kimkolwiek zechcemy. -

Policja nowojorska, podobnie jak reszta miasta, udawała, że przestrzega rygorów oszczędności.

Diamond wystukał międzynarodowy kod Wielkiej Brytanii, wyjął z kieszeni wizytówkę i wybrał numer zapisany odręcznie na odwrocie. Nagle uświadomił sobie, że nawet nic zna nazwiska kobiety.

-
Tak? - odezwał się męski głos.

-
Czy mógłbym mówić z panią, która pracuje jako tłumaczka japońska?

-
Chwileczkę.

Odezwała się, wciąż strzegąc swojej tożsamości.

-
Tak?

-
Tu Peter Diamond. Mówię z Nowego Jorku.

-
Pamiętam.

-
Zapaśnik sumo, pan Yamagata, zgodził się uprzejmie pokrywać moje wydatki.

-
Tak.

-
Pomyślałem, że powinienem dać mu znać, co się dzieje. Pracuję z nowojorską policją.

Dziewczynki, niestety...

Przerwała mu.

-
Panie Diamond, zanim powie pan coś więcej, musi pan wiedzieć, że nie jestem już zatrudniona u pana Yamagaty. Londyńskie Basho skończyło się w niedzielę. Cała grupa zapaśników i działaczy wróciła do Japonii.

-
O!

-
Jeśli pan pamięta, dałam panu wizytówkę z jego adresem w Tokio.

-
Tak, mam ją przed sobą.

-
Radzę, żeby się pan skontaktował z nim w Tokio późnym wieczorem.

-

Z samym panem Yamagatą?

-

On mieszka w heya, siedzibie zapaśników. Zawsze jest tam ktoś, kto posłuży za tłumacza.

-

Myśli pani, że dotrzyma obietnicy? Będę miał teraz spore wydatki.

-

Co do tego nic mam żadnych wątpliwości.

Nie pytając, czyjej słowa odnoszą się do obietnicy, czy raczej do wysokości kosztów, podziękował i odłożył słuchawkę.

Resztę poranka i popołudnia spędził na przeprowadzce z Firbanku do hotelu wyższej klasy na Broadwayu, z telefonem w pokoju i z barem na dole. Niedaleko komendy policji, dokąd powracał w regularnych odstępach czasu po to, by usłyszeć, że nic ma żadnych doniesień o zaginionym dziecku. Poczyniono natomiast znaczne postępy w sprawie zabójstw na strzelnicy.

-

Czy przyciśnięto Lundina, żeby wykryć, kto go wynajął? - zapytał Steina.

-

Lundin nic nie wie. Zależało mu tylko na forsie, prawdopodobnie W większej części wypłacono mu ją z góry w postaci zaliczki.

-

Ile?

-

Chyba trzydzieści patyków.

Około piątej nadszedł faks z Jokohamy stwierdzający oficjalnie, że zostaną wszczęte poszukiwania fotografa, kolejna wiadomość zostanie przesłana, kiedy i jeżeli okaże się to możliwe.

-

Kiedy i jeżeli. Nic brzmi zbyt obiecująco - powiedział Stein.

-
To dla mnie brzmi jak język komputerowy - odparł Diamond - ale jestem gotów czekać do późna.

-
Może pan wracać do hotelu. Jeśli coś przyjdzie, zadzwonimy.

Diamond potoczył wzrokiem po biurze rojącym się od narkomanów, detektywów i policjantów i ogarnęły go pewne wątpliwości.

-
Dziękuję. Będę w pobliżu.

Tuż po dziewiątej wieczorem próbował dodzwonić się do Yamagaty w Tokio. Była tam jedenasta następnego dnia. Ktoś wyjaśnił mu po angielsku, że sekitori są na lunchu i nie można im przeszkadzać. Niech zadzwoni za dwie godziny. Okazał pełne zrozumienie. Lunch tych grubasów, jak sobie wyobrażał, to coś więcej niż kawa z pospiesznie zjedzoną kanapką.

Połączył się z Tokio później i rozmawiał z tym samym mężczyzną, mówiącym nieskazitelną angielszczyzną. Najwyraźniej tym razem Yamagata stał blisko telefonu, gdyż tłumaczenie odbywało się szybko i rzeczowo. Diamond opowiedział, co się zdarzyło w sprawie Naomi, na koniec przyznał, że robi poważny użytek z numeru złotej karty. Tłumacz powiedział, że nie szkodzi. Pan Yamagata pragnie uczynić wszystko, co jest w jego mocy, by pomóc w poszukiwaniach. Natychmiast skontaktuje się z policją w Jokohamie, żeby się dowiedzieć, jakie postępy poczyniono w sprawdzaniu szkolnych fotografów.

Rezultat był imponujący. Niespełna dwadzieścia minut później przyszedł faks z Jokohamy.

Nakazano wszystkim szkolnym fotografom sprawdzić rejestry. Następny faks przyjdzie natychmiast po zdobyciu więcej informacji.

-
To mi się bardziej podoba niż „kiedy i jeżeli” - rzucił Diamond w przestrzeń. Sierżant Stein dawno skończył dyżur.

Tuż przed drugą w nocy nadeszła faksem pierwsza pozytywna wiadomość:

„Główna Komenda Policji Jokohama

Do: Detektyw Nadkomisarz Diamond. 26. Komenda Policji. Nowy Jork Przeprowadzone w następstwie waszego faksu PD/2 poszukiwania wśród fotografów Jokohamy ujawniają, że w ciągu ostatnich dwóch lat wydano szkolne fotografie z seryjnym numerem 212 w dziewięciu szkołach podstawowych trzydziestu pięciorgu dzieciom, w tym dziewiętnastu płci męskiej i szesnastu płci żeńskiej. Jeśli potrzebne są dalsze informacje, służymy pomocą”.

-
No pewnie, że są potrzebne - powiedział, sięgając po pióro.

„26. Komenda Policji, Nowy Jork

Do: Główna Komenda Policji. Jokohama

Jestem niezmiernie wdzięczny za waszą pomoc w moich poszukiwaniach. Trzeba koniecznie ustalić, czy któreś z dzieci płci żeńskiej nie zaginęło i czy było nieobecne w szkole przez ostatnich sześć tygodni. Proszę uwzględnić także szkoły specjalne dla dzieci umysłowo upośledzonych.

Wasza szybka pomoc w tej sprawie spotka się z naszym najwyższym uznaniem".

Jakaś policjantka, która przysłała na dyżur, powiedziała mu, że wygląda, jakby padał ze zmęczenia.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Zaproponowała, że będzie regularnie sprawdzała nadchodzące faksy, a 011 niech się zdrzemnie na jednym z połowych łóżek, używanych przez funkcjonariuszy po skończeniu dyżuru.

„Główna Komenda Policji. Jokohama

Do: Detektyw Nadkomisarz Diamond, 26. Komenda Policji. Nowy Jork Dalsze poszukiwania ujawniły, że o żadnym z dzieci płci żeńskiej zarejestrowanych u fotografów pod numerem 212 nie doniesiono, by zaginęło. Dwie dziewczynki były nieobecne, jedna przez okres dwóch tygodni, druga przez dziesięć dni z powodu choroby, ale już wróciły do szkoły. Jedna trzy miesiące temu wyjechała z miasta i przeniosła się do Nagoi. Wszystkie inne są na miejscu".

Spojrzał na zegarek: piąta dwadzieścia dziewięć. Bolały go wszystkie mięśnie.

-
Dziękuję.

-
Chce pan kawy? - spytała.

-
Najpierw muszę odpowiedzieć.

„26. Komenda Policji. Nowy Jork

Do: Główna Komenda Policji. Jokohama

Dziękuję. Uprzejmie proszę o przysłanie możliwie jak najszybciej danych o dziewczynce, która

przeniosła się do Nagoi. Czy moglibyście sprawdzić, czy mieszka tam jej rodzina?"

Może była to taka właśnie pora, ale skłonny był sądzić, że ta noc została zmarnowana - mógłby ją spędzić w wygodnym hotelu, nie na składanym polowym łóżku. Postanowił pójść na wczesne śniadanie.

„Główna Komenda Policji. Jokohama

Do: Detektyw Nadkomisarz Diamond. 26. Komenda Policji. Nowy Jork Poszukiwania w komputerze szkolnym w Nagoi danych, dotyczących wskazanego przez pana dziecka, okazały się nieskuteczne. Przekazujemy informacje z rejestru poprzedniej szkoły.

Noriko Masuda, lat 9, urodzona 20 grudnia 1983. Ostatni znany adres: pod opieką matki doktor Yuko Masuda, magistra nauk i doktora filozofii, 4-7-9, Umeda-cho. Naka-ku, J227 Jokohama.

Ojciec, Jiro Masuda, zawodowy terapeuta, zginął w styczniu 1985 roku w wypadku samochodowym. Matka do 1985 roku pracowała na wydziale biochemii uniwersytetu w Jokohamie nad pracą doktorską. Dziecko uczęszczało do szkoły specjalnej Nogę w Jokohamie od września 1987 roku do marca tego roku. Diagnoza z 1987 roku: autyzm. Postępy szkolne: powolne, hamowane przez niemotę. Ponadprzeciętne zdolności plastyczne. Usposobienie: dobre.

Zachowanie: dobre. IQ (pozasłowny): 129".

Przeczytał to po raz drugi, oszołomiony bogactwem informacji po tygodniach domysłów i rozpacz. To, że tak wiele się potwierdziło, przechodziło wszelkie oczekiwania, wszystko to, czego śmiał się spodziewać, kiedy zaczęły nadchodzić fakty. Aż nazbyt wiele wskazywało na to, że chodzi o Naomi. Czy raczej o dziecko, które znał jako Naomi, a które nosiło imię Noriko. Dla dziewczynki to, że stała się kimś innym, było chyba śmiesznym zbiegiem okoliczności.

Noriko.

Imię proste do wymówienia dla człowieka Zachodu. Choć osobiście uznał, że nie potrafi myśleć o niej inaczej niż jako o Naomi. Pozostanie więc przy pierwszym imieniu. Usprawiedliwi! się w duchu, w ten sposób uniknie się zamieszania z nowojorską policją. Dla nich to może być za trudne.

A zatem autyzm został potwierdzony. Przygasiło to nieco jego uniesienie. Kiedy zobaczył to słowo, poczuł chłód w sercu. Wbrew wszelkiej oczywistości pieścił skrytą nadzieję, że da się zrobić coś, co odblokuje umysł dziewczynki.

Wzbogacił krótki raport kilkoma rozsądnymi domysłami, wyobraził sobie Yuko Masuda, matkę, wspaniałą młodą kobietę, która porzuciła studia dla małżeństwa, załamana śmiercią młodego męża, walcząca o wychowanie swojego trudnego dziecka, które nie reagowało na jej zabiegi, jak dzieci innych kobiet. Problem, który zrozumiała dopiero wtedy, gdy Naomi ukończyła trzy albo cztery lata.

Może, myślał Diamond, nieszczęsna matka żyła w takim stresie, że pani Tanaka, która pracowała wraz z nią na uniwersytecie, zaoferowała się, że zabierze dziecko w podróż do Europy i Ameryki?

Czyżby miała to być chwilowa ulga dla pani doktor Masuda zmęczonej wychowywaniem autystycznego dziecka?

Ale jak ten dobiły uczynek mógł doprowadzić do morderstwa i porwania?

Pokręcił głową, westchnął i napisał notkę z podziękowaniem dla policji w Jokohamie, dodając jedyne japońskie słowo, jakie znał: sayonara. Potem podarł kartkę. Do licha, chyba już całkiem się sypie. To nie czas na popisywanie się japońszczyzną.

Wprawdzie w Jokohamie jest już późno, ale sprawa nabiera rozpędu.

„26. Komenda Policji. Nowy Jork

Do: Komenda Główna Policji. Jokohama

Dziękujemy za współpracę. Wasze dane dotyczą zaginionego dziecka. Pilna prośba o odnalezienie matki, doktor Masuda. Musimy poznać okoliczności, w jakich dziecko wyjechało do Londynu przed wrześniem tego roku. Miała być w towarzystwie pani Misuri Tanaka, 36, uprzednio sekretarki w uniwersytecie w Jokohamie. Prośba o możliwie najpełniejsze informacje o obu kobietach".

Włożył to w paszczę urzędnika, wyszedł z komendy i wrócił do hotelu, żeby wziąć prysznic i się ogolić. Udało mu się przespać najwyżej przez trzy godziny ale rano się czuł tak, jakby wygrał miliard jenów.

Rozdział 26

Pan na pewno jest z Anglii! - powiedziała pierwsza osoba, z którą rozmawiał.

- Ma pan zupełną słuszość - odpowiedział potulnie. Za każdym razem, kiedy to się zdarzało - a w Nowym Jorku zdarzało się na każdym kroku - miał poczucie, że proste przyznanie się do angielskości nie spełnia pokładanych w nim oczekiwań. Jakby spodziewali się czegoś ekstra, że odśpiewa Boże chroń królową albo podciągnie spodnie, Żeby pokazać skarpetki z wzorem brytyjskiej flagi. Nie potrafił zaspokoić żadnej z tych nadziei.

Przedstawił się jako detektyw przydzielony do nowojorskiej policji, odbiegało to nieco od stanu faktycznego, ale nigdy nie miał skrupułów, koloryzując trochę prawdę w słusznej sprawie.

Bibliotekarz, do którego się zwrócił, dziwny chudy mężczyzna z przyklepionym do twarzy tym szczególnym uśmiechem, jaki widzi się u polityków i greckich posągów, powiedział, że wprost uwielbia brytyjską policję, i spytał, czy Diamond sprawdza sprawę służbową, czy prywatną.

Diamond wyjaśnił, że chciałby w międzynarodowej bazie danych znaleźć tematy prac naukowych na stopień, oczywiście, jeśli biblioteka takie dane posiada.

Od razu usłyszał, że posiada.

W drodze do pomieszczenia komputerowego bibliotekarz zwierzył mu się, że swoją wiedzę o Scotland Yardzie zawdzięcza przede wszystkim brytyjskiemu przemysłowi filmowemu.

-

Czy wiedział pan, że zmarły lord Olivier grał kiedyś w filmie uroczego angielskiego policjanta?

Diamond przerwał tę obiecującą pogawędkę.

-

Tak, w The Magie Box. - Całkiem niedawno, przypadkiem, pewnego popołudnia, kiedy było zbyt mokro, by pójść na spacer do Holland Park, widział ten film w telewizji.

-

A, widział go pan. To historia człowieka, który wynalazł projektor kinowy

-

Friese'a-Greene'a.

-

Ma pan rację - powiedział bibliotekarz z podziwem.

-

Ale Friese'a-Greene'a nie był wynalazcą kinematografu.

-

Nie? - Uśmiech zaczynał wyglądać na wymuszony.

-

Kilku ludzi w różnych krajach, u was też, dokonało znaczących odkryć w tej dziedzinie.

Friese-Greene był wśród nich postacią pomniejszą.

-

Jest pan pewien?

-

Proszę to sprawdzić. Znajdujemy się w odpowiednim miejscu.

-
Nie ma potrzeby, panie Diamond. Oczywiście wierzę panu na słowo.

-
Ten film to takie wymachiwanie flagą - podjął niezbyt taktownie Diamond. - Wielka Brytania potrzebowała wówczas pokrzepienia. Jako naród jesteśmy niezrównani w robieniu bohaterów z ludzi, którzy nimi nie są.

Po chwili milczenia bibliotekarz powiedział stanowczo:

-
Ale to nie ma nic wspólnego z tym, co mówiłem o tym filmie. Gra aktorów była wspaniała.

Pamięta pan tę scenę? - I nie czekając na odpowiedź, dodał: - To tylko epizod i Laurence Olivier jako policjant zaproszony do obejrzenia obrazów rzucanych na ekran, ale moim zdaniem, to jedna z jego największych ról. Gdyby nawet nie zrobił już nic innego, z tej sceny można by poznać, że ten człowiek to geniusz. I to niemal bez słów.

Diamond pokiwał głową.

-
Tym bardziej szkoda, że to nieprawda.

-
Ach, proszę sobie przypomnieć Odę nad grecką urną: „Piękno jest prawdą, prawda pięknem. To wszystko, co wiadome na ziemi, i wszystko, co winno się wiedzieć”.

-
Nic w moim zawodzie - odparł Diamond. Nigdy nie ufał mieszanemu poezji z pracą detektywa.

Weszli do pomieszczenia komputerowego. Bardziej czuły na poezję policjant, pomyślał, mógłby tu usłyszeć brzęk, jaki unosi się nad lawendowym żywopłotem w sierpniowy poranek. Szeregi monitorów ciągnęły się daleko w głąb. Bibliotekarz wskazał Diamondowi puste miejsce i pokazał, jak uzyskać dostęp do informacji.

-
Chce pan korzystać z katalogu badań naukowych?

Międzynarodowego Katalogu Badań Naukowych w dziedzinie biochemii. Chciałbym wiedzieć, nad czym pracowała kilka lat temu pewna japońska uczona.

-

Powinniśmy to odnaleźć. - Uderzył w klawiaturę. - Może powinienem zostawić pana samego, by znalazł pan teraz drogę do informacji? To proste. Proszę postępować według wskazań, kiedy wyświetlą się na monitorze.

-

Wolałbym, żeby pan został - przerwał mu Diamond bez zażenowania. - Mój mózg po prostu nie działa, kiedy siedzę przed czymś takim.

-

Miło mi słyszeć, że mogę być pomocny. Sądząc z tego, co pan mówił, przypuszczałem, że zajmuje się pan tylko zdobywaniem informacji i niczym innym. Czy znamy nazwisko badaczki?

-

Yuko Masuda.

Bibliotekarz uderzył w klawisz wywołujący instrukcję.

-

Mam nadzieję, że nic mówił pan serio, że nie może docenić filmu, który nie odtwarza wiernie rzeczywistości.

-

Niech się pan tym nie martwi - powiedział Diamond. - Tak mnie wyszkolono.

-

Przerost lewej półkuli.

-

Czego?

-

Mózgu. Lewa półkula porządkuje fakty. Zawsze uważałem, że byłoby dobrze, gdyby policja czasem przypominała sobie o prawej półkuli, która zarządza intuicją.

-

Dokładnie jak?

-

Właśnie nie „dokładnie”, panie Diamond. Proponuję, żeby pan oczyścił umysł ze wszystkich faktów, które pan zgromadził, i udostępnił go działaniu intuicji.

-

Ma pan na myśli wróżenie z fusów i karty tarota?

-

Nie, nie, mówię serio. Detektywi mogliby niekiedy skorzystać, odwołując się do szóstego zmysłu.

-

Niech pan tego nie mówi. Na tym właśnie bazują rozmaici szarlatani - powiedział Diamond.

- Detektyw, który uważa, że zna prawdę, zanim zgromadzi dowody, to niebezpieczny człowiek.

Spotkałem kilku takich w swoim życiu.

-

A pan nie kieruje się przeczuciem, szukając tej badaczki?

-

Nie. Rozpaczą. Nie wiem nic o tej kobiecie, ale od czegoś muszę zacząć.

-

Chyba ją mamy - powiedział bibliotekarz, który podczas rozmowy przesuwał tekst.

„Masuda, Yoko, dr fil., Uniwersytet Jokohama. »Obrażenia mózgu: śpiączka i charakterystyki 1079-81. S. Manflex. »Narkoza i stany śpiączki« (»American Journal of Biochemistry«, maj 1981),

»Leczenie śpiączki alkoholowej«, referat wygłoszony na Konferencji Farmakologii Japońskiej, Tokio 1983. »Śpiączka spowodowana przez narkotyki i alkohol« 1983, S. Manflex”.

-

Mówi się tu coś o obrażaniu mózgu - powiedział Diamond. -Komórki mojego mózgu odwracają się tyłem i uciekają, kiedy czytam o czymś takim. S. Manflex. Narkoza. Może pan coś z tego zrozumieć?

-

Zwrot „uszkodzenie mózgu” jest dość znany - powiedział bibliotekarz, - Gdzie ja go słyszałem?
Zaraz, zaraz... - Już wiem

- powiedział nagle. - Ten cudowny poeta z pańskiego kraju, Dylan Thomas.

-
Nie z mojego kraju - wtrącił Diamond. - Z Walii.

-
Czy to nie to samo? W każdym razie w świadectwie zgonu Dy-lana Thomasa napisano

„uszkodzenie mózgu”, co wydaje się właściwe, czy nawet jest w tym rodzaj ironii, zważywszy na to, że Dylan Thomas był przesiąknięty alkoholem. Uznałem, że lekarz sam musiał mieć poetyckie skłonności. Nie wiedziałem, że to termin medyczny.

-
Mówiłem też o innych wyrazach - powiedział Diamond, którego zaczynały irytować ciągłe dygresje bibliotekarza.

-
Niech pan zaczeka. - Bibliotekarz stuknął w jakiś klawisz i nad tekstem ukazały się dymki wyjaśniające użyte w nim skróty. - S. oznacza sponsora. Badania były sponsorowane przez Manflex. Myślę, że chodzi tu o zakłady farmaceutyczne. Słyszał pan o Manfleksie?

-
Z grubsza.

-
Jeśli w tym kraju kupuje pan coś na ból głowy, można się założyć, że będzie to wyprodukowane przez Manflex.

-
A co z tą drugą sprawą?

-
Nie mam pojęcia. Nauki przyrodnicze to nie moja dziedzina.

-
Ani nie moja. Proszę mi opowiedzieć o Manfleksie. Czy nie jest to firma japońska?

-
Pan ma na myśli, czy nie należy do Japończyków? Wątpię.

-
Sponsoruje japońskie badania.

-
Ale to nie znaczy, że jest japońska.

Diamond uwzględnił tę poprawkę. Po prostu głośno myślał, usiłując znaleźć powiązania, które nie istniały, choć powinny istnieć.

-
Zresztą może pan mieć rację - przyznał bibliotekarz. - Firma ma swoją bazę w Ameryce, niewątpliwie, ale kto wie, do kogo należy. Japończycy przejęli już znaczne połacie Manhattanu.

Nawet Rockefeller Plaza. Chce pan mieć adresy?

Tym razem dane nie pochodziły z komputera, Diamond dostał do ręki spis telefonów Manhattanu.

Po kilku minutach dzwonił do korporacji Manflex na Zachodnim Broadwayu, a raczej starał się dodzwonić, gdyż telefon był wciąż zajęty. Po dziesięciu minutach wybierania numerów trafił na telefonistkę, która była chyba jeszcze bardziej zirytowana niż on.

-
Kto mówi?

-
Czy dodzwoniłem się do korporacji Manflex ?

-
Uhm.

-
Nazywam się Diamond i chciałbym mówić z naczelnym dyrektorem.

-
Przykro mi. Nie ma takiej możliwości. Czy jest pan z prasy?

-
Nie, nic jestem z prasy.

-
Pan Flexner jest nieosiągalny.

-
A kiedy się pani spodziewa, że będzie osiągalny?

-
Nie udzielam żadnych informacji.

-
Niech mnie pani posłucha, nie wiem, za kogo mnie pani bierze, ale chcę tylko porozmawiać z kimś z kierownictwa. Czy jest tam ktoś inny?

-
Jacy wy jesteście natarczywi! - W jej głosie zabrzmiało oskarżenie - Oświadczenie zostanie wydane we właściwym trybie.

-
Oświadczenie, o czym? Chcę po prostu zapytać...

-
Przepraszam - powiedziała. - Jestem zbyt zajęta, nie mogę rozmawiać.

I odłożyła słuchawkę.

Jej niezyczliwość, pomyślał, nie była skierowana osobiście przeciwko niemu. Znajdowała się najwyraźniej pod ogromną presją.

-
Czy ktokolwiek mógłby mi powiedzieć, czemu firma farmaceutyczna Manflex miałaby być oblegana przez prasę? - zapytał bibliotekarzy siedzących obok przy biurkach.

Powzruszali ramionami, pokręcili głowami, w końcu jeden z nich odezwał się:

-

Słyszałem coś o Manfleksie. Jego cena rośnie na giełdzie. Najpierw paskudnie się osunęli, a teraz odrabiają swoje, z nadwyżką.

Jeżeli Manflex odwrócił kurs akcji na rynku nowojorskim, to ludzie robią pieniądze. A skoro Manflex był sponsorem badań naukowych matki Naomi, mogą istnieć jakieś powody, dla których Naomi porwano właśnie wtedy, gdy akcje firmy idą w górę.

Próbował znowu zadzwonić, ale linia była nadal zajęta.

Miał się teraz czym zająć. Znalazł kilka popularnych publikacji dotyczących medycyny, napisanych zrozumiałą dla niego angielszczyzną, spróbował więc zinterpretować bełkot, przepisany z komputera. Wszystkie prace badawcze doktor Masuda dotyczyły leczenia śpiączki spowodowanej alkoholem lub narkotykami. Każdy stan śpiączki związany jest z danym rodzajem uszkodzenia mózgu. Doktor Maruda specjalizowała się w leczeniu śpiączki spowodowanej zatruciem mózgu, a nie uszkodzeniem fizycznym, uciskiem, infekcją albo brakiem cukru.

Półgodzinne wyęczone studia może nie zamieniły Petera Diamonda w specjalistę od neurologii, sądził jednak, że jest teraz lepiej przygotowany do rozmowy z ludźmi z Manfleksu.

Znów wystukał numer. Nikt nie odpowiadał.

Wyszedł z biblioteki i rozejrzał się za taksówką.

Budynek Manfleksu był jednym ze starszych gmachów na Zachodnim Broadwayu, ale pomniejszonym optycznie przez bliskość bliźniaczych wież World Trade Center. Diamond zauważył, że obie pary obrotowych drzwi, prowadzących do głównego holu, wyglądają na zamknięte. Uzbrojeni ochroniarze nie wpuszczali nikogo bocznymi drzwiami. Wyszły z nich dwie młode kobiety, wyglądające na pomocnice sekretarek w firmie, i natychmiast zostały otoczone przez reporterów z mikrofonami. Jednakowo obojętnie powiedziały, że nie udzielają żadnych informacji. Wyglądało to na rytuał.

Poszedł do jednej z dziennikarek, kobiety w zbyt obszernym zamszowym płaszczu i w białych butach.

-

Przepraszam, czy mogłaby mi pani powiedzieć, co tu się dzieje? Czy jest tam ktoś sławny?

Jestem z Anglii - dodał, jakby usprawiedliwiając swoją niewiedzę.

Spojrzała na niego życzliwie.

-

To jest gmach Manfleksu.

-

Powinienem o nim słyszeć?

-
Farmaceutyki.

-
I to tak interesuje prasę?

Teraz spojrziała na niego, jakby urwał się z choinki.

-
Notowania Manfleksu na giełdzie podskoczyły na wiadomość o nowym cudownym leku.

We wtorek mają wydać oświadczenie i aż się roi od spekulacji.

-
Czy Manflex to firma amerykańska?

Musiła niewątpliwie pomyśleć, że w dodatku ma nie po kolei w głowie.

-
Nie słyszał pan o Mannym Flexnerze? Był legendą biznesu farmaceutycznego. Bardzo dynamiczny. Jego syn właśnie został prezesem.

-
Jaki on jest?

-
Nikt jeszcze nie wie. Przejął firmę kilka tygodni temu i z niczym się dotąd nie ujawnił.

-
Jeśli ta pogłoska jest prawdziwa, będzie miał dobry początek.

-
Potrzebuje tego, bo odkąd Manny wyskoczył, nastąpił ogromny spadek zaufania.

-
Wyskoczył?

-

Z gabinetu na dwudziestym pierwszym piętrze.

Diamond spojrzął w górę.

-

Spadł po drugiej stronie budynku - stwierdziła dziennikarka. - Na mały parking dla zarządu.

Diamond podziękował i poszedł Broadwayem, zastanawiając się, co teraz zrobić. To, co usłyszał o dziwnych wypadkach Manfleksu, mogłoby uzasadnić dalsze śledztwo, ale wątpił, czy uda mu się przekonać porucznika Eastlanda, że należy coś tu zrobić. Tymczasem wolał niezależnie rozwijać nikły wątek własnego śledztwa. Nie da rady jednak przedrzeć się przez ochronę. Potrzebna jest inna strategia.

Znalazł sklep papierniczy i wstąpił do niego, by kupić notes i kopertę. Potem napisał list do Davida Flexnera, prezesa Manfleksu, przedstawiając się jako detektyw z Anglii, prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa i uprowadzenia dziecka. Bardzo pilnie musi się spotkać z kierownictwem Manfleksu, by omówić sprawę matki dziecka, doktor Yuko Masuda, która na początku lat osiemdziesiątych prowadziła na uniwersytecie w Jokohamie badania naukowe sponsorowane przez Manflex. Podał swój adres i numer telefonu hotelu, a pod podpisem dodał słowa: „Detektyw nadkomisarz”. Zaadresował tę kopertę do Flexnera, zaznaczając: „Osobiste, bardzo pilne”. Potem wrócił pod gmach Manfleksu i wręczył kopertę jednemu z ochroniarzy, podkreślając, że sprawa jest najwyższej wagi, i by niezwłocznie dostarczył list prezesowi. I znów okazał się użyteczny policyjny identyfikator. Personel ochrony to zazwyczaj dawni policjanci.

Przed powrotem do hotelu wstąpił do banku i pobrał na kartę kredytową trochę gotówki, żeby uraczyć się w barze, który właśnie minął. Później będzie mógł powiedzieć Steph, że ograniczał

lunch do sandwicza. Przecież nigdy nie widziała, jakiej wielkości jest amerykański sandwicz, udekorowany konserwowym ogórkiem.

Nic dziwnego, że po takiej uczcie uciał sobie drzemkę w pokoju.

Obudził go telefon.

-

Halo?

-

Czy nadkomisarz, ee... Diamond?

Usiadł na łóżku. Zegar cyfrowy przy łóżku wskazywał trzecią trzydzieści sześć po południu.

-

Tak.

-

David Flexner. Chciał pan ze mną mówić o tej Japonce.

-

Tak jest.

-

Niewiele mam do powiedzenia o tamtych czasach i wybaczy pan, jestem ogromnie zajęty...

-

Rozumiem, ale chodzi o życie dziecka...

-

No tak. - Chwila ciszy. - Mogę się z panem spotkać, ale łatwiej mi będzie poza firmą. Niech pomyślę. Wie pan, gdzie jest przystań promu na Staten Island?

-

Znajdę ją.

-

W Battery Park. Każdy w Nowym Jorku ją panu wskaże. Spotkamy się przy kasach, około siódmej piętnaście. Wcześniej nie mogę. Jak pana poznam?

-

Noszę beżowy płaszcz przeciwdeszczowy.

-

Jak porucznik Colombo?

-

Jak pięciu poruczników Colombo. Jestem gruby, i trochę łysy, ale tego pan nie dojrzy, bo noszę brązowy melonik.

-

Co takiego?

-
No, taki baniasty kapelusz.

-
W porządku. Niech pan wypatruje chudzielca z długimi jasnymi włosami, w czerwonej wiatrówce. Nie powinniśmy mieć z tym trudności, super.

Wstał i wziął prysznic. Super. Nikt inny przedtem tak go nie nazwał. Głos Flexnera brzmiał jak głos szesnastolatka. Nic dziwnego, że nie połapał się od razu, że to on. A jeżeli nic z tego nie wyjdzie, pomyślał Diamond - co mam robić dalej? Od policji nie było żadnych wiadomości, a zatem sprawa nie posunęła się naprzód. Te przerwy są piekielnie trudne do zniesienia. W czasach, kiedy coś znaczył, spędzał czas na poganianiu swojego zespołu do tropienia zabójstw, czyli - jak to nazywali - na uprzykrzaniu im życia. W tym zapyziałym pokoju hotelowym mógł poganiać tylko siebie.

Wyszedł przejść się po Central Parku. Przechadzka ta nie zasługiwała nawet na nazwę spaceru w porównaniu z tempem fanatyków ćwiczeń na świeżym powietrzu, którzy nieustannie go wyprzedzali. Kiedy usiadł odpocząć na ławce, natychmiast przysiadł się do niego ktoś, kto był

gotów za jedyne pięć dolarów ułożyć poemat na jego cześć. Powiedział zrzędlawie, że już dość się nasłuchał poezji jak na jeden dzień, i poeta splunął mu na but.

Próbował własnej twórczości, układając scenariusz, w którym matka Naomi zrezygnowała z pracy naukowej, bo utraciła zaufanie do przemysłu farmaceutycznego albo ujawniła nadużycia w Manfleksie. Albo nawet padła ofiarą jakichś doświadczeń z lekami, które się nie powiodły. Nadal nic mógł zrozumieć, dlaczego, jeżeli żyje, mogła się rozstać z dzieckiem.

Około szóstej, nie zagłębiając się dłużej w rozmyślaniach, wsiadł do metra jadącego na południe i dotarł do Battery Park. Statua Wolności była już tylko błękitną plamą, blednącą w wieczornym świetle. Prom przybił do brzegu, a on przyglądał się, jak opada z trzaskiem żelazny pomost i wychodzą pasażerowie. Wiał silny wiatr, był więc rad ze swego przeciwdeszczowego płaszcza, o którym nigdy nie pomyślał, że przypomina płaszcz porucznika Columbo. Był to porządny trencz, na podszewce i z klapami, które można było zapiąć pod szyją. Chociaż w swoim kapeluszu przypominał raczej Bogarta niż Petera Falka.

Popatrzył, jak prom napęłnia się ludźmi i odbija od brzegu, a potem poszedł do kas. Było już po siódmej. Za wcześnie, by wypatrywać Flexnera. Ławki szybko wypełniały się pasażerami oczekującymi na następny kurs. Przewidując, że będzie musiał zaczekać ze dwadzieścia minut, a może nawet dłużej, usiadł na jednej z nich.

Upłynęły trzy minuty. Jakaś kobieta przyniosła swojego rozkapryszzonego malucha, posadziła go obok Diamonda i wdała się z nim w hałaśliwą walkę o kawałek czekolady, który, jak mówiła, jeśli zje w całości, to na pewno go zemdli. Kiedy malec wrzaskiem postawił na swoim, Diamond uznał, że matka prawdopodobnie wie, co mówi. By ochronić płaszcz - niełatwo jest kupić płaszcz w jego rozmiarze - wstał i odszedł.

Nie było widać nikogo, kto przypominałby młodego Flexnera.

- Czy pan Peter Diamond?

Odwrócił się. Zagadnął go ktoś, kogo musiał już widzieć, ale nic brał pod uwagę, ładna ciemnowłosa młoda kobieta w eleganckim wiśniowym żakiecie i w dżinsach.

-

Tak się nazywam.

-

Pan Flexner bardzo przeprasza. Miał trudności z wymknięciem się dziennikarzom, trzeba zmienić miejsce spotkania. Jestem Joan. Zawiozę pana.

-

A dokąd?

-

Przepraszam, ale jeszcze nie mogę powiedzieć. W wozie jest telefon. Pan Flexner da panu znać.

-

Chce pani, żebym teraz z panią poszedł? - Propozycja brzmiała dość rozsądnie. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że minął już czas, który Flexner wyznaczył na to spotkanie.

-

To musi być okropne być wciąż pod ostrzałem mediów - powiedziała, prowadząc Diamonda przez park do miejsca, gdzie stało kilka samochodów.

-

Oczywiście - odparł. - Jest pani jego asystentką czy kimś takim?

Uśmiechnęła się.

-

Czy kimś takim? Nie wiem, co pan przez to rozumie.

-

Czy jest pani u niego zatrudniona?

-
Jestem kierowcą. To wszystko.

Wóz był elegancki, długa czarna limuzyna, z tych, za którymi w Anglii się oglądają, ale które w Nowym Jorku nie robią żadnego wrażenia. Joan nacisnęła pilota, by unieruchomić system bezpieczeństwa. Mrugnęło światło kierunkowskazu i szczęknęły zamki. Równie mechanicznie Diamond usiadł po lewej stronie.

-
To ja prowadzę - powiedziała szybko.

Oprzytomniał.

-
Zawsze się myślę.

Podniosła słuchawkę radiotelefonu i wybrała numer.

-
To mi zajmie minutę - powiedziała.

Siedział obojętnie, próbując słuchać, nie okazując zainteresowania, ale głos po drugiej stronie linii był niesłyszalny.

-
Już jesteśmy... - powiedziała do słuchawki. - Oczywiście, czekał... Tak, panie Flexner, wiem o tym. Czy chce pan z nim mówić?... Dobrze, niedługo będziemy. - Rozłączyła się i uruchomiła silnik. - Tajemnicza sprawa. Nie uwierzy pan, dokąd jedziemy.

-
Do Trump Tower? - podsunął przebiegle.

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

-
Nie.

-
No to dokąd?

-
Na West Side.

-
Pani też jest tajemnicza. Czy powinienem znać to miejsce?

-
Nie sędzę, ale jest to miejsce ekskluzywne.

Zobaczył w wyobraźni przygnębiający obraz modnego nocnego klubu, jednego z tych, w których bywają ważniaki takie jak David Flexner. – Czy jestem odpowiednio ubrany?

-
Po prostu świetnie.

Przedłużała jazdę w nieskończoność, a on nie znał tak dobrze Nowego Jorku, by protestować. Nie lubił sekretów, jeżeli to on był trzymany w niewiedzy. Jechali na północ wzdłuż rzeki Hudson, od czasu do czasu migotały przed nimi światła New Jersey. Objazd oddalił ich od rzeki i dalej ruszyli prowadzącą na północ Dziesiątą Aleją. Pojawiły się znaki sygnalizujące bliskość Tunelu Lincolna, ale minęli zjazd do niego i wkrótce potem zwolnili. Joan najwyraźniej liczyła ulice i Diamond postanowił jej pomóc.

-
Czterdziesta Siódma.

-
Dzięki.

-
Której pani szuka?

-
Dobra będzie Czterdziesta Dziewiąta.

Skręcili w lewo i dojechali ulicą do jej końca pod przęsłami autostrady. Wkrótce znaleźli się na tyłach dzielnicy portowej. Teraz Joan skręciła w asfaltową drogę między magazynami. Czerwone światła awaryjne pośniewały na szczytach dźwigów.

-

To tutaj? - zapytał nieufnie Diamond.

-

Powiedziałam panu, że to będzie coś niezwykłego - odparła.

Zamigotała kilka razy przednimi światłami.

Z cienia jednego z magazynów wyłoniła się jakaś postać.

-

Nie wygląda jak David Flexner - zauważył Diamond, tak jakby go dobrze znał.

-

To ktoś z jego z ekipy - powiedziała, dotykając przełącznika, by opuścić okno po stronie Diamonda.

-

Mam nadzieję, że będzie pani czekała - rzucił, szykując się do wyjścia. - Nic miałbym ochoty wracać na piechotę do hotelu.

-

Nie spieszy mi się.

Mężczyzna pochylił się, by zajrzeć do środka.

-

Pan Diamond? - Był nieogolony i cuchnął alkoholem. Nie wyglądał na bliskiego współpracownika prezesa zarządu.

Diamond odwrócił się, by spojrzeć na kobietę, która przedstawiła mu się jak Joan. Nawet teraz odwzajemniła mu spojrzenie bez śladu przebiegłości. Jeżeli to zasadzka - a tak przypuszczał -

odegrała rolę bez zarzutu. Rozbroiła go swoim spokojem.

Mężczyzna na zewnątrz sięgnął po klamkę. Diamond zatrzasnął zamek.

-

Dlaczego pan to zrobił? - spytała Joan i nim zdążył odpowiedzieć, uwolniła zamek przełącznikiem.

Mężczyzna otworzył szeroko drzwi. Miał posturę dokera, którym zapewne był.

Joan krzyknęła:

-
Trzymaj go!

Diamond szarpnął się od drzwi i uchwycił kierownicy, wtedy Joan wbiła ostre końce kluczyków w wierzch jego dłoni. Dojmujący ból rozluźnił uchwyt. Otworzyła drzwi po swojej stronie i wyskoczyła z wozu, krzycząc coś w kierunku nabrzeża.

Oprych nachylił się do wnętrza wozu i zacisnął ramię na gardle Diamonda. Było to bolesne i obezwładniające, ale nie wystarczało, by go wyciągnąć. Diamond zaparł się nogami, by mocniej przylgnąć plecami do siedzenia, i namacał ręką pochyloną nad nim twarz mężczyzny. Trafił na garść włosów, ale wiedział, jak się do niego dostać. Trzeba sięgnąć do oczu i uszu.

Przeciągnął dłonią po jego twarzy, został dotkliwie ugryziony w mięsiste miejsce pod kciukiem, ale udało mu się wbić tenże kciuk w miękkie wilgotne zagłębienie ciała, które mogło być tylko oczodołem.

Rozległ się krzyk i uścisk ramienia zelżał.

Ale słyhać było inne głosy. Ktoś zawołał:

-
Odsuń się!

Coś zataczało się szerokim łukiem ku czaszce Diamonda. Nie zdołał zrobić uniku. Podniósł ramię o ułamek sekundy za późno. Cios był potężny. Diamond uderzył twarzą w deskę rozdzielczą i rozbił

jej szybę. Następny cios spadł mu na ramiona. Dobrze, że jeszcze cokolwiek docierało do jego świadomości.

-
No to go masz - powiedział ktoś.

Co teraz? - pomyślał Diamond. Mam siedzieć cicho czy udawać trupa.

Ktoś wsunął mu obie ręce pod pachy i oderwał od siedzenia. Osunął się bezwładnie na ziemię.

-
Skurwysyn.

Głowa, jak się domyślał, nie wystarczyła facetowi, któremu uszkodził oko. Nastąpiły dwa kopniaki w nerki. Nie mógł się powstrzymać od okrzyku bólu. Dostał za to jeszcze jeden potężny cios w głowę.

Tracił przytomność.

-

Łap za nogi! Dobra?

Nie spodziewał się, że to przeżyje. Joan powiedziała mu, że to ekskluzywne miejsce, i teraz wiedział, co to oznacza. Utopią go w rzece Hudson.

Rozdział 27

Nałykał się plugawej, cuchnącej rynsztokiem cieczy. Szczypało go w oczach, miał zatkany nos. Co chwila z charkotem wymiotował, ale nie było mu od tego lepiej. Raz czy dwa próbował otworzyć oczy, ale nic nie widział. Czuł tylko, że co chwila coś szturcha go w prawe ramię i w kark. I że jest mu zimno, nieopisanie zimno. Zapewne bolały go także inne części ciała, ale uczucie zimna tłumiło wszelkie doznania.

Leżał twarzą do góry, zanurzony w wodzie.

Nic nie pamiętał. Jedyne, co wiedział, to fakt, że leży chyba w jakimś odwiecznym bagnisku.

Czekając na śmierć.

Silne szarpnięcie przerzuciło mu ramię przez pierś, niemal przewracając go na bok. Strumień cieczy zalał mu twarz, wypełniając usta i nozdrza.

Jeżeli tak się tonie, to nie jest to najbardziej zalecany sposób śmiertelnego zejścia.

Odwrócił głowę i wypluł zawartość ust.

Rozkaszał się.

Zaczerpnął powietrza.

Zaskowyczał.

Opuszczają cię siły, Diamond. Jeżeli czegoś nie zrobisz, żeby się uratować, zostaniesz tu na zawsze.

Wyciągnął prawe ramię. Natrafił dłonią na powierzchnię oślizgłą w dotyku, ale twardą. Ledwie zaczął ją badać, poczuł, że wymyka mu się spod ręki. Szukając po omacku tego czegoś, co mu zginęło, uświadomił sobie, że to nie powierzchnia się poruszyła, tylko on. Kiedy przetoczył się na prawo, spróbował znowu, dosięgnął jej i poczuł pod szlamem jej strukturę. Znow odepchnęła go nieodparta fala wody.

Umysł zaczynał znów funkcjonować. To, co brał za szarpanie, było działaniem prądu wody przyciskającego go do jakiejś przeszkody. Przesunął ku niej rękę i uchwycił dziwny w dotyku przedmiot. Wypuścił go, gdy rozpoznał w nim wielkiego martwego ptaka. Potem poczuł pod palcami

coś gładkiego, jakiś pojemnik, może puszkę po piwie. Znów znalazł się w dwudziestym wieku. Stał się częścią unoszących się na wodzie śmieci, które osiadają na brzegach wodnych dróg.

Ale był jakiś powód, dla którego te śmieci utkwily tutaj. Prąd powinien je znieść w dół rzeki.

Zapewne uwięziła go jakaś przeszkoda.

W miarę jak wyostrzała się zdolność myślenia, wzrastało poczucie chłodu - przenikliwego, dojmującego, przekonującego, że wszelka walka jest daremna. Mimo słabości znów wyciągał rękę.

Natrafił palcami na coś nieruchomego, o kształcie i grubości więziennej kraty tyle że leżącej poziomo. Uchwycił się tego.

Nie rozluźniając uchwytu, badał kształt, odkrywając pod kątem dziewięćdziesięciu stopni krótszy bok, a potem obrosły zielskim kamienny mur, z którego to coś sterczało. Znalazł żelazny pierścień przymocowany do kamienia.

Ugiął ramię, by podciągnąć się bliżej. Potem sięgnął lewą ręką w górę i w bok, by sprawdzić, czy nie ma drugiego pierścienia, takiego jak ten, którego się trzymał.

Błądził ręką po zielsku i kamieniu.

Jest. Zacisnął palce na drugim pierścieniu.

To był wyłaz umocowany w kamiennym nabrzeżu.

Czy ma dość siły, by wyciągnąć się z wody? Zawsze wymagało to dużego wysiłku, a on był słaby.

Spróbuj albo umrzesz, powiedział sobie. Po jednym pierścieniu.

Rozluźnił uchwyt i sięgnął prawą ręką po drugi. Chwycił i się podciągnął. Przekonał się, że jest zbyt słaby. Zawisł bezwładnie, zawieszony na obu rękach. Ramiona wystawały z wody, w jednym z nich odezwał się ból, którego przedtem nie czuł. Od piersi w dół był zanurzony i zwisał tak, przeklinając swoją tuszę, niezdolny uczynić nic więcej.

Wtedy poczuł, że dotyka czegoś udami. Wyraźny ucisk nad kolanami.

To niższy pierścień. Wyłaz zaczynał się poniżej poziomu wody, ale nie tak głęboko jak jego stopy, gdyby jednak mógł unieść nogi tak wysoko, żeby stanąć na pierścieniu, miałby szansę na jakiś postęp.

Uniósł kolana aż do pierścienia, ale stwierdził, że są za grube, żeby stanowić dla niego punkt oparcia. Jedyнным sposobem było podciągnięcie się po kilku pierścieniach, posługując się wyłącznie ramionami.

Wziął głęboki oddech i sięgnął w górę. Uchwycił się palcami kolejnego pierścienia i natychmiast poczuł dojmujący ból barku. Wypuścił go. Już wiedział, że jest skazany. Prawe ramię było właściwie bezużyteczne.

W obliczu wiszącej nad nim groźby ponownego wpadnięcia w cuchnącą wodę zdobył się na jeszcze jeden wysiłek, by wspiąć się wyżej, sięgnął w górę lewą ręką, przytrzymując się rozpaczliwie prawą.

Namacał pierścień końcami palców, uchwycił go i podciągnął się na jednej ręce, natychmiast uwalniając prawe ramię od bolesnego obowiązku. Poczucie osiągnięcia wyzwoliło w nim falę adrenaliny. Bez żadnej przerwy znów zmusił prawe ramię do pracy, przytrzymując się nim, gdy próbował postawić stopę na najniższym pierścieniu.

Udało się.

Reszta była tylko sprawą odpowiedniego rozłożenia wysiłku i samozaparcia. Z bezpiecznie umieszczonymi obu stopami dźwignął się w górę, wynurzając ciało z wody. Chwytał się coraz wyższych pierścieni, równomiernie wspinając się po boku czegoś, co rozpoznał teraz jako kamienne molo.

Jego umysł zaczął ogarniać sytuację. Początkowo mgliście, ale z wzrastającą jasnością przypominał sobie, gdzie się znalazł i dlaczego. Zrozumiał, skąd pochodzi dręczący ból, nie tylko w barku, ale gdy powróciło krążenie krwi w głowic i poniżej pleców. To wynik wściekłego pobicia, a jego napastnicy sądzili, że się utopił. Być może uratowała go nadwaga, która teraz utrudniała mu wspinaczkę po pierścieniach. Warstwa tłuszczu zamortyzowała ciosy, a oprócz tych w głowę stanowiła też izolację, która pozwoliła mu przetrwać w lodowatej wodzie.

Nadal jednak czuł się nędznic.

I bardzo niepewnie. Na wyższych stopniach zawahał się. Nie wiedział, czy nic natknie się na kogoś, kto znów wrzuci go do wody. Wystarczyłoby lekkie pchnięcie w piersi, a on nie przeżyłby drugiego zatopienia.

Ciemność była jego sprzymierzeńcem. Wysunął głowę ponad kamienne molo, stwierdził z ulgą, że nikogo nie ma w pobliżu, a potem wszedł po pozostałych klamrach i runął jak wieloryb wyrzucony na brzeg.

Mógł jedynie spokojnie leżeć i czekać, aż tętno i oddech tak się uspokoją, że będzie umiał się z nimi uporać. Ze wszystkich części ciała odbierał sygnały o obrażeniach. Teraz paliła go twarz.

Podniósł dłoń do lewego oka i wyczuł rozległy obrzęk. Przez środek nosa biegło rozcięcie.

Nie umiałby powiedzieć, jak długo leżał w wodzie. Z pewnością jakiś czas był nieprzytomny.

Ocknął się chyba pod wpływem zimna.

Na otwartym powietrzu ciemność nigdy nie jest całkowita. Przetoczył się na bok i wpatrzył w przestrzeń między mołem a magazynami, tam skąd wyłonili się napastnicy. Limuzyna odjechała, być może -powiedział sobie optymistycznie - zabierając ze sobą oprychów. Mordercy zawsze szybko opuszczają miejsce zbrodni.

I co teraz?

Jak najszybciej musi skontaktować się z policją. Bardzo ważne, żeby wiedzieli, co się stało, bo powiązania sprawy Naomi z Manfleksem nie są już niepewne. Ci ludzie pokazali, że chcą go zabić, a on chciał, by jak najszybciej ich przesłuchano. Chciał usłyszeć wyjaśnienia Davida Flexncra.

Spodziewał się, że potrafi dostatecznie długo ustać na nogach.

Ustać? Najpierw musi się podnieść. Wymagało to ogromnego wysiłku. Udało mu się w końcu osiągnąć pozycję stojącą, najpierw kucnął przez chwilę, potem pochylił się, oparty na łokciach i kolanach, i stękając z wysiłku, niezdarnie starał się wyprostować. Każdy krok był bolesny, ledwie powłóczył nogami, pomyślał, że przydałby mu się teraz balkonik dla inwalidów. Nawet lekki powiew nabrzeżnej bryzy mógł go przewrócić.

Musiał wydostać się na ulicę, ale dotarcie do niej było jak ukończenie maratonu. Dobrze jeszcze, że miał na nogach oba pantofle. Chyba jedyne, co stracił, to melonik.

Przez następnych dwadzieścia minut zdołał przebrnąć linię nadbrzeża, zasypane śmieciami pustkowie i stok wiodący w dół, gdzie kończyła się jedna z ulic West Side'u. Najbliższy blok kamienic nie wyglądał jak raj dla na wpół utopionego, ciężko poturbowanego Brytyjczyka, ale dobrnął do pierwszych drzwi i poszukał dzwonka - urządzenia, w które dom nie był najwyraźniej wyposażony. Zastukał. Nikt się nie pojawił. Wewnątrz nie było słychać żadnych głosów.

Próbował dobijać się do dwóch innych domów, zanim ktoś się pokazał. Był to mały czarny chłopiec, który gapił się na niego. Każdy by się gapił.

-

Cześć - powiedział Diamond z wysiłkiem.

Chłopiec gapił się nadal.

-

Są twoi rodzice?

Chłopiec mrugnął i gapił się dalej.

-

Mama i tata? Synku, potrzebuję pomocy.

Chłopiec ściągnął brwi i zapytał:

-

Skąd jesteś?

W stanie, w jakim się znajdował, nie miał ochoty na wyjaśnienia, ale chłopiec przerwał milczenie, odpowiedział więc:

-

Z Anglii.

-

Z Anglii? - Dzieciak podniósł rękę jakby do uderzenia.

Diamond w porę zrozumiał o co chodzi i zamaszystym ruchem przybił piątkę w powitalnym geście.

Chwilę potem siedział owinięty w koc w wyplatany fotelu w mieszkaniu w suterenie, otoczony przez liczną afro-karaibską rodzinę. Dali mu kawy zaprawionej rumem i założyli opatrunek na nos.

Dwadzieścia minut tej tkliwej opieki wyraźnie przywróciło mu siły. Mógł już ruszyć dalej. Chcieli wiedzieć, dokąd się wybiera, a on powiedział, że na komendę policji numer 26.

Kiedy umilkł śmiech, ojciec chłopca zaproponował, że go tam odwiezie.

W ten sposób około dziesiątej wieczorem sierżant Stein, mijając frontowy kontuar, natknął się na zdumiewający widok uśmiechniętego mężczyzny, znanego w Nowym Jorku ze stosunków, jakie utrzymywał ze światem przestępczym, niosącego stos mokrych ubrań, w towarzystwie nadkomisarza Diamonda, owiniętego w pled, z opatrunkiem na nosie i z podsiniałym, opuchniętym lewym okiem.

Wyjaśnienia trzeba było składać dwukrotnie, bo zawezwano porucznika Eastlanda, który już zszedł z dyżuru, by podjął dalsze decyzje. Nie posunął do tego daleko, by uśmiechnąć się na widok Diamonda, ale nie okazał cienia współczucia.

-

Czyli mamy tu - podsumował - powiązanie z Manfleksem przez matkę dziecka. Wyruszył pan na przespługi i został pobity i wrzucony do rzeki. Przez kogo?

-

Ba - odparł gniewnie Diamond. -Jedyne, co jest jasne, to światła wozu. Dziewczyna przedstawiła się jako Joan. Rzecz w tym, że to David Flexner musiał wysłać tych ludzi. Coś, co powiedziałem, naprawdę go przestraszyło.

-

Zadziwia mnie pan. I co pan mu powiedział? - zapytał Stein.

-
Ze potrzebuję informacji o badaniach doktor Masudy, które prowadziła przed kilkoma laty w Jokohamie na zlecenie Manfleksu.

-
To chyba nie powód do morderstwa - zauważył Eastland. - Jest pan pewien tego powiązania?

-
Co pan ma na myśli?

-
Czy możemy być pewni, że ludzie, którzy na pana napadli, byli nasłani przed Flexnera?

-
Oczywiście. Dziewczyna powiedziała mi, że pracuje u niego. Wiedziała o spotkaniu.

Wiedziała, gdzie i kiedy mnie znaleźć.

-
No dobrze. Przyciśniemy go i zobaczymy, o co chodzi.

-
Jeszcze jedno - powiedział Diamond.

-
Chce pan lekarza?

-
Chciałbym oddać ubranie do pralni.

-
W porządku. Jak się pan teraz czuje?

-
Nie mogę się doczekać spotkania z Flexnerem.

Powinien pan odpocząć.

-

Do diabła z odpoczynkiem!

Spędził jednak niemal godzinę na łóżku polowym, tym, na którym spał poprzedniej nocy. Musiano go obudzić, kiedy sprowadzono Flex-nera, a wtedy poczuł się gorzej niż przed drzemką. Bolała go każda cząsteczka ciała.

Ustalono, że pierwszą rozmowę zobaczy na ekranie telewizji wewnętrznej. Porucznik Eastland uznał, że Flexner nie powinien sądzić, iż Diamond przeżył napaść. Pierwszą zasadą śledztwa jest niczego nie ujawniać.

Zachowanie młodego długowłosego mężczyzny, który pojawił się na ekranie, wyraźnie wskazywało, jak bardzo jest zaniepokojony, że go tu sprowadzono na przesłuchanie. Końcem języka zwilżał wargi i przecierał dłonią twarz, jak aktor zgrywający się na Hamleta.

Odezwał się głos Eastlanda, udzielającego rutynowej informacji, że przesłuchanie zostanie nagrane.

Flexner kiwnął głową.

-

Proszę odpowiadać.

-

Nic mam nic przeciwko temu.

-

Zgadza się pan na nagranie przesłuchania?

-

Zgadzam się.

-

W porządku.

Podczas gdy Eastland dokonywał wstępnych czynności ustalania tożsamości i miejsca zamieszkania Flexnera, Diamond uważnie przyglądał się młodemu człowiekowi. Wyglądał

zupełnie nietypowo jak na potentata przemysłowego, ubrany w bawełnianą koszulkę, dżinsy i wiatrówkę, z jasną czupryną sięgającą ramion. Dokładnie odpowiadał opisowi, jaki podał mu przez

telefon.

-

Czy zna pan mężczyznę, który nazywa się Diamond, brytyjskiego policjanta? - zapytał

Eastland. Diamond nie widział go, kamera była skierowana na Flexnera.

-

Znam tylko z nazwiska. To wszystko. Zadzwoił do mnie dziś po południu.

-

Zadzwoił do pana? Czy to ścisła odpowiedź, panie Flexner?

Flexner przeciągnął nerwowo palcami po włosach.

-

To znaczy napisał do mnie list. To ja zadzwoniłem do niego do hotelu.

-

No to jak to naprawdę było?

-

Przepraszam. Czy to ważne?

-

Wszystko jest ważne. Ma pan ten list?

-

Nie mam przy sobie.

-

Czy może mi pan powiedzieć, co dokładnie zawierał?

Flexner przymknął oczy, jakby chciał odtworzyć sobie wygląd tej kartki.

-

Napisał, że jest angielskim detektywem prowadzącym dochodzenie w sprawie morderstwa i uprowadzenia, uprowadzenia dziecka. Chciał się ze mną spotkać, żeby uzyskać informacje o matce

tego dziecka, która w latach osiemdziesiątych prowadziła w Jokohamie badania naukowe, sponsorowane przez moją firmę. Nazywa się doktor Yuko Masuda. Podpisał się Peter Diamond, detektyw, nadkomisarz.

-

I podał numer telefonu, żeby pan zadzwonił?

-

Hotel Brightside. Potraktowałem to poważnie. Obejrzałem akta dotyczące tej kobiety.

Potem zadzwoniłem do pana Diamonda i umówiłem się z nim na spotkanie w Battery Park koło kas z biletami na prom.

-

Dziwne miejsce na spotkanie.

Flexner wzruszył ramionami.

-

Z powodów niemających z tym związku znalazłem się w dość niezwykłej sytuacji.

Najprościej było spotkać się poza biurem, a to takie miejsce, które każdy cudzoziemiec w Nowym Jorku może łatwo znaleźć.

-

Pojechał pan tam?

-

Tak, ale się spóźniłem. Nie było go już. - Flexner pochylił się na krześle, jakby coś nagle przyszło mu do głowy. - Co się z nim stało? Nic mu nie jest?

-

To pan mi powie, co się stało z panem - powiedział Eastland.

-

Skręciłem w Battery Park...

-

Nie - powiedział Eastland, który był skrupulatny. - Powie mi pan, co pana zatrzymało.

-
Odezwał się alarm przeciwpożarowy z magazynu na dwudziestym piętrze.

-
O której to było?

-
Okolo szóstej czterdzieści pięć. Właśnie wychodziłem. Ktoś zostawił na popielniczce niedogaszzonego papierosa. Zająły się jakieś tkaniny.

-
W magazynie?

-
Tyle odkryto. W rezultacie dotarłem do Battery Park dwadzieścia pięć po siódmej i już go nie zastałem. Rozglądałem się, pytałem...

-
No dobrze - przerwał mu Eastland. - Postawmy sprawę jasno. Czy kiedykolwiek zlecił pan komuś innemu spotkanie się z detektywem Diamondem?

-
Nie. Tak jak powiedziałem. Poszedłem sam.

-
Kto jeszcze wiedział, że jesteście umówieni? Pańska sekretarka?

Flexner pokręcił głową.

-
Złatwiłem to sam.

-
Czy pański telefon może być na podsłuchu?

-
O ile mi wiadomo, jest czysty.

-
Powiedział pan, że oglądał dokumentację dotyczącą tej kobiety. Czy ktoś ją dla pana wyszukał?

-
Nie. Mamy ją w komputerze. Przechowujemy dokumentację wszystkich programów badawczych i prac przez nas sponsorowanych. Dane znalazłem na modemie, który mam w moim gabinecie.

-
Ktoś pana przy tym widział?

-
Nic, byłem sam. Niech mi pan powie, co się stało?

-
Na spotkanie z detektywem Diamondem przyszła pewna kobieta, która powiedziała, że to pan ją przysłał. Wie pan coś o tym?

Flexner poruszył się na krześle, ściągając brwi.

-
Ja ją przysłałem? Nie. Nikomu nic o tym nie mówiłem.

-
Proszę się nie spieszyć, panie Flexner. Niech pan sobie przypomni: czy jest pan całkiem pewien, że nikomu nie wspominał o tym spotkaniu?

-
Całkowicie.

-
Może ktoś słyszał, jak rozmawiał pan przez telefon?

-
Byłem sam w gabinecie. Drzwi były zamknięte.

-
A jednak ta kobieta, która nawiasem mówiąc przedstawiła się jako Joan, odnalazła detektywa

Diamonda przy kasach, powiedziała, że pan nie mógł przyjść, i zawiozła go czarną limuzyną na wybrzeże w West Forties, gdzie czekały jakieś oprychy, by się z nim rozprawić i utopić go w Hudsonie.

-

Nie mogę w to uwierzyć. - Na jego korzyść przemawiało, że najwyraźniej mówi szczerze.

Pobladł jak ściana.

-

Lepiej niech pan uwierzy - mruknął Eastland. - I niech pan pomyśli, kim jest ta kobieta i dlaczego uznano za konieczne usunąć człowieka, z którym się pan umówił. Nie musi pan odpowiadać natychmiast.

-

Czy on żyje? - zapytał Flexner.

-

Niech pan to przemyśli, panie Flexner. Może pan o czymś zapomniał. Zaraz wrócę.

Flexner został sam. Słysząc było tylko dźwięk zamykanych drzwi do pokoju przesłuchań.

Eastland wszedł do pokoju, gdzie Stein i Diamond śledzili przebieg rozmowy.

-

No i jak?

-

Chciałbym sam go przepytac - powiedział Diamond. - I wyciągnąć od niego te informacje, które miał mi przekazać.

-

Sądzi pan, że mówi prawdę?

-

Robi dobre wrażenie.

-

Tak? - powiedział Eastland z ostrą ironią. - No to może nic takiego się nie wydarzyło.

Pańskie podsiniaczone oko to tylko przywidzenie.

-

Mimo to chciałbym go przepytąć.

-

Jeszcze nie.

-

To pilne.

-

Możemy złamać faceta bez problemu - powiedział z miłą przechwałką Eastland. - Twierdzi, że nie mówił nikomu o spotkaniu z panem. To przecież czyste łgarstwo.

Diamond powściągnął się z pewną trudnością. Zobaczył realne niebezpieczeństwo, że w gorliwym wysiłku przyłapania Flexnera na kłamstwie zagubi się gdzieś sprawa Naomi. Załamanie przesłuchiwanego, jak otwarcie przyznał Eastland, nie jest dobrym sposobem na wydobywanie od niego ważnych informacji.

-

Niech pan posłucha, sędzę, że powinniśmy zbadać prawdziwość tego, co on mówi. Umówił

się na spotkanie ze mną. To nie ulega wątpliwości. Musi mieć mi coś do przekazania na temat matki Naomi.

-

To tylko zasłona dymna, żeby zastawić na pana pułapkę.

-

Sprawdźmy to. Zapytajmy, co ma do powiedzenia. Jeżeli powie prawdę, może to nas doprowadzić do Naomi.

Porucznik nie był do tego przekonany. Rozłożył ręce, jakby sprawa była już dowiedziona.

-

Peter, przyjacielu, chodzi o badania, które ta kobieta prowadziła siedem czy osiem lat temu.

To nam nie powie, kto teraz przetrzymuje dziecko.

-
Ale kogoś tak to przeraziło, że chciał mnie zabić. Sprawa nie jest przedawniona - upierał się Diamond. - Niech mówi, póki okazuje gotowość do współpracy. Kiedy go pan przestraszy, możemy nic nie uzyskać.

-
Uważa pan, że trzeba się z nim obchodzić łagodnie?

-
Niech pan udaje, że przyjmuje jego wyjaśnienia. Na miłość boską, to nie potrwa długo.

Eastland rozważał tę sugestię.

-
Może ma pan rację.

-
Ja to zrobię - zaoferował się Diamond.

-
Pan? Za nic w świecie. Myśli, że pan leży kostnicy, a my nie chcemy go wyprowadzać z tego przekonania. Dobrze, Diamond, rozegramy to tymczasem po pana myśli. Tylko niech mi pan powie, o co chciał go pan spytać.

Diamond naszkicował strategię. Nie udało mu się do końca przekonać Eastlanda, ale chyba trochę zmiękczył jego stanowisko.

Po kilku minutach podjęto przesłuchanie. Eastland zmierzał prosto do rzeczy.

-
Niech mi pan opowie o pani Yuko Masuda.

-
Niewiele mam do powiedzenia. Nie znam jej osobiście - odparł David Flexner. - Jest jedną z tysięcy, którzy prowadzili badania naukowe, opłacane przez Manflex czy którąś ze stowarzyszonych z nim firm.

-
Czy jest kimś nieważnym?

-
Tego nie powiedziałem. Według naszej dokumentacji sponsorowaliśmy jej badania przez dziesięć lat, a może dłużej. Napisała kilka prac o leczeniu śpiączki narkotykowej i poalkoholowej przy zastosowaniu leków sympatomimetycznych.

-
Zastosowaniu czego?

-
Naśladują działalność nerwów współczulnych. Przykładami jest adrenalina i efedryna.

-
O adrenalinie słyszałem.

Westchnienie Flexnera zdradzało pewne zniecierpliwienie.

-
Śpiączka poalkoholowa, mówi pan - ciągnął Eastland. - Czy to znaczy, że te leki przywracają pacjentom świadomość?

-
Inspektorze, wszystkie moje informacje pochodzą z dokumentacji zapisanej w komputerze.

Nie jestem ani biochemikiem, ani lekarzem.

-
No dobrze. A co jeszcze powiedział panu komputer?

-
Zwykłe dane: wiek, adres, kwalifikacje. Nie jest naszą pracownicą, rozumie pan, tylko naukowcem.

-
Czy dokumenty mówią, że jest zamężna?

-
Tak. Masuda to jej nazwisko po mężu.

-

A jest jakaś wzmianka o jej dziecku?

-

Nie musiałyby jej być. To dla nas nieistotne.

-

Mieszka w Japonii?

-

W Jokohamie.

-

Od kiedy prowadziła dla was badania?

-

Od siedemdziesiątego dziewiątego roku.

-

To długo.

-

Badania zabierają niekiedy sporo czasu.

-

Siedzi pan na bieżąco jej pracę?

-

Osobiście nie. Firma sprawuje nadzór nad wszystkimi naszymi programami badawczymi.

-

Wiedział pan, że kilka miesięcy temu zniknęła z domu?

-

Nie. Nie wiedziałem. To nie musiałyby konieczne zwrócić naszej uwagi, póki nikt tego nam nie doniósł.

Nastąpiła przerwa w pytaniach, jakby Eastland zwlekał z dalszym przesłuchiowaniem, ale on po

prostu się zastanawiał, o co ma zapytać.

-

Czy jest coś jeszcze w dokumentach doktor Masudy, co zamierzał pan przekazać detektywowi Diamondowi?

-

Nie - odparł Flexner. - Oczywiście chciałem być pomocny w miarę moich możliwości, ale to wszystko, co mogłem mu powiedzieć. Usłyszał pan wszystko.

-

No cóż, to, co pan powiedział, nie przypomina zagadki Sfinksa - zauważył Eastland. -

Dlaczego mieliście się spotkać z Diamondem jak dwaj tajni agenci CIA? Dlaczego po prostu pan do niego nie zadzwonił i nie powiedział wszystkiego przez telefon?

Flexner znów wzruszył ramionami.

-

Chyba chciałem się upewnić, z kim mam do czynienia. Z zasady nie udzielamy informacji personalnych.

-

Nie miał pan do niego zaufania?

-

Uważałem za słuszne spotkać się z nim i upewnić się. Nie mogłem zaprosić go do biura.

Musiałby się przedrzeć przez oblężenie dziennikarzy. Koczują pod naszym gmachem.

-

Widziałem ich. Budzicie wielkie zainteresowanie - powiedział Eastland. - Czy to z powodu tego cudownego leku, jaki macie wypuścić na rynek?

Flexner znów przesunął się na krześle.

-

To nie ma żadnego związku ze sprawą tej Japonki.

-

Skąd pan wie?

-

To są rzeczy całkowicie ze sobą niepowiązane.

-

Sami to osądzimy, panie Flexner.

-

Wolałbym nie mówić o tym lekarstwie. Gdyby coś z tego, co powiem, przedwcześnie dostało się do mediów, mogłoby to spowodować zawieszenie obrotu naszymi akcjami.

-

Wszystko, co pan powie, pozostanie w tych czterech ścianach - zapewnił go Eastland.

Niewidzialni obserwatorzy po drugiej stronie koiytarza nadal beznamiętnie śledzili przebieg przesłuchania.

David Flexner przeciągnął nerwowo dłonią po ustach.

-

Stawia mnie pan w trudnej sytuacji.

-

Kolczaste krzesło.

-

Słucham?

-

Sadzam pana na kolczastym krześle.

Błady uśmieszek przemknął przez twarz młodego człowieka.

-

Zdaje pan sobie sprawę, że objąłem fotel prezesa dopiero niedawno, po śmierci ojca.

Szczerze mówiąc, interes już od jakiegoś czasu nie szedł zbyt dobrze. Osunęliśmy się znacznie na liście największych zakładów farmaceutycznych. Nasi rywale Merck i Lilly wypuścili nowe leki i wyprzedzili nas. A całkiem niedawno nasze akcje na giełdzie spadły na łeb na szyję z powodu pożaru w jednym z naszych największych zakładów we Włoszech. Fabryka uległa całkowitemu zniszczeniu.

-

I to podważyło zaufanie giełdy?

-

Manilex Italia to nasza główna filia europejska. Nadal toczy się śledztwo. Możliwe, że mamy do czynienia z podpaleniem.

-

A pan ma nadzieję odzyskać to zaufanie dzięki nowemu lekowi, prawda? - spytał Eastland.

David Flexner kiwnął głową.

-

Jeden dobrze sprzedający się produkt może wszystko odmienić. Nic mówiąc więcej niż muszę, mogę panu powiedzieć, że prodermolate...

-
Prodermolate?

-
PDM3. To jeden z tysięcy specyfików, jakie opatentowaliśmy w ostatnich latach. Z

większości nic nie wyszło, ale tak się działo, że ten lek, nad którym pracowano od dwudziestu lat, jest bardziej skuteczny, niż ktokolwiek mógł przewidzieć.

-
Na co?

-
Proszę mi wybaczyć, poruczniku, ale nie mogę tego powiedzieć. W tych dniach wydamy oświadczenie w tej sprawie i od tego zależy przyszłość Manfleksu. I tysiące miejsc pracy. Wszyscy usiłują przed wtorkiem zdobyć jakiś przeciek. Nie mogę powiedzieć nikomu, nawet panu, i nawet w tym miejscu.

-
Nie może pan ukrywać informacji - powiedział Eastland tonem raczej obrażonym niż groźnym. - Muszę to wiedzieć.

-
Przykro mi, ale...

-
Czy pan sobie wyobraża, że jutro rzucę się kupować akcje Manfleksu?

-
No nie.

-
Mam lepsze rzeczy do roboty niż spekulacje giełdowe, panie Flexner. Gdybym chciał być bogaczem, nie pracowałbym tutaj.

-
Ale ja mam zobowiązania.

Eastland podniósł nieco głos.

-

Pan ma zobowiązania? A co ze mną? Mam odnaleźć upośledzone dziecko, dziewczynkę, której grozi śmierć. To nie jest zabawa w chowanego, dziecko zostanie zamordowane, jeśli go nie odzyskam.

-

Zamordowane?

Po wystarczająco długiej pauzie Eastland dodał:

-

Mieliśmy już w tej sprawie jedno morderstwo.

Gwałtowność reakcji Flexnera, wstrząs, który spowodował zastygły grymas wokół jego ust, wskazywał, że poraziła go ta informacja. Najwyraźniej uznał, że ofiarą padł Diamond. Tego się najbardziej obawiał. Tonem, który wskazywał, że jest bliski kapitulacji, powiedział:

-

Szkoda, że dopiero teraz pan mi o tym mówi.

-

Nie był pan ze mną całkiem szczery. Proszę mi opowiedzieć o tym lekarstwie - powiedział

Eastland, wykorzystując chwilę ze zręcznością doświadczonego śledczego.

Flexner wyraźnie pobrał.

-

Czy da mi pan słowo, że to nie wyjdzie dalej?

-

Tajemnica to moja specjalność.

-

No dobrze. Nie jestem najlepiej poinformowaną osobą, by mówić o potencjale tego leku, ale wiadomo mi, że został opatentowany w Cornell w siedemdziesiątym piątym roku. Początkowe badania były subsydiowane przez Beaver River Chemicals, firmę, która stała się naszą filią, kiedy w siedemdziesiątym szóstym roku przejął ją mój ojciec. Nikt nie dostrzegł właściwych pożytków z tej substancji. Tak to jest. Odkrywa się tysiące związków i rejestruje je, nie wiedząc, czy będzie z nich

jakaś korzyść. Tylko niewiele wybiera się do dalszych badań, zwykle niezmiernie kosztownych, to idzie w miliony. Profesor Chur-chward odkrył następnie, że PDM3 może się skutecznie przyczynić do regeneracji komórek nerwowych mózgu.

-

Czy to coś nadzwyczajnego?

Flexner spojrział z ubolewaniem na policjanta, że można zadać takie pytanie.

-

Powiedziałem „regeneracji”. To coś nieznanego nauce. Olbrzymi przełom, który oznacza, że możemy powstrzymać proces starzenia się umysłowego.

-

Choroba alzheimera? - zapytał Eastland.

-

Tak, ale to coś więcej, znacznie więcej. PDM3 powoduje wytwarzanie nowych komórek.

Możemy przewidywać, że będzie stosowany do utrzymywania mózgu w stanie najwyższej sprawności aż do podeszłego wieku.

-

U wszystkich?

-

Tak.

-

Czyli że jest to niezawodna maszynka do robienia pieniędzy - Eastland przeszedł szybko do sedna. -
We wtorek wprowadzacie to lekarstwo?

Flexner uniósł ręce jak człowiek zagląający do beczki z prochem.

-

Nie, nie. Najwcześniej za rok. Zwołujemy konferencję prasową, by donieść o dotychczasowych pracach i oświadczyć, że wchodzimy w trzeci etap testowania, który jest długotrwałym procesem przed-klinicznym.

-

Ale sam fakt, że rozpoczynacie ten proces, ma doprowadzić do masowych inwestycji w Manflex.

-

Prawdopodobnie tak.

-

Wspomniał pan przed chwilą jakiegoś profesora.

-

Churchwarda. On jest z uniwersytetu Corydon w Indianapolis. Poleciałem tam, żeby obejrzeć jego ostatnią pracę. Kieruje zespołami pracującymi nad PDM3.

-

Wyrobił pan sobie o nim dobrą opinię?

-

Co pan ma na myśli?

-

Czy go pan polubił?

-

Nie muszę.

-

No to, czy zdobył pańskie zaufanie?

-

Sadzę, że jest dobrym naukowcem, inaczej nie ładowałbym naszych pieniędzy w to lekarstwo.

-

A więc widzi pan świetlaną przyszłość, panie Flexner.

-

Dla ludzkości, przy takim postępie? Z pewnością.

-

Dla Manflex Pharmaceuticals.

Popatrzył nieco zakłopotany.

-

Tak się spodziewam.

-

Niepotrzebne panu dochodzenie w sprawie morderstwa na progu tego wszystkiego.

-

Cholerna prawda.

-

I mówi pan, że nikomu nie wspomniał o Diamondzie?

-

Absolutnie nikomu. Czy możemy do wtorku ukryć to przed prasą? - dorzucił impulsywnie.

Eastland zachował się, jakby nie usłyszał pytania.

-

Czy sam pan wybrał numer telefonu?

-

Tak.

-

Nic prosił pan sekretarki o połączenie?

-

Nie.

-

Czy w waszej centrali można podsłuchiwać rozmowy zewnętrzne?

-

Jestem całkowicie pewien, że nie.

-

Spójrzmy więc na to inaczej - poprosił Eastland. - Kto oprócz pana wiedział, co pan zamierza oznajmić we wtorek?

-

O PDM3? - Flexner spojrzał w górę, jakby nazwiska były wypisane na suficie. - Mój zastępca Michael Leapman i oczywiście profesor Churchward. Obaj będą na konferencji.

-

Czy profesor jest już w Nowym Jorku?

-

Właśnie wieczorem przyleciał. Jest w hotelu Waldorff Astoria.

-

Kto jeszcze wie o PDM3?

-

Nikt mi nie przychodzi do głowy. Wielu ludzi pracowało nad różnymi fazami tego projektu, ale tylko Michael i profesor Churchward znają cały obraz.

-

A pańska żona?

-

Nie jestem żonaty.

-

Przyjaciółka?

Flexner pokręcił głową.

-

Kto jest pana wrogiem? - zapytał Eastland. - W czyim interesie byłoby spaprać to wasze wielkie oświadczenie.

-
Ma pan na myśli konkurentów?

-
Może tak. Ktoś porwał dziecko. Kogo pan podejrzewa, panie Flexner?

-
Nie mam pojęcia. Wykluczam konkurentów, nie mieszaliby się w aferę kryminalną. Nie może się pan dowiedzieć od matki, kto się kręcił koło jej córki?

-
Powiedziałem panu, że matka zaginęła.

Flexner westchnął głęboko.

-
Nic o tym wszystkim nie wiem.

-
Jest przecież oczywiste, że kiedy Diamond skontaktował się z panem, ktoś w Manfleksie zareagował na to natychmiast. Przypuszczam, że pański gabinet jest na podsłuchu. Nie pomyślał

pan o tym?

Flexner patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

-
Nie mogę sobie wyobrazić innego sposobu, w jaki mogli to zaaranżować: wynająć bandytów, żeby się nim zajęli, i wywołać alarm przeciwpożarowy w waszym gmachu. To wewnętrzna robota, panie Flexner. Nie ma wątpliwości.

Młody człowiek potrząsał głową, raczej po to by dojść do ładu z czymś nie do pomyślenia, niż na znak sprzeciwu.

-
Gdzie zastanę Michaela Leapmana ? - zapytał Eastland.

-
Michaela? On nie ma żadnego powodu...

-
Był w biurze tego popołudnia?

-
Tak, ale...

-
Proszę o jego adres.

-
Nie znam. Mieszka w New Jersey.

-
Ma pan numer jego telefonu?

-
Gdzieś mam. - Sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów. - Michael to ostatnia osoba, która chciałaby pokrzyżować nasze plany. PDM3 to jego dziecko.

Rozdział 28

NIC TAKIEGO NIE MOGŁOBY SIĘ ZDARZYĆ W ANGLII. Tuż przed północą, w głębi nowojorskiego Chinatown policjant kupił w „Grubym Chanie”, sklepie dla ponadwymiarowych mężczyzn, parę białych bawełnianych spodni o obwodzie w pasie sto dwadzieścia pięć centymetrów, podkoszulkę XL, różowy sweter z luźnym splotem, skarpetki i białe tenisówki.

Diamond był znów ubrany, choć zupełnie nie w swoim guście. Teraz wraz z porucznikiem Eastlandem i sierżantem Steinem jechał Tunelem Holland do New Jersey.

-
No to, co mamy na tego faceta? - spytał Eastland.

Stein otrzymał dość problematyczne zadanie, by w drodze na rozmowę z Michaeliem Leapmanem uzyskać przez radio jego charakterystykę.

-
Nie odnotowano zatrzymań - oznajmił. - Przez ostatnich pięć lat wiceprezes Manfleksu.

Nieżonaty. Trzydzieści siedem lat, pochodzi z Detroit. Pracował tam dla firmy farmaceutycznej o nazwie Fredriksson i Lill. Doszedł do stanowiska dyrektora naczelnego, a wtedy przedsiębiorstwo

zostało przejęte przez Manflex. Chcecie znać literki, które umieszcza przed nazwiskiem?

-

Wszystko jasne - odparł Eastlad. - Stary Flexner musiał go cenić, skoro go zrobił wiceprezesem.

-

David Flexner również ma dobrą opinię o Leapmanie - wtrącił Diamond, chcąc usprawiedliwić swoją obecność w zespole. - A jeżeli wierzymy młodemu Flexnerowi - a jestem skłonny mu wierzyć, po tym, co zobaczyłem w czasie przesłuchania - Leapman jest osobiście zainteresowany sukcesem PDM3. Bardzo lansował go w przedsiębiorstwie. Zorganizował spotkanie Flexnera z profesorem w Indianapolis.

Samochód przejechał kilka kwartałów, zanim ktokolwiek zareagował na jego uwagę.

-

W takim razie dlaczego dobry pracownik firmy, taki jak Leapman, miałby w przeddzień złożenia przez nią ważnego oświadczenia ryzykować wszystko, dając zlecenie na brytyjskiego detektywa? - powiedział w końcu Stein.

-

Chodzi ci o to, dlaczego uznano mnie za zagrożenie? - spytał Diamond.

-

Nie. Dlaczego mała dziewczynka stała się zagrożeniem. Ty jesteś tylko pionkiem w grze.

Diamond z doświadczenia wiedział, że obraźliwe uwagi najlepiej puszczać mimo uszu.

-

Sądzę, że ma to związek z lekiem, prawda? - powiedział, w żaden sposób nie okazując urazy. - David Flexner wyraźnie stwierdził, że PDM3 może okazać się przebojem wszech czasów.

Leapman naciska jak wściekły, żeby go zarejestrować. Nie wiemy jeszcze, jak bardzo jest zaangażowany osobiście, ale niewykluczone, że uznał to za życiową szansę i zainwestował cały swój kapitał w firmę. Musiało nim strasznie wstrząsnąć, gdy prezesura Manfleksu dostała się w spadku Davidowi Flexnerowi. Moim zdaniem wykorzystuje swoją wiedzę, aby dostać jako rekompensatę grubą forszę.

-

Myślisz, że cała historia z lekiem może być przekrętem? - zapytał Stein.

-

Nie. Trudno by było oszukać tylu ludzi. W przemyśle farmaceutycznym istnieją różnego rodzaju zabezpieczenia. Muszą mieć naprawdę bardzo obiecujące wyniki testów przedklinicznych.

Nie mogliby ich sfałszować. Ale wybrany moment jest zdumiewający, prawda? Chcą powiadomić społeczeństwo o cudownych właściwościach leku właśnie teraz, w chwili, kiedy notowania Manfleksu lecą na łeb na szyję. Przecież ten specyfik jest znany od dwudziestu lat.

-

Wyjaśnił to - zwrócił uwagę Eastland. - Nie wiedzieli, że jest przydatny, dopóki profesor nie zaczął nad nim pracować.

-

Robił to od kilku lat.

-

Uważasz, że aż do tej pory trzymali wszystko w tajemnicy?

-

Po prostu staram się wyjaśnić zachowanie Leapmana, jeżeli rzeczywiście jest naszym czarnym charakterem. Oczywiście, możliwe, że Manny Flexner wiedział o PDM3 i nie był do niego tak przekonany, jak jego wiceprezes. Manny mógł zastopować całą sprawę.

-

Jeżeli w leku jest coś podejrzanego - stwierdził Eastland - nie da się tego długo trzymać w tajemnicy. Jak powiedziałaś, każda firma farmaceutyczna na świecie będzie chciała poznać skład i skontrolować wyniki, nie mówiąc nawet o analitykach giełdowych.

Diamond nie zamierzał dać się przekonać, że podjęta przez Man-flex decyzja o kontynuowaniu prac nad PDM3 stała się przyczyną zbrodni, które teraz badali.

-

Tak, wyniki muszą być nic do podważenia, w przeciwnym razie nic ryzykowałiby ich ogłoszenia. Uznajmy, że wszystko, co słyszeliśmy o leku, jest prawdziwe i że to najważniejsze odkrycie od czasów wynalezienia penicyliny. W tej sytuacji czy nie jest oczywiste i równie pewne jak to, że Bóg stworzył małe zielone jabłuszka, że organizacje przestępcze dowiedziały się o perspektywach ogromnych zysków?

-
Mafia?

-
Baronowie, którzy kierują przestępczością w waszym mieście bez względu na to, z jaką społecznością są związani. Mogliby wtedy dyktować warunki.

-
Być może - powiedział Eastland. - Być może. - I po chwili przyznał. - Zupełnie prawdopodobne.

-
To kupa forsy - dodał tęsknie sierżant Stein.

Eastland uzupełnił swoje podwójne „być może” zimnym komentarzem.

-
Wszystko to pięknie, ale prowadzimy dochodzenie w sprawie zaginionego dziecka, a nie robienia grubego szmalu na giełdzie. Jediną poszlaką, jaką dysponujemy, jest fakt, że matka dziewczynki była sponsorowana przez Manflex.

Komu jak komu, ale Diamondowi nie trzeba było przypominać o Naomi i absolutnie nie miał zamiaru dać się zbić z tropu.

-
Daj spokój, istnieje mnóstwo dowodów, że w sprawę wmieszani są zawodowi przestępcy.

Zabójstwo pani Tanaka było zleceniem. A ludzie, którzy mnie zaatakowali, nie byli amatorami.

-
Dlaczego pani Tanaka została zabita? - spytał sierżant Stein.

-
Przypuszczam, że dostała zlecenie i zawiódła. Uznali ją za niegodną zaufania.

-
Do spisania na straty.

Pionek, jak ja.

-

A co z dzieckiem? - zainteresował się Stein. - Też mogą ją spisać na straty?

-

Nie - odparł Diamond, szybko uznając, że to nie do pomyślenia. - Gdyby chcieli skrzywdzić Naomi, zrobiliby to już dawno.

-

Może jestem głupi - stwierdził Eastland - ale do tej pory nikt mi nie wytłumaczył, dlaczego jedna mała, upośledzona umysłowo dziewczynka jest tak ważna w całej tej historii.

Diamond nie miał na to odpowiedzi. Dość dawno doszedł do wniosku, że porucznik Eastland na pewno nie jest głupi.

Dom Leapmana znajdował się wśród sześciu innych stojących w zaułku na północ od Hoboken.

Były to przestronne, piętrowe, drewniane budynki z przylegającymi do nich garażami, należące (jak przypuszczał Diamond) do ludzi, których jeszcze nie stać było na pierwszorzędną lokalizację z widokiem na Manhattan, ale wciąż na to liczą. Mieli gipsowe gęsi na gankach domów i maszty flagowe na trawnikach.

W ostatnim domu nie widać było świateł w oknach, była już pierwsza piętnaście w nocy. W dwóch ktoś oglądał telewizję, w pozostałych było ciemno.

Radiowóz policyjny zatrzymał się płynnie na ulicy przed rezydencją Leapmana. Diamond sięgnął do klamki i jęknął z bólu. Prawe ramię wciąż go bolało.

-

Nic z tego - oznajmił Eastland. - Miałeś dość akcji jak na jedną noc. Trzymamy się procedury. Gotowy, Stein?

Tym razem Diamond został posłusznie w samochodzie i obserwował, jak ostrożnie, z wyciągniętymi rewolwerami, podchodzą do budynku. Przy drzwiach frontowych Stein nacisnął

dzwonek, stając dość daleko z boku, zapewne mając na uwadze gliny zastrzelonych przez drzwi.

Dzwonek słychać było na ulicy.

Nie zapaliło się żadne światło.

Eastland ruszył wzdłuż budynku, pozostawiając na ganku Steina bezskutecznie naciskającego dzwonek.

Pojawiło się światło, ale była to tylko latarka Eastlanda poruszająca się nieregularnie przy drugim boku domu, koło wjazdu do garażu. Zaświecił nią przez okno pokoju od frontu i gestem przywołał

Steina do siebie. Stali razem, patrząc do wnętrza przez czas, który dla Diamonda trwał nieznośnie długo.

-

Mam tego dość - oświadczył kierowcy - Coś zobaczyli. Idę tam.

Wysiadanie z samochodu po raz kolejny w nieprzyjemny sposób przypomniało mu o ciężkich doświadczeniach, na jakie naraził swoje ciało tej nocy. Nie było mowy, by zwinnie jak kot przemknął przez podjazd. Pokuśtykał.

Porucznik Eastland odwrócił się i ruszył w jego stronę.

-

Co znaleźliście? - zapytał Diamond, ale Eastland minął go i zaczął rozmawiać przez radio w samochodzie.

-

Co tam jest? - zwrócił się z kolei do Steina, ale pytanie było zbyteczne.

Frontowy pokój Michaela Leapmana wyglądał, jakby znalazł się na drodze szarżujących bizonów.

Promień latarki wydobył z mroku przewrócony na sofę regał i rozrzucone wokół książki i bibeloty.

Rozbity telewizor był przewrócony ekranem do góry. Na stole leżało krzesło.

-

Jest tam?

-

Nic nie widać - odpowiedział Stein, wciąż trzymając w ręku rewolwer. - Nic wiemy.

-

Nie powinniśmy tam wejść?

-

Porucznik prosi o wsparcie.

-

Mogę mu je zapewnić. Sprawdziliście wszystkie drzwi? Okna?

-

Nie zrozum mnie źle, ale chyba nic będzie chciał twojego wsparcia.

-

Dlaczego?

-

Masz spluwę?

-

Nie.

Stein wzruszył ramionami, wyraźnie dając do zrozumienia, że on też nie chciałby pomocy faceta bez spluwy.

-

Są jakieś ślady włamania? - wypytywał dalej Diamond.

-

Nie.

Eastland wrócił i oświadczył, że zespół jest już w drodze.

-

Esy mogą wciąż być w środku. Nie chcę ryzykować.

Diamond poczekał na okazję, by przysunąć się bliżej sierżanta Steina, od którego dowiedział się, że „es” oznacza sprawcę. Wspólny język miewa swoje zagadki.

Furgonetka przyjechała po sześciu minutach, nieco później jeszcze dwa inne samochody. Wokół domu rozstawiono uzbrojonych ludzi. Rozmieszczono reflektory. Byli też przewodnicy z psami i mężczyźni w białych kombinezonach, którzy porozmawiali krótko z East-landem, a następnie wyłamali drzwi i weszli do środka.

Diamond stał koło Eastlanda i słuchał nadchodzących przez radio meldunków z przeszukania wnętrza. Dowiedzieli się, że w domu nikogo nie ma, ale znaleziono kolejne ślady przemocy, w tym także plamy krwi na ścianie w rogu salonu. Sznur telefonu wyrwano z gniazdka, sam aparat leżał na podłodze. Były na nim krwawe odciski palców, nieopodal znaleziono zakiwawiony kij do baseballu.

-

Wygląda na to, że ktoś korzystał z telefonu po tym, jak ofiara została uderzona - zameldował głos.

-

Albo próbował - zauważył Eastland. - Sprawdziliście już wszystkie pokoje?

-

Tak. Nigdzie nie ma nieporządku, poza salonem. To nie wygląda na rabunek, poruczniku.

Szuflady i szafy są zamknięte.

Po kilku trzaskach i szumach rozległ się głos innego policjanta przeszukującego dom.

-

Nie założyłbym się. W garażu nie ma jego samochodu.

-

Zabrali samochód - powiedział Eastland. Odwrócił się do Steina i poprosił go o sprawdzenie w komputerze numerów rejestracyjnych samochodu Leapmana.

Diamond aż jęknął.

-

Czy teraz możemy sami się rozejrzeć?

-

Jeszcze nie. Najpierw muszą popracować technicy z kryminalistyki.

-

Kiedy przyjadą? Posłuchaj, nie proszę o to, żebyśmy łazili po pokoju, w którym nastąpił

atak. Chciałbym obejrzeć pozostałą część domu.

-

O co ci właściwie chodzi? - spytał Eastland. - Nie jesteś zadowolony z przeszukania?

-

Po prostu chciałem sam popatrzeć.

-

Nie ma żadnego dowodu, że sprawcy byli gdziekolwiek poza salonem.

Pozwolono Diamondowi wejść do wnętrza dopiero godzinę i dwadzieścia minut później, po zakończeniu pracy techników. Diamondowi przyszło do głowy, że Eastland odgrywa się na nim za to, że pozwolił sobie na zbyt wiele na miejscu zbrodni w hotelu Firbank, ale zapewne się mylił.

Amerykanie mieli swoje procedury i ściśle się ich trzymali. Mimo to czuł się urażony, gdy dręczony podejrzeniami kuśtykał po podjeździe.

Nie był pewien, czy coś znajdzie i co to ewentualnie będzie. Po prostu czuł, że kieruje nim jakaś wewnętrzna siła. Być może, pomyślał, wziął sobie do serca radę bibliotekarza, by uwolnić szósty zmysł, prawą półkulę mózgu albo coś innego, o czym ten facet chrząknął. Błędym światem niełatwo było sobie to przypomnieć.

W końcu zespół techniczny przekazał wiadomość, że można już obejrzeć cały dom poza salonem.

Diamond zostawił tenisówki na progu i wszedł do środka z Eastlandem.

-

Szukasz śladów dziecka, prawda? - zapytał porucznik.

-

Staram się mieć otwarty umysł.

-

Tak?

W całym domu paliły się światła. Mieszkanie biznesmena kawalera wyglądało bardziej jak ekspozycja mebli niż prawdziwy dom. Leapman wydawał się miłośnikiem porządku, lubił jasny dąb oraz

przygaszone kolory. Każdy mebel spełniał określoną funkcję. Ozdób było niewiele i na pewno

żadnego nieporządku.

-

Chcesz zacząć od góry? - zasugerował Eastland.

-

Od sypialni.

Diamondem kierował nie tylko szósty zmysł. Jeśli Naomi była tu przetrzymywana, najprawdopodobniej zamknięto ją w pokoju, w którym nie mogliby jej zobaczyć sąsiedzi.

Na piętrze zajrzeli do kilku pomieszczeń, starając się zorientować w ich rozkładzie. Uwagę Diamonda zwrócił pokój gościnny. Był niewielki i wychodził na tyły domu. Nie było w nim jednak niczego, co wskazywałoby, że ktoś w nim mieszkał. Kołdra leżała równiutko na łóżku, poduszka była gładka. Eastland dokładnie zbadał bielizniarkę i jedynym jego znaleziskiem była zapasowa pościel w dolnej szufladzie.

-

Zadowolony? - zapytał Diamonda.

-

Prawie.

Teraz kierowała nim intuicja, rozbudzona tym, co usłyszał od Julii Musgrave.

-

Autystyczne dzieci lubią chować różne rzeczy - zwrócił się do Eastlanda. - Zabawki, i tak dalej, przedmioty, które sobie cenią. Jeżeli mam rację, być może posłużyła się kryjówką, z jakiej lubiła korzystać w innym miejscu. - Kucnął przy łóżku. - Ostatnim razem to było z tej strony. -

Wsunął dłoń między materac a pokrycie sprężyn, doświadczając emocji niewiele mniejszych niż te, które zapewne czuł lord Carnarvon, otwierając grób Tutanchamona. Czubkami palców dotknął

jakiegoś przedmiotu. Wyciągnął go z triumfem - długopis.

-

Jestem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przekonany, że Naomi tu była.

-

Wiedziałaś, że go tam znajdziesz? - spytał Eastland.

Uszczęśliwiony Diamond zaryzykował kolejną kontuzję poobijanego ciała i odwinął materac.

Może rzeczywiście coś jest w intuicji, ale szczęśliwy traf to zmyłka. Pod materacem nie było bloku rysunkowego, a nawet pojedynczego arkusza papieru.

Powód do radości: Naomi żyje - albo przynajmniej żyła w momencie, gdy chowała długopis.

Powód do niepokoju: trop znowu wystygł. Nie sposób powiedzieć, gdzie ją teraz ukryto. Badania kryminalistyczne mogą dostarczyć jakichś poszlak, ale ustalenia zawsze zajmowały facetom w białych fartuchach wiele dni.

-

Czy sierżant Stein dowiedział się czegoś o ukradzionym samochodzie? - spytał Eastlanda.

-

Wozie Leapmana? To granatowy chevy citation. Dostaliśmy z centrali jego numery rejestracyjne. Maje już każdy radiowóz w Nowym Jorku.

Nic już ich tu dalej nic zatrzymywało. Wiedząc, że padnie, jeżeli natychmiast się nie zdrzemnie, Diamond poprosił, żeby podrzucili go do hotelu.

Rozdział 29

Można się tylko domyślać, co poczuł następnego ranka porucznik Eastland, kiedy przyszedł do pracy i zastał swój gabinet zajęty przez Petera Diamonda, ubranego jedynie w niezapiętą koszulę i bokserki. Gruby Anglik stał, przyciskając ramieniem słuchawkę do tłustego policzka. Na biurku leżały sterty ubrań - niektóre były niedawno zdjęte, inne najwyraźniej przyniesiono z pralni. Sądząc po leżących w nieładzie książkach telefonicznych, notesach, długopisach i pogniecionych chusteczkach higienicznych, Diamond przebywał tu już dość długo.

-

Na początek wołowina - mówił. - Macie wołowinę?... Dobra. Co jeszcze? Może wątróbkę.

Jagnięcina, owszem... Tyle ile zdołacie w krótkim terminie... Doskonale. Kiedy?... Boże, daj cierpliwość! Mówię o dzisiejszym lunchu... Tak, dzisiaj.... Dobra, wiem, że zrobicie. Zadzwoń jeszcze raz koło południa... W takim razie o pierwszej. Nic później. - Odłożył słuchawkę. - Dzień dobry, poruczniku. Zaspał pan?

Eastland spojrział na niego szklanym wzrokiem. Powieki miał zaczerwienione.

-

Moje ubranie wróciło - poinformował go Diamond.

-
Widzę.

-
Najwyższa pora, żeby pojechać do Sheraton Center.

-
To chyba był kiedyś mój gabinet - powiedział Eastland.

-
Konferencja zaczyna się o jedenastej - oświadczył Diamond tym samym dziarskim tonem.

-
Konferencja?

-
Manfleksu. Pamięta pan? Wielka konferencja, podczas której ujawnią cudowny lek. Będą na niej David Flexner i profesor Churchward. Musimy na niej być.

-
Co to znaczy: my?

-
Ty i ja. Jeżeli chcesz, także sierżant Stein.

Eastland przesunął czubkami palców po policzkach, jakby sprawdzając, czy się ogolił.

-
Powiedział pan w Sheraton Center?

-
Róg Siódmej Alei i Pięćdziesiątej Trzeciej.

-
Wiem, gdzie jest Sheraton - warknął Eastland.

-

No to niech się pan ruszy.

-

Diamond, odznacza się pan finezją obrzynu.

Na korzyść Eastlanda należy zapisać, że nie widział jeszcze Diamonda tak ożywionego. Anglika nie sposób było powstrzymać. Trzy minuty później siedzieli w samochodzie zmierzającym do śródmieścia.

-

Zastanawiałem się nad paroma sprawami - oznajmił Diamond, jakby starając się wytłumaczyć swoją nagłą przemianę. - Wczoraj w nocy sceneria w domu Leapmana wydawała mi się całkiem sztuczna.

-

Sztuczna?

-

No to, co tam znaleźliśmy.

-

Długopis?

Diamond spojrzał na porucznika ze zdziwieniem.

-

Nie. Długopis był w porządku. To autentyczne znalezisko. Rzecz w tym, że wszystko inne było nie tak.

-

Na przykład?

-

Zniszczenia w pokoju od frontu. Na pierwszy rzut oka robiły wrażenie, jakby stoczono w nim walkę, ale jakie to były konkretnie zniszczenia? Rozbity ekran telewizora. Regał przewrócony na sofę, kilka rozrzuconych książek i drobiazgów, przewrócone krzesło na stole i to wszystko.

-

Sznur telefonu wyciągnięty z gniazdka - przypomniał Eastland.

-
Zgadza się, ale sam aparat nie był uszkodzony. W moim odczuciu sprawiało to wrażenie, jakby wszystko zainscenizował dość pedantyczny właściciel, który nie chciał niszczyć własnego salonu bardziej niż to konieczne.

-
Uważa pan, że wszystko zostało sfingowane?

-
Uważam to za bardziej niż prawdopodobne.

-
Nie zapomniał pan o śladach krwi?

-
Nic, nie zapomniałem. Po pierwsze trzeba wziąć pod uwagę stan sypialni, w której przetrzymywano dziecko. Nieskazitelny, poza długopisem. Nie ma żadnego dowodu, że Naomi kiedykolwiek tam była. Nie znaleźliśmy nawet włoska na poduszce. Czy nie oczekiwaliby pan jakichś śladów, że zabrano ją stamtąd w pośpiechu?

-
Może była już na dole, kiedy doszło do walki - zasugerował Eastland.

-
W płaszczu i bucikach? Nie było ich w domu.

-
Ten, kto zabrał dziecko, musiał zabrać jej rzeczy.

-
Wziął je zakrwawionymi rękami i pomógł włożyć? Czy to brzmi prawdopodobnie?

-
Zna pan lepsze wytłumaczenie? - spytał Eastland.

-
A poza tym sprawa samochodu - ciągnął dalej Diamond, jakby nie słysząc pytania. - W jaki sposób

napastnik... jak go nazywacie, es? dotarł do Leapmana. Na piechotę? Bo jeżeli przyjechał samochodem, to gdzie jest jego wóz, przecież nie mógł odjechać po napadzie dwoma samochodami.

-

Wystarczą sprawcy – upierał się Eastland. – Jeden prowadził ich samochód, drugi Leapmana.

-

I zabrał Leapmana ze sobą?

-

Tak.

-

No dobra - dlaczego musiał zabrać nie tylko dziecko, ale i Leapmana?

-

Może go zabili. Krwi jest z całą pewnością wystarczająco dużo. Potem pozbyli się ciała.

-

Żeby utrudnić dochodzenie?

-

Tak - odparł Eastland. - Zanieśli go do garażu, zapakowali do samochodu, następnie otworzyli drzwi garażu i wyjechali ze zwłokami w bagażniku. Dzięki temu uniknęli wychodzenia z nim na ulicę, gdzie sąsiedzi mogliby ich zobaczyć.

-

Tak pan to widzi?

-

A jest lepsze wytłumaczenie? - zapytał znowu Eastland.

-

Cofnijmy się nieco w czasie - zaproponował Diamond. - Leapman niewątpliwie w pewnym momencie wziął dziecko do siebie do domu. Znaleźliśmy długopis tam, gdzie powiedziałem, że będzie. Zgadza się w tej kwestii, prawda?

-
Aha.

-
A teraz spójrzmy na to z punktu widzenia Leapmana. Wczoraj, kiedy David Flexner umawiał się ze mną na przystani promu, Leapman usłyszał to. Albo gabinet, albo telefon były na podsłuchu. Ma powiązania z zorganizowaną przestępczością, ostrzegł więc swoich przyjaciół

bandziorów i poprosił, żeby mnie przechwycili i zlikwidowali. Sam wywołał alarm przeciwpożarowy w centrali Manfleksu, żeby opóźnić Davida Flexnera. Czy to sensowna interpretacja znanych nam faktów?

-
Niewykluczone.

-
Niewykluczone? Wrzucono mnie do rzeki. Nie ma pan chyba zamiaru tego kwestionować?

-
Nie, nie mam.

-
Leapman musiał uwierzyć, że nie żyję, ale nadal miał problem, ponieważ tej samej nocy wy

- gliny - wezwaliście Davida Flexnera na przesłuchanie. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób powiązaliście fakty, ale wiedział, jakie to niebezpieczne. Wszystko zaczynało skupiać na nim. A on we własnym domu przetrzymywał Naomi.

Eastland zaczął łapać tok myślenia Diamonda.

-Nic chciał, żeby gliny go odwiedziły. To nie był dobry moment, żeby dać się aresztować.

-
Słusznie. Jeżeli zamierza zarobić na PDM3, konferencja musi się odbyć. Rozumie pan?

Eastland wzruszył ramionami i odparł:

-
Powiedzmy, że uważnie służyłem.

-
A teraz dalej. Leapman nie ma nic do powiedzenia w sprawie PDM3. Jest tylko wiceprezesem. Jego pojawienie się na konferencji nie jest absolutnie konieczne. David Flexner i profesor mogą dać sobie radę. Jedyne, co mogłoby popsuć święto - wielki wzrost wartości jego akcji - to wizyta gliniarzy i odkrycie, że ma dziewczynkę. To byłaby katastrofa.

-
A więc?

-
Organizuje własne zniknięcie. Zabiera dziecko ze sobą, nie zostawiając żadnych dowodów, że było u niego w domu. Najpierw ubiera Naomi i wsadzają do samochodu. Następnie porządkuje jej pokój tak, że nikt nie zgadnie, że kiedykolwiek w nim przebywała.

-
Ale pan był wystarczająco sprytny, żeby zajrzeć pod materac - powiedział Eastland bezbarwnym tonem, który nie był wprawdzie kpiący, ale nie można go było także uznać za pełen uznania.

Diamond zmrużył oczy, jedno z nich zabolalo. Wciąż było podsiniaczone i opuchnięte. Czuł, że Eastland się z niego nabija, ale nie dał się zbić z tropu.

-
Potem inscenizuje napad. Przewraca kilka mebli i rozbija ekran telewizora.

-
A co z krwią? To był ketchup?

-
Nie.

-
Sam się zranił?

-
Nie wiem.

-
No to mamy problem.

Na jakiś czas zapadła cisza. Diamond musiał złapać oddech, Eastland szykował się do obalenia jego teorii.

-

Znalazł pan jeden długopis i zbudował z tego cholernie skomplikowany scenariusz -

powiedział w końcu. - Krótko mówiąc, uważa pan, że Leapman sam przygotował to pobojuwisko.

Mieliśmy dojść do wniosku, że został pobity i zapewne zamordowany?

-

Tak. Moim zdaniem przekonacie się, że są tam tylko jego odciski palców. Zapewne kiedy brał do ręki kij baseballowy i telefon, miał na sobie rękawiczki.

Eastland nieoczekiwanie przyszedł mu z pomocą.

-

Rzeczywiście ten, kto dotykał tych przedmiotów, nosił rękawiczki. To zdołaliśmy ustalić.

Uważa pan więc, że Leapman jest żywy i zdrowy? Wyjechał z dzieckiem jakiś czas przed naszym przyjazdem?

-

Tak.

-

Dokąd?

-

Nie mam pojęcia, ale przynajmniej wiemy, kogo szukać. Można rozesłać rysopis.

-

Puściliśmy w obieg szczegóły ubiegłej nocy - odparł Eastland, ziewając.

-

Nic było odpowiedzi?

-

Żadnej.

Diamondowi nie trzeba było wyjaśniać problemów z odnajdywaniem samochodów w Nowym Jorku.

-

I co pan o tym sądzi?

-

O czym? - odpowiedział pytaniem Eastland.

-

O tym, co właśnie przedstawiłem?

-

Nie kupuję tego.

I już.

Przyjechali do Sheraton Center i wjechali windą na drugie piętro razem z grupą ludzi z identyfikatorami, zaopatrzonymi w logo Manfleksu. Konferencja miała się odbyć w apartamencie georgiańskim. Młode kobiety w czerwonych marynarkach i białych spódniczkach rozdawały teczki informacyjne. Diamond wziął jedną i z ponurą satysfakcją zobaczył, że dołączono do niej informację o zaistniałej zmianie: „Pan wiceprezes Michael Leapman nie będzie przewodniczyć konferencji z udziałem profesora Churchwarda. Jego miejsce zajmie prezes Manfleksu, pan David Flexner”.

Siedzący skromnie z tyłu Diamond i Eastland zauważyli wchodzącego Davida Flexnera i towarzyszącego mu profesora, ubranego w brązowy garnitur szczupłego mężczyznę z krótko przyciętymi włosami, który usiadł na krześle koło podium. Pierwszy zabrał głos David Flexner.

Przemawiał do dużego audytorium bez tremy, jakby niepokój minionych dwudziestu czterech godzin nie wywarł na nim żadnego wrażenia. Po powitaniu wszystkich, przedstawił krótko historię Manfleksu pod kierownictwem swojego ojca, wymieniając główne lekarstwa, z których firma była znana. Kilku spóźnialskich wciąż szukało swoich miejsc, wiele osób na widowni rozglądało się, by sprawdzić, czy zobaczą znajome twarze.

Przy akompaniamencie uprzejmych oklasków mężczyzna w brązowym garniturze został

przedstawiony jako profesor Alaric Churchward. Błady i chudy, bardzo opanowany, przez kilka sekund przyglądał się słuchaczom przenikliwymi niebieskimi oczami, by wreszcie rozpocząć od przykuwającego uwagę oświadczenia. Mniej więcej cztery miliony Amerykanów, stwierdził, nie są w stanie przypomnieć sobie nazwisk przyjaciół i krewnych. Nie potrafią nazwać codziennych przedmiotów, takich jak stoły czy krzesła. Są to chorzy na chorobę Alzheimera, a znajdują się wśród nich także ludzie, którzy wykonują odpowiedzialne i wymagające prace. Lista ofiar alzheimera robiła wrażenie i przynębiała. Była na niej aktorka Rita Hayworth, reżyser Otto Preminger, autor powieści sensacyjnych Ross Macdonald i malarz Norman Rockwell. Przyczyny choroby są nieznane i

prawdopodobnie na jej rozwój ma wpływ kilka różnych sektorów mózgu.

Uczeni całego świata od piętnastu lat pracują intensywnie, aby znaleźć skuteczną terapię.

Podsumował główne cele badań, sygnalizując zarazem pojawienie się czegoś nowego i rewolucyjnego. Stwierdził, że większość prac koncentrowała się na znalezieniu metod zwiększenia dostarczania do mózgu acetylocholino, która ma ogromny i tajemniczy wpływ na funkcjonowanie pamięci. Ustalono bowiem, że po zapadnięciu na chorobę Alzheimera dopływ do mózgu tego związku chemicznego zmniejsza się gwałtownie.

Następnie Churchward oświadczył, że zastosował własne, odmienne metody badawcze (w tym momencie na widowni pojawiło się jeszcze więcej piór i włączono dyktafony), którego obiektem stały się same komórki nerwowe. Przez dwanaście lat zespoły naukowców, pracujące pod jego kierunkiem w Ameryce, Europie i Azji, prowadziły doświadczenia na zwierzętach w celu ustalenia skuteczności pewnych związków w roli środka ochronnego, który powodowałby opóźnienie, a nawet uniemożliwienie śmierci komórek nerwowych. W ostatnich ośmiu latach ich prace koncentrowały się na związku znanym jako prodermolate albo PDM3, który okazał się czymś więcej niż tylko środkiem ochronnym.

Alaric Churchward był niezłym showmanem. Kiedy doszedł do swojego produktu, nie pozwolił, by napięcie opadło - zaprezentował bowiem film przedstawiający kilku chorych na alzheimera, którymi zajmował się pięć lat wcześniej, przed rozpoczęciem podawania PDM3.

Widoczni na ekranie speszeni pacjenci, których pytano o to, jaki jest miesiąc, kiedy się urodzili i kto jest aktualnym prezydentem Stanów Zjednoczonych, nie byli wyłącznie osobami w podeszłym wieku, kojarzonym przez Petera Diamonda z tą chorobą. Byli wśród nich czterdziestosiedmioletnia kobieta i pięćdziesięciodwuletni mężczyzna, choć istotnie pozostali mieli ponad sześćdziesiąt pięć lat. Widok ludzi o inteligentnym wyglądzie, którzy nie potrafią przypomnieć sobie podstawowych faktów, był bardzo przykry. Szczególnie wstrząsające wrażenie zrobili dwaj mężczyźni. Ze złością żądali, by im powiedziano, kim właściwie są i skąd się tu wzięli.

-

Przypuszczam, że to jest „przed” - powiedział Eastland do Diamonda.

-

Przed czym? Nie sędzę. A, rozumiem, o co panu chodzi. - Anglik wciągnął się w treść filmu i reagował trochę nieprzytomnie. Żałośni ludzie poruszyli go bardziej, niż się spodziewał.

Stopniowa utrata pamięci była jego własnym podświadomym lękiem i bez trudu potrafił się wczuć w ich tragiczne położenie.

Kiedy włączono światła, profesor dość szczegółowo opowiedział o PDM3. Był to techniczny wykład pełen naukowej terminologii, którą Diamond przyjmował z coraz większym trudem.

Wrócił w myślach do przejmujących scen, przedstawiających chorych na alzheimera.

Nagle światła w sali znowu zgasły i rozpoczęła się projekcja następnej części filmu z rozmowami „później”. Zapowiadając je, Chur-chward wyjaśnił, że niektórzy ochotnicy (konsekwentnie używał tego określenia, a nie pacjenci czy badani) otrzymali PDM3, a niektórzy, stanowiący grupę kontrolną, placebo.

Film był bardzo wymowny. Zmiany u osób, które otrzymywały lek, były porażające. Nie tylko odpowiadali na pytania, które poprzednio były dla nich zbyt trudne, ale także bez żadnej zachęty relacjonowali pozytywne zmiany w swoim życiu. Mogli się sami ubierać, chodzić na spacer, robić zakupy, pisać listy. W standardowym teście słownikowym osiągnęli przeciętnie siedmiopunktową poprawę wyników. Rezultaty te w okrutny sposób kontrastowały z systematycznym pogarszaniem się stanu osób, którym podawano placebo. Diamondowi, cynicznie traktującemu wszelkie reklamowe opowieści, trudno było pozostawać obojętnym i nie pragnąć, aby każdemu z tych smutnych, o tępiących ludzi podano lekarstwo.

Zgrabny coup de theatre nastąpił, gdy zapaliły się światła i zobaczono, że do Churchwarda dołączyli kobieta oraz mężczyzna. Profesor przedstawił ich jako ludzi, którzy wystąpili w filmie, ochotników, przyjmujących PDM3. Każde z nich klarownie odpowiedziało na dwa lub trzy pytania i potwierdziło poprawę pamięci oraz koncentracji. Zeszli z podium przy spontanicznych oklaskach.

Potem David Flexner ponownie przejął prowadzenie spotkania. Poprosił o pytania.

Brodaty mężczyzna w jednym z pierwszych rzędów zwrócił uwagę, że niektóre leki opatentowane przez inne firmy farmaceutyczne również przynosiły znaczną poprawę stanu chorych na alzheimera, ale ich działanie okazało się krótkotrwałe. Po dwóch latach następował nawrót choroby. Zakończył pytaniem, czy istnieje realna możliwość, że PDM3 jest w stanie zapewnić trwały charakter poprawy.

Churchward odpowiedział na pytanie tak gładko, że można było podejrzewać, iż zostało ono ustalone przed konferencją i być może tak było rzeczywiście.

-

Oczywiście, znam produkty, o których pan mówi, i zgadzam się, że nie sprawdziły się jako leki o długotrwałym działaniu. Zgodnie z moją wiedzą prowadzone są badania sześciu lekarstw, które mają pobudzać układ cholenergiczny wytwarzający acetylocholinę. Nie podlega dyskusji, że osiągnięto pewien sukces. Niestety, jak pan zasugerował, czas działania tych leków jest bardzo ograniczony. Wydaje się, że za powód takiego stanu rzeczy — i jest to moja osobista opinia -

można uważać fakt, iż komórki nerwowe produkujące acetylocholinę nadal obumierają. Nasza terapia, przy zastosowaniu PDM3, jest całkowicie odmienna, ponieważ w istocie regenerujemy te komórki. Nasze doświadczenia prowadzone w Indianie i w innych ośrodkach w Tokio i Londynie są prowadzone od siedmiu lat i nie zaobserwowano znaczącego pogorszenia. Oczywiście, pacjenci się starzeją - nie zapominajmy, że mamy do czynienia głównie z osobami geriatrycznymi - ale nasze testy i wywiady są niezmiennie zachęcające. Oczywiście dysponujemy dokumentacją, którą niektórzy z

moich kolegów przedstawią dziś po południu. Następne pytanie, proszę.

Kobieta siedząca na prawo od Diamonda zainteresowała się, czy odnotowano jakieś niekorzystne reakcje na PDM3.

-

Niezwykle mało - odparł Churchward. - Każdy lek wywołuje pewne niepożądane reakcje, ale w tym przypadku są one znikome. Większość ochotników nie informowała o nieprzewidzianych skutkach.

-

Może zapomnieli - mruknął Diamond do Eastlanda. Uwaga była niepoważna, ale coraz bardziej irytowała go gładkość, z jaką przebiegała prezentacja Churchwarda.

-

Mniej niż dwadzieścia procent naszych ochotników informowało o lekkich zawrotach głowy, ale zjawisko to wyjątkowo trudno poddaje się ocenie, a poza tym było krótkotrwałe. Zresztą

- dodał Churchward - pięć procent osób otrzymujących placebo także skarżyło się na zawroty głowy.

Diamond pochylił się do Eastlanda i powiedział mu szeptem, że idzie zatelefonować. Być może zabrzmiało to jak wymówka palacza, który chce puścić szybkiego dymka na zewnątrz, ale była to prawda. Siedział w fotelu najbliżej przejścia i mógł wyjść, nie przeszkadzając nikomu.

Kiedy wrócił po dziesięciu minutach, pytania i odpowiedzi trwały. Ktoś zapytał, czy PDM3 można nazwać „lekiem na inteligencję”.

-

Nie jest to określenie, jakiego użyłby poważny biochemik, proszę pani - odparł Churchward

- ale wiem, co ma pani na myśli, i rzeczywiście, dotknęła pani sprawy o istotnym znaczeniu.

Ocenia się, że do dziesięciu tysięcy zdrowych Amerykanów przyjmuje codziennie leki, oczekując, że zwiększy to ich zdolności umysłowe. Można je nazwać wzmacniaczami kognitywnymi czy lekami na inteligencję, ale rzecz w tym, że ich działanie nie jest jeszcze udowodnione. Czytałem gdzieś, że trwają prace aż nad 160 wzmacniaczami kognitywnymi, wiele z nich to środki rozszerzające naczynia krwionośne. Czy jest dla pani jasne, co chcę przez to powiedzieć? Środki te rozszerzają naczynia krwionośne, zwiększając dopływ krwi do mózgu. Jeżeli jednak jest on normalny, nie ma dowodu, że specyfiki te czynią kogokolwiek choć odrobinę mądrzejszym. Muszę jednak zostać przekonany, że jakikolwiek tak zwany lek na inteligencję jest skuteczny. Ale...

Profesor przerwał, uśmiechnął się lekko i niczym kaznodzieja pragnący skupić uwagę zebranych pochylił się do przodu, unosząc do góry palec. Nie musiał się trudzić, ponieważ wszyscy słuchali go w skupieniu.

-
...PDM3 stwarza fascynujące możliwości. Dziś po południu przedstawię państwu szczegóły ograniczonego eksperymentu, który podjęliśmy z udziałem grupy studentów ochotników.

Powszechnie wiadomo, że niektórzy wyjątkowo inteligentni ludzie mają złą pamięć. Podaliśmy PDM3 dwudziestu studentom na studiach licencjackich uniwersytetu Croydon w Indianapolis.

Troje z nich systematycznie osiągało wyniki poniżej przeciętnej w testach pamięciowych i nie ma wątpliwości, że lek w znaczny sposób poprawił ich mentalne możliwości. Nie mówimy tu o roztargnionych staruszkach. To coś innego. A teraz... - Churchward złożył ramiona na piersi i przez chwilę trzymał wszystkich w napięciu - ...chcę zrobić krok do przodu. W fazie trzeciej naszych testów zamierzam zbadać podczas zakrojonego na szeroką skalę doświadczenia zdolność tego niezwykłego leku do regenerowania i przedłużania umysłowych zdolności zwykłych ludzi. Jeżeli nasze wstępne ustalenia są prawdziwe, konsekwencje - dla pojedynczych osób, dla społeczeństwa jako całości, dla gospodarki, dobrobytu naszego kraju, postępu ludzkości - są prawdziwie...

-
Oszłamiające? - podrzuciła słowo pytająca.

Churchward się uśmiechnął.

-
Pragnę powiedzieć, że nikt przyjmujący PDM3 nie ryzykuje oszołomienia. Ale owszem, trudno sobie wyobrazić potencjalne znaczenie takiego odkrycia.

Wydawało się to dobrym akcentem na zakończenie albo tak przynajmniej uznał David Flexner, ponieważ sięgnął po mikrofon.

-
O ile nie ma innych pytań, panie i panowie...

-
Przepraszam, mam jeszcze jedno, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Peter Diamond wstał nagle. Początkowo nie zamierzał wtrącać się publicznie i nie uzgodnił tego z porucznikiem Eastlandem (który mruknął „O Jezu!”). Dopiero kilka minut temu podjął decyzję, by oddać salwę przed dziób tak doskonale zabezpieczonych mężczyzn na podium. Wywołanie odruchu strachu w momencie, kiedy sądzili, że całkowicie panują nad sytuacją, mogło ich spłoszyć i sprowokować do ujawnienia czegoś naprawdę istotnego... jeżeli są w to zamieszani.

-

Konferencji miał przewodniczyć pan Michael Leapman. Co oznacza jego nieobecność?

Flexner dotknął dłonią swoich długich włosów i przeczesał je palcami.

-

Pan Leapman jest, eeee.... Proszę mi wybaczyć, ale to sprawa organizacyjna. Nie sądzę, by miała jakiś związek z tym, co usłyszeliśmy.

-

Ależ ma - upierał się Diamond. - Powszechnie wiadomo, że pan Leapman jest bardzo silnie kojarzony z tym lekiem. Promował go aktywnie w pańskiej firmie. Jest bardziej niż ktokolwiek odpowiedzialny za zwołanie tej konferencji, za decyzję o przejściu do trzeciej fazy testów. Ale nie ma go tutaj. Jak mamy to rozumieć, panie Flexner? Czy to oznacza, że Michael Leapman zniechęcił się do projektu?

Flexner gapił się na niego.

-

Przepraszam, czy mógłby pan powiedzieć, kogo pan reprezentuje?

-

Nazywam się Diamond.

To proste oświadczenie wywarło odpowiedni skutek. Ludzie nie powstają z martwych zbyt często, a Davida Flexnera nie poinformowano, że Diamond przeżył kąpiel w rzece Hudson. Włosy nie stanęły mu dęba, ale pod każdym innym względem prezes Manfleksu robił wrażenie człowieka, który zobaczył ducha.

Aby dać mu szansę na odzyskanie głosu, Diamond oświadczył:

-

Lepiej przedstawię się we właściwy sposób. Jestem detektywem współpracującym ze znanym panu porucznikiem Eastlandem z komendy policji w Nowym Jorku. Siedzi obok mnie, jeżeli go pan nie zauważył. Moje pytanie dotyczyło pana Leapmana. Jak pan bez wątplenia wie, pan Leapman zaginął. Sądzę, że pańscy słuchacze mają prawo poznać okoliczności.

Flexner był bledszy od widma.

-

To nie ma znaczenia - zdołał wykrztusić.

Churchward wstał i powiedział coś do Flexnera. Stał tak blisko mikrofonu, że usłyszano go w całej sali.

-

Zakończ to szybko.

Ale nikt inny nie zdradzał ochoty, by wyjść. Diamond stwierdził:

-

Być może wolelibyście panowie zakończyć konferencję szybko, ale jeżeli to zrobicie, nie wyrze to na nas dobrego wrażenia. Pan Michael Leapman zniknął ze swojego domu w tajemniczych okolicznościach. W jego mieszkaniu w New Jersey dokonano pewnych zniszczeń. Są ślady walki. Przewrócone meble. Plamy krwi. Nie ma jego samochodu. Sądzę, że dowiedzieliście się panowie o tym, kiedy próbowaliście zadzwonić do niego dzisiaj rano.

Wydawało się, że Flexner skinął głową.

Widząc, że prezesowi brakuje słów, profesor Churchward sięgnął po mikrofon i rzekł:

-

To konferencja naukowa, a nie śledztwo policyjne. Przykro nam słyszeć o ataku na Michaela, ale z całym szacunkiem sprawa ta nie ma związku z omawianymi dziś sprawami.

Diamond zareagował natychmiast:

-

Sądzę, że jest pan w błędzie. Założył pan, że to pan Leapman był ofiarą ataku.

-

Przecież właśnie pan to powiedział - oznajmił Churchward.

-

Nie, profesorze, opisałem wnętrze jego domu. Istnieją dowody, że napad został sfingowany.

Rozległy się stłumione okrzyki. Wszyscy odwrócili się, by usłyszeć, co mówi Diamond.

-

Wygląd miejsca budził we mnie wątpliwości, dlatego poprosiłem laboratorium medycyny sądowej, aby sprawdziło znalezione ślady krwi. Kilka minut temu zadzwoniłem, aby poznać wyniki. - Delektując się chwilą, znalazł złośliwy sposób jej przedłużenia. - Ponieważ jest tu obecnych wielu

naukowców, zapewne zainteresuje państwa, że sprawdzanie, czy krew jest ludzka, polega na rozcieńczeniu jej i łączeniu z surowicą zwierzęcą. Powinna wówczas zajść reakcja pomiędzy ludzkimi proteinami a surowicą zwierzęcą. Powstają białe linie. W tym przypadku nie uzyskano żadnych białych linii. Ludzie z medycyny sądowej mają dobry zestaw surowic różnych zwierząt. - Przerwał na chwilę. W równym stopniu jak Churchward potrafił przykuć uwagę słuchaczy. - Plamy w salonie to krew bydlęca, pochodząca zapewne z wątroby cielęcej, która spośród rzeczy trzymanyh w zamrażalniku zawiera jej najwięcej. - Znowu przez chwilę czekał, pozwalając, by fakty zapadły w pamięć słuchaczy. - Dlatego jestem zmuszony zapytać, czy któryś z panów może jakoś wytłumaczyć, dlaczego pan Leapman zniknął w podejrzanych okolicznościach w tak istotnym momencie.

Tym razem Churchward zadbał, by wyłączyć mikrofon, zanim zaczął się naradzać z Flexnerem trzymającym przy ustach szklanekę wody

Diamond nadal stał.

Porucznik Eastland, nie ruszając się z miejsca, szepnął z wyrzutem:

-

Powinien mi pan najpierw o tym powiedzieć.

-

Nie było czasu.

-

To właśnie załatwiał pan dziś rano, kiedy przyszedłem do gabinetu?

-

Tak, rozmawiałem z laboratorium. Zadzwoiłem do nich przed chwilą. Test z krwią bydlęcą przeprowadzili jako pierwszy.

-

Myślałem, że zamawiasz kanapki.

David Flexner ponownie włączył mikrofon i bardzo starał się, by jego głos brzmiał spokojnie.

-

Nic nam nie wiadomo o jakichkolwiek przyczynach incydentu, o którym pan nam opowiedział. Michael Leapman przez wiele lat w chlubny i znakomity sposób piastował

stanowisko wiceprezesa. Z przykrością przyjmujemy przekazane nam informacje, ale nie widzimy żadnego związku z poruszaną w dniu dzisiejszym sprawą. Konferencja zostanie wznowiona po

lunchu. To wszystko, co mam obecnie do powiedzenia.

Prasa rzuciła się na Diamonda.

-

Zadowolony? - zapytał Eastland, kiedy Diamond ostatecznie uwolnił się od ostatnich dziennikarzy.

-

Nie jestem tu po to, żeby być zadowolony, ale by zorientować się, ile Flexner i profesor wiedzą o działalności Leapmana.

-

No i czego się pan dowiedział?

-

Przynajmniej Flexner był autentycznie speszony. Co do profesora nie jestem taki pewien.

Eastland przyznał mu rację.

-

Jest to zupełnie inny facet. Bardziej dojrzała osobowość. Myślał głównie o ograniczeniu szkód.

-

Ja też odniosłem takie wrażenie. Chłodny typ. Zawieszam wydanie wyroku w sprawie profesora Churchwarda.

-

Taki jak on nie speszyłby się nawet, gdyby na konferencję przyszedł King Kong.

-

Ale to nie znaczy, że jest winny.

-

Chce pan popatrzeć na niego jeszcze raz? Poprowadzi popołudniową sesję.

Diamond powiedział, że ma inne plany. Pod nieobecność grubych ryb ma zamiar odwiedzić siedzibę Manfleksu. Chciał się sam przekonać, czy poprzedniego wieczoru Flexner nie zataił

czegoś w sprawie doktor Yuko Masudy.

-
Nie wejdzie pan tam bez nakazu - uprzedził go Eastland. - Mają ochronę, lepszą niż więzienie stanowe.

-
Zakład?

-
Jasne.

-
W takim razie załóżmy się o cenę posiłku - zaproponował Diamond.

-
Pańskiego posiłku? Nic ma mowy.

Obaj się uśmiechnęli. Lepiej się im współpracowało od chwili, gdy wiedzieli co o sobie sądzić.

Wzmocniony zakupioną kanapką (lub dwiema) Diamond wysiadł z limuzyny i pewnym krokiem ruszył w stronę głównego wejścia do korporacji Manflex. Ochroniarz - na szczęście żaden z tych, którego widział w czasie poprzedniej wizyty - poprosił go o przepustkę.

Diamond przyznał, że jej nie ma. Posiada za to coś lepszego.

-
Co takiego?

-
Brytyjski paszport.

-
Stroi pan sobie ze mnie żarty?

-
Nie, daję wam szansę sprawdzenia mojego nazwiska. Jestem Peter Diamond.

-
Powiniennem o panu słyszeć? - zapytał ochroniarz nieco ostrożniej.

-
Cieszę się, że zadaliście to pytanie. Lepiej przemyślcie sobie odpowiedź - Diamond zerknął na identyfikator rozmówcy - strażniku Williamie Pinkowitz.

Każdy, kto walczył o dominację, wie, że używając nazwiska rozmówcy, spycha się go do defensywy.

-
Jest pan kimś z Safe Haven Security?

-
Kimś? - powtórzył zgorszonym tonem Diamond.

-
Pracuje pan dla nas?

-
Nie określiłbym tego w ten sposób, ale jesteście blisko. - Wszystko to stanowiło element w psychologicznej rozgrywce, którą prowadził już wielokrotnie w różnych okolicznościach.

-
Ale nie jest pan Amerykaninem.

-
Przecież przed chwilą powiedziałem to wyraźnie! - Pozwolił, by nieszczęśnik pomęczył się jeszcze trochę i w końcu wyjaśnił. - Safe Haven jest filią Diamond Sharp International.

-
Diamond Sharp...

-
International. Chcecie to sprawdzić u przełożonego?

Nastąpił moment wahania i ostatecznie strażnik William Pinkowitz najwyraźniej uznał, że podawanie w wątpliwość słów Petera Dia-monda jest ryzykiem, którego woli nie podejmować.

-
Tylko rzucę okiem na paszport, proszę pana.

-
Oczywiście.

-
Jest pan nadkomisarzem? - dodał tonem pełnym szacunku.

-
Dobrze wykonujecie swoją pracę, Pinkowitz. Tak trzymać. -Diamond wszedł do budynku.

Za plecami usłyszał trzask obcasów salutującego Pinkowitza.

Wysiadł z windy na dwudziestym pierwszym piętrze, z którego, jak słyszał, Manny Flexner wykonał samobójczy skok. Korytarzem szła jakaś kobieta i najwyraźniej nie należała do osób, które skromnie przechodzą obok. Mniej więcej trzydziestoletnia, ciemnowłosa, o świetnym makijażu i - nie do wiary - z loczkiem na środku czoła, zapragnęła dowiedzieć się, co tu robi facet z podbitym okiem i po-kancerowaną twarzą. Zawołała do niego, choć dzieliło ich jeszcze całe piętnaście metrów:

-
Czy mogę w czymś pomóc?

-
Gdzie znajdę dane osobowe?

-
Wszystkie są w komputerze.

-
Gdzie mógłbym, eee...?

-
Jest pan Australijczykiem?

-
Anglikiem.

-
Coś takiego! - Sprawdziła ułożenie loczka na czole. - Mam w Anglii paru serdecznych przyjaciół. A z jakiej części Anglii?

-
Z Londynu.

-
Doprawdy? Moi przyjaciele mieszkają w Welwyn Garden City. Czy to niedaleko Londynu?

-
W miarę blisko.

-
W miarę blisko.... Uwielbiam to! Ale co się panu stało. Mam nadzieję, że nie miał pan jakiejś złej przygody w naszym kraju.

-
Nie, tylko upadłem. Wszystko w porządku.

-
Nie powiedziałabym! Jest pan tu na wakacjach?

-
Prowadzę badania - odparł, znajdując sposób, żeby wrócić do sedna sprawy. Nie był

pewien, jak długo strażnik Pinkowitz będzie chciał zachować uzyskaną informację wyłącznie dla siebie. - To historia rodzinna. Pan, eee... Leapman zasugerował, żebym sięgnął do danych osobowych, by uzyskać informację o pewnym dalekim krewnym.

-
Michael Leapman? Nie ma go dzisiaj. Fatalna sprawa, prawda?

-
Absolutnie mi to nie przeszkadza. Ale gdyby pokazała mi pani, jak skorzystać z komputera...

-
Nie wiem, czy jest jakieś wolne stanowisko. Chwileczkę, coś mi przyszło do głowy.

-
Biorę pana Leapmana?

-
No tak, oczywiście!

Zgrabnie i prosto, przyjemnie prosto. Przynajmniej znowu działam, pomyślał.

Wprowadziła go do gabinetu Leapmana, który na pierwszy rzut oka zdradzał ślady długiego użytkowania. Wygodny fotel z odchylanym oparciem i wytartymi podłokietnikami. Biurko ze śladami po kubku, które najwyraźniej nie dawały się wyczyścić. Kilka wcale nie najnowszych dyrektorskich zabawek, w tym także kołyska Newtona. Diamond nie mógł się oprzeć pokusie i poruszył ją. Plakat Sztokholmu z pozawijanymi rogami. Nawet klawiatura stojącego na oddzielnym biurku komputera miała powycierane częściej używane klawisze.

Usiadł przed nią, najnowsza pomocnica włączyła zasilanie. Kiedy komputer się ładował, kobieta przeżyła atak niepewności:

-
Czy jest pan pewien, że Michael pozwolił panu zapoznać się z danymi osobowymi? Tylko kilkoro z nas zna hasło dostępu do nich.

-
Oczywiście - zapewnił ją. - Nie mam zamiaru dowiadywać się, ile ludzie zarabiają, ani w jakim jest pani wieku. Chcę tylko zasięgnąć informacji o naukowcu sponsorowanym przez Manflex.

-
Żaden problem - odparła z widoczną ulgą. - Dostęp do naukowców jest łatwiejszy niż do stałego personelu. Jakie nazwisko chciałby pan znaleźć?

-
Masuda. Doktor Yuko Masuda.

-
Nic brzmi jak angielskie.

-
Bo nie jest. Mam kuzynkę, która wyjechała do Japonii.

-
No to spróbujmy. Masuda. Mógłby je pan przeliterować?

Kiedy nazwisko pojawiło się na ekranie monitora, nadzieje Diamonda na uzyskanie nowych informacji legły w gruzach. Była tam bowiem tylko lakoniczna informacja o dwunastu latach badań.

„Nazwisko: MASUDA, dr Yuko (kobieta)

Data urodzenia:-----

Adres: Wydział Biochemii Uniwersytetu w Jokohamie, Japonia Tytuły naukowe: mgr nauk przyr., dr

Daty sponsorowania: Od: wrzesień 1979 Do: Trwa nadal

Temat badań: Śpiączka wywołana narkotykami i alkoholem

Badany lek: Sympatykomimetyczny

Publikacje: »Uszkodzenia mózgu: śpiączka i jej charakterystyki«. Praca doktorska, 1981. »Narkoza i stan śpiączki« w: »American Journal of Biochemistry«, maj 1981. »Leczenie śpiączki alkoholowej«. Referat wygłoszony na Konferencji Farmakologii Japońskiej, Tokio 1983".

-

Niezbyt wiele — poskarżył się. - Nie publikowała niczego po osiemdziesiątym trzecim?

Myślałem, że naukowcy, którzy prowadzą badania, wciąż coś ogłaszają.

Kobieta wzruszyła ramionami.

-

Może plik nie został uaktualniony.

W każdym razie plik świadczył, że David Flexner był całkiem szczery, mówiąc o doktor Yuko Masuda. Wszystko to Diamond wiedział z przesłuchania na komisariacie.

-

Czy można jakoś ustalić, kiedy sporządzono ten plik?

-

Oczywiście. Jest spis kontrolny pokazujący, kiedy dokonywano wpisów lub usunięć. -

Nacisnęła dwa klawisze i z prawej strony ekranu pojawiło się nowe okno. - Tylko dwa wpisy. Jak pan widzi, plik utworzono dziesiątego września osiemdziesiątego siódmego roku, a najnowszy wpis jest zaledwie sprzed trzech miesięcy.

Zawahał się. Coś było nie tak.

-
Ale ostatni wpis dotyczy konferencji z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku.

Który element tych danych jest nowy? Co takiego ktoś uznał za stosowne wprowadzić trzy miesiące temu, skoro wszystko, co tu widzę, odnosi się do prac publikowanych przed osiemdziesiątym trzecim?

-
Bardzo mi przykro. Nie mogę tego wyjaśnić. Nie wiem.

-
Czy komputer nie może nam tego powiedzieć?

-
Nie.

Westchnął. Trzy miesiące temu, czyli tuż przed tym, jak Naomi trafiła do Londynu. Być może istniał tu jakiś związek, ale najwyraźniej nie można było tego ustalić.

Przyszła mu do głowy inna myśl.

-
Czy każdy może wprowadzić zmiany do tych plików?

-
Jeżeli może do nich dotrzeć, to oczywiście, ale hasło zna tylko niewielu z nas.

-
Oczywiście jest wśród nich prezes...?

-
Wiceprezes, dyrektor kadr, dyrektor do spraw badań, starszy analityk systemu i niektóre sekretarki, w tym także ja.

-
A czyją jest pani sekretarką?

Pana Harta. Z kadr.

-

I nazywa się pani?...

-

Molly Docherty. Myślałam, że już nigdy mnie pan o to nie zapyta.

-

Peter Diamond. A kto jest dyrektorem do spraw badań?

-

Pan Greenberg. Chciałby pan z nim porozmawiać?

-

Jak długo tu pracuje?

-

Około dwóch lat.

-

W takim razie nie sędzę, abym miał potrzebę się z nim spotykać. - Diamond postukał

palcem w ekran. - Powiedz mi, Molly, gdzie te informacje były przechowywane do września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego?

-

Wszystko było w kartotece. Pan Flexner, to znaczy pan Manny Fłexner, był cudownym człowiekiem, ale troszkę nie nadążał za epoką komputerów. Nie dowierzał nowoczesnej technice.

Ja też, pomyślał Diamond.

-

Czy wszystkie informacje z kartoteki zostały przeniesione do komputera?

-

O tak. Wszyściutko. I trzykrotnie sprawdzono. Byłam jedną z operatorek.

Przed zadaniem następnego pytania pomodlił się w duchu. Był agnostykiem, ale w chwili obecnej potrzebna mu była pomoc obojętne z jakiego źródła.

-

Czy te karty nadal istnieją?

Zanim Molly Docherty odpowiedziała, na chwilę zapanowała dręcząca cisza.

-

Mam wrażenie, że gdzieś je zmagazynowano.

-

Gdzie?

-

Chyba w piwnicy.

-

Byłabyś łaskawa mi tam towarzyszyć?

Roześmiała się. Przypuszczał, że ubawił ją jego sposób wyrażania.

-

Muszę to uzgodnić z moim szefem.

-

Nie musisz mu o mnie wspominać.

Kiedy zjeżdżali windą, zauważyła:

-

Jest pan chyba bardzo oddany swojej rodzinie.

-

Dlaczego? - Przez chwilę poczuł się dezorientowany, aż nagle przypomniał sobie rzekomy powód zapoznawania się z aktami. - Nie chodzi tylko o sporządzenie drzewa genealogicznego.

Chcę poznać bliżej tych ludzi. - Nawet w jego własnych uszach brzmiało to dość nieprzekonująco.

Piwnica była chłodnym, dudniącym echem miejscem wypełnionym starym umeblowaniem biurowym - drewnianymi biurkami z odłupanym fornirem, szarymi, metalowymi szafkami popularnymi w latach sześćdziesiątych i różnymi krzesłami z podartymi i postrzępionymi obiciami. Wycofane kartoteki personalne łatwo było odszukać. Znajdowały się w pięciu metalowych skrzynkach - zamkniętych, ale Molly przewidująco wzięła z góry pęk kluczy.

-

Te są co najmniej z ostatnich trzydziestu lat - powiedziała. - W każdej skrzynce musi być tysiąc kart.

-

Otwórzmy jedną.

Pochyliła się i znalazła odpowiednią skrzynkę. Kiedy dopasowywała klucze, stwierdziła:

-

Zupełnie jakbyśmy szukali skarbu. Mam nadzieję, że okaże się to warte pana kłopotów.

Przerzuciła szybko karty długimi, pomalowanymi paznokciami, wyjęła jedną i podała ją Diamondowi:

-

Voilà!

Nie potrzebował wiele czasu na jej przeczytanie.

-

To się nie zgadza z zapisem komputerowym.

-

Nie powinno - odparła. - Stale aktualizujemy dane.

-

Usuwanie informacji?

-

Nie, dodajemy.

-

W takim razie, jak to rozumiesz? - Podał jej kartę.

„Nazwisko: MASUDA, drYuko (kobieta)

Data urodzenia:-----

Adres: Wydział Biochemii Uniwersytetu w Jokohamie, Japonia Tytuły naukowe: mgr nauk przyr., dr

Daty sponsorowania: Od: wrzesień 1979 Do: lipiec 1985

Temat badań: Śpiączka wywołana narkotykami i alkoholem

Badany lek: Jantac

Publikacje: »Uszkodzenia mózgu: śpiączka i jej charakterystyki. Praca doktorska, 1981. »Narkoza i stan śpiączki« w: »American Journal of Biochemistry«, maj 1981. »Leczenia śpiączki alkoholowej«. Referat wygłoszony na Konferencji Farmakologii Japońskiej, Tokio 1983".

-

O co chodzi?

Najwyraźniej szczegóły nie zapisały się w pamięci Molly Docherty zbyt trwale. Diamond wyjaśnił:

-

Odnotowano tu, że sponsorowanie doktor Masuda zakończyło się w lipcu osiemdziesiątego piątego. W twoim komputerze nie ma tej informacji. Jest tam napisane, że sponsorowanie trwa. To chyba istotna różnica, prawda?

-

Przypuszczam, że ponownie podjęła badania w późniejszym okresie.

-

Nie powinno się tego odnotować na górze?

-

Chodzi o to, że znowu jest z nami. Przypuszczam, że osoba uaktualniająca wpis wykonała prosty zabieg: usunęła datę wstrzymania sponsorowania i wpisała „Trwa nadal”.

To wyjaśnienie go nie zadowoliło.

-

Ale to sprawia wrażenie, że prowadziła badania bez przerwy. A przecież musiała być jakaś przerwa.

-

Krótko.

-

Mniej więcej dwuletnia? Powiedziałaś, że komputer został zainstalowany w osiemdziesiątym siódmym. I że po przeniesieniu danych z kart wpisy były trzykrotnie sprawdzane?

Molly chyba nie spodobała się sugestia, że ktoś się pomylił.

-

Sprawdzę, czy jest wpis na innej karcie. Może połączono dane z dwóch kart - oznajmiła.

Ale nie było drugiej karty doktor Yoko Masuda.

-

Ten lek - jantac - również nie został wymieniony w komputerze - zwrócił uwagę Diamond. -

Zamieszczono coś zupełnie innego - sympatyko coś tam. Czym właściwie jest jantac?

-

Przykro mi - odpowiedziała - ale istnieją tysiące leków. Nie potrafię powiedzieć.

-

Czy to produkt Manfleksu?

-

Nie znam go, ale mogę sprawdzić na liście, na górze.

-

Mogłabyś mi zrobić kserokopię tej karty?

Popatrzyła na niego z niezdecydowaniem.

-

Czy naprawdę jest to panu potrzebne do historii rodziny?

-

Obawiam się, że tylko w dość luźny sposób. Jestem policjantem poszukującym małej dziewczynki, która zniknęła z domu. Doktor Masuda jest jej matką.

-
I czego się dowiedziałeś o tym leku?

Eastland wyraźnie czuł się swobodniej, siedząc za swoim biurkiem na komisariacie policji.

-
O jantacu? Niezbyt wiele - przyznał Diamond. - Znajdował się na liście eksperymentalnych leków Manfleksu.

-
Znajdował?

-
Już go nie ma. Wycofali go w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym.

-
W roku, kiedy wstrzymane zostały badania twojej japońskiej damy.

-
No właśnie.

-
Czy wiemy dlaczego go wycofano?

-
Nie, ale mam zamiar się dowiedzieć.

-
Uważasz, że to może być ważne?

-
Ktoś usunął tę informację z komputera. Jestem przekonany, że dane musiano dokładnie przenieść z karty. Molly - kobieta, która mi pomagała - stanowczo twierdzi, że wszystko z kart wpisano do komputera i trzykrotnie sprawdzono. Posłuchaj, wpis w komputerze został zmieniony jedynie raz trzy miesiące temu.

-

Mniej więcej wtedy, kiedy znalazłeś w Londynie Naomi?

-

Tak.

Eastland odchylił się do tyłu w fotelu.

-

Gdzie zdobędziesz tę informację o jantacu?

-

Chyba na Uniwersytecie w Jokohamie. Tam prowadzono prace. Wyślę do nich faks.

-

Zanim to zrobisz, powinienem ci coś powiedzieć. Znaleźliśmy samochód Leapmana.

-

Gdzie?

-

NaJFK.

-

Na lotnisku.

-

Był na parkingu. Stał tam od jakiegoś czasu.

-

Skąd wiesz?

-

Facet odleciał ubiegłej nocy. Japan Airlines, lot bezpośredni do Tokio. Całe popołudnie sprawdzałem listy pasażerów.

-

Tokio. Poinformowałeś ich?

-
Za późno. Już wylądował i przeszedł odprawę paszportową. Razem z Naomi.

Rozdział 30

Boeing 747 Japan Airlines kołował po pasie międzynarodowego portu lotniczego w Narita, pięćdziesiąt sześć kilometrów na wschód od Tokio. Z okienka nad skrzydłem Peter Diamond widział wieżyczki strażnicze, armatki wodne i policjantów ze służb interwencyjnych w pełnym wyposażeniu bojowym. Czytał gdzieś o masowych zamieszkach, do jakich tu doszło w połowie lat osiemdziesiątych, i długotrwałych dyskusjach z miejscowymi rolnikami na temat praw do lądowania. Mimo wszystko ten stopień zabezpieczenia był przygnębiający. Zaczął się zastanawiać, jak rygorystyczne okażą się procedury imigracyjne. Narita nie była najlepszym portem lotniczym dla przyjeźdźcy, którego bagaż składał się z torby na ramię zawierającej różowy sweter, bawełniane spodnie, jednorazową maszynkę do golenia, ręcznik do twarzy, pastę i szczoteczkę do zębów. Jego obawy potwierdziły się, kiedy okazał paszport i gdy mu go zabrano. Poproszono, aby udał się do pokoju przesłuchań, gdzie czekał nadzorowany przez kamery wideo, a w tym czasie zapewne sprawdzano listę niepożądanych cudzoziemców.

W końcu uzyskał szansę wyjaśnienia funkcjonariuszowi Urzędu Imigracyjnego (który mówił nienagannie po angielsku), że jest detektywem prowadzącym śledztwo.

Młody człowiek spojrzał na niego podejrzliwie.

-
Wydział Specjalny Scotland Yardu?

-
Nie. - Miał nieodparte wrażenie, że wszystko, co powie, będzie sprawdzone, dlatego mówił tylko prawdę. - Pracowałem wspólnie z policją nowojorską. Dwudziesty szósty komisariat.

-
Jest pan funkcjonariuszem nowojorskiej Komendy Policji?

-
Współpracuję z nimi. Jestem starszym oficerem. Jeżeli zapozna się pan z moim paszportem...

-
Już to zrobiłem. Czy nadkomisarz to pański aktualny stopień, panie Diamond?

Zauważył, że urzędnik wyraźnie zaakcentował słowo „panie”.

-

Raczej były stopień. Zakończyłem pracę w policji.

-

Zakończył pan? A więc jest pan prywatnym detektywem?

-

Hm, tak, w pewnym sensie.

-

Czy japońska policja jest powiadomiona o pańskiej aktualnej misji?

-

Nie... jeszcze nie. Nie było na to czasu. Wiedzą o całej sprawie, ale nie zostali powiadomieni, że już tu lecę. Proszę posłuchać, sprawa jest bardzo pilna. Ścigam podejrzanego, który porwał dziecko. Kiedy dowiedziałem się, że poleciał do Tokio, wsiadłem w następny samolot do Japonii.

-

Podejrzany to...?

-

Amerykanin. Nazywa się Michael Leapman.

-

A dziecko?

-

Dziecko jest Japonką.

-

Japonką? I mówi pan, że japońska policja nie została poinformowana?

Z każdą minutą brzmiało to coraz gorzej. W wyobraźni widział, jak przez resztę dnia powtarza swoją historię policjantowi - i to niekoniecznie policjantowi, który angielskim będzie władać równie dobrze jak ten wzorowy funkcjonariusz Urzędu Imigracyjnego.

-
To wyjątkowo pilna sprawa. Oczywiście, powiadomię policję, ale rozumie pan, że nawet w tej chwili, kiedy rozmawiamy, trop stygnie.

-
Rozumiem, panie Diamond. Ale nie jestem pewien, czy pan rozumie, z jakimi trudnościami zetknie się pan, tropiąc podejrzanego w Tokio. Czy mówi pan po japońsku?

-
Nie.

-
Czy zna pan kogoś w Tokio?

-
Tak, znam.

-
Kto to taki?

-
Zawodnik sumo. Nazywa się Yamagata.

-
Yamagata? - Nazwisko wywarło niezwykle wrażenie na funkcjonariuszu. Schwycił za kant stołu, zamrugał kilkakrotnie i potrząsnął głową. - Zna pan ozeki Yamagatę?

-
Tak.

-
Jest pan tego całkowicie pewien?

-
Nie wspominałbym o nim, gdyby było inaczej.

Czy poznał go pan osobiście? - Zabrzmiało to tak, jakby rozmawiali o Bogu-Cesarzu.

To moja szansa, pomyślał Diamond. Nie starał się natrętnie zaimponować urzędnikowi, ale podkreślił swoje powiązania z Yamagatą.

-
Poznaliśmy się, kiedy był w Londynie. Płaci za mój przejazd. Prawdę mówiąc, wynajął mnie. Osobiście interesuje się tą sprawą.

-
Powinien pan o tym wspomnieć.

-
Właśnie to zrobiłem.

-
Yamagata-Zeki? - Powtórzył nazwisko, jakby miał trudności z uwierzeniem w to, co Diamond mówi.

-
Mieszka w Tokio. Jestem pewien, że za mnie poręczy. Czy zechciałby pan się z nim porozumieć?

-
Oczywiście. - Twarz mężczyzny rozpromieniła się. - Oczywiście, że tak zrobię. - Okazało się, że była to doskonała sugestia, wręcz zaszczyt. Funkcjonariusz sięgnął po książkę telefoniczną.

Miał wypieki na twarzy. Przerzucane kartki drżały.

Dzwoniąc, stał sztywno na baczność jak żołnierz. Diamond nie rozumiał ani słowa, ale z fascynacją patrzył, jak wyraz twarzy funkcjonariusza Urzędu Imigracyjnego z surowego zmienia się na zawstydzony, potem przypochebny, a w końcu uszczęśliwiony.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, młody człowiek nadal trzymał słuchawkę, patrząc na nią, jakby była najpiękniejszym dziełem sztuki.

-
Połączył się pan bez trudu?

-
Tak - odparł urzędnik rozmarzonym głosem. - Właśnie rozmawiałem z Yamagatą-Zeki. -

Odłożył słuchawkę i opadł na krzesło.

-

A więc wszystko w porządku?

-

Nie wiem, jak panu dziękować.

-

Czy mogę dostać swój paszport?

Dostał go natychmiast.

-

A teraz muszę wezwać dla pana taksówkę. Yamagata-Zeki chce pana powitać w heya, w której mieszka.

-

Nie ma na to czasu - odparł kategoriycznie Diamond.

-

Nie może pan odmówić.

To było strasznie irytujące. Jak może składać wizyty towarzyskie, ścigając Leapmana? Ale zastanawiając się gorączkowo, jak wykręcić się od spotkania, zaczął stopniowo dochodzić do wniosku, że odwiedziny w heya Yamagaty mogą być konieczne. Jak słusznie zauważył urzędnik, człowieka zupełnie nieznanego Tokio czekają tu wielkie problemy. Nie mógł rozpocząć pościgu, nie dysponując konkretną pomocą miejscowych, a byłoby to trudne, zważywszy że większość z nich nie mówi po angielsku.

Nieco później, nadal denerwując się tym, że traci czas, siedział w taksówce wiozącej go do heya.

Funkcjonariusz Urzędu Imigracyjnego poinformował go, że jest to jedna z trzydziestu lub więcej

„stajni” zapaśników sumo w Tokio i że większość z nich, podobnie jak ta, znajduje się w dzielnicy Ryogoku, na wschód od rzeki Sumida. Jego nowy, dozgonny przyjaciel („jestem na zawsze pańskim dłużnikiem, nadkomisarzu”) zapewnił go, że nie będzie musiał płacić za przejazd, i Diamond nie wiedział czy koszt przejazdu zostanie pokryty przez Urząd Imigracyjny, czy pana Yamagatę. Nie był w stanie uwierzyć, że taksówkarz mógłby wykonać ten kurs bez wynagrodzenia i traktować to jak zaszczyt. Wszystko jednak wskazywało na to, że poparcie słynnego zawodnika sumo będzie pomocne.

Prawdę mówiąc, nie podziwiał pierwszych widoków prawdziwej Japonii. Zamiast tego próbował

po raz kolejny zrozumieć, dlaczego Leapman postanowił przyjechać właśnie tu. Konieczność zniknięcia z Nowego Jorku była oczywista, ale ucieczka do obcego kraju, którego języka zapewne nie znał, wydawała się czymś niezwykle, o ile nie miał tu jakichś konkretnych planów. Czegoś, co zdaniem Leapmana było niezbędne do przetrwania.

W samolocie Diamond dostał „New York Timesa”. Materiał z konferencji w Sheratonie zamieszczono w dziale biznesowym, zaopatrując go w tytuł „Tajemnica dyrektora Manfleksu”.

Zniknięciu Leapmana poświęcono kilka pełnych insynuacji akapitów, ale mimo wszystko można było odnieść wrażenie, że rynek wciąż był pod wrażeniem udzielonych przez Flexnera i Churchwarda informacji o PDM3. Akcje Manfleksu podskoczyły o ponad pięć dolarów, zapowiadając duże zyski dobrze poinformowanym osobom, które zdołały kupić je tanio.

Najprawdopodobniej Leapman wciąż mógł zarobić fortunę, pod warunkiem że uda mu się uniknąć kontaktu z przedstawicielami prawa. Mógł zrealizować zyski, po prostu dzwoniąc do swojego maklera -z Tokio czy jakiegokolwiek innego miejsca.

Ale dlaczego Japonia?

Czy to możliwe, że mimo wszystko zachował resztki człowieczeństwa i przyleciał, żeby oddać Naomi matce? Najwyraźniej nie miał ochoty nadal zajmować się małym dzieckiem. Wiedział, że dziewczynka jest poszukiwana, dalsze przetrzymywanie było zarówno niebezpieczne, jak i niepraktyczne. Był oszustem powiązany z zawodowymi przestępcami, ale być może nie zgodził się na to, by zamordowano dziecko. Czy mogłoby to być aż tak proste?

Raczej nie.

Kominy przemysłowego Tokio stopniowo ustępowały miejsca ulicom zatłoczonym zaaferowanymi mężczyznami w ciemnych garniturach. Taksówkarz powiedział coś po japońsku i zachichotał

porozumiewawczo jak mężczyzna do mężczyzny, wskazując oświetloną wywieszkę z angielskim napisem „Mydłolandia”.

-

Salon masażu? - próbował zgadnąć Diamond.

-

Chce?

-

Nie, nie. Sumo.

Próbował jakoś zorientować się w przestrzeni, odczytując dziwnie dobrane angielskie słowa na szyldach. Przejeżdżali przez dzielnicę pełną kin, teatrów i restauracji, aż w końcu dotarli do stacji metra Kuramae. Niemal tuż obok niej znajdowała się wywieszka Hali Sumo Kuramae-Kokugikan.

Jednakże widać było tylko długi odcinek białego muru i ogromny dach w kształcie piramidy.

-

To tutaj?

Okazało się, że nie. Przejechali jeszcze przez most na rzece Sumi-da, mijając tablicę z nazwą dzielnicy Ryogoku. Heya, budynek zaprojektowany o wiele wcześniej niż Hala Sumo, znajdował się w odległości trzech minut jazdy od tego miejsca.

Kierowca uprzejmie wysiadł z samochodu i pokazał Diamondowi właściwe drzwi. Peter chciał mu dać pięć dolarów napiwku - nie miał jenów - ale spotkał się z odmową. Z całą pewnością to inna cywilizacja.

Grupa nastoletnich dziewcząt, najwyraźniej fanek czy jak tam je nazywano w żargonie sumo - stała przy wejściu i przyglądała mu się, oceniając, ale z rezerwą. Miał wystarczająco duże gabaryty, by zostać zapaśnikiem, ale uniemożliwiały mu to inne czynniki. W pomieszczeniu, do którego wszedł, tuż przy drzwiach stał stół, a za nim siedział młody człowiek w pasiastym kimonie i z natłuszczonym, czarnym kokiem na czubku głowy.

Diamond uklonił się z zażenowaniem i powiedział:

-

Z odwiedzinami do pana Yamagaty.

-

Pan jest kto?

-

Peter Diamond.

-

Czeka, proszę. - Młody człowiek wziął do ręki słuchawkę.

W pomieszczeniu nie było na czym usiąść, zainteresował się więc plakatem najbliższego basho i próbował zgadnąć, czy ogromny tyłek postaci na pierwszym planie należy do jego sponsora.

Wyjątkowo czyste pomieszczenie, z poziomymi drewnianymi pasami na ścianach, nieco

przypominało recepcję w ekskluzywnym klubie fitness. Spojrzał w dół i dostrzegł rozdarcie w swojej torbie podróżnej -jego osoba nie pasowała do panującej tu atmosfery spokojnej elegancji.

W drzwiach pojawił się kolejny masywny młody człowiek w kimonie i podszedł do Diamonda.

Wymienili obowiązkowe ukłony i Japończyk powiedział dobrą angielszczyzną:

-

Witam w naszej stajni, panie Diamond. Jestem Nodo. Mam zaszczyt zaprowadzić pana do Yamagata-Zeki.

Sandały geta Nodo klekotały na drewnianej podłodze, gdy prowadził Diamonda przez pomieszczenie, w którym na okrągłym glinianym ringu posypanym piaskiem i otoczonym liną odbywały się ćwiczenia zapaśnicze. Obserwowane przez tuzin zapaśników dwie góry ciała napierały na siebie, zachęcane przez siwowłosego trenera z bambusowym kijem, którego nie wahał

się używać na wypiętych zadach. Nikt nie odwrócił się, by spojrzeć na przechodzącego obok nich Europejczyka w garniturze.

-

To niższe rangi - wyjaśnił Nodo z wielkopańską pewnością, że nikt z niższych rangą nie mówi po angielsku.

W drugim końcu pomieszczenia, na półce nad kaloryferem, znajdowało się coś w rodzaju nastawy ołtarzowej ze świecami. Kiedy ją mijali, Nodo klasnął i na chwilę pochylił głowę. Zanim otworzył

drzwi wyjaśnił:

-

Kapliczka szintoistyczna. Nazywamy ją kamidana.

-

Aha - odparł Diamond, starając się zrobić wrażenie, że wie, o czym mowa.

-

Teraz spotka pan Yamagatę-Zeki. Drukuje tegata. Zobaczy pan.

Weszli do drugiego dużego pokoju i Diamond natychmiast rozpoznał swojego słynnego znajomka.

Jeśli to możliwe, pan Yamagata wyglądał jeszcze potężniej niż w Londynie. Miał potężny tors, szeroką twarz podpierały fałdy ciała, nie wiadomo jednak, czy był to podbródek, czy szyja. Siedział

po turecku między dwoma akolitami. Przed nim leżał stos czystych arkuszy papieru, on zaś odciskał na nich ślad dłoni, przyciskając ją najpierw do poduszki z czerwonym tuszem, a następnie uderzając w stos kartek. Arkusze z odciskiem dłoni były natychmiast zabierane przez człowieka siedzącego po lewej stronie. Wielki zapaśnik spojrział przelotnie na wchodzących i pochylił głowę w symbolicznym ukłonie. Diamond odpowiedział tym samym. Wymieniono kilka zdań po japońsku.

Nodo wyjaśnił, że Yamagata-Zeki ma wielu wielbicieli i sponsorów, którzy chcieliby otrzymać jako osobistą pamiątkę tegata, czyli odcisk dłoni. Przysyłali do heya listy z niewielkimi datkami pieniężnymi, a űkishi spełniał ich prośbę, wykonując do tysiąca odcisków w czasie jednej sesji.

Jeżeli Diamond pozwoli, w czasie ich rozmowy drukowanie będzie trwało.

-

Prosi, żeby pan usiadł - dodał Nodo.

W stajniach sumo krzesła nie są przewidziane, zresztą nie przetrwałyby długo. Diamond nie potrafił przyjąć tej samej pozycji co sumoka, usiadł więc przed Yamagatą, zginając kolana. Do tej chwili czuł się jak obojętny obserwator, ale wrażenie to nie było w stanie przetrwać nacisku desek podłogi na jego pośladki. Teraz zdecydowanie stał się elementem całej sceny.

Rytmiczny łoskot dłoni uderzającej o papier początkowo go rozpraszał, ale dzięki uporowi i pomocy Nodo zdołał poinformować Yamagatę o stanie poszukiwań Naomi. Robił to dokładnie, traktując to jako rodzaj odprawy, jaką mógłby swego czasu przeprowadzać w wydziale zabójstw.

Znowu rozległa się szybka seria słów po japońsku. Yamagata wypowiedział ją, ani na chwilę nie przerywając drukowania.

Nodo przetłumaczył.

-

On mówi, że powinien pan jak najszybciej pojechać do Jokohamy. Tam właśnie zostanie znalezione rozwiązanie tajemnic.

-

Zgadzam się - odparł Diamond, myśląc sobie, że nie musiał tu przyjeżdżać, aby się tego dowiedzieć, - jak się tam dostanę?

-

O tej porze dnia lepiej pociągiem niż taksówką.

-

Pociąg-pocisk? - zapytał, wydobywając z pamięci fragmenty wiedzy o życiu w Japonii.

-
Nie. Linia Yokosuka jest szybsza. Mam wezwać taksówkę, która zawiezie pana na Dworzec Centralny. Czy potrzebuje pan pieniędzy?

Kiedy odpowiadał, przyszedł jeden z uczniów z przenośnym telefonem i podał słuchawkę Yamagacie. Sumoka bez wahania schwycił ją w pokrytą tuszem dłoń. Najwyraźniej rozmówca czekał przy aparacie. Yamagata posłuchał, mruknął coś w odpowiedzi i oddał upačkany na czerwono aparat nieszczęśnikowi, który go przyniósł. Potem powiedział coś do swoich pomocników. Sesja drukowania chyba dobiegła końca, ponieważ czyste arkusze pospiesznie odsunięto na bok. Kołysząc się w przód i w tył, Yamagata szykował się, by wstać. Położył czystą dłoń na podłodze, oparł się na niej i wstał. Potem rzucił coś do Nodo.

Przetłumaczona wiadomość nie wróżyła nic dobrego.

-
Był to telefon z Urzędu Imigracyjnego w porcie lotniczym Narita. Funkcjonariusz, który z panem rozmawiał, sprawdził, czy ktoś przypomina sobie małą dziewczynkę i Amerykanina przechodzących wczoraj odprawę. Wszystko wskazuje na to, że ich widziano, ale że nie byli sami.

Podróżowali z nimi dwaj inni Amerykanie, mężczyźni w wieku dwudziestu paru lat, ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Nazywają się Lanzi i Frizzoni.

-
Rozumiem - odparł posępnie Diamond. - Ma goryli.

-
Byli pod obserwacją urzędu celnego, skontrolowano ich bagaże, ale okazali się czyści.

-
Mogą zdobyć broń na miejscu. Będą wiedzieli, z kim się skontaktować. W pewnym momencie sądziłem, że Leapman działa na własną rękę, ale byłem naiwny. Stawka jest zbyt wysoka. Paskudnie.

-
Yamagata-Zeki zgadza się z panem. Pojedzie z panem do Jokohamy.

Trudno było w to uwierzyć.

-
On ma zamiar pojechać ze mną?

-
Mówi, że nie poradzi pan sobie z tą sprawą sam.

Diamond gwizdnął cicho, próbując sobie to wyobrazić.

-
Jestem wdzięczny, ale czy pan Yamagata nie uważa, że trochę rzuca się w oczy? Chciałem powiedzieć, że bardzo jest znany - poprawił się szybko.

-
Nie sędzę, żeby było rozsądnie kwestionować jego decyzję - odparł Nodo.

-
Pan też pojedzie?

-
Nie.

-
Dlaczego nie? Potrzebujemy tłumacza.

-
To nie jest konieczne. Znajduje się pan w Japonii.

Wydarzenia potoczyły się gładko jak basho. Po paru minutach Yamagata ubrany tylko w kimono o jaskrawym wzorze i sandały geta wciskał się na tylne siedzenie taksówki. Nie było mowy, by Diamond również się tam zmieścił, dlatego musiał zająć miejsce przy kierowcy. Po drodze na stację, za każdym razem, kiedy taksówka musiała zwalniać na światłach, ludzie reagowali entuzjastycznie na widok pasażera na tylnym siedzeniu. Wsparcie słynnego sumoki mogło przynieść różne korzyści, ale o zachowaniu sprawy w tajemnicy trzeba było zapomnieć.

Na dworcu problem nabrzmiał jeszcze bardziej. Natychmiast zebrał się tłum, który towarzyszył im od kas do samego pociągu. Yamagata przyjmował popularność jako coś oczywistego. Miał

marsową minę, która najwyraźniej miała powstrzymać ludzi przed poproszeniem go o autograf albo przed próbą nawiązania rozmowy. Gapie rozmawiali między sobą z podnieceniem, gapili się i zasłaniali pole widzenia, ale nie sprawiali kłopotów. Kiedy Yamagata ruszył, nikt nie był tak niemądry, by zbyt długo stać mu na drodze.

Pozytywną stroną podróży z bohaterem sumo był fakt, że w zatłoczonym pociągu natychmiast

zapropozowano im po dwa miejsca, na każdego. Yamagata usiadł i natychmiast zamknął oczy, jakby przestał zwracać uwagę na wszystko. Ktoś powiedział coś po japońsku do Diamonda, który uznał za stosowne pójść za przykładem Yamagaty. Mógł się nie obawiać, że zaśnie, ponieważ co kilka chwil z głośników rozlegały się komunikaty wypowiedziane z gwałtownością, która zbudziłaby umarłego.

Trzydzieści minut później dotarli na dworzec w Jokohamie i przesiadli się do innego pociągu.

Yamagata szedł przodem, nie zwracając uwagi na wywoływaną sensację. Wkrótce Diamond zrozumiał, że bez czyjejś pomocy nigdy w życiu nie zgłębiłby zawłości japońskiego systemu kolejowego.

Wysiedli dwie stacje dalej i skierowali się na postój taksówek. Czekali już tam inni ludzie, ale kiedy pojawił się Yamagata w otoczeniu wielbicieli i gapiów, początek kolejki się rozpułnął.

Wsiedli do pierwszej taksówki, jaka nadjechała, i Yamagata poinformował kierowcę dokąd ma się udać.

Następny przystanek to uniwersytet, chyba że zostałem wprowadzony w błąd, pomyślał Diamond.

Rozdział 31

Na uniwersytecie reakcja ludzi na pojawienie się wśród nich słynnego zapaśnika sumo niewiele różniła się od tej, jaką Diamond zaobserwował na Dworcu Centralnym w Tokio. Personel administracyjny zbiegł się do sali recepcyjnej, aby patrzeć na znakomitego gościa, który zachowywał się w identycznie wyniosły sposób, patrząc przed siebie tak, jakby okazywał

lekceważenie swojemu przeciwnikowi. Przy biurku recepcjonistki ożywił się jednak i mówiąc szybko, z naciskiem, wyjaśnił cel swojej wizyty. Zdezorientowana i wstrząśnięta młoda kobieta za biurkiem sprawiała wrażenie, że niczego nie rozumie, powtórzył więc jeszcze raz. Zapadła kłopotliwa cisza do chwili, kiedy skromna, zarumieniona dziewczyna o dużych, inteligentnych oczach i małych ustach elegancko pomalowanych lśniącą szminką wzięła Diamonda na boki zapytała, czy jest Amerykaninem.

-

Anglikiem. O co właściwie chodzi?

-

Nie jesteśmy przyzwyczajeni do wizyt sumatori.

-

Mogę to zrozumieć.

-

Oczywiście, jesteśmy zaszczytni. Chcielibyśmy mieć możliwość poczynić przygotowania, zorganizować odpowiedni program zwiedzania.

-

Dziękujemy, ale nie chcemy zwiedzać. Musimy tylko porozmawiać z kimś na wydziale biochemii - z jednym z naukowców. To bardzo pilne.

-

On powiedział coś o zaginionym dziecku.

-

Tak jest. Chcemy porozmawiać z jego matką, doktor Yuko Masuda. Czy może się pani zorientować, czy jest dziś w kampusie?

-

Spytam ich.

Wróciła bez odpowiedzi, ale za to ze wskazówką.

-

Bardzo proszę, powiedziano mi, że powinni panowie udać się do budynku nauk przyrodniczych, a tam na wydział biochemii.

-

Jak się pani nazywa?

Była chyba lekko skonsternowana tym pytaniem.

-

Panna Yamamoto.

Diamond spróbował powtórzyć nazwisko dokładnie tak, jak zostało powiedziane. Nie chciał spoufalać się tylko dlatego, że była ładna.

-

Czy mogłaby pani pójść z nami i tłumaczyć?

Pochyliła z szacunkiem głowę.

-
Będzie to dla mnie zaszczyt, proszę pana.

-
Doskonale. I jeszcze jedno.

-
Tak?

-
Byłoby niewskazane, gdyby doktor Masuda dowiedziała się, kim są jej goście. Nie chcemy jej niepokoić.

-
Powiem im to.

Poprowadziła ich przez labirynt kruzganków do działu naukowego - zespołu nowoczesnych, kilkupiętrowych budynków z elementów prefabrykowanych. Wiadomość rozeszła się po całym uniwersytecie. W oknach widać było twarze, a przy wejściu zebrała się gromadka zaciekawionych studentów. Niektórzy robili fotografie, inni trzymali w pogotowiu pióra i kartki papieru, ale nikt nie odważył się poprosić o autograf Mina Yamagaty nie była zachęcająca.

Wydział biochemii znajdował się na pierwszym piętrze. Diamond miał pewne wątpliwości, czy powinni aż tak bardzo obciążać windę, ale ich przewodniczka nie zawahała się i maszyna przetrwała próbę.

Kiedy drzwi się rozsunęły, podszedł do nich siwowłosej mężczyzna w białym fartuchu i powitał ich w tradycyjny, japoński sposób.

-
To doktor Hitomi, główny wykładowca na studiach doktoranckich - wyjaśniła niezastąpiona panna Yamamoto.

Zaprowadzono ich do dziekanatu i zaproponowano, by usiedli. Yamagata spojrział z powątpiewaniem na plastikowe krzeselko, które miałyby utrzymać jego osobę, i pokręcił głową.

Widząc to, Diamond zachował się taktownie i również nie usiadł. Zresztą i tak spodziewał się, że wkrótce spotkają się z doktor Masuda, co wiązałyby się z koniecznością wstawania.

Spotkało go jednak straszne rozczarowanie. Okazało się, że matka Naomi nie mieszka w kampusie.

Ostatnio pracowała tu jakieś siedem lat temu, badając specyfik, który mógł mieć zastosowanie w leczeniu śpiączki.

-

Jantac? - zapytał Diamond, kiedy przetłumaczono mu ostatnie zdanie.

Doktor Hitomi przytaknął ruchem głowy.

-

Ale słyszeliśmy, że nadal prowadzi tu badania, dzięki grantowi z Manflex Pharmaceuticals - oświadczył Diamond.

Wywołało to pewne zamieszanie.

-

Doktor Hitomi twierdzi stanowczo, że doktor Masuda tu nie pracuje - przetłumaczyła panna Yamamoto. - Jej badania zostały zakończone w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku.

-

Zakończone? Całkowicie?

-

Całkowicie.

Doktor Hitomi dodał coś jeszcze.

-

Powiedział, że zna doktor Masuda osobiście. Była dobrym naukowcem. Jej praca dobiegła końca, kiedy Manflex podjął decyzję o zaprzestaniu dalszych doświadczeń z jantakiem.

-

Dlaczego? Dlaczego ich zaniechano?

Kiedy panna Yamamoto przetłumaczyła pytanie, doktor Hitomi wzruszył ramionami.

-

Wyjaśnił, że doktor Masuda zajmowała się jantakiem przez ponad dwa lata i uzyskiwała dobre wyniki w odwracaniu objawów śpiączki, ale mniej więcej w tym czasie wykryła uboczne skutki leku.

-
Uboczne skutki? - Antenki Diamonda włączyły się na pełną moc odbioru.

Doktor Hitomi wziął z półki za sobą słownik japońsko-angielski. Wskazał słowo.

-
Marskość wątroby? - zapytał Diamond. Jego mózg błyskawicznie analizował znaczenie tej informacji.

Po kolejnych wyjaśnieniach panna Yamamoto przetłumaczyła:

-
Uboczny skutek tego leku był trudny do wykrycia, ponieważ pacjenci w śpiączce stanowili ciężkie przypadki choroby alkoholowej, a alkoholizm jest główną przyczyną tej... jak brzmi to określenie?

-
Marskości wątroby.

-
Mówi, że alkoholizm i tak powoduje marskość wątroby. Jednakże doktor Masuda odkryła, że jantac przyczynia się do zwiększania wydzielania enzymów wątroby wywołujących marskość.

Niewielkie efekty uboczne są do przyjęcia, ale tych było zbyt wiele. Kiedy poinformowała Manflex o swoich ustaleniach, odstąpili od kontynuowania programu.

Doktor Hitomi dodał coś jeszcze.

-
Powiedział: Manny Flexner, czy powtórzyłam prawidłowo?

-
Tak, Manny Flexner.

-
Manny Flexner sam podjął decyzję o zaprzestaniu prac nad jantakiem. Pan Flexner zawsze na pierwszym miejscu stawiał bezpieczeństwo pacjentów.

Diamond skinął głową, jednocześnie usiłując myśleć. Informacja, którą właśnie otrzymał, była sprzeczna z danymi komputerowymi, które widział w centrali Manflexu w Nowym Jorku, ale jednocześnie potwierdzała i rozwijała fakty, które zapisano w karcie personalnej w piwnicy. Jantac

okazał się lekiem niebezpiecznym i w konsekwencji przerwano prace japońskiej badaczki.

-

Proszę zapytać doktora Hitomi, czy wydział ma kopie korespondencji związanej z tą sprawą?

Odniósł wrażenie, że szanse są niewielkie. Doktor Hitomi podniósł słuchawkę telefonu.

Okazało się, że przed kilkoma miesiącami na żądanie Manfleksu korespondencja została odesłana do Nowego Jorku.

Podejrzane.

-

W tym roku?

-

Tak.

Ktoś w Ameryce niezwykle dokładnie starał się zatrzeć wszystkie ślady. Diamond westchnął i skrzyżował ręce na piersi. Sytuacja była dziwna - otaczała go grupa ludzi, którzy przyglądali mu się z napięciem i bardzo pragnęli pomóc, ale nie rozumieli problemu. Wszystko zależało od niego i wcale nie był pewien, co ma teraz powiedzieć.

-

Czy uniwersytet ma egzemplarze prac opublikowanych przez doktor Masuda?

-

Niemal na pewno, w bibliotece.

-

Po angielsku również?

-

Bardzo prawdopodobne.

Cyrk zwinął namioty i przeniósł się do biblioteki, gdzie łatwe do przewidzenia podniecenie i zamieszanie przez kilka minut uniemożliwiały zrobienie czegoś pożytecznego. W końcu Diamond otrzymał egzemplarz angielskiej wersji referatu doktor Yuko Masuda na temat leczenia śpiączki poalkoholowej, przedstawionej w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku w Tokio na Konferencji Farmakologii Japońskiej. Usiadł, żeby sprawdzić, co zdoła w nim znaleźć. Wszyscy

pozostali czekali.

Jęknął w duchu. Tekst przekraczał jego możliwości zrozumienia. Przez jakiś czas wpatrywał się w pierwszą stronę, a później sprawdził, ile jest ich razem. Trzynaście.

Nagle zwrócił uwagę na akapit przy końcu ostatniej strony.

„Badania trwają. Obecnie związane są one ze związkem chemicznym opatentowanym przez Manflex Pharmaceuticals i opatrzonym nazwą zastrzeżoną jantac. Wczesne wyniki są obiecujące”.

Spojrzał na przypis i zobaczył, że podano w nim wzór chemiczny.

Pomysły rzadko kiedy są wynikiem inspiracji. Najczęściej godzinami, dniami lub latami kształtują się tuż ponad podświadomością i większość z nich tam kończy swój żywot. Tę mglistą koncepcję Diamond trzymał na podorędziu od chwili, kiedy stał w piwnicy budynku Manflexu z Molly Docherty i spoglądał na kartę personalną doktor Yuko Masuda.

-

Czy mogę skorzystać z telefonu? Muszę zadzwonić do Nowego Jorku.

Zaprowadzili go do gabinetu kierownika biblioteki. Na szczęście pamiętał numer.

-

Policja - odezwał się zmęczony kobiecy głos.

-

Czy to dwudziesty szósty komisariat? Z porucznikiem Eastlandem poproszę.

-

Kto mówi?

-

Peter Diamond. Nadkomisarz Diamond, z Jokohamy.

-

Porucznik Eastland jest nieobecny, proszę pana.

-

W takim razie proszę mi podać jego numer domowy. Sprawa jest wyjątkowo pilna.

-

Nie możemy mu teraz przeszkadzać. Czy wie pan, którą mamy tu godzinę?

Diamond eksplodował. Nie obchodziło go, która pieprzona godzina jest w Nowym Jorku. Chodzi o życie dziecka i musi natychmiast rozmawiać z Eastlandem.

Telefonistka zapisała numer i obiecała, że dopilnuje, by porucznik oddzwonił za kilka minut.

Dotrzymała obietnicy.

Znajomy, ochrypnięty snem głos zaprotestował gniewnie:

-

Diamond? Na litość boską...

-

Konferencja w Sheratonie. Słyszysz, co do ciebie mówię?

-

Tak - odparł Eastland, od razu kapitulując. Naprawdę musiał być zmęczony.

-

Masz wciąż tę literaturę?

-

Literaturę?

-

Pakiet informacyjny dla prasy Materiał o PDM3.

-

Nie wiem. Mogłem go wyrzucić. A może jest na dole. Chcesz, żebym poszukał?

-

Daj spokój. Czy inaczej dzwoniłbym do ciebie?

-

Nie rozłączaj się. Zaraz wrócę.

Przez drzwi Diamond widział jak Yamagata wykonuje ćwiczenie, polegające na opieraniu lewej

stopy na półce z książkami. Wyglądało to na zapowiedź katastrofy.

-

Peter, jesteś tam?

-

Oczywiście. Masz to?

-

Tak.

-

Dobra. A teraz otwórz na pierwszej stronie niebieską broszurkę, tę, w której przedstawiony jest PDM3. Gdzieś powinien być wzór chemiczny. Rozumiesz, o co mi chodzi?

-

Czekaj... Jest. Chcesz, żebym ci go przeczytał?

-

Nie, pozwól, że ja spróbuję. Słuchaj uważnie. Sprawdź każdy symbol, dobrze? C18.

-

Jest.

-

H13.

-

Zgadza się.

Puls Diamonda przyspieszył. Odczytywał wzór jantacu.

-

NOC.

-

Tak.

To musiało być ten sam wzór. Głosem łamiącym się z napięcia odczytał go do końca. Wszystko idealnie się zgadzało. Jantac to lekarstwo, z którego zrezygnował Manny Flexner w 1985 roku, został wskrzeszony jako prodermolate - cudowny PDM3.

-

To wszystko, co chciałeś? - zapytał Eastland niezbyt serdecznym tonem.

-

To wszystko, czego chciałem... Chyba że możesz mi coś powiedzieć o dwóch cynglach, Lanzim i Frizzonim.

-

Nigdy o nich nie słyszałem. Mogę już wrócić do łóżka?

Diamond podziękował i odłożył słuchawkę. Gestem zaprosił Yamagatę do gabinetu. Potężny zapaśnik zapobiegliwie chwycił pannę Yamamoto w talii i przyniósł ją ze sobą. Kiedy ją puścił, zaczerwieniona jak tylko japońskie dziewczyny potrafią się zaczerwienić, ale wcale nie była niezadowolona - chwyt był delikatny - pozostała u jego boku.

Yamagata musiał koniecznie zrozumieć znaczenie jego odkrycia. Inni, w tym doktor Hitomi i kilku bibliotekarzy, przyszedli w ślad za nim, ale Diamond zreferował swoje wyjaśnienia tak, żeby zrozumiał zapaśnik.

-

Rozumie pan o co mi chodzi? - zapytał, kiedy już przedstawił najważniejsze punkty rozmowy telefonicznej. - W Japonii jantac był skompromitowany. Jest niebezpieczny i nie powinno się go więcej stosować. Wiemy już, że inna grupa badaczy pod kierunkiem profesora Churchwarda pracowała niezależnie nad tym samym preparatem i uzyskała sensacyjne wyniki w leczeniu choroby Alzheimera. Nie mam zamiaru zastanawiać się, czy Churchward wiedział, że pracuje nad niebezpiecznym lekiem, ale ktoś w centrali Manfleksu na pewno zdawał sobie z tego sprawę i dlatego właśnie wszelkie wzmianki o jantacu zostały wykasowane z komputerowego pliku, zawierającego informacje o doktor Yuko Masuda. - Poczekał, żeby panna Yamamoto przetłumaczyła i musiał powtórzyć wszystko wolniej. W podnieceniu powiedział za dużo zdań naraz. Podejrzewał też, że tłumaczkę rozprasza bliskość pana Yamagaty.

Zapaśnik powiedział wyraźnie:

-

Leapman.

-

Tak, to musiał być Leapman. Wszystkie jego działania potwierdzają, że to on za to odpowiada. W komputerze zmieniono coś jeszcze. Prace doktor Masuda nad projektem zostały przerwane w osiemdziesiątym piątym, ale zapis komputerowy został sfałszowany, aby wyglądało na to, że badania trwają. Podano inną grupę leków, ale to tylko zasłona dymna. Wie pani co - dodał

szybko - niech pani nie próbuje tłumaczyć tych ostatnich słów.

Kiedy panna Yamamoto skończyła mówić, Diamond kontynuował wyjaśnienia.

-

Nie jest to tylko sprawa sfałszowania danych. Leapman jest ściśle związany ze zorganizowaną przestępczością, która chce dużo zarobić na PDM3. Na początku tego roku Manflex znalazł się na równi pochyłej. - Zademontrował gestem opadającą krzywą na wykresie sprzedaży.

- Przed samobójstwem Manny'ego Flexnera wielki pożar strawił jeden z ich zakładów w Europie.

W Mediolanie. Akcje Manflexu na giełdzie spadły jeszcze bardziej. Policja włoska prowadzi śledztwo w sprawie ewentualnego podpalenia. Według mnie ten fakt świadczy, że spisek zorganizowano przed wieloma miesiącami.

Począł, żeby panna Yamamoto przetłumaczyła. Yamagata pokiwał poważnie głową. Sprawiał wrażenie, że nadąża za wyjaśnieniami.

-

Jeżeli są zdolni do tego, są też zdolni do zamordowania doktor Yuko Masuda, która mogłaby ich zdemaskować. Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, ale obawiam się, że może już nie żyć. Uważam, że jej małą córeczkę, dziewczynkę, którą znamy jako Naomi, oddano pani Tanaka, kobiecie, która rozpaczliwie chciała adoptować dziecko. Pani Tanaka dostała polecenie wywiezienia dziecka z Japonii do Europy. Przeraziła się, gdy zrozumiała, że Naomi jest autystyczna. Nie mogła sobie poradzić z tą sytuacją i porzuciła dziewczynkę. Bardzo przepraszam.

Nie daję pani szansy - zwrócił się do panny Yamamoto.

-

Wszystko w porządku - odpowiedziała i zaczęła tłumaczyć, patrząc z uwielbieniem na zapaśnika.

-

W Anglii - podjął Diamond - zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, by nagłośnić sprawę Naomi. Po moim występie w telewizji pani Tanaka przeraziła się i porwała dziewczynkę. Znalazła się w poważnych kłopotach. Nie mogła zostać w Wielkiej Brytanii, dlatego zadzwoniła do człowieka, z którym się kontaktowała, prosząc o dyrektywy. Kazano jej polecieć do Nowego Jorku.

Posłuchała go, co było fatalnym posunięciem, ale nie zdawała sobie z tego sprawy. Najwidoczniej jej zleceniodawcy uznali, że pani Tanaka jest osobą niepewną i zbędną, dlatego wynajęli człowieka, żeby się z nią spotkał i zamordował ją.

Przerwał. Powiedział już prawie wszystko. Jak dotąd jego relacja była przekonująca. Ale...

Yamagata wysłuchał japońskiej wersji, a potem powiedział kilka słów, które po przełożeniu na angielski precyzyjnie określiły problem.

-

Skoro doktor Masuda nie żyje, dlaczego Leapman przyjechał do Japonii z Naomi i dwoma amerykańskimi gorylami?

Diamond miał właśnie przyznać, że nie potrafi tego wyjaśnić, kiedy ktoś odezwał się po japońsku.

Był to doktor Hitomi, który jak poprzednio mówił łagodnym tonem.

Ton może był łagodny, ale wywołał błyskawiczną, pełną przejęcia odpowiedź Yamagaty.

Po chwili usłyszał przekład.

-

Doktor Hitomi mówi, że jego zdaniem pan się myli, twierdząc że doktor Masuda nie żyje.

Widział ją w kampusie w ubiegłym tygodniu.

Z najwyższym wysiłkiem zachował spokój.

-

Jest tego pewien? Kiedy policja sprawdzała jej ostatni adres, uważano ją za zaginioną.

Teraz wtrącił się jeden z bibliotekarzy. Jego angielski był niedoskonały, ale to, co powiedział, wszyscy doskonale zrozumieli.

-

Prawda. Ona żyje. Czasami korzysta z biblioteka. Jeżeli pan chce, pokażę jej nazwisko w komputer.

-

Nie ma potrzeby - odparł Diamond. - Wierzę obu panom. - Wydał usta i wypuścił powietrze z płuc. Poczul lekką ulgę. - Znaleźliśmy więc odpowiedź na pytanie pana Yamagaty. Leapman i jego kumple są w Japonii, aby tym razem wykonać robotę we właściwy sposób i uciszyć doktor Masuda na dobre.

-

Zrobią to przy dziecku? - odezwała się spontanicznie panna Yamamoto.

-

Wykorzystają dziewczynkę jako przynętę. Pytanie, czy znaleźli już jej matkę.

Kiedy przełożono jego słowa na japoński, odezwał się Yamagata.

-

On mówi, że tak naprawdę chodzi o to, gdzie szukać doktor Masuda.

Miał rację. Przede wszystkim zaczęli od podstaw i sprawdzili adres w dokumentach bibliotecznych.

Okazało się, że jest ten sam, o którym policja z Jokohamy poinformowała Diamonda, że mieszka tam ktoś inny. Rozmowa telefoniczna potwierdziła ten fakt.

-

No to mamy całą Japonię do przeszukania - powiedział Diamond na głos. Mówił jednak bardziej do siebie niż do innych i zaskoczyło go, kiedy panna Yamamoto przetłumaczyła jego słowa.

Tym razem nikt się nie odezwał.

To był najgorszy, najbardziej przygnębiający moment tej misji. Dotarł tak daleko i znalazł się w ślepych zaułku. To było bolesne, ale świadomość, że każda minuta bezczynności coraz bardziej zwiększa prawdopodobieństwo, że Naomi i jej matka zginą, była wręcz nie do zniesienia.

Poprosił, żeby powiadomiono policję. Dowiedział się, że policja wie o nim od kilku godzin, zapewne od gorliwego młodego człowieka z Urzędu Imigracyjnego.

-

W takim razie zapytajmy, czy mają już jakieś wiadomości.

Okazało się, że policja nie ma nic do przekazania. Nawet nie widziano Amerykanów.

Ktoś zaproponował kawę, ale Diamond nie miał na nią ochoty.

-

Co jest jeszcze w bibliotecznym komputerze? - zapytał pannę Yamamoto.

Tylko tytuły wypożyczonych książek.

-

Jakie? - zapytał, raczej po to, by mieć złudzenie działania.

Yuko Masuda wypożyczyła jedną książkę. O śpiączkach.

Zastanawiał się przez chwilę.

-

Czy w tym mieście albo w Tokio jest szpital, który specjalizuje się w leczeniu alkoholików?

Trzy.

-

Moglibyście zadzwonić do każdego z nich i zapytać, czy doktor Masuda prowadzi tam badania?

W drugim szpitalu, do którego zadzwonili, dowiedzieli się, że doktor Masuda odwiedza ich regularnie.

Rozdział 32

Szpital znajdował się na południe od miasta w Yamate-Machi, dzielnicy dla cudzoziemców, znanej jako Blef. Przez mniej więcej półtora kilometra taksówkarz jechał wzdłuż północnego brzegu rzeki Na-kamura. Pędził, niemal przez cały czas rycząc klaksonem, na rozkaz Yamagaty, który nalegał, żeby wyprzedzał kolejne pojazdy. Kierowca wcale nie narzekał. Był najwyraźniej fanatykiem sumo, który dostał szansę wykonania najwspanialszego kursu życia. Jeżeli uda mu się przeżyć, by o nim opowiedzieć, będzie mu zazdrościł każdy taksówkarz w Jokohamie.

Na przednim siedzeniu Diamond zaciskał zęby i zapierał się nogami w podłogę, czekając na zderzenie. Pomyślał ponuro, że mężczyzny w średnim wieku nie powinno się narażać na tego rodzaju jazdę. Prędkość była zdecydowanie zbyt duża, jak na człowieka, którego najszybszym środkiem transportu był autobus jadący po Kensington High Street.

Ale wciąż miał nadzieję, że zdoła dotrzeć do Yuko Masuda przed Leapmanem i jego goryłami.

Z piskiem opon skręcili w prawo, zgrzytając po nawierzchni fartuchami błotników, które na skutek obciążenia tylnego siedzenia znajdowały się o wiele niżej niż zazwyczaj. Przejechali przez most, slalomem pokonali ruchliwy odcinek przy stacji kolejowej Ishikawacho, a potem drogę dojazdową do odcinka autostrady. Boże, miej nas w swojej opiece, pomyślał Diamond, tu rzeczywiście będzie mógł przycisnąć gaz. Ale taksówka i tak rozwijała już maksymalną prędkość. Pasmem szybkiego ruchu przejechali tunel i dotarli do następnego zjazdu, prowadzącego do dzielnicy Yamate-Machi.

Na szczęście z lewej strony pojawił się szpital z dominującymi nad terenem czterema wysokościami. Był to wielki, nowoczesny obiekt z własnym systemem dróg dojazdowych.

Yamagata otworzył drzwi, na długo zanim zahamowali przed głównym blokiem recepcyjnym. Dał

Diamondowi znak, żeby został w taksówce i z imponującą jak na tak wielkiego mężczyznę prędkością wbiegł do środka. Interesujące byłoby zobaczyć reakcję ludzi w środku. Kiedy sumotori wpada do

środku i żąda wskazania drogi na oddział dla chorych w stanie śpiączki, można pomyśleć, że kogoś zbyt ostro potraktował.

Yamagata wyłonił się z budynku, w biegu wykrzykując, jak mają jechać, i wcisnął się do środka, kołysząc pojazdem. Ruszyli pełnym gazem. Prędkość, z jaką przebyli teren szpitala, gdzie na każdym zakręcie znajdowały się znaki jej ograniczenia, była jeszcze większa, ale taksówkarz nie zwalniał nawet wówczas, gdy widział ambulanse, wózki zjedzeniem czy pacjentów z balkonikami.

Od czego ma kierownicę, no nie?

Okrążyli budynek ambulatorium, gwałtownym skrętem wymijając przewożonego między budynkami nieprzytomnego pacjenta, i pomknęli wąską alejką między zaparkowanymi samochodami. Jeżeli Diamond dobrze rozumiał gorączkowe polecenia Yamagaty, przed nimi znajdował się budynek, którego szukali. Był to parterowy, drewniany pawilon, sprawiający wrażenie pewnej prowizorki. Taksówka zahamowała z piskiem opon, a jej pasażerowie wyskoczyli i wpadli do środka.

Znaleźli się w krótkim korytarzu. Po jego jednej stronie widniało kilka drzwi. W ich kierunku szła jakaś kobieta.

W tym decydującym momencie operacji, kiedy czas wyraźnie nie działał na ich korzyść, Diamondowi przyszła do głowy dość niepokojąca myśl. Nie miał pojęcia, jak wygląda Yuko Masuda. Nawet gdyby była nią ta kobieta, nie umiałby jej poznać. Nie widział również na oczy Michaela Leapmana.

Szukał zupełnie nieznanym mu osób.

- Potrzebujemy pomocy - powiedział do Yamagaty i wielki mężczyzna najwyraźniej zrozumiał, ponieważ zagadał coś do kobiety. Kiedy padło nazwisko Masuda, nie zareagowała tak, jakby usłyszała swoje. Zadała jakieś pytanie i Yamagata odpowiedział. A wtedy pokazała im drzwi znajdujące się tuż za nimi.

Diamond otworzył je i wszedł do sali długości mniej więcej czterdziestu metrów, w której znajdowało się pięć oddzielonych szklanymi ściankami stanowisk z łózkami. Na najbliższym leżał nieprzytomny pacjent, otoczony aparaturą monitorującą i podtrzymującą życie. Większość ścian pokryta była zdjęciami i wykresami, a nad łóżkiem wisiał mobil z tekturowymi złotymi rybkami.

Pielęgniarka z maską chirurgiczną na twarzy zajmowała się kroplówką. Odwróciła się i jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Yamagata powiedział coś do niej.

Pielęgniarka wskazała na stanowisko w drugim końcu sali, pod oknem, i Diamond poczuł, że serce zamiera mu w piersi.

Drobna Japonka w białym fartuchu rozmawiała z dwoma białymi mężczyznami. Nie sprawiali wrażenia pracowników szpitala. Jeden był wysokim blondynem w ciemnym, drogim garniturze, białej koszuli i klubowym krawacie, drugi miał krótkie, kasztanowe włosy, przycięte na czubku

głowy na płask, jakby jednym machnięciem kosi. Towarzysz blondyna był nieco niższy, o szerokim torsie i ramionach, a jego ubranie - zamszowa kurtka i czarne dżinsy - miało mniej dystyngowany charakter. Prawdopodobnie był jednym z cyngli, których widziano na lotnisku.

Skoro tak, istniało duże prawdopodobieństwo, że blondynem jest Michael Leapman. Pograżeni w rozmowie, nie zauważyli, że ktoś wszedł do środka.

Diamond niepostrzeżenie podszedł do nich na odległość kilku metrów.

-

Pan Leapman?

Obaj mężczyźni odwrócili się gwałtownie.

-

Stać! Kim jesteś? — zapytał blondyn po angielsku z amerykańskim akcentem.

-

Kimś, kogo jak myśleliście, udało się załatwić - odparł Diamond.

-

Angielski gliniarz.

Najwyraźniej był to Michael Leapman.

-

Rzuć to.

Goryl właśnie wyciągnął nóż.

-

Chyba żartujesz.

Diamond nie chciał używać przemocy, ale w razie konieczności był gotów wesprzeć Yamagatę -

nawet przeciwko bandziorowi uzbrojonemu w sztylet. Skinął na kobietę prawą ręką, dając jej znak, żeby odsunęła się od Amerykanów.

. - Doktor Masuda.

Skrzywiła się jak pod wpływem bólu i zacisnęła mocno wargi, ale w odpowiedzi jedynie pokręciła głową i skrzyżowała ręce na piersi.

Leapman oznajmił pewnym siebie tonem:

-

Wyjdziemy stąd z doktor Masuda i gównu nam możesz zrobić. Ruszaj, Dino.

Doktor Masuda sprawiała wrażenie sparaliżowanej. Bez trudu mogłaby od ich odejść, nie miała wcale noża na gardle. Odwróciła głowę i spojrzała za siebie.

Diamond poczuł lekki ruch po swojej lewej stronie i zobaczył, że Yamagata pochylał się do pozycji, jaką sumotoń przyjmuje bezpośrednio przed atakiem. Nagle doktor Masuda zawołała coś po japońsku.

-

Powiedz tłściochowi, żeby się uspokoił, dobrze? - powiedział Leapman. Ta mała dama podjęła decyzję.

Cokolwiek powiedziała właśnie doktor Masuda, najwyraźniej potwierdzało to słowa Leapmana, ponieważ Yamagata nagle wyprostował się i złapał Diamonda za ramię, żeby go zatrzymać.

Mistrz sumo dawał za wygraną? Trudno było w to uwierzyć.

Leapman uśmiechnął się jak człowiek, który wygrał bez większej przepychanki.

-

Panowie, nie będę kłamał, że miło mi było was spotkać. Mimo wszystko życzę udanego dnia. - Poleciał gestem, aby Japonka szła przodem, doktor Masuda posłuchała go. - Widzicie, o co mi chodziło? - Ruszył w ślad za nią. Goryl, trzymając nóż w pogotowiu, zaczął iść tyłem, osłaniając ich wyjście.

Dłoń Yamagaty zacisnęła się jeszcze mocniej na ramieniu Diamonda. Wyraźnie nie pozwalał mu ruszyć za nimi.

Kiedy cała trójka znalazła się poza ich zasięgiem, stało się jasne, dlaczego Masuda zachowywała się tak posłusznie. Yamagata podprowadził Diamonda do okna i pokazał mu człowieka stojącego przy czerwonym sedanie. A właściwie dwoje ludzi. Na pierwszy rzut oka dwie postacie zlewały się w jedną, ponieważ mężczyzna trzymał przed sobą małą Japonczkę. Dziewczynka była blada i stała biernie z opuszczonymi bezwładnie rękami, jakby nie zwracając uwagi na sznur zaciśnięty na jej szyi.

To była Naomi.

Diamond przeżył koszmar, przez wiele dni zadreęczając się myślami o losie dziewczynki. Włożył

tak wiele wysiłku w poszukiwania. Trwanie w beczynności teraz - kiedy ją widział i gdy groziła jej śmierć - byłoby niewybaczalne.

Leapman dotarł już do wyjścia.

-

Idzie z nami - powiedział do Diamonda - ponieważ chce odzyskać dziecko. Nie widziała córki od miesiący.

-

Zabijecie je obie.

-

Być może, ale ona o tym nie wie. Nie rozumie niczego, co do niej mówimy. Na wypadek, gdybyście zamierzali pójść za nami, poprosiłem Dino, żeby przypilnował drzwi, dopóki nie będziemy bezpieczni.

Doktor Masuda już wyszła na zewnątrz, Leapman ruszył za nią. Goryl został w sali z nożem w pogotowiu, pilnując jedyne wyjścia.

Z bólem serca Diamond zdał sobie sprawę, że Yamagata ma rację. Wykonanie jakiegokolwiek ruchu z pewnością naraziłoby Naomi na niebezpieczeństwo. Bandzior mógł ją udusić bez specjalnego wysiłku. Być może został wynajęty, aby zabić i matkę, i dziecko. Jeden nieprzewidziany ruch mógłby go sprowokować. Yamagata musiał odznaczać się niesamowitym opanowaniem, skoro powstrzymał się od działania, skoro całe jego wyszkolenie i duma oparte były na idei walki.

Nawet w tym momencie trzymał prawe ramię Diamonda w żelaznym uścisku.

-

Uciekają, na litość boską!

Scena rozgrywająca się po drugiej stronie szyby wyglądała tak, jakby pokazywano ją w telewizji.

Rzeczywiście, okna miały wymiary przenośnego telewizora i były zbyt wąskie, by przez nie wyjść.

-

Możesz mnie puścić? - powiedział Diamond.

Widział, jak Yuko Masuda biegnie z wyciągniętymi rękami ku swojej córeczce.

Bandzior puścił Naomi, zapewne na rozkaz idącego tuż za Japonką Leapmana. Dziecko stało nieruchomo, nie okazując żadnych emocji, ale w końcu znalazło się w objęciach matki.

-

Do cholery! Za późno!

Leapman otworzył tylne drzwi samochodu, wepchnął matkę i dziecko na tylne siedzenie i zajął miejsce obok nich. Drugi goryl usiadł w fotelu kierowcy.

Dopiero w tym momencie Yamagata puścił sztywnego ze wściekłości Diamonda.

-
Cholera! Za późno! - wołał Anglik.

Yamagata najwyraźniej się z nim nie zgodził. W sumo wyczucie czasu jest umiejętnością podstawową, a dla niego walka jeszcze się nie skończyła. Zanim Diamond skończył mówić, potężny mężczyzna ruszył naprzód z zaskakującą prędkością. Podbiegł prosto do ostatniego z łóżek. Dobrze, że nie było zajęte, ponieważ Yamagata, nie zatrzymując się, wsunął pod nie ręce, przewrócił do góry nogami, złapał za spód i uniósł, jakby wykonano je z plastiku. Ciągle biegnąc, dopadł okna i ze straszliwą siłą uderzył w nie łóżkiem. Rama wypadła wraz z fragmentem ściany, pozostawiając dziurę obramowaną sterczącymi odłamkami drewna i tynku.

Wściekłość i upokorzenie ostatnich kilku minut wyładowały się w działaniu.

Yamagata wylądował na kwietniku pod oknem i niemal upadł na łóżko, ale utrzymał równowagę i przeszedł po nim. Kimono częściowo zsunęło mu się z ramienia. Zerwał je, nie odrywając wzroku od ludzi, którzy wzbudzili jego gniew.

Samochód już jechał, ale musiał wyminąć Yamagatę stojącego na wąskiej drodze.

Zapaśnik pochylił się na szeroko rozstawionych nogach i pocierając dłonie, przygotowywał się na spotkanie samochodu, jakby to był przeciwnik na zapaśniczej macie. Pozwolił sobie nawet na kilka rytualnych, mających budzić postrach gestów. Położył lewą rękę na sercu, wyprostował prawą, uniósł prawą nogę, wykonując shiko, by po chwili postawić ją mocno na nawierzchni drogi.

Nie było czasu na zakończenie rytuału. Samochód jechał wprost na niego. Nisko pochylony, czekał na zderzenie. Nie miał zamiaru ustąpić przed dwiema tonami metalu. Stawką było coś więcej niż poczucie własnej godności.

Ze wspaniałym wyczuciem czasu rzucił się na samochód w chwili, kiedy wóz miał już uderzyć go w nogi. Widać było jak potężne ciało unosi się nad maską w ruchu, który sprawiał wrażenie, jakby Yamagata rzucił się szczupakiem w przednią szybę. Prędkość samochodu sprawiła, że musiał tylko pochylić tors i skoczyć, gdy maska znalazła się pod nim. Głowa Yamagaty rozbiła przednią szybę i ze straszliwą siłą uderzyła kierowcę. Samochód zjechał z drogi i uderzył w znak ograniczenia prędkości.

Diamond stał w chmurze gipsowego pyłu, oszołomiony tym, co zobaczył. Nie wiedział, czy Yamagata żyje. Głowa i tors zapaśnika znajdowały się całkowicie wewnątrz samochodu, a reszta ciała leżała

niepokojąco nieruchomo na masce.

Diamond otrząsnął się z osłupienia. Postanowił przejść przez gruzy i spróbować udzielić mu pomocy, kiedy za jego plecami rozległ się ostrzegawczy, przeraźliwy wrzask. W samą porę obejrzał się i zobaczył, jak drugi goryl Leapmana pędzi na niego z podniesionym nożem.

Diamond nie był ani zapaśnikiem sumo, ani człowiekiem szczególnie sprawnym. Nadal bolało go prawe ramię. Ale cechował się refleksem, w policji nauczono go podstaw judo. Do tej pory nigdy nie musiał wykonywać rzutu przez ramię w prawdziwej walce. Ze sporym wysiłkiem zdołał wygiąć się tak, by złapać mężczyznę za prawy rękaw i lewą klapę, nie dając się jednocześnie pchnąć nożem, ale udało się. Ugiął kolana, aby znaleźć się poniżej środka ciężkości przeciwnika, i pociągnął z całej siły. Mężczyzna przeleciał nad jego grzbietem i ciężko uderzył w ziemię. Nieźle, jak na amatora. Diamond złapał nóż, niepotrzebnie, bo facet był nieprzytomny.

Krzyknęła na pewno pielęgniarka, która zajmowała się jednym z pacjentów w śpiączce. Teraz przebiegła obok Diamonda, kierując się w stronę samochodu. Ruszył za nią.

Tylne drzwi otworzyły się i wysiadł z nich Leapman, otrzepując z ubrania odłamki przedniej szyby.

Widząc nóż w ręku Diamonda, podniósł ręce do góry. Nie był człowiekiem, który sam prowadził swoją wojnę. Diamond kazał mu się położyć twarzą w dół na krawężniku.

Za nim wysiadła Naomi, pojękując cicho jakby z bólu, ale nie było widać żadnych ran. Matka też wysiadła z samochodu i przytuliła dziewczynkę.

Ciało Yamagaty było pokiereszowane, ale Diamond z ogromną ulgą dostrzegł, że zapaśnik zaczyna się ruszać. Po prostu był ogłuszony przez chwilę, nic dziwnego. Powoli, ale bez niczyjej pomocy, Yamagata wysunął okrwawiony tors i głowę z samochodu. Potem usiadł na solidnie wgniecionej masce i zaczął poprawiać włosy.

Pielęgniarka badała mężczyznę na siedzeniu kierowcy, starając się wyczuć puls. W końcu cofnęła się i pokręciła głową. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że po spotkaniu z głową zapaśnika ma złamany kark.

Ze wszystkich stron nadbiegli ludzie, niektórzy żeby po prostu się gapić albo robić zdjęcia -

Japończyk nigdy nie rozstaje się z aparatem — inni gotowi nieść pomoc.

Diamond pochylił się i podniósł jeden z sandałów geta, zgubiony albo zrzucony podczas starcia.

Rozejrzał się, szukając drugiego, i znalazł go. Jakiś lekarz, który mówił po angielsku, przedstawił się Diamondowi i postarał, aby ochrona zabrała Leapmana i drugiego goryla, który właśnie odzyskał przytomność. Wezwano policję.

Gapie tłoczyli się wokół Yamagaty, dopóki pielęgniarka nie przekonała go, żeby zszedł z maski

samochodu i dał się opatrzeć. Wszystkie obrażenia miały powierzchowny charakter, za kilka dni nie powinno być po nich śladu. Diamond przecisnął się przez tłum wielbicieli sumotori i podał mu sandały. Chciał przeprosić za swoje przekleństwa i za to, że usiłował się uwolnić. Zamiast tego uklonił się. A właściwie uklonili się obaj. Potem pan Yamagata wykonał bardzo wspaniałomyślny gest. Najpierw wskazał na goryla, któremu ochroniarz pomagał wstać, a potem postukał Diamonda w pierś palcem wskazującym, jednocześnie kilkakrotnie kiwając głową, jakby chciał w ten sposób wyrazić pochwałę. Uklonił się ponownie i ceremonialnym gestem oddał geta Diamondowi. Nie trzeba było słów. Rozległy się brawa. Diamond cieszył się, że nie musi nic mówić, ponieważ naprawdę nie wiedział, czy nie zawiedzie go głos.

Yamagata rozejrzał się. Nadal go coś niepokoiło. Dostrzegł doktor Masuda, która stała nieopodal, trzymając Naomi za rękę. Podeszedł do nich, wymienił z nią ukłony i kilka słów, a potem pochylił się i wziął dziewczynkę na ręce.

Robiła wrażenie spokojnej. A nawet zadowolonej.

Zaczęły trzaskać migawki aparatów fotograficznych.

Rozdział 33

Niech pan na to popatrzy! Myślą, że mam zamiar coś zrobić? - Na dobrą sprawę kajdanki na rękach Michaela Leapmana nie były potrzebne, ale ponieważ policja z Jokohamy zażądała dopełnienia tej formalności, zanim pozwoliła Diamondowi go przesłuchać, zgodził się na ten warunek. Siedzieli naprzeciwko siebie w skórzanych fotelach w gabinecie szefa policji, który obserwował ich zza biurka razem z tłumaczem.

Diamond czekał spokojnie. Był pewien, że protesty szybko miną. Leapman rozpaczliwie pragnął usprawiedliwić przed kimś swoje działania.

Na jego reakcję nie trzeba było długo czekać.

- Wie pan, na swój sposób czuję ulgę. Przestałem już panować nad moim życiem. Pozwoli pan, że opowiem wszystko tak, jak ja to widzę?

Diamond kiwnął głową i Leapman zaczął mówić.

-

Właściwie nie mogę uwierzyć, że byłem takim idiotą. Niecały rok temu miałem niezłe ułożone życie. Byłem wiceprezesem z dobrą pensją, w dobrze prosperującej firmie, chociaż muszę stwierdzić, że widziałem chmury zbierające się na jej horyzoncie. Manny - to znaczy prezes - nie chciał przyznać, że nasze notowania w branży farmaceutycznej spadają. Był naprawdę miłym facetem, swego czasu świetnie kierował przedsiębiorstwem, ale szczerze mówiąc, nie rozumiał

współczesnego biznesu. Teraz to basen z rekinami i Manny nie powinien się już tym zajmować.

Znam przemysł farmaceutyczny. Chciałem zostać prezesem i spodziewałem się, że wkrótce dostanę to stanowisko.

-

Organizując przewrót w zarządzie?

-

Tak jest. Sporządziłem niezawodny plan, jak odwrócić tendencję spadkową, ale wiedziałem, że Manny go nie poprze. Bez jego wiedzy dałem już zielone światło kilku projektom badawczym, o których nawet nie wiedział. Nie było w tym nic nieetycznego, chodziło o produkty, które moim zdaniem Manflex powinien wesprzeć, aby pozostać konkurencyjny. Całkiem legalnie przerwiałem fundusze z innych projektów, z których się wycofywaliśmy, a kiedy księgowość zrobiła się zbyt skomplikowana, wyłożyłem trochę gotówki z własnej kieszeni. Uważałem to za inwestycję. W

Indianapolis realizowano projekt o niesamowitych możliwościach.

-

Badania Churchwarda?

Leapman skinął głową.

-

Każda firma farmaceutyczna chce dokonać przełomu w walce z alzheimerem. Alaric Churchward uzyskiwał sensacyjne wyniki testów PDM3. Byłem pewien, że mamy lek wszech czasów, i zamierzałem w ten sposób pozbyć się Manny'ego. Wiedziałem, że nie zatwierdzi leku bez różnych gwarancji, których nie byliśmy gotowi mu dostarczyć. Zarząd był niezadowolony z Manny'ego, spodziewałem się, że w dowolnej chwili mogę wysunąć własną kandydaturę. Gdybym został szefem, mógłbym udzielić leкови poparcia i ponownie wyprowadzić Manflex na pierwsze miejsce w branży.

-

Miał pan poparcie zarządu?

-

Jasne. Ale nie wiedzieli o PDM3. To był mój as w rękawie. Nie powiedziałem o nim nikomu.

-

Poza mafią.

-

Potrzebowałem pieniędzy na finansowanie projektu. Więcej pieniędzy już nie miałem.

-

Ale pożyczać od mafii?

Leapman rozłożył skute kajdankami ręce, mimowolnie parodiując gest człowieka pokazującego, że działał w dobrej wierze.

-

Początkowo nie wiedziałem, że to gangsterzy. Kręcili się koło mnie. Potrzebowałem dużych zastrzyków gotówki, ale bez zadawania pytań, nawiązałem więc kontakt z facetem, którego znałem z dawnych czasów. Obiecał mi, że porozmawia z człowiekiem zajmującym się kapitałami inwestycyjnymi i tak dalej. Pewnego dnia dostałem dużą sumę pieniędzy. Dopóki się do mnie nie odezwali, nie wiedziałem, że to forsa mafii. A potem okazało się, że mam do czynienia z Massimo Gattim, o którym wszyscy wiedzą, że jest mafijnym bossem.

-

I mimo to nie wycofał się pan?

Spojrzał wściekle na Diamonda.

-

Pan też nie próbowałby się wycofać, mając do czynienia z kimś takim, jak Gatti.

-

No i siedział pan w ich kieszeni.

-

Dostrzegli sposób, żeby zarobić wielki szmal na giełdzie. To było szaleństwo. Podpalili jeden z zakładów Manfleksu we Włoszech. Wie pan po co? Żeby obniżyć cenę rynkową i móc wykupić firmę na korzystnych warunkach. Proszę mi wierzyć, nie brałem w tym udziału.

Dowiedziałem się o wszystkim później. Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że nie gram w mojej lidze.

-

Czy wiedział pan już, że PDM3 jest niebezpieczny?

-

Kiedy pożyczałem pieniądze? Nie, naprawdę. Czy uważa mnie pan za potwora?

-

Ufał pan Churchwardowi?

-

Oczywiście. To wybitny uczonek. Niech mi pan wierzy, nie brał udziału w tej aferze.

Wiedział, że istnieją negatywne oddziaływania uboczne, ale uważał, że stosując odpowiednie dawki, da się ograniczyć je do minimum.

-

Kiedy dowiedział się pan prawdy?

-

O jantacu? Sześć, siedem miesięcy temu. Ale wtedy nie było już odwrotu.

-

W jaki sposób sprawa wyszła na jaw?

-

Pewnego popołudnia Churchward zadzwonił do mnie w pewnej sprawie. Mówił, że podobno rozpoczęto już wstępne badania tego

związku, ale ich nie kontynuowano. To normalne. Testowanie leków na ich aktywność biologiczną może okazać się długim, męczącym procesem, co gorsza można być raczej pewnym, że przeżyje się wiele rozczarowań, zanim się ustali, czy mają jakieś zastosowanie medyczne. Chciał wiedzieć, czy coś jeszcze jest w dokumentacji. Obiecałem mu sprawdzić w systemie. Wprowadziłem wzór chemiczny...

-

I znalazł pan dokumentację jantacu?

Leapman skrzywił się na to wspomnienie.

-

Poczułem się, jakbym dostał kopa w brzuch. Zasadnicze decyzje podjęto w osiemdziesiątym piątym roku, na kilka lat przed tym jak znalazłem się w firmie. Doktor Masuda przez dwa lata prowadziła doświadczenia w Japonii, przy okazji badania śpiączki, i używała tego samego specyfiku co PDM3,

który wtedy nosił nazwę zastrzeżoną jantac. Dowiedziałem się, że Manny osobiście obciął fundusze na badania, gdy doktor Masuda ustaliła, że jantac powoduje uszkodzenie wątroby. Nazwa została usunięta z listy badanych leków. Przeżyłem szok, dowiadując się o tym. Postawiłem na ten cholerny specyfik całą swoją karierę i oszczędności.

-

Poinformował pan Churchwarda?

-

Nie. - Leapman pokręcił głową. Miał minę, jakby żałował tego, co się stało. -

Przefaksowałem mu kilka innych dokumentów, ale bombę z jantakiem przemilczałem. Miałem nadzieję, że nie będzie to tak poważny problem, jak się wydawało na pierwszy rzut oka. Niekiedy Manny był zbyt ostrożny, by mogło mu to wyjść na dobre. Każdy lek ma negatywne skutki uboczne, przekonywałem sam siebie, a alkoholizm i tak powoduje uszkodzenie wątroby i być może japońskie wyniki nie powtórzą się w tym samym stopniu u pacjentów, którzy piją umiarkowanie.

Badania Alarica Churchwarda nie musiały zostać wyrzucone do kosza tylko dlatego, że Manny był tak ostrożny.

-

Dobra, znalazł pan sobie usprawiedliwienie - powiedział Diamond. Zaczynał się już niecierpliwić. - I co dalej? Najpierw pozmieniał pan dokumentację.

-

Bez najmniejszego problemu. Mogłem to zrobić, siedząc w swoim gabinecie, i zrobiłem.

Diamond powstrzymał się przed zwróceniem mu uwagi, że powinien także zejść do piwnicy, gdzie przechowywano stare karty.

-

Dane w komputerze łatwo skasować - kontynuował Leapman. - Ale tu wchodził w grę czynnik ludzki.

Diamond skinął głową.

-

Ludzi nie da się równie łatwo skasować.

Leapman spojrzał na niego wyzywająco.

-
Nie jestem mordercą. Owszem, przewidywałem problemy. Gdyby doktor Masuda usłyszała o PDM3, mogłaby się stać poważnym elementem ryzyka. Istniało ryzyko, że po tym co się stało, czuje urazę do Manfleksu. Poprzytałem trochę i dowiedziałem się, że po zabraniu jej pieniędzy w ogóle przestała pracować. Od tej pory nie wróciła do działalności naukowej. Dlatego polecałem do Jokohamy, żeby się z nią zobaczyć.

-
Na własną rękę? Nie mówiąc nic mafii?

-
Pomyślałem, że kupię jej przychylność. Załatwiłbym jej powrót do pracy nad badaniami śpiączki, używałaby niedawno przez nas opracowanych leków. Wtedy przerobiłbym jej akta personalne, żeby wyglądało na to, że sponsorowaliśmy ją bez przerwy. Ale pojawiła się komplikacja.

-
Naomi?

-
Słucham?

-
Dziecko. Nazwałem ją Naomi.

-
Aha. Rozumiem. Tak, odkrycie tej małej dziewczynki było prawdziwym szokiem, jeszcze bardziej wstrząsnęło mną to, że jest autystyczna. Potrzebowała całodobowej opieki. Jedyнным sposobem skłonienia doktor Masuda do powrotu do pracy było znalezienie zastępczej matki. No cóż, omówiłem to z nią. Po siedmiu latach zajmowania się dzieckiem, które na nic nie reaguje, naprawdę potrzebowała odpoczynku. Oczywiście pod warunkiem, że zdołamy znaleźć opiekunkę do dziecka. Zgodziłem się pokryć koszty. Doktor Masuda znała na uniwersytecie kobietę, której dziecko zmarło. Chciała dokonać adopcji, ale ponieważ była samotną matką, agencje adopcyjne nie chciały się na to zgodzić.

-
To była pani Tanaka?

Tak jest. Nie było mowy o załatwieniu adopcji, ale byliśmy skłonni powierzyć jej opiekę nad dzieckiem. Na przykład mogłaby je zabrać na wakacje. W teorii wyglądało to bardzo ładnie.

Pani Tanaka trochę znała dziewczynkę. Wyłożyłem pieniądze na wyjazd do Anglii, żeby wywiozła... jakie dał jej pan imię?

-

Naomi.

-

...żeby wywiozła Naomi na czas, w którym miałem zamiar wysadzić z siodła Manny'ego Flexnera. PDM3 miał być powodem

jego rezygnacji i chciałem, żeby wszystko było związane na ostatni guzik.

-

Ale dlaczego? Po co zadawał pan sobie tyle kłopotów z powodu małej dziewczynki?

-

Była żywym dowodem na to, że doktor Masuda przerwała badania w osiemdziesiątym piątym roku. Mogłem kupić milczenie Japonki, ale gdyby ktoś zaczął węszyć, nie mógłbym wyjaśnić tego, kto zajmował się dzieckiem.

-

Kogo się pan obawiał? Manny'ego?

Leapman pokręcił głową.

-

Mało prawdopodobne, żeby skojarzył tę sprawę z jantakiem, chociaż osobiście skreślił lek z listy. Nie był naukowcem. Nie, bałem się ludzi spoza firmy. Prasy medycznej, analityków rynku, konkurentów z przemysłu farmaceutycznego. Są cholernie szybcy w wyciąganiu każdej negatywnej informacji o nowym leku. O jantacu niczego nie opublikowano, ale ktoś gdzieś mógł coś usłyszeć.

-

Dlatego wysłał pan panią Tanaka z Naomi do Londynu.

-

Wydawało się to zgrabnym rozwiązaniem, ale ona wszystko spieprzyła. Wszystko. Może te agencje adopcyjne coś o niej wiedziały, bo zupełnie nie dała sobie rady. Autystyczne dziecko okazało się zbyt wielkim obciążeniem, dlatego pewnego dnia porzuciła ją w Harrodsie. I od razu zaczęło być głośno o dziewczynce w brytyjskiej prasie i telewizji. Dla mediów to był temat.

Napisali o niej nawet w „New York Timesie”. I zamiast wyciszyć fakt istnienia dziecka, mieliśmy go teraz nagłośniony we wszystkich mediach. Nasz projekt za miliard dolarów miał nam za chwilę wybuchnąć prosto w twarz z powodu jednej małej dziewczynki.

-
Przecież nikt nie znał tożsamości dziecka - przypomniał mu Diamond.

-
Na litość boską! - wybuchnął Leapman. - Każdy tabloid w Anglii i Japonii chciał ustalić, kim jest głuchonieme dziecko z Harrod-sa. To była wspaniała historia. Nasze gazety też ją wałkowały. Jedynym pytaniem było to, który z przemądrzałych dziennikarzy dotrze do matki pierwszy.

-
Przez panią Tanaka? To dlatego pani Tanaka musiała zostać zamordowana?

-
Ja sam stałem w obliczu zagłady. Gdyby tylko ktoś dotarł do pani Tanaka, spaliłby cały plan. Powiedziałyby im o umowie z doktor Masuda. Wyszłyby na jaw jej związki z Manfleksem.

Wszyscy mądrale szukający jakichś wad w PDM3, otrzymaliby sygnał, że coś jest nie tak.

Musiałem działać szybko i nie mogłem zrobić tego sam.

-
Dlatego przedstawił pan sprawę swoim przyjaciom z mafii, a oni wystawili kontrakt na panią Tanaka.

-
To nie są moi przyjaciele. Nigdy nie brałem udziału w morderstwie.

-
Ale ich pan informował. Musiała być z panem w kontakcie, zanim poleciała z Naomi do Nowego Jorku.

-

Musi pan zrozumieć, że czułem na karku gorący oddech tych ludzi. Kiedy Manny popełnił samobójstwo i mianował Davida swoim następcą, moje plany...

-

Wzięły w łeb? - odpowiedział Diamond z cieniem uśmiechu, ale raczej nie przypuszczał, że Leapman roześmieje się z żartu. I nie pomylił się.

-

Byłem wstrząśnięty, kiedy dowiedziałem się, co zrobili z panią Tanaka. Przerażony. I wie pan, przede wszystkim pomyślałem, że dziecko pewnie zginęło.

-

Nigdy nie słyszałem, by mafia chciała zabić dziecko.

-

No cóż, rzeczywiście.

-

Ale nie mieli najmniejszych oporów przed wrzuceniem mnie do rzeki Hudson - dodał

Diamond.

-

Niebezpiecznie zbliżył się pan do prawdy. Kiedy umówił się pan na spotkanie z Davidem Flexnerem, musieli działać.

-

Przy okazji, jak to robili? Mam rację, przypuszczając, że w gabinecie Flexnera była pluskwa i że dał pan cynk swoim przyjaciołom?

-

Proszę posłuchać, mnie także grożono. Ci ludzie niczego nie wybaczą.

-

Ale tak się to odbyło?

-

Zasadniczo tak. - Leapman się zawahał. - Może powinienem pana przeprosić?

Diamond wzruszył ramionami. Mógł sobie teraz pozwolić na wspaniałomyślność.

-
A po co właściwie przyjechał pan do Jokohamy?

-
To proste. Żeby zlikwidować doktor Masuda. Muszę z naciskiem stwierdzić, że działałem pod przymusem. Nadal istniała groźba, że sam zostanę zamordowany. Ci dwaj, którzy przyjechali ze mną, byli cynglami mafii. Miałem ich do niej doprowadzić, a Naomi byłaby przynętą. Zamierzali pojechać na wieś, zabić panią Masuda i porzucić gdzieś Naomi.

-
I naprawdę pan przypuszcza, że pozwoliliby panu żyć?

Leapman zastanawiał się przez chwilę.

-
Może nie. Jak już mówiłem, cieszę się, że jest po wszystkim. Nie mam nic przeciwko składaniu zeznań, kiedy sprawa znajdzie się w sądzie. Byłem durniem, panie Diamond. Ale nic dobrowolnym uczestnikiem morderstwa.

Diamond wstał, szykując się do wyjścia. Poczul ból w plecach. Nie był jednak taką machiną bojową, jak mu się wydawało.

-
Już pan to mówił, panie Leapman, ale jednocześnie byt pan skłonny beztrósco skazać ogromną liczbę chorych na alzheimera na ciężkie uszkodzenie wątroby i być może na śmierć, tylko po to, żeby stać się bogatym i szczęśliwym. Według mnie niczym się to nic różni od morderstwa.

-
Wyjeżdża pan? - zapytał Leapman, puszczając mimo uszu oskarżenia.

-
Kiedy tylko zdołam załatwić sobie przelot.

-
A co będzie ze mną?

-
Proszę zapytać swojego prawnika. Przypuszczam, że dokonają pańskiej ekstradycji, aby mógł pan zeznawać przeciwko Massimo Gat-tiemu i jego cynglom.

Leapman się skrzywił.

-
Przez jakiś czas będzie pan bezpieczny za kratkami - pocieszył go Diamond. - A potem pozostaje zawsze chirurgia plastyczna.

Gdy wychodził z komisariatu, zatrzymał go jeden z urzędników i zaprosił do innego gabinetu, w którym ku jego zaskoczeniu czekały Yuko Masuda i Naomi. Tuż za nim wszedł tłumacz.

Doktor Masuda stała, trzymając Naomi za rękę. Ukłoniła się i wygłosiła krótką przemowę.

-
Pani Masuda mówi, że dowiedziała się o wszystkich staraniach, jakie pan podjął, aby dopomóc jej córce, a także o niebezpieczeństwach, na jakie się pan narażał. Uważa też, że im obu ocalił pan życie.

-
Zrobił to pan Yamagata - sprostował Diamond.

-
Pani Masuda stanowczo twierdzi, że zawdzięcza panu życie. Chciałaby się panu jakoś zrewanżować.

-
To nie jest konieczne.

-
Proszę mi wybaczyć, że pozwolę sobie powiedzieć coś od siebie - oświadczył tłumacz. -

Taki jest zwyczaj w Japonii. Jeżeli może pan wymienić jakąś drobną usługę, którą mogłaby wykonać, zmniejszyłoby to ciężar długu wdzięczności, jaki obecnie dźwiga. Symbol wdzięczności.

Mała rzecz, ale bardzo ważna.

Diamond spojrzał na Japonkę.

-
W takim razie chciałbym przez chwilę potrzymać rękę jej córki.

-
Sądzę, że spełni to wymogi honoru.

Po krótkich wyjaśnieniach doktor Masuda skinęła głową.

Naomi stała obok niej, patrząc w ścianę.

Diamond zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

Doktor Masuda powiedziała coś po japońsku. Naomi wsunęła rączkę w jego dłoń. Nie popatrzyła na niego, nie zrobiła nic poza tym, ale ten gest wystarczył. Spełniał wymogi honoru japońskiej damy i wywołał ucisk w gardle chłodnego Anglika.

W mieszkaniu przy Addison Road sufit wciąż czekał na pomalowanie.

-
Jutro przyniosę więcej farby - obiecał.

-
To chyba niegodne zajęcie po tych twoich wyjazdach - powiedziała Stephanie.

-
Wcale nie. Życie rodzinne ma swoje zalety.

Uśmiechnęła się lekko.

-
Nie brzmi to jak słowa supermana, o którym czytałam dziś rano w gazecie.

-
Supermana? Z moją figurą? — roześmiał się.

-
A więc nie uważasz się za zapaśnika sumo?

-
Nie ma mowy!

W gazecie piszą, że przerzuciłeś uzbrojonego mężczyznę przez plecy. Utrzymują, że jesteś brytyjskim mistrzem sumo.

-

Odczep się!

-

Naprawdę. Chcesz zobaczyć?

-

Nie. To bzdury i oboje o tym wiemy. Cieszę się, że jestem w domu, razem z tobą.

Jej uśmiech stał się wyraźniejszy.

-

Pamiętałeś o tenisówkach dla mnie?

Być może był wielki, ale teraz poczuł, że gwałtownie się kurczy.

-

Zupełnie nie miałem okazji. Przepraszam, kochanie.

-

Nie wspominałabym o tym, ale dzwoniłeś do mnie z Nowego Jorku, żeby sprawdzić rozmiar.

Wstał gwałtownie i zaczął grzebać w torbie podróżnej, przywiezionej z Japonii. Wyjął z niej pudełko na buty.

-

Ale kupiłem ci to wczoraj po południu w Jokohamie. Nie wyglądają na tak wygodne jak amerykańskie, ale powiedziano mi, że są lepsze dla stóp. Nazywają je geta.

Z zaciekawieniem podniosła wieczko. A potem popatrzyła na Diamonda, marszcząc brwi. Wyjęła z pudełka parę tradycyjnych japońskich drewnianych sandałów ze skórzanymi paskami.

-

Nie masz tenisówek?

Pokręcił głową. Korciło go, żeby nazwać geta japońskimi tenisówkami, ale były pewne granice.

Zdjęła buty i włożyła geta.

-

Pasują?

Podeszła chwiejnym krokiem i wymierzyła mu żartobliwego kuksańca.

-

Jesteś nie do wytrzymania. Chyba mogę je nosić po domu.

-

To dobrze - powiedział, wyjmując z torby geta Yamagaty. - Tę parę ja dostałem w prezencie i też z przyjemnością będę je czasem nosił.